



Marie Louise Fischer



**W
cieniu
podejrzenia**

Przekład Jarosław Misiak

Był niedzielny wieczór, krótko przed dziewiątą, gdy Vivian Wagner nadzwyczaj punktualnie — jak to było w jej zwyczaju — weszła do francuskiej restauracji nie opodal Filharmonii Berlińskiej. Jej przyjaciel, młody radca stanu Herbert Zink, czekał już tam na nią. Na jej widok podniósł się zza wcześniej zarezerwowanego stolika w rogu lokalu, by pomóc jej zdjąć brązowy, ocieplany futerkiem, jedwabny płaszcz.

— Chyba się nie spóźniłam? — zapytała łapiąc oddech.

— Ty się przecież nigdy nie spóźniasz! — odparł z uśmiechem. W lokalu było jeszcze kilka wolnych stolików, bo tłoczno bywało tu zazwyczaj dopiero po zakończeniu koncertu. Pojawienie się Vivian przyciągnęło jak magnes spojrzenia większości obecnych, obserwujących teraz uważnie, jak elegancki płaszcz zsuwa się z jej dziewczęcych ramion. Złota suknia na dwóch cienkich ramiączkach podkreślała delikatną biel jej skóry i pozwalała więcej niż tylko domyślać się jej jędrnych, krągłych piersi. Bujne włosy o orzechowym odcieniu tworzyły oryginalny kontrast dla dużych, niebieskich oczu. Jej policzki były lekko zaróżowione chłodem lutowego wieczora. Prosty nos, kształtny podbródek i stanowcze usta uzupełniały obraz Vivian. Tak, była warta tych wszystkich spojrzeń i wiedziała o tym. Herbert podał płaszcz Vivian kelnerowi.

— Wyglądasz cudownie! — powiedział przysuwając jej krzesło. . Był z niej bardzo dumny i nie próbował nawet tego ukryć.

— To tylko ta moja bajkowo piękna figura! — odpowiedziała z kpiącym uśmiechem.

Zmarszczył czoło, które sprawiało już wrażenie wysokiego, chociaż jego blond włosy były nadal bujne.

— Nie bardzo rozumiem...

— Czyżbyś nie znał bajki o kogucie, kurze i kurczęciu? — zapytała wymijająco. — Kiedyś, przy okazji ci ją opowiem.

Wiedziała, że nigdy do tego nie dojdzie, bo jej przyjaciel szybko zapomni tę przypadkową uwagę. Były inne sprawy, które go absorbowały.

Herbert ponownie zajął miejsce przy stoliku.

— Powinniśmy wziąć ślub najpóźniej na Wielkanoc — powiedział bez wstępów.

— Och! — westchnęła.

Kelner podał szampana jako apéritif. Stuknęli się lampkami. Herbert spojrzał na Vivian bardzo poważnie swymi szarymi oczami.

— Unikasz tego tematu — poskarżył się.

— Myślałam, że jesteśmy tu dziś po to, żeby uczcić mój sukces.

— Teraz, kiedy już osiągnęłaś wszystko, co zamierzałaś, nic już nie stoi na drodze naszemu małżeństwu.

— To wcale nie takie proste... — powiedziała.

— Vivian! Jak długo się znamy? Wzruszyła ramionami.

— Dwa lata?

— Już prawie trzy! — poprawił ją. — I prawie tyle samo czasu minęło od chwili, gdy oświadczyłem ci się po raz pierwszy.

Vivian z obojętnością obracała swój kieliszek.

— To było trochę przedwcześnie.

— Wtedy tak, zgoda. Ale przecież przez te lata nasza miłość się sprawdziła.

— Jesteś pewny?

— Vivian! Co masz mi do zarzucenia?

— Nic — przyznała. — Przecież wiesz.

— No więc...

Vivian przerwała mu w pół słowa:

— Zauważ, że dotąd spotykaliśmy się tylko po pracy albo w najlepszym razie w czasie weekendu, a i to niezbyt często, bo moje studia pochłaniały mnóstwo czasu. Skąd zatem możesz być pewny, że istotnie będziemy potrafili wspólnie żyć? To przecież coś zupełnie innego.

— Mogę wydać ci się drobnomieszczański, ale...

— Nigdy nie przyszłoby mi to do głowy!

— ... ale to wbrew moim zasadom żyć tak na kocią łapę...

— Rozumiem to doskonale! — przyznała Vivian, starając się ukryć ulgę, jaką przyniosła jej deklaracja Herberta. — Zresztą musielibyśmy przecież poszukać jakiegoś większego mieszkania. Ani w twojej garsonierze, ani w mojej klitce nie byłoby nam wygodnie, a w tej chwili mam naprawdę wiele innych rzeczy na głowie.

— Może byłabyś tak łaskawa i wyjaśniła mi to dokładniej? — zażądał rozdrażniony Herbert i ciągnął, nie dopuszczając Vivian do głosu: — Najpierw najważniejszy dla ciebie był egzamin państwowy. Zgoda, to jeszcze mogłem zrozumieć. Potem obrona pracy dyplomowej. To także było jeszcze do przelknięcia. No, ale teraz, kiedy jesteś już dyplomowanym lekarzem...

— Muszę się starać, by przyjęto mnie do pracy w Kasie Chorych! — dokończyła Vivian.

— Ale przecież jedno nie wyklucza drugiego! Postaram się o odpowiednie mieszkanie.

— Myślałam, że jesteś wrogiem dzikich małżeństw.

— To prawda. Ale skoro się upierasz — proszę bardzo. To przecież nie potrwa długo.

Z czułością ujęła jego dłoń nad stolikiem.

— Jesteś taki kochany, Herbercie!

— Bardzo cię kocham, Vivian. Nigdy bym nie uwierzył, że jakakolwiek kobieta może mnie tak wodzić za nos.

— Wiesz przecież, że nie mam takiego zamiaru.

— Ale to właśnie robisz i ja naprawdę zupełnie nie rozumiem, dlaczego. Zdaje się, że bierzesz mnie za jakiegoś macho. Czy nie tak?

— Nie, Herbercie.

— Przecież wiem, że kobiety tak mądrej jak ty nie można zagonić nagle do sprzątanania i gotowania. Możesz wyjść za mnie i jednocześnie z powodzeniem prowadzić prywatną praktykę. Dlaczegoż by nie? Nie oczekuję wcale, że będziesz przynosiła mi pantofle i prasowała moje koszule. Oczywiście pewnego dnia chciałbym mieć dzieci. Ty przecież także, nie mylę się?

— Tak, z pewnością — przyznała.

— Ale jeśli chcesz, zaczekamy z tym trochę, do czasu, aż twoja praktyka się rozkręci, a nasz związek okrzepnie.. Wiem, że uważasz to za konieczne.

— To prawda.

— Jesteśmy więc zgodni?

— Daj mi trochę czasu, Herbercie! — powiedziała z błaganiem w głosie.
— Proszę!

— Na co tym razem, na miłość boską, potrzebujesz czasu? Spuściła oczy i wpatrywała się w biały obrus.

— Nie rozumiesz...

— Przecież próbuję, Vivian. Jestem gotów na każdy kompromis. Co jeszcze mógłbym zrobić?

Prawie opróżnili swoje kieliszki. W tej samej chwili pojawił się kelner z butelką białego wina, które Herbert zamówił jeszcze przed przybyciem Vivian. Uzyskawszy akceptację Herberta, kelner odkorkował butelkę, po czym dla skosztowania nalał odrobinę wina do kieliszka mężczyzny. Ten posmakował, dając jednocześnie wyraz swemu zadowoleniu. Kelner napełnił

teraz najpierw kieliszek Vivian, a potem jej partnera. Zrobił to wszystko z ową ceremonialną elegancją, która cechuje ekskluzywne restauracje.

Zazwyczaj Vivian delectowała się tymi obrzędami, w których wyrażał się szacunek nie tylko dla gości, ale także dla napojów i potraw. Dzisiaj jednak drażniło ją to. Z niecierpliwością czekała, aż mężczyzna w czarnym fraku wreszcie się oddali.

— Dlaczego — zapytała, gdy tylko znów zostali sami — nie zostawimy wszystkiego tak, jak jest.

— Ten stan rzeczy mnie nie zadowala.

— Będę miała teraz dla ciebie więcej czasu, znacznie więcej czasu.

— To mi nie wystarcza.

— A mnie się to podoba. Czyż to nie wspaniale, gdy dwoje dorosłych, wolnych ludzi darzy się miłością? Czy małżeństwo jest naprawdę warte tych wszystkich starań? Już raz byłeś żonaty. Powinieneś wiedzieć.

— To nie fair, że mi o tym przypominasz — i to akurat w takim momencie.

— Nie zgadzam się. Tym bardziej, że nigdy dotąd o to nie pytałam.

Kelner podał coctail z krewetek w okazałych pucharach, zawinięte w serwetki gorące tosty i zrolowane kawałki masła na srebrnym talerzu. Tym razem zrobił to błyskawicznie.

Vivian nie była zaskoczona tym, że Herbert złożył zamówienie, nie pytając jej o zdanie. Tym razem, wyjątkowo, postanowił się jednak usprawiedliwić.

— Mam nadzieję, że nie jesteś na mnie zła — zapytał z niepokojem. Zrozumiała go natychmiast.

— Ależ skądże. Jestem wdzięczna, że zaoszczędziłeś mi męki wybierania. To wspaniale być czasem rozpieszczaną. — Posmarowała masłem kawałek tosta. — Ale nie jest to coś, co mogłabym znosić codziennie.

— Bez obaw. Nie będzie nas stać na codzienne wykwintne kolacje.

— To byłoby zresztą nudne. Ale dobrze wiesz, że nie to miałam na myśli — Vivian sięgnęła po jedną z krewetek zanurzonych w różowym majonezie i włożyła ją do ust. — Wyśmienita — oceniła.

— Na co się więc skarżasz?

— Ja? Czy ja się na coś skarżam? — zaśmiała się, ale nie zabrzmiało to całkiem szczerze. — Chyba zaczynasz trochę bredzić.

Herbert zmarszczył brwi.

— Nie lubię, kiedy się tak wyrażasz.

— Przepraszam, kochanie! Tak mi się tylko wyrwało. My, lekarze, to taki nieokrzesany ludek.

Po przystawce zaserwowano chateaubrianda, wewnątrz jeszcze krwistego, lecz chrupkiego z wierzchu, do tego sauce béarnaise i karczochy. Vivian i Herbert nie byli jednak w stanie rozkoszować się dalej tą wspaniałą kolacją. Starali się być dla siebie mili ale czuli, że idzie im to opornie. Chłód, który zapanował między nimi, nie dawał się łatwo przezwyciężyć. Chwalili więc dobre jedzenie i wyborne wytrawne wino, jakby musieli się wzajemnie przekonywać, jak bardzo im smakuje.

Vivian zrezygnowała z deseru.

— Możesz przecież wybrać teraz według własnego uznania.

— Mam nadzieję, że dałam ci jasno do zrozumienia, że aż tak bardzo mi na tym nie zależy.

— Mimo to powinnaś przynajmniej przejrzeć kartę.

— Nie, dziękuję, Herbercie. Wiem, że masz jak najlepsze zamiary, ale jestem już syta.

Przy kawie Herbert zaczął opowiadać o swoim małżeństwie.

— Dlaczego się rozpadło, do dzisiaj właściwie nie wiem. Może to ten feralny siódmy rok, może byliśmy zbyt młodzi, gdy się pobieraliśmy... Miałem dwadzieścia pięć lat, a Gina osiemnaście. Początkowo byliśmy szczęśliwi, chociaż nasza sytuacja finansowa nie wyglądała zbyt różowo. Ale z biegiem czasu robiło się coraz mniej spokojnie i przyjemnie. Gina zaczęła dochodzić do przekonania, że zmarnowała sobie młodość.

Vivian słuchała z uwagą, nie przerywając tej opowieści żadnym komentarzem.

— Zupełnie banalna historia, ale sprawiła mi cholernie dużo bólu. Rozwód chyba zawsze jest porażką. W każdym razie ja tak to odczułem.

— Kochałeś ją jeszcze?

— Naprawdę nie wiem. Jedno jest pewne — nie chciałem jej stracić. Ale ona nalegała na rozwód. — Przesunął dłonią po ustach. — Za tym wszystkim krył się inny mężczyzna, o tym jednak dowiedziałem się dopiero później. Wyszła za niego w niecały rok po odzyskaniu tej tak upragnionej przez nią wolności. — Próbował zdobyć się na uśmiech. — Moi przyjaciele pocieszali mnie mówiąc, że powinienem być szczęśliwy, bo uniknąłem dzięki temu kosztów związanych z jej utrzymywaniem. Ale mnie nie było wcale do śmiechu.

Vivian pogłaskała go po rękę.

— Biedny Herbert.

— Oczywiście, ja także popełniałem błędy — powiedział z naciskiem. — To dla mnie jasne. Ale czy dlatego mam być przeklęty, pozbawiony własnego domu, własnej rodziny? Mam dopiero czterdzieści lat. Czy koniecznie muszę zostać starym kawalerem?

— Z całą pewnością nie, Herbercie. Jesteś cudownym mężczyzną i wspaniałym człowiekiem.

— Wyjdź za mnie, Vivian!

— Nie jestem pewna, czy właśnie ja jestem tą kobietą, której potrzebujesz.

— Więc mnie nie kochasz.

— Ależ tak, Herbercie. Z całego serca.

— Gdyby tak było, nie ryzykowałabyś, że mnie stracisz. Logika tego stwierdzenia była nieodparta — Vivian milczała, nie umiejąc znaleźć kontrargumentów.

— Wcale by cię nie obeszło, gdybym zaczął się teraz rozglądać za inną panną młodą — dodał Herbert, lecz zabrzmiało to raczej jak pytanie niż jak stwierdzenie.

— Sprawiłoby mi to przykrość — przyznała.

— Ale zniosłabyś to jakoś?

— Ach, Herbercie — rzekła dziwnym głosem — nawet sobie nie wyobrażasz, ile człowiek może w życiu znieść.

* * *

Vivian Wagner nie mieszkała wcale w jakiejś klitce, jak się wyraziła w rozmowie z Herbertem Zinkiem, lecz w na wskroś komfortowym mieszkaniu, składającym się z dwóch pokoi, łazienki i kuchni. Było ono jednak niewielkie i dwie tak silne osobowości działałyby tu sobie z pewnością na nerwy. Gdy Herbert odwiedzał ją czasami w weekendy, kochali się, plotkowali ze sobą, wygłupiali się i pichcili coś w kuchni, ale to było oczywiście co innego — oboje czuli potrzebę, by być ze sobą blisko.

Ponieważ Vivian nienawidziła powrotów do ciemnego mieszkania, w przedpokoju nad lustrem zostawiała zapaloną lampkę. Zdawała sobie doskonale sprawę, iż cieszy ją samotność. Miała na razie dosyć towarzystwa Herberta. Naturalnie chciał wejść z nią na górę, ale gdy odmówiła — delikatnie, ale stanowczo — nie nalegał. Tak szybko pogodził się z jej odmową, że łatwo mogłaby to odebrać jako zniewagę lub też karę. Ale odczuwała tylko ulgę.

Starannie powiesiła swój płaszcz na wieszaku w garderobie. Rzuciła mimowolne spojrzenie w lustro: prosty nos, wydatny podbródek, duże, niebieskie oczy, orzechowe włosy — tak, wyglądała rzeczywiście dobrze — skonstatowała bez cienia próżności.

Potem przeszła do łazienki, puściła wodę do wanny, szczerze dodała płynu do kąpieli i ruszyła w stronę sypialni, by się tam rozebrać. Szerokie, wygodne i nowoczesne łóżko było już przygotowane do snu. Wyglądało tak, jakby na nią czekało, ale jego czas jeszcze nie nadszedł.

Vivian zmyła makijaż przed lustrem wiszącym nad umywalką i zdjęła szkła kontaktowe, po czym schowała je do specjalnego pojemniczka. Teraz tęczęwki jej oczu nie były już niebieskie, lecz szare. Niewielka różnica w odcieniu. Herbert znał ten jej mały sekret i wcale mu to nie przeszkadzało. Ona sama rozważała już możliwość pozbycia się szkieł kontaktowych, których używała początkowo ze względów kosmetycznych, ale odczuła lekkie osłabienie wzroku. Mogła więc w ten sposób połączyć przyjemne z pożytecznym.

Kolistymi ruchami rozprowadziła krem na twarzy i szyi, a potem weszła do wanny. Gorąca woda sprawiła jej przyjemność. Zamknęła oczy i próbowała zapomnieć o wszystkim. Jednak wspomnienie zepsutego wieczoru prześladowało ją i tu.

To nie Herbert był winien, że wieczór się nie udał. Powinna była liczyć się z jego ponownymi oświadczeniami i nie dopuścić, by w ogóle do nich doszło. Jej zachowanie musiało go rozczarować.

Był to mężczyzna łatwy do zranienia, ale właśnie to w nim kochała. Rozumiała, że pragnie ukryć swoją wrażliwość za ostentacyjnie męskim zachowaniem. Nie przeszkadzało jej również to, że próbuje za nią decydować. Pozwalała mu zresztą na to tylko przy zupełnie błahych okazjach, jak dzisiejsza kolacja, czy wtedy, gdy prosił, by nie wkładała tej czy innej kreacji lub nie używała dosadnych wyrażeń. Ustępowała mu wówczas bez żalu. Ale w istotnych kwestiach podejmowanie decyzji rezerwowała dla siebie.

Po egzaminie państwowym nie wyszła więc za Herberta, jak tego oczekiwał, lecz przyjęła posadę lekarki asystującej w szpitalu Wilmersdorf, zaraz za Kurfuerstendam. Nie przeniosła się do niego, do Charlottenburga, ale na ulicę Dusseldorfską, skąd mogła chodzić do kliniki pieszo. Rzadko też spędzała z nim swój wolny czas, poświęcając się pisaniu pracy dyplomowej. Tak, była dla niego dość wymagająca, ale on to akceptował, nawet jeśli

trochę gderał, ponieważ jej argumenty były logiczne i rozsądne. To, że teraz nie chciał już dłużej czekać, było zrozumiałe. Powinna była to przewidzieć. W oczach Herberta mogło istnieć tylko jedno wytłumaczenie jej zachowania — kompletny brak uczucia.

Ale to nie była prawda. Kochała go bardzo, bardziej niż jakiegokolwiek mężczyznę dotąd. Tym, co budziło jej opór przed oficjalnym związkiem, było coś zupełnie innego: Herbert nic o niej nie wiedział; w istocie wcale jej nie znał i nawet nie zdawał sobie z tego sprawy.

Rzeczywiście, zachowała się nie fair, robiąc aluzje do jego nieudanego małżeństwa. Próbowwała w ten sposób odegrać mu „czarnego Piotrusia”, i nawet jej się to udało. Dała mu odczuć, że wątpi w jego zdolność zbudowania trwałego małżeństwa.

Ale w gruncie rzeczy wcale tak nie myślała. Był czuły i namiętny, pełen miłości i troski, wierny i uczciwy, miał nawet poczucie humoru. Lepszego męża nie mogłaby sobie nawet wymarzyć. Tu chodziło o nią. Problemem, który powstrzymywał ją od małżeństwa z Herbertem, była ona sama. Vivian westchnęła głęboko, w tej samej chwili musiała się jednak uśmiechnąć, słysząc to samotne westchnienie. Otworzyła oczy i podniosła się, żeby wziąć zimny tusz. Miała przy tym znowu okazję podziwiać swój jędrny, krągły biust — zbyt piękny, by mógł być prawdziwy.

Wytarłszy się dokładnie dużym, miękkim ręcznikiem frotte, wklepała krem w skórę, począwszy od piersi po palce stóp, i założyła bawełnianą nocną koszulę z długimi rękawami. Wsunęła parę ciepłych pantofli z jagnięcej skóry i jedwabne kimono z szeroką szarfą. Zebrała rozrzuconą bieliznę i włożyła ją do pojemnika w łazience. Złotą, jedwabną sukienkę na wąskich ramiączkach powiesiła na wieszaku i wyniosła na balkon kuchenny, żeby ją nieco przewietrzyć. Była na zewnątrz zaledwie parę sekund, lecz przejmujące zimno sprawiło, że z ulgą uciekła do ciepłej kuchni.

Jak wszystkie pomieszczenia w jej mieszkaniu, kuchnia była mała, lecz nie zabrakło w niej miejsca na kwadratowy, drewniany stół i dwa krzesła. W przeciwieństwie do stolika w salonie, ten był odpowiednio wysoki. To właśnie tutaj miała zwyczaj, sama czy we dwoje, spożywać wszystkie posiłki. Stolik był przykryty czerwono-białym obrusem w kratę.

Vivian minęło zmęczenie. Sięgnęła po mały kieliszek, z wiszącej szafki wyjęła butelkę angielskiej wódki.

Z napełnionym kieliszkiem w dłoni zastanawiała się, czy nie pójść do pokoju gościnnego. Ale zrezygnowała, osuwając się na jedno z dwóch drewnianych krzeseł, których siedzenia były wyplatane z wikliny.

Prawie całe swoje dzieciństwo Vivian spędziła w kuchni. Po przedwczesnej śmierci ojca — miała wtedy dwanaście lat — dzieliła sypialnię z matką. Nie miała dla siebie nawet maleńkiego pokoiku. W kuchni odrabiała lekcje, czytała stare książki i oddawała się marzeniom, podczas gdy matka chodziła do pracy w Fabryce Narzędzi Braci Hammer, żeby dorobić do renty. Było to bardzo skromne dzieciństwo i Vivian za żadną cenę nie chciałaby go przeżyć jeszcze raz. Ale przyzwyczajenie do przesiadywania w kuchni, traktowanie jej jako miejsca azylu, pozostało.

Wódka angielska dobrze jej zrobiła, chociaż jedzenie nie było wcale ciężkostrawne. Herbert zaproponował, by do kawy zamówić koniak. Odmówiła, obawiając się, że pod wpływem alkoholu mogłyby paść słowa, których nie sposób byłoby potem cofnąć. Tutaj, zupełnie sama, w pobliżu łóżka, mogła sobie pofolgować. Uraczyła się jeszcze jednym kieliszkiem, potem jednak zakręciła butelkę i odstawiła ją na miejsce.

W dolnej szafce, zaraz koło zlewu, leżał stos gazet przeznaczonych na makulaturę. Vivian nie chciała tego, ale nie mogła się powstrzymać: sięgnęła po jedno z pism o jaskrawej, krzyczącej kolorami stronie tytułowej. Jej oczom ukazała się fotografia przedstawiająca scenę z życia brytyjskiej rodziny królewskiej w pałacu Buckingham. Podniosła gazetę i wróciła na swoje miejsce. Długo wpatrywała się w to kiczowate zdjęcie, w rzeczywistości wcale go nie widząc. Vivian zwykle unikała tego rodzaju pism bulwarowych, ten jednak egzemplarz zabrała, po uprzednim bezmyślnym przekartkowaniu, z poczekalni w klinice. Gazeta była zresztą dość wysłużona.

Dlaczego wzięła ją ze sobą? I dlaczego potem jej nie zniszczyła? Dlaczego nie mogła rozstać się z nią teraz i nie wyrzuciła jej po prostu do zsypu?

Nie mogła tego zrobić. Kierowana swoistym przymusem otworzyła gazetę na odpowiedniej stronie. Zamieszczono tam zdjęcie pewnej kobiety, upokorzonej, młodej kobiety — wyrażało się to w dzikim spojrzeniu jej skośnych oczu — która jednak patrzyła w obiektyw z energią i niemym sprzeciwem, zaciskając silnie usta. Zdjęcie było czarno-białe, o bardzo wyraźnych konturach — swego czasu obiegiło całą prasę niemiecką, a prawdopodobnie też i światową. To i jeszcze kilka innych. W sali sądowej

nie wolno było wprawdzie reporterom fotografować, ale wykorzystywali oni każdą sposobność, by podążać za ową kobietą krok w krok.

Gazety zamieszczały także jej zdjęcia z dzieciństwa: fotografię przedstawiającą uczennicę rozpoczynającą naukę z tradycyjnym, szpiczastym rogiem obfitości, dziewczynę na balu maturalnym i jeszcze kilka innych. Ale wszystkie one mogły zostać spreparowane, mogły przedstawiać tę albo inną dziewczynę w okresie dorastania. Tylko to wielkie, czarno-białe zdjęcie przedstawiało bez wątpienia Lise Hammer.

Podpis brzmiał tyleż lakonicznie, co zjadliwie: — „Lisa Hammer — morderczyni z zimną krwią?”

Vivian nie czytała artykułu. Ukazał się w cyklu „Nie wyjaśnione sprawy kryminalne” pod równie demaskatorskim, co mylącym tytułem: „Sprawa Lisy Hammer”. Gdyby owa publikacja zawierała w sobie choć ziarnko prawdy, tytuł musiałby brzmieć: „Sprawa Brunona Hammera”. Była to zatem jedynie oszczercza szmira.

Vivian nie mogła oderwać wzroku od zdjęcia Lisy Hammer. Przypatrywała się jej — rzecz by można — z niemal chorobliwą satysfakcją.

Kim była ta kobieta? Wydawała się skromna, wręcz niepozorna: włosy proste, zaczesane do tyłu, odsłaniające czoło wysokie i wyraziste, nos łukowaty, cofnięty, nieduży podbródek, raczej chuda niż szczupła. Mimo to była na swój sposób ujmująca, dzięki swej jawnej młodzieńczości, inteligencji oraz sile, którą promieniowała, sile, którą większość dziennikarzy, a pod ich wpływem znaczna część czytelników, uważała za przejaw przestępczej pychy.

„Kobieta, która nie cofnie się przed niczym!” — brzmiały prasowe komentarze. — „Nadzwyczaj wyrachowana!”, „W zмовie z diabłem?”

Skazano ją, można by rzec, zaocznie i nic nie mogło temu zapobiec. Już sam fakt, że wymieniano ją w każdym doniesieniu prasowym o zabójstwie Brunona Hammera jako potencjalną sprawczynię wystarczał, żeby opinię publiczną podburzyć przeciwko niej.

Lecz kim była naprawdę Lisa Hammer, z domu Hopf? Osaczonym, zapędzonym pod myśliwskie strzelby zwierzęciem? Prześladowaną niewinnie kruchą istotą? Wojowniczką rozpaczliwie walczącą o swą wolność i godność? Była z pewnością jeszcze kimś więcej: przede wszystkim była kobietą, która stała się później Vivian Wagner, panią doktor Vivian Wagner, ona, która była najpierw pielęgniarką Lisą Hopf, a potem żoną przemysłowca Brunona Hammera.

Chociaż Vivian nigdy nie zapomniała do końca o tym, co spotkało ją wówczas w jej rodzinnym mieście Rodenberg w Górnej Bawarii, udało jej się sporo usunąć z pamięci. Całą energię zużyła na to, by uformować swoją nową osobowość i ukończyć studia medyczne. Nie miała czasu na przygnębiające myśli, nawet jeśli w nocy wyrywały ją często ze snu koszmary. Przeszłość, o czym była całkowicie przekonana, była martwa. Nie mogła jej już wskrzesić.

W tych staraniach posunęła się tak daleko, że nie potrafiła się już prawie wcale indentyfikować z osobą, którą kiedyś była. Czy była nią naprawdę? Jaka była? I jak to się stało, że padło na nią tak straszne podejrzenie?

Tej nocy Vivian uświadomiła sobie jednak, że mimo wszystko nie pokonała przeszłości odsuwając ją od siebie, zakazując sobie patrzenia w tył, zostawiając ją bezwzględnie gdzieś za plecami. Żeby się z nią rozprawić, powinna ją zmienić, w przeciwnym bowiem razie nigdy nie będzie dla niej przyszłości. Z determinacją próbowała teraz przywrócić swym wspomnieniom właściwe kształty.

Jak to się wszystko zaczęło?

* * *

Była połowa września, jedna z tych księżycowych nocy, których się obawiała, zazwyczaj bowiem pełnia potęgowała rozdrażnienie zarówno u niej, jak i u starszego mężczyzny, którym się opiekowała. Gdy jednak krótko po północy chciała zaciągnąć zasłony stwierdziła, że niebo jest zasnuwane chmurami. Rezygnując więc ze swego zamiaru, ułożyła się do snu na wąskim łóżku w pomieszczeniu, które ze względu na regały z książkami przy obu ścianach zachowało charakter biblioteki.

Kiedy się ocknęła, na fosforyzującej tarczy budzika, który stał na krześle obok łóżka, było pięć po czwartej. W starym domu przy ulicy Parkowej było zupełnie cicho. Nie czekała ani chwili, by nasłuchiwać w ciemności, lecz od razu założyła biały, pielęgniarski kitel i wygodne sandały.

Drzwi do pomieszczenia obok, wychodzącego na ogród, były jak zawsze lekko uchylone. Zajmował je Brunon Hammer — od czasu, gdy ciężka choroba uniemożliwiła mu chodzenie po schodach. Podczas ładnej pogody łatwo mógł wyjechać swym wózkiem inwalidzkim na taras.

Teraz leżał w swoim łóżku, ruchomym łóżku szpitalnym, najwyraźniej pogrążony we śnie. Lampka na szafce nocnej roztaczała swe łagodne, niebieskie światło. Tuż obok niej zwisał sznurek od dzwonka, tak blisko

dłoni Brunona, że gdyby chciał wezwać pomocy, wystarczyło go tylko lekko poruszyć.

Zwróciła uwagę na panującą w pokoju dziwną ciszę. Nie było słychać nawet jego zazwyczaj lekko rżącego oddechu. Czy rzeczywiście spał?

Pochyliła się nad nim.

— Bruno — zapytała — czy nie potrzebujesz basenu?

Nie było odpowiedzi. Wyraz twarzy chorego wyrażał błogi spokój. Zdawać się mogło, że po jego wargach błąka się nawet lekki uśmiech.

Położyła dłoń na jego czole. Było bardzo zimne. W tym momencie po raz pierwszy przyszło jej na myśl, że mógł umrzeć. Zbadała jego puls delikatnie, tylko opuszkami palców. Nie wyczuła tętna. Na lusterku, które przyłożyła do jego ust, nie pozostał nawet ślad oddechu. Brunon Hammer, jej pacjent, jej mąż i dobroczyńca, był martwy.

Lisa osunęła się na miękki fotel, w którym miała zwyczaj dotrzymywać mu towarzystwa, i próbowała zapanować nad swym przygnębieniem. O tym, że nie zostało mu już wiele życia, wiedzieli dobrze oboje. Ale liczyli jeszcze na przynajmniej kilka lat. Tego, że śmierć przyjdzie tak szybko, nie spodziewał się nikt, nawet doktor Krantz, ich lekarz domowy.

Lisa siedziała oszołomiona, zastanawiając się nad swoim stosunkiem do zmarłego, nad jego dobrocią, jego nastrojami, wybuchami gniewu i nad jego poczuciem humoru, które objawiało się czasem również w postaci raniącej ją ironii.

Gdy była jeszcze dzieckiem, a on był zdrowym mężczyzną, uwielbiała go i bała się go jednocześnie. Wielkie samochody, którymi jeździł, grube cygara, które palił, jego elegancja i pewność siebie, upojne bale, które wydawał, gdy żyła jeszcze jego żona — to wszystko robiło wrażenie nie tylko na niej, ale także na całym Rodenberg.

Czasami, gdy była jeszcze młodą dziewczyną, jego córka Evelyn zapraszała ją na bale wydawane w domu Hammerów. Szczególna uprzejmość, jaką jej zawsze okazywał, raczej ją przerażała, niż cieszyła. Nigdy nie zapominał zapytać o jej postępy w szkole i pochwalić ją. Często wciskał jej w dłoń jakiś banknot.

W ostatnich trzech latach, od kiedy przejęła nad nim opiekę, a w końcu została jego żoną, był w samym centrum jej życia i wypełnił je całkowicie. Teraz, gdy siedziała przy jego łożu śmierci, ani przez chwilę nie odczuła ulgi z powodu odzyskanej wolności, którą ofiarowała jej nagła śmierć Brunona. Przeciwnie, konieczność zupełnej zmiany trybu życia wydawała się jej

równie przerażająca, jak wspinaczka na górę, której nie można zdobyć. Wreszcie zaczęła przychodzić do siebie. Pomyślała, że w czasie snu lub umierając mógł się pobrudzić. Chciała więc go umyć, zanim przyjdzie lekarz. Ostrożnie odkryła kołdrę, którą był przykryty po piersi i którą wciąż jeszcze przyciskał do siebie łokciami.

Dopiero teraz odkryła plamę krwi, bezpośrednio nad sercem. Rana nie była duża. Krew, która się z niej wysączyła, już zakrzepła. Z przerażeniem pojęła, że Brunon Hammer wcale nie umarł naturalną śmiercią. Ktoś zamordował go podczas snu.

Nie zastanawiała się zupełnie nad tym, kto mógł być sprawcą. Zaszokowało ją jedynie to, że ktoś zdobył się na czyn tak przerażający.

Kiedy już opanowała przerażenie, rzuciła się do telefonu i zawiadomiła policję. Nigdy potem nie mogła sobie przypomnieć, co dokładnie powiedziała, pamiętała tylko, że wyrażała się w sposób prawie niezrozumiały.

— Brunon Hammer — wyjąkała — mój mąż! Tak, ten fabrykant. Ktoś go zasztyletował. Parkowa dziesięć.

Przybyli bardzo szybko — błyskający niebieskim światłem radiowóz na sygnale i samochód cywilny. Lisa ledwie miała czas poprawić sobie włosy. Zapaliła światło na ganku i czekała na policję w otwartych drzwiach wejściowych.

— Gdzie? — zapytano ją krótko. Wskazała bez słowa na tylną część domu.

Mężczyźni w mundurach i po cywilnemu przebiegli obok niej. Dwóch niosło składane nosze, a jeden sprzęt fotograficzny.

Starszy, lekko łysiejący policjant w okularach z plastikowymi oprawkami zatrzymał się jako jedyny obok niej.

— To pani nas powiadomiła? Lisa skinęła głową.

— Gdzie moglibyśmy spokojnie porozmawiać?

— W bibliotece.

Poszła przodem, przez duży hall rzęsiście teraz oświetlony, kierując się w stronę wąskich, mozaikowych drzwi do biblioteki. Jej łóżko było jeszcze nie pościelone. Z pokoju ogrodowego dochodziło pstrykanie aparatu fotograficznego i raz ponure, innym razem radosne głosy policjantów.

— Nazywam się Ellmann, jestem inspektorem z tutejszego wydziału kryminalnego — przedstawił się lekko łysiejący mężczyzna. — Przejmuję tę sprawę. Może usiądziemy?

Lisa chrząknęła. W rogu biblioteki, obok niskiego, ośmiokątnego stolika z drzewa różanego, stały dwa wygodne skórzane fotele. Lisa wskazała na nie wymownym gestem.

Inspektor Ellmann nosił szary trencz, którego nie zdjął także i teraz, chociaż dom był dobrze ogrzewany. Rozpiął go jedynie. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wydobyl gruby, czarny notes i długopis.

— Mogę sobie wyobrazić, jak bardzo wstrząsnął panią ten śmiertelny wypadek — powiedział. — Mimo to jestem zmuszony zadać pani kilka pytań.

Lisa siedziała na krawędzi fotela, zaciskając dłonie.

— Tak, rozumiem.

— Zmarłym jest więc Brunon Hammer? Ten Brunon Hammer?

— Tak. On jest — poprawiła się — był właścicielem Zakładów Braci Hammer.

— Wiek?

— Siedemdziesiąt pięć lat.

Inspektor Ellmann otworzył swój notes i zapisał tę informację.

— Pani — mówił dalej — jest tutaj pielęgniarką, jak się domyślam?

— Tak, opiekowałam się nim.

— Poproszę o pani nazwisko.

— Lisa Hammer.

— Krewna?

— Byliśmy małżeństwem.

Policjant uniósł mimowolnie jedną z brwi.

— Od kiedy?

— Prawie od dwóch lat.

— Pani wiek?

— Dwadzieścia pięć lat. Zanotował to bez komentarza.

— To pani znalazła denata?

— Tak.

— O której godzinie?

— Musiało być siedem lub osiem minut po czwartej. Zaskoczony Ellmann spojrział na swój zegarek.

— Ale pani wezwanie odebraliśmy dopiero po piątej — spojrział na nią pytająco.

— Tak, wiem.

— Czy byłaby pani tak miła i wyjaśniła mi tę rozbieżność?

— Tak, oczywiście. Było to tak: pięć po czwartej obudziłam się. Pierwsze, co zrobiłam, to spojrzałam na budzik — stąd znam dokładną godzinę.

— Obudziły panią jakieś dźwięki?

— Nie, wręcz przeciwnie. Obudziłam się chyba dlatego, że mój mąż mnie nie wzywał. Zazwyczaj koło trzeciej chciał, żeby mu podać basen.

— Aha.

— Wstałam i przeszłam do pokoju obok. Z początku myślałam, że śpi. Ale potem zauważyłam, że nie oddycha. Stwierdziłam, że nie żyje.

— Kiedy mniej więcej mogło to mieć miejsce?

— Już kilka minut po moim wejściu.

— A co pani robiła potem?

— Ja... — Lisa załamała ręce — opłakiwałam go.

— I nie wpadła pani na pomysł, żeby powiadomić policję?

— Po co miałabym to robić? Myślałam, że umarł w wyniku ustania akcji serca. Przy jego schorzeniu byłoby to czymś zupełnie naturalnym. Jego serce było mocno przeciążone.

— Na co chorował?

— Reumatyzm stawów, w formie prymarno-chronicznej.

— Ale dlaczego nie powiadomiła pani przynajmniej lekarza?

— Dlaczego? Przecież pacjent już nie żył. Nikt nie mógł mu pomóc.

— Mimo to wydaje mi się, że byłaby to chyba najbardziej naturalna reakcja.

— Wyciągać lekarza z łóżka? W środku nocy? Doktor Krantz też nie jest już najmłodszy.

— Chce pani przez to powiedzieć, że motywem pani działania był wzgląd na lekarza?

— To też.

— Jednak w godzinę później zdecydowała się pani mimo to... Lisa postanowiła sobie, że będzie zupełnie spokojna, ale potrzeba obrony była silniejsza. Weszła Ellmannowi w słowo.

— Panie inspektorze!... Policję powiadomiłam natychmiast, jak tylko odkryłam, że mój mąż został zamordowany.

— I było to w godzinę po tym, jak go pani znalazła?

— Tak!

— Jak to się stało?

— Zdjęłam z niego kołdrę, ponieważ chciałam go umyć. Wtedy powyżej serca zobaczyłam krew.

— Aha! — podsumował Ellmann.

— Musi mi pan uwierzyć! Przedtem był przykryty aż dotąd... — ruchem dłoni wskazała szyję. — Jego ręce leżały na kołdrze, po lewej i prawej stronie ciała. Dopiero teraz mogłam zobaczyć ranę.

— Ranę?

— Źle się wyraziłam. To nie tak. Prawdę mówiąc zobaczyłam tylko krew na jego piżamie, a nie miejsce ukłucia.

— Jest pani pewna, że chodzi tu o ranę kłutą?

— O cóż by innego? Wypłynęło bardzo mało krwi, mogę więc nawet powiedzieć, że jeśli chodzi o narzędzie, musiał być to bardzo ostry, naprawdę bardzo ostry przedmiot.

— Drut do robótek ręcznych? Zastanawiała się przez chwilę.

— Nie, drut nie byłby dość ostry. A poza tym trudno byłoby nim manewrować.

— O czym więc pani pomyślała?

— W ogóle o tym nie myślałam. Ustalenie tego jest, jak sędzę, sprawą policji, albo może raczej patologa.

— Czy rana była świeża?

— Jak mogła być świeża, skoro morderstwo musiało zostać popełnione co najmniej godzinę wcześniej? Nie, krew była już zakrzepła.

— I pani naprawdę nie słyszała w domu żadnego podejrzanego dźwięku? Proszę sobie przypomnieć!

— Nie. Było absolutnie cicho.

— Zakładam, że ma pani lekki sen.

— Nie, wcale nie. Sypiam głęboko i mocno, aż do określonej pory, w której pacjent mnie zazwyczaj potrzebuje — poprawiła się — potrzebował.

— To znaczy do kiedy?

— Zwykle wstaję o trzeciej, jak już powiedziałam, ale dzisiaj zasnęłam. A potem o szóstej. Około północy zaglądałam do niego zwykle po raz ostatni.

— Musiała więc pani w nocy wstawać dwukrotnie. Czy nie było to nazbyt uciążliwe?

— Nie aż tak bardzo. Mogłam się położyć koło południa.

— Mimo to uważam, że do tego typu opieki, z dokładnością co do godziny... — przerwał. — Chyba dobrze panią zrozumiałem?

— Tak.

— Mam na myśli... dlaczego musiała pani robić to sama? Pieniądze na zatrudnienie drugiej, albo i trzeciej pielęgniarki powinny się chyba znaleźć.

— Mój mąż nie znosił żadnych obcych ludzi w swoim otoczeniu.

— No dobrze. Zostawmy to. Kto, oprócz pani męża i pani, mieszka jeszcze w tym domu?

— Evelyn, jego córka, ma jeszcze tu swój pokój i Artur, jego syn. Ale oni oboje nie mieszkają w Rodenberg.

— A ponadto?

— Już nikt. Pani Gaertner, Gerda Gaertner, która dba o dom, wychodzi o czwartej po południu. Ostatni posiłek przyrządzam potem sama.

— Co podała pani wczoraj?

— Talerz odłuszczonego bulionu, chleb tostowy z niewielką ilością masła i marmoladą dla diabetyków.

— Czy mam rozumieć, że pani mąż cierpiał również na cukrzycę?

— Nie, to nie to. Ale był na diecie, także po to, by utrzymywać niski poziom cholesterolu we krwi.

— O której godzinie przyjął ten posiłek?

— O dziewiętnastej.

— Potem już nic więcej?

— Wypił lampkę wina. Właściwie nie powinien tego robić, ale, no cóż, trochę radości życia przecież mu się należało.

— Czy to była pani własna decyzja? Mam tu na myśli podawanie pacjentowi alkoholu. Czy lekarz nie miał nic przeciwko temu?

— Doktor Krantz wiedział o tym.

— No cóż, myślę, że na początek to wystarczy.

Inspektor Ellmann zrobił taki ruch, jakby chciał schować swój notatnik i długopis, nie zrobił tego jednak.

— Ile jest kluczy do drzwi wejściowych?

— Pani Gaertner i ja mamy po jednym, pozostałe dwa są u Evelyn i Artura.

— A co z kluczem pani męża?

— To ten sam, którego ja używam.

— Czy często wychodziła pani z domu?

— Nie.

— Więc proszę mi pokazać swój klucz!

— Po co? — spytała zdziwiona.

— No cóż, mógł pani zginąć.

Lisa wyciągnęła spod łóżka dużą torbę z płótna żaglowego, w której przechowywała spodnie i pończochy na zmianę, chusteczki, szczotki,

grzebień i inne tego typu osobiste drobiazgi. W torbie zamykanej na zamek błyskawiczny znalazła pęk kluczy.

— Oto on! — wyjaśniła, kładąc go na stole przed inspektorem Ellmannem. — Ten drugi jest od samochodu.

Urzędnik wydziału kryminalnego zlustrował klucze, nie ruszając się jednak z miejsca.

— Dziękuję, pani Hammer!

Naskrobał coś jeszcze w swoim notesie, a potem wetknął go wraz z długopisem do kieszeni marynarki.

— Bardzo mi pani pomogła.

— Naprawdę? — zapytała sceptycznie.

— Ależ tak. Mogę sobie teraz wyrobić przynajmniej ogólny obraz sytuacji.

Wstał i podszedł do drzwi prowadzących do ogrodu. Tuż przed nimi zatrzymał się i odwrócił.

— Proszę mi powiedzieć, jak często jeździła pani samochodem?

— Od czasu do czasu.

— Przy jakich okazjach?

— Kiedy musiałam jechać do apteki.

— I nigdy więcej?

— Być może zdarzyło mi się to w innych okolicznościach. Teraz jednak nie mogę sobie przypomnieć.

— Dziękuję, pani Hammer.

Lisa czuła się jeszcze oszołomiona; nie wiedziała, co ma robić. Zamknęła drzwi wejściowe. Przypuszczalnie zabrano już zwłoki, ale z sąsiedniego pokoju ciągle dochodziły męskie głosy, nie mogła jednak usłyszeć, o czym rozmawiają.

Zbliżała się szósta, za wcześnie jeszcze, żeby powiadomić Evelyn i Artura. Za godzinę przyjdzie pani Gaertner. Ona chyba pierwsza powinna się o wszystkim dowiedzieć.

Lisa zdecydowała, że pójdzie do kuchni i zaparzy sobie filiżankę kawy. Właśnie wstała, gdy ktoś zapukał do drzwi.

— Proszę! — powiedziała zmęczonym głosem.

Wszedł inspektor Ellmann, a za nim bardzo wysoki, szczupły mężczyzna, którego gładkie, czarne, zaczesane do tyłu włosy odsłaniały pokaźne zakola po obu stronach czoła.

— Prokurator Goldberg — przedstawił go Ellmann. — A to pani Lisa Hammer.

— Najszczerze wyrazy współczucia, łaskawa pani — odezwał się prokurator, mierząc Lise swymi ciemnymi oczami tak uważnie, jakby miał nadzieję dotrzeć w ten sposób do najskrytszych zakamarków jej duszy.

— Dziękuję — odparła szorstko.

— Chłopcy od zabezpieczania śladów już poszli, pani Hammer. Może już pani wyjść.

— Dziękuję — powiedziała znowu i poczuła się jak papuga, ale nie miała zamiaru silić się na elokwentną konwersację.

Mężczyźni cofnęli się. Lisa poszła do kuchni i uruchomiła ekspres do kawy. Kuchnia była mała, ale bardzo nowoczesna, zbudowano ją już po tym, jak Brunona Hammera złożyła choroba, po śmierci jego pierwszej żony i wyprowadzeniu się dzieci. Okno kuchni wychodziło na ulicę.

Podczas gdy gotująca się woda przenikała przez filtr, Lisa mogła obserwować pracowników kryminalistyki i prokuratora, stojących na chodniku po drugiej stronie ogrodu. Chwilę rozmawiali, potem pożegnali się i rozeszli szybkim krokiem prawdopodobnie do swoich samochodów, których zaraz po przybyciu nie mogli zaparkować bezpośrednio przed domem. Radiowóz zdążył już zniknąć.

Gerda Gaertner była grubą kobietą, która mimo swej nadwagi poruszała się jeszcze bardzo żwawo. Jej okrągła, prawie wolna od zmarszczek twarz łądziła wyrazem matczynej troskliwości, której Gerda w istocie nie miała okazji okazywać. Jej mąż umarł, dzieci ją opuściły i mieszkała sama.

„Trzeba znać swoje miejsce, kiedy się człowiek zмага samotnie z życiem, tak jak ja” — było to jedno z jej ulubionych powiedzeń.

Miała pięćdziesiąt dwa lata, swoje przedwcześnie posiwiałe włosy farbowała na jasny blond. U Hammerów pracowała od ponad dziesięciu lat.

— No tak, było do przewidzenia — powiedziała nieporuszona — że on już długo nie pociągnie.

— Jednak to smutne — powiedziała Lisa.

— A dla kogóż to? Wreszcie się pani stąd wydostanie, zyskując przy tym furę pieniędzy. Może nawet i mnie coś zapisał, chociaż nie chce mi się w to wierzyć. W każdym bądź razie taką posadę jak tutaj, to dostanę w każdej chwili. — Zamaszystym ruchem postawiła reklamówkę na stole kuchennym.

— Sprawa nie jest wcale taka prosta. Pan Hammer nie umarł naturalną śmiercią.

— Tylko niech pani nie mówi, że sam się zabił!

— Nie o to chodzi, pani Gaertner. Gospodyni otworzyła szeroko oczy.

— Ktoś go sprzątnął?

— Został zasztyletowany.

— Przez kogo?

— Tego jeszcze nie wiadomo.

— Do jasnej Anielki! Mam nadzieję, że szybko to wykryją, bo jak nie, to możemy mieć jeszcze masę kłopotów.

— Co też pani mówi! Wszystko będzie dobrze, mamy przecież czyste sumienie.

— Ja mam, i to jeszcze jak! Dlaczego miałabym go zabijać? Mnie on nigdy nie dokuczał, mnie nie!

— Mnie też nie, pani Gaertner. Miewał bóle i bywał rozdrażniony. Złościło go to, że był bezsilny. I jestem całkiem pewna, że darzył mnie uczuciem.

— No i miał ku temu wszelkie powody. Co by się z nim stało, gdyby nie pani?

— Będę musiała powiadomić jego dzieci.

— Mam to zrobić za panią? Chętnie panią wyręcę.

— Dziękuję, pani Gaertner, to bardzo miło z pani strony, ale będę się chyba sama musiała tym zająć.

— No i co teraz będzie z domem, sioostro... przepraszam... pani Hammer? Pozbędzie się go pani?

— Nie mam pojęcia.

— Pani nie będzie chciała tu zostać. A ta Evelyn, już zupełnie nie. Co się zaś tyczy tego młodego Artura, to...

— Nie potrzebujemy na razie nad tym deliberować — przerwała jej Lisa.

— Ale ja muszę przecież wiedzieć...

— To oczywiste. Ale tymczasem nie pozostaje pani nic innego, jak tylko czekać na to, co zadecydują Evelyn i Artur.

— Przy Arturze nie zostanę za żadną cenę. To miły chłopak, ale taki lekkoduch. A co się tyczy Evelyn, to ona jest jeszcze gorsza niż nasz stary pan.

Lisa wzruszyła ramionami.

— Proszę pozwolić sprawom dojrzeć, pani Gaertner! Jak pani już powiedziała, ja tutaj z pewnością nie zostanę. Cóż miałabym tu do roboty?

— Kiedy odbędzie się otwarcie testamentu?

— Po pogrzebie, jak sądzę.

— Nie jest pani ciekawa?

— Nie, pani Gaertner. Ale muszę pania teraz przeprosić. Idę zadzwonić do tych dwojga.

* * *

Pół godziny później gospodyni wsunęła głowę do pokoju, w którym dawniej leżał chory.

— Policja! — zawołała.

Lisa była właśnie zajęta sprząaniem mężowskiego łóżka.

— Znowu? — spytała raczej rozdrażniona niż przestraszona.

— Dwóch ludzi — meldowała pani Gaertner. — Mają nakaz rewizji.

— No to proszę pozwolić im szukać!

— Mam z nimi zostać?

— Nie mam pojęcia, czy to jest konieczne. Proszę ich o to zapytać.

— Już się robi!

Pani Gaertner zniknęła za drzwiami.

Lisa słyszała przez na wpół otwarte drzwi do hallu, jak rozmawia z owymi mężczyznami, ale nie zwracała uwagi na treść tej rozmowy.

Na bocznym stoliku stały jeszcze lekarstwa, które pacjent zażywał. Lisa umieściła je w jednej z szuflad. Zastanawiała się, czy z pomocą pani Gaertner nie dałoby się wynieść na poddasze tego łóżka, które stało w tak dużym i ładnym pokoju. Zdecydowała jednak, że zostanie tutaj. W oczach Evelyn mogłoby to uchodzić za chęć panoszenia się w tym domu.

Ciężkie kroki policjantów i ich trzaskanie drzwiami działały jej już na nerwy.

Pani Gaertner zawołała ją na śniadanie w małym saloniku, gdzie na białym obrusie postawiła talerz z jajecznicą na boczku. Lisa przyglądała się tej tłustej, żółtej masie z lekkim obrzydzeniem.

— Proszę jeść! — nalegała gospodyni.

— Nie mogę.

— Tak się tylko pani wydaje. Musi mieć pani przecież coś w żołądku, kiedy wezmą panią na spytki.

— Już byłam przesłuchiwana.

— Chyba nie myśli pani, że na tym poprzestaną? To dopiero początek!

— Nie taki diabeł straszny, jak go malują! — Lisa przełknęła łyk kawy, sięgnęła po jedną ze świeżych bułeczek i rozłamała ją. — Wiem, że miała pani dobre chęci, pani Gaertner. Ale proszę zabrać tę jajecznicę!

— Mam ją teraz wyrzucić do kosza? O, nie! Już lepiej sama ją zjem.

— Pani Gaertner przysiadła się do niej, a dopiero potem zapytała:

— Chyba mogę?

Lisa wręczyła jej bez słowa widelec. Nigdy nie potrafiła grać roli pani domu dbającej o zachowanie dystansu. Dlaczego miałyby próbować tego właśnie teraz, skoro wszystko wkrótce miało się skończyć? Gospodyni z wielkim apetytem zabrała się od razu do jedzenia.

— Nie wie pani, czego mogą szukać? — zapytała z pełnymi ustami.

— Nie mam pojęcia.

— Oczywiście narzędzia zbrodni.

— Czy pani im to zasugerowała?

— To nie było wcale konieczne. To się rozumie przecież samo przez się.

— Nie jestem wcale tego pewna. Dlaczego sprawca miałby je tu zostawić? Byłoby prościej, gdyby je zabrał ze sobą, a dopiero potem gdzieś ukrył.

— Jasne, że byłoby to pewniejsze. Ale czy prostsze? To zależy, jak długi był ten przedmiot, zresztą pewnie ociekał krwią — pani Gaertner wzdrygnęła się teatralnie. — Brrr! Nie mogę nawet o tym myśleć!

— Najważniejsze, że mimo to ma pani apetyt.

— Nie musi być pani taka sarkastyczna, siostró Liso!

— Pani Hammer! — poprawiła Lisa spokojnie.

— Mnie tam wszystko jedno. Ale to przecież prawda: nie każdy ma takie stalowe nerwy jak pani. Zawsze to pani mówiłam.

* * *

Nieco później, gdy Lisa zajęta była sprzątaniami biblioteki; usłyszała pukanie. Uniosła głowę, ale nic nie powiedziała. Przymknięte od strony hallu drzwi otworzyły się na oścież i jeden za drugim weszło dwóch młodych policjantów po cywilnemu.

— Przykro nam, że musimy pani przeszkodzić — powiedział jeden z nich.

— Mam nadzieję, że nie zrobili panowie zbyt dużego bałaganu! — odpowiedziała Lisa, wskazując na sąsiedni pokój.

— Wszystko — w miarę możliwości — odstawialiśmy na swoje miejsce.

— Czy panowie już skończyli?

— Pozostał jeszcze tylko ten pokój.

— Tutaj na pewno nic panowie nie znajdą. To moja sypialnia.

— Tak, wiemy o tym — powiedział znowu jeden z nich, krępy mężczyzna o kręconych blond włosach, który najwyraźniej pełnił funkcję rzecznika.

— Czy zajęli się już panowie piwnicą? — spytała Lisa. — Jest jeszcze duża kuchnia w suterenie.

— Przejrzeliśmy już wszystko oprócz kubłów na śmieci. Zostawiliśmy je na koniec.

— A co z ogrodem?

— Jest za duży dla nas dwóch. Musimy ściągnąć posiłki.

— Proszę więc to zrobić!

— Przepraszamy, ale najpierw ten pokój.

— Ale to niemożliwe, żeby sprawca ukrył narzędzie zbrodni właśnie tutaj!

— Dlaczego pani sądzi, że chodzi nam o narzędzie zbrodni?

— Więc czego panowie szukacie?

— Wszystkiego, pani Hammer. Pani jest przecież panią Hammer, prawda?

— Tak.

— Ja nazywam się Helmcke, starszy sierżant Helmcke, a to mój kolega Meierlein.

— Nie mogę powiedzieć, żeby panów towarzystwo sprawiało mi przyjemność.

— Wcale tego nie oczekujemy, pani Hammer, wystarczy, żeby nam pani nie przeszkadzała w wykonywaniu służbowych obowiązków.

— Nie pojmuję, w czym może pomóc ta rewizja.

— Proszę to zostawić nam. — Helmcke wskazał na worek z płótna żaglowego pod łóżkiem. — Czy to pani torba?

— Tak.

— Czy mogłaby ją pani otworzyć? Lisa ani myślała się schylać.

— Proszę się nie krępować! — powiedziała ostro.

Meierlein wyjął torbę spod łóżka i rozsunał zamek błyskawiczny. Helmcke powoli zaczął wyciągać z niej wszystkie rzeczy po kolei, układając je obok siebie na ośmiokątnym stoliku.

— Wygląda to tak, jakby chciała pani dać nogę — powiedział.

— Nic podobnego.

— Po co więc ten cały kram?

— Jeśli się panowie zechcecie łaskawie rozejrzeć stwierdzicie, że nie ma tu ani żadnej szafy, ani żadnej komody, w których mogłabym przechowywać swoje rzeczy.

— Utrzymuje więc pani, że żyła pani — że się tak wyrażę — na walizkach?

— Tak.

— A co z pani sukienkami i innymi drobiazgami tego typu?

— Nie mogliście ich przecież nie zauważyć. Wiszą u góry w sypialni.

— Ach tak.

Lisa czując, że mężczyzna wciąż ma kłopoty z poskładaniem tego wszystkiego w sensowną całość, dodała niechętnie:

— Zazwyczaj właśnie tam się przebierałam i korzystałam z przyległej łazienki. Ale często nie miałam czasu wchodzić na górę i na taką ewentualność trzymałam w tej torbie najbardziej potrzebne rzeczy.

— Teoretycznie mieszkała więc pani u góry, a praktycznie na dole?

— Bardzo ładnie pan to ujął.

— Ale tutaj nie ma pani nawet radia, nie wspominając już o telewizorze.

— Nie wiedział pan o tym, że są ludzie, którzy mogą się bez tego obejść?

— Jak dotąd, szczerze mówiąc, nikogo takiego nie spotkałem. Lisa uznała, że mądrzej będzie nieco się pohamować. Zrozumiała, że była zbyt wyzywająca.

— Gdybym chciała posłuchać muzyki, albo pooglądać telewizję, robiłabym to razem ze swym mężem. W pokoju ogrodowym jest jeszcze gramofon i odtwarzacz video. Rozrywki mi więc nie brakowało.

— Ale musiała pani zawsze kierować się życzeniami swego męża.

— Taka już dola większości żon.

Meierlein tymczasem miarowo opróżniał regały z książek. Brał do ręki każdą z nich z osobna i kartkował, zanim położył na stole. Lisa sięgnęła po pościel, którą uformowała w mały kopczyk i skierowała się ku drzwiom.

— Proszę to tam zostawić! — powiedział Helmcke.

Z niedowierzaniem spoglądała to na młodego policjanta, to na pościel. W końcu ją odłożyła.

— Mogę coś jeszcze dla panów zrobić?

— Tak, pani Hammer. Proszę przynieść nam drabinę albo przysłać z nią swoją gosposię! — Meierlein zaglądał teraz na górne półki regałów z książkami.

Lisie przyszło na myśl, że przeszukiwanie tych półek jest kompletnie bezcelowe. Gdyby ktoś chciał ukryć tam jakiś przedmiot, nie mógłby nawet za pomocą krzesła dosięgnąć górnych rzędów. Z trudem zdusiła w sobie tę uwagę, zamiast tego odezwała się tak uprzejmie, jak tylko było ją na to stać:

— Zaraz to zrobię, panie starszy sierżancie.

Potem wyszła. Powiedziała sobie, że nie ma najmniejszego sensu kłócić się z tymi ludźmi. Wcześniej czy później cały ten koszmar minie.

* * *

Jeszcze tego samego wieczora Evelyn przyjechała z Monachium, gdzie od kilku lat studiowała historię sztuki i archeologię. Zajechała kabrioletem i trzy razy zatrąbiła. Lisa otworzyła jej od wewnątrz drzwi do garażu. Miała na sobie czarną, wełnianą sukienkę, którą zdążyła już tymczasem kupić.

— Ho, ho! Nasza wdowa w żałobie! — wykrzyknęła na powitanie Evelyn.

— Ty też będziesz musiała kupić sobie coś czarnego.

Evelyn wysiadła. Jak zawsze wyglądała kwitnąco: cera — krew z mlekiem, promienne spojrzenie błękitnych oczu i dopełniające całości blond włosy o popielatym odcieniu. Jako pierwszej w klasie urosły jej piersi. Stały się obiektem pragnień wszystkich chłopaków. Tymczasem, jak na gust Lisy, stały się one nieco zbyt bujne, ale bez wątpienia mężczyźni ciągle jeszcze nie mogli się im oprzeć.

— Pomyślałam, że wystarczy mi szary kostium — powiedziała, poprawiając żakiet.

— Nie tutaj, w tej mieścinie! — odparła Lisa. — W czarnym będzie ci nadzwyczaj do twarzy.

— No dobrze, jeżeli tak już musi być! Jutro czegoś poszukam — powiedziała otwierając bagażnik.

Lisa stała obok, gotowa jej pomóc, zauważyła jednak, że Evelyn ma przy sobie tylko podręczny bagaż.

— To chyba nie potrwa dłużej niż trzy dni, co? — zapytała.

— To zależy, kiedy ciało Brunona zostanie wydane do pochówku.

— Myślisz, że będą go kroili?

— Na pewno.

— Że też taki go spotkał koniec! Prawdę powiedziawszy, nie mieści mi się to w głowie. Przyznaję, że sama nieraz miałam ochotę go zabić. Ale żeby ktoś w nocy zakradł się do domu i tak po prostu go sprzątnął, to zupełnie co innego. Czy policja już kogoś podejrzewa?

— Mam wrażenie, że mnie. Evelyn roześmiała się na całe gardło.

— To po prostu śmieszne! Jesteś jedynym człowiekiem, któremu na nim zależało. Gdyby tak nie było, czy mogłabyś tyle czasu to wszystko znosić?

Obie kobiety weszły tymczasem do domu i przystały naprzeciw siebie w wyłożonym boazerią hallu.

— Jestem pewna — wyjaśniła Lisa — że w końcu sami do tego dojdą. Skoro zaś nic nie zrobiłam, nic nie może mi się stać.

Evelyn zmarszczyła swe gładkie, pięknie sklepione czoło, lecz gdy tylko uświadomiła to sobie, zaraz je wygładziła.

— Może jednak powinnaś wziąć sobie adwokata?

— Też coś! Nie mam zamiaru wyrzucać pieniędzy w błoto.

— Zakładam, że odziedziczysz fortunę.

— W każdym razie obiecał mi to...

— Ale?

— Dwa tygodnie temu wezwał notariusza. Mieliśmy przedtem jedną z tych scen... no, wiesz przecież, jaki potrafił być nierozsądny, kiedy się źle czuł.

— Albo kiedy wyjątkowo czuł się trochę lepiej. O, tak! Ale nie mógł cię przecież wykreślić z testamentu. W końcu byliście małżeństwem.

— Na papierze. Znasz go. W sprawach prawnych był nadzwyczaj biegły.

— Tak, po to tylko, żeby nie dać się przyłapać na jakimś kiepskim matactwie w interesach.

Lisa uznała, że najlepiej będzie, jeśli na tym zakończą rozmowę.

— Nie chciałabyś się teraz trochę odświeżyć? Ja tymczasem zajmę się kolacją.

— Tak, włożę coś wygodnego. Zdarza się nam przecież gadać nawet i pół nocy.

Wprawdzie obie kobiety nigdy nie były przyjaciółkami — już sama zamożność Evelyn i proste pochodzenie Lisy stanowiły wystarczającą przeszkodę — chodziły jednak przez wiele lat do tej samej klasy i miały wspólnych znajomych. Tak więc tematów do rozmowy miały dosyć. Lisa chciała wiedzieć, jak się żyje Evelyn w dużym mieście, wysłuchała opowieści o jej nowej miłości — bogatym, przystojnym facecie, eks-biznesmenie, którego jedyną wadą było to, że ma żonę. Z czasem jednak rozmowa znów zeszła na temat śmierci Brunona i policyjnego dochodzenia. Ta sprawa tak fascynowała Evelyn, że zupełnie nie zważała na to, jak niechętnie Lisa o niej mówi.

Siedziały tak w salonie przy butelce wina aż do późnego wieczora. Po kilku godzinach Lisa uznała, że czas już zakończyć tę rozmowę.

— Wybacz mi, Evelyn — powiedziała i ziewnęła serdecznie — to był dla mnie długi dzień. Jestem wykończona.

— Biedaczko! Zupełnie o tym nie pomyślałam. Lisa wstała.

— Gdybyś chciała się jeszcze czegoś napić, znajdziesz wszystko tam, gdzie zwykle — powiedziała sennie.

— Nie, dziękuję. Idę na górę. Choć zupełnie nie mam pojęcia, jak mi się uda zasnąć w tym domu.

Lisa postawiła na tacy pustą butelkę, kieliszki i półmiski z pieczywem.

— Mogę ci dać tabletkę.

— To już lepiej zabiorę ze sobą na górę butelkę whisky.

— Jeśli uważasz, że ci pomoże? — Lisa zaniósła tacę do kuchni. Evelyn poszła za nią.

— Nie boisz się?

— Czego?

— No, wiesz? Ubiegłej nocy po domu grasował morderca. Czy to nie robi na tobie wrażenia? Ten ktoś może wejść tu w każdej chwili, nie pomyślałaś o tym?

— Drugi raz już tu nie przyjdzie.

— Skąd możesz być tego taka pewna?

— Zrobił już wszystko, co chciał zrobić.

— Nie wierzysz w to, że morderca wraca na miejsce zbrodni?

— Nie wiem, może to i prawda. Ale musiałyby być nieźle szurnięty, gdyby znów się tu pojawił.

— Ty to masz nerwy!

— Tak, mam nerwy jak postronki. Zdaje się, że ktoś mi to już dzisiaj mówił.

Następnego dnia Lisa i Evelyn zasiadły właśnie do obiadu w tak zwanym małym saloniku, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi, a po chwili pojawił się Artur.

— Cześć, to ja! — powiedział na powitanie.

Był to młody, szczupły mężczyzna w wieku dwudziestu dwóch lat, o drobnej, ładnie zarysowanej twarzy i bujnych blond włosach, które podobnie jak u jego siostry miały rzucający się w oczy popielaty odcień. Lecz jego oczy nie były ani błękitne, ani promienne, tylko szare i mętne. Ubierał się z pewnego rodzaju niedbałą elegancją.

— Dlaczego przyjechałeś dopiero teraz? — spytała Evelyn.

— Czekaliśmy na ciebie wczoraj.

— Wóz mi się zepsuł. Musiałem przyjechać pociągiem.

— Najważniejsze, że już jesteś! — powiedziała Lisa i uśmiechnęła się do niego; zawsze lubiła tego nieco nieśmiałego chłopca. — Przepraszam na chwilę. Zapytam panią Gaertner, czy znajdzie się coś do jedzenia.

— Dziękuję. To niepotrzebne. Zjadłem na dworcu dwie kiełbaski. Już to mówiłem Gaertnerowej.

— To przysiadź się do nas! — Lisa usiadła z powrotem i zabrała się do jedzenia. Na obiad były kotlety jagnięce i sałatka z ogórków.

— Znowu miałeś wypadek? — dopytywała się Evelyn.

— Och, nie aż tak. Wyjeżdżając z garażu podziemnego porysowałem sobie prawy błotnik.

— Co więc cię powstrzymało od przyjazdu samochodem?

— Oddałem go do warsztatu zanim Lisa do mnie zadzwoniła.

— Obrócił ku sobie jedno z obitych prążkowanym jedwabiem krzesel i usiadł na nim w pozycji jeździeckiej. Na jego twarzy pojawił się ponury grymas. — Ale o co ci chodzi? Czy to ma być przesłuchanie?!

— Coś w rodzaju próby generalnej. Możesz być pewny, że będziesz przesłuchiwany.

— Przecież to obłąd! Tylko zupełny dureń mógłby zakładać, że przyjechałem tu specjalnie ze Stuttgartu, żeby wślizgnąć się do domu i zabić ojca!

— Skąd ta pewność, że między gliniarzami nie ma durniów?

— Też prawda — przyznał potulnie.

— A przy okazji: dlaczego dzwoniłeś do drzwi? Masz przecież własny klucz? — spytała dociekliwie Evelyn.

— Kotlet ci wystygnie! — upomniała ją Lisa. — Będziecie mogli omówić to sobie później.

Evelyn odkroiła niewielki kawałek i skosztowała.

— Smakuje naprawdę nieźle. Gotować to ona potrafi, ta Gaertnerowa.

— Cieszę się, że apetyt ci dopisuje — zauważył Artur nie bez uszczypliwości.

— A dlaczego nie? Chyba nie oczekujesz ode mnie, że będę odgrywała pogrążoną w rozpacz żałobnicę?

— Zawsze to lepsze niż rola sędziego śledczego. Nie przerywając jedzenia Evelyn kontynuowała:

— No więc, co z twoim kluczem?

— Myślałem, że mam go przy sobie — zaczął obmacywać swoje kieszenie. — Ale okazało się, że nie mogę go znaleźć.

— Wiesz chyba jednak, gdzie go wetknąłeś, prawda?

— Nie. Nie wiem. W przeciwieństwie do ciebie cała ta historia podziałała na mnie rozstrajająco.

— Zastanów się! Nastąpiła długa przerwa.

— Kiedy byłeś tu ostatnio na taty imieninach, miałeś go jeszcze — próbowała pomóc Arturowi Lisa.

— Tak, to prawda. Ale od tamtego czasu już go nie widziałem.

— Z nieszczęśliwym wyrazem twarzy dodał: — Byłoby chyba źle, gdybym go zgubił?

— A nie nosisz go czasem ze swoimi kluczami?

— Nie. Rzadko z niego korzystam. Po co miałem więc targać go cały czas ze sobą.

— Żeby go nie zgubić, na przykład.

— Och, przecież każdemu może się to zdarzyć!

— Gdzie go trzymałeś w Stuttgarcie?

— W biurku. W pierwszej od góry szufladzie. — Klepnął się dłonią w czoło. — Teraz sobie przypominam! Chciałem go dzisiaj rano zabrać ze sobą, ale nie było go tam. Nie chciało mi się go szukać. Kiedy tu potem jechałem, więcej o tym nie myślałem.

— Bo byłeś taki rozstrojony, dobrze mówię? — spytała Evelyn drwiąco.

Artur zerwał się z krzesła.

— Tak, i jeszcze raz tak! Nasz ojciec został zamordowany w swoim własnym domu. Dla ciebie nie jest to powód do wzburzenia, ale dla mnie tak! Czuję się koszmarnie.

— Nie wrzeszcz tak na mnie, mały! Masz wielkie powody, żeby być mi wdzięczny — Evelyn chrupała spokojnie sałatę.

— A to dlaczego, jeśli wolno spytać?

— Ponieważ właśnie udało nam się wypracować wiarygodną wersję sprawy zgubionego klucza. Kiedy rano sięgnąłeś do szuflady, już go tam nie było. Na twoim miejscu wszystko inne bym przed policją pominęła.

— A dlaczego?

— Ponieważ dzięki temu masz alibi, Arturze — wyjaśniła Lisa.

— Jeżeli nie miałeś klucza, to nie mogłeś wejść niepostrzeżenie do domu.

— Psiakrew! — Artur wymierzył krzesłu, na którym przedtem siedział, solidnego kopniaka. — Chyba zbikowałyście!

— Ale mogłeś go też zgubić albo wyrzucić dopiero później — podsumowała Evelyn spokojnie. Artur ruszył do drzwi.

— Byłaś dla niego zbyt ostra — stwierdziła Lisa.

— Dla jego własnego dobra. Jest takim bałaganiarzem.

— Gdyby opowiadał policji takie głupstwa, nikomu nie przyszłoby do głowy podejrzenie go o cokolwiek.

— Skąd ta pewność? Przecież wiesz, że ojciec zawsze go krótko trzymał i od niepamiętnych czasów ochrzanianie Artura należało do jego ulubionych rozrywek.

— Nigdy tak nie uważałam. Troszczył się o swojego syna i chciał zrobić z niego porządnego człowieka. Sprawiałoby mu dużo większą radość, gdyby mógł go raczej chwalić, niż „ochrzaniać”, jak ty to nazwałaś.

— Wątpię, czy Artur tak to odbierał.

— W każdym razie zawsze czuł respekt przed ojcem.

— Respekt! — Evelyn zaśmiała się. — Chciałaś chyba powiedzieć, że był lizusem!

— Na swój sposób troszczył się o ojca. Kiedy przyjeżdżał do domu, grał z nim godzinami w szachy.

— Żeby dać mu wygrać.

— To wcale nie było konieczne! Wiesz doskonale, że wasz ojciec przewyższał go o niebo i to nie tylko w szachach.

— Starasz się to tak przedstawić, jakby istotnie był to miły synowsko-ojcowski układ.

— Przy tak wybitnym ojcu, który pokłada w swoim jedynym synu stosunkowo duże nadzieje, chcąc nie chcąc musi dojść do napięć. Nie widzę w tym nic niezwykłego. Ale Bruno go przecież kochał i jestem pewna, że Artur zdawał sobie z tego sprawę.

— To dziwne! — zaśmiała się Evelyn. — Nigdy nie sądziłam, że masz taką romantyczną duszę.

— Wcale nie. Wiem dobrze, o czym mówię, często obserwowałam obydwu, gdy byli razem, podczas gdy ty pojawiałaś się w domu od wielkiego święta.

Evelyn zamilkła. Po chwili mruknęła:

— Chcesz mi z tego zrobić zarzut?

— Twojemu ojcu było bardzo przykro.

— Najchętniej zmusiłby mnie do opieki nad sobą.

— Całkiem możliwe. Zresztą korona by ci z głowy nie spadła, gdybyś mnie od czasu do czasu wyręczyła, przynajmniej w okresie wakacji.

— Powinnaś mi być wdzięczna, że tego nie robiłam, dzięki temu mogłaś grać rolę dobrej samarytanki.

— Dlaczego nie przyjechałaś przynajmniej w sierpniu, na jego urodziny? Tylko mi nie mów, że byłaś wtedy w Stanach. Przy odrobinie dobrej woli mogłaś inaczej zaplanować termin wyjazdu.

— Miałam tu przyjechać tylko po to, żeby mógł mnie musztrować? Lisa stłumiła westchnienie.

— To zresztą nieważne — powiedziała. — Było, minęło.

— I dzięki Bogu!

— Na wszelki wypadek powinnaś skłonić Artura, żeby założył coś ciemnego. Najlepiej pojedźcie na zakupy do Traunstein. Ja też tak zrobiłam. Chyba, że wolicie być obiektem powszechnych komentarzy.

— O tym zupełnie nie pomyślałam — Evelyn wstała. — Dziękuję ci za ostrzeżenie. Rany boskie, jak ja nienawidzę tego drobnomieszczańskiego życia.

* * *

Evelyn i Artur nie pojechali jednak tego dnia po żałobne stroje. Pani Gaertner nie zdążyła jeszcze posprzątać ze stołu, gdy zjawił się inspektor Ellmann w towarzystwie młodego asystenta. Obaj zachowywali się bardzo grzecznie i uprzejmie. Lisa oddała im do dyspozycji bibliotekę, która została już gruntownie wysprzątana. Łóżko wynieśli na strych, a na jego miejscu postawiono stare, ciężkie biurko, przy którym Brunon miał zwyczaj pracować. Z tyłu stał jego fotel z wysokim oparciem. W nim właśnie rozsiadł się Ellmann. Jego asystent przysiadł na krześle obok. Jeden z dwóch skórzanych foteli, stojących koło ośmiokątnego stołu, został ustawiony na wprost biurka, z przeznaczeniem dla świadków.

Wchodzili kolejno, jeden po drugim. Najpierw przesłuchano Evelyn, która opuszczała pomieszczenie z tą samą promienną pewnością siebie, z jaką tam wchodziła. Przesłuchanie Artura trwało dłużej i wyszedł z niego ponury i zmieszany, nie będąc w stanie zamienić słowa z pozostałymi. Poszedł natychmiast do swojego pokoju i zamknął się w nim. Pani Gaertner natomiast tryskała po wyjściu humorem. Całkiem otwarcie i bez żenady rozkoszowała się faktem, że w jej najbliższym otoczeniu wydarzyło się takie morderstwo.

Dla Lisy jednak przesłuchanie było męczarnią — próbowała je utrudniać sądząc, że w ten sposób je skróci.

— Nie wiem, czego jeszcze ode mnie chcecie! — zaczęła, siadając na krześle i kurczowo zaciskając kolana. — Powiedziałam panom wszystko, co wiem.

— Może przypomniała sobie pani to czy owo?

— Niestety, nie.

— W takim razie byłbym wdzięczny, gdyby zechciała pani potwierdzić swoje pierwsze zeznanie. Tym razem mój asystent będzie stenografował. Sporządzimy właściwy protokół, który zechce pani podpisać. Pozostali zresztą także. — Inspektor Ellmann podsunął jej otwartą paczkę papierosów.

— Dziękuję, nie palę — powiedziała sztywno.

— Mam nadzieję, że nie będzie pani przeszkadzać, jeśli ja sobie zapalę?

— Nic by to chyba nie dało, gdybym się sprzeciwiła. Ellmann, który zdążył już wyjąć papierosa, odłożył teraz i paczkę, i papierosa.

— To pani dom.

— Jeśli o mnie chodzi, proszę palić, skoro nie potrafi pan się powstrzymać!

— Nie jestem niewolnikiem nałogu.

— Wierzę panu. Proszę puścić w niepamięć moją głupią uwagę. Zwykle tak się nie zachowuję.

Ellmann zapalił z ulgą, jak się Lisie wydawało.

— Ale teraz zachowuje się pani właśnie tak... — powiedział zaczepnie.

— Jestem zaszokowana, wzburzona, rozdrażniona.

— Bądź co bądź upłynęła już ponad doba, od chwili gdy znalazła pani zmarłego.

— I sądzi pan, że to powinno było wystarczyć, żebym pogodziła się z myślą o tym morderstwie? To był jednak mój mąż.

— To mi nasuwa takie pytanie... — Ellmann zdjął okulary i zaczął czyścić szklą papierową chusteczką. — ... czy rzeczywiście odbywaliście stosunki seksualne?

— Czy muszę odpowiadać?

— Dlaczego nie?

— Ponieważ to nie ma nic do rzeczy.

Bez okularów, z trochę rozmytym, jasnym spojrzeniem krótkowidza, Ellmann wyglądał zupełnie nieszkodliwie. Lecz jego głos brzmiał bardzo energicznie, kiedy wyjaśniał:

— Ocenę proszę pozostawić mnie.

— Mimo to nie chciałabym odpowiadać.

— Boi się pani kompromitacji?

— Skądże znowu? Uważam jedynie, że obcych nie powinno to wcale obchodzić.

— Jednak przyznaje pani, że Bruno Hammer był już chory, kiedy powiedziała pani sakramentalne „Tak”?

— To prawda.

— Tak chory, że nie mógł nawet pojechać do urzędu stanu cywilnego i ceremonia ślubna musiała odbyć się tutaj, w domu.

— Jeżeli pan o tym wie, to po co pan pyta?

Nadinspektor wydziału kryminalnego znów założył okulary, starannie złożył papierową chusteczkę i schował ją do kieszeni. Przesłuchanie trwało nadal. Pytania były niemal identyczne jak te zadawane w noc morderstwa i Lisa odpowiadała na nie z niecierpliwością i rozdrażnieniem, ale bez głośnego sprzeciwu. Szczególne zainteresowanie policjanta wzbudzał fakt, że Lisa powiadomiła policję dopiero w godzinę po odkryciu zwłok. Starła się więc jeszcze raz wyjaśnić mu powody. Dla inspektora Ellmanna były one jednak niewystarczające.

— Przykro mi, pani Hammer, ale nie mogę tego pojąć. Jest dla mnie jasne jak słońce, że jeśli ktoś znajduje domniemanego denata, szuka najpierw objawów ataku serca. Jako pielęgniarka musiała pani to wiedzieć.

— Nie zrobiłam tego! Dla mnie pacjent nie był domniemanym, lecz ewidentnym denatem.

— Mimo wszystko należy to chyba do czynności rutynowych... — Ellmann zaciągnął się po raz ostatni papierosem, którego zdusił na małej podstawce, wypuszczając jednocześnie kłęb dymu.

Lisa pospiesznie wpadła mu w słowo:

— Niech pan będzie szczery! Czy kiedy wzywają pana na miejsce zabójstwa, zadaje pan sobie trud, żeby osłuchać serce? Założę się, że nie. Jest dla pana jasne, że ma pan przed sobą zmarłego.

Ellmann westchnął.

— No dobrze, zostawmy to tymczasem w spokoju.

— Dlaczego przywiązuje pan do tego taką wagę? Pewnie wyobraża pan sobie, że mógłby pan schwytać sprawcę, gdybym to morderstwo odkryła od razu.

— To ja tu jestem od zadawania pytań, pani Hammer.

— Już dawno powiedziałam wszystko, co wiem.

— Więc może spróbujemy inaczej: czy pani mąż miał wrogów? Lisa zastanawiała się przez chwilę.

— Myślę, że tak. Kiedy przed trzydziestu laty Brunon i jego brat, Albert, przejmowali firmę, była prawie zupełnie w ruinie. Postawili ją znowu na

nogi i mąż był z tego niezwykle dumny. Musiał z pewnością walczyć bardzo zawzięcie o jej istnienie, a przez to narobił sobie wrogów. — Lisa przechyliła się do tyłu, opierając się nieco swobodniej. — Mimo wszystko trudno mi sobie wyobrazić, żeby jakiś konkurent, którego Brunon przyparł kiedyś do muru, mścił się teraz w taki sposób.

— Albert Hammer już nie żyje, czy tak?

— Zgadza się. Był kawalerem i jego udział w firmie przypadł mojemu mężowi.

— Jaki był Brunon Hammer jako pracodawca? Mam na myśli, jaki był w fabryce? Czy mógł dokonać niesprawiedliwych zwolnień?

— Chodzi panu pewnie o środki, które bezpośrednio zainteresowani uważali za niesprawiedliwe? — Lisa zrobiła krótką pauzę. — Tak, to całkiem prawdopodobne. Jak i to, że ktoś mógł czuć do niego nienawiść. Ale to wszystko już dawno przecież minęło. Od ponad pięciu lat nie był już w stanie pojawiać się w firmie. Najpierw zrezygnował z codziennej obecności w przedsiębiorstwie, potem chodził tam coraz rzadziej, aż w końcu zupełnie zaprzestał tych wizyt.

— Przeżywała to pani razem z nim?

— Nie. Wtedy jeszcze uczyłam się. Ale wspominał o tym. Cierpiał bardzo, że postępująca choroba uniemożliwia mu wykonywanie coraz większej liczby czynności.

— Czy utrzymywał z kimś prywatne stosunki?

— Od kiedy ja tu jestem — nie.

— Czy to pani je zerwała?

— Najwyraźniej źle się wyraziłam. Kiedy tu przyszłam — wówczas jako jedna z trzech pielęgniarek — nie odpowiadał już na żadne telefony i nie przyjmował gości. Niewiele było zresztą osób, które próbowały utrzymywać z nim kontakty.

— Na przykład kto?

— Przyjaciele. Poza tym pewna kobieta...

— Nazwiska.

— Nie pamiętam. Może jego dzieci będą wiedziały. Był między innymi aptekarz Holbaum. Dzwonił zresztą aż do ostatniego dnia i dowiadywał się o jego zdrowie, kiedy przez dłuższy czas nie pojawiałam się w aptece.

— Był więc przyjacielem męża?

— Miałam takie wrażenie. O ile wiem, należeli z Brunonem do tego samego kółka skatowego. Pan Holbaum będzie mógł panom z pewnością

powiedzieć, kim był trzeci członek ich klubu. Choć z drugiej strony nie wiem, do czego mogłoby to panów doprowadzić.

— Kobieta, o której pani mówiła — czy była zawiedziona, że ją porzucił?

— Zawiedziona? Całkiem możliwe. Bruno nie zrobił jednak nic, żeby ją zranić. Zmusiła go do tego choroba.

— Ale mogła się chyba spodziewać jakiegoś zadośćuczynienia z jego strony?

Nic o tym nie wiem. Nie mam nawet pojęcia o rodzaju ich wzajemnych stosunków — czy chodziło o związek, czy o przyjaźń, czy też może mieli nawet plany małżeńskie.

— Pani odpowiedzi nie są zbyt wyczerpujące.

— Jak mogłyby być? Żyliśmy przecież oddaleni od siebie. Oprócz swoich dzieci i czasami pani Gaertner Bruno nie widywał prawie nikogo.

— A pani?

— Czasami, w niedziele koło południa, gdy mąż spał, odwiedzała mnie matka.

— Żyła więc pani nieomal jak więźniarka. Jak pani mogła to znosić?

— Nigdy nie byłam więźniarką, czy kimś w tym rodzaju! — Lisa ponownie się wyprostowała. — Wyszłam za mojego męża dobrowolnie i z własnej woli się nim opiekowałam. Moje życie miało sens. Potrzebował mnie i potrafił docenić moją troskę i moją przy nim obecność.

— Inne kobiety w pani wieku chodzą potańczyć na prywatkach, jeżdżą po świecie, niańczą małe dzieci...

— Mogę panu powiedzieć tylko to, że zdecydowałam się na inne życie, kiedy zostałam pielęgniarką.

— Ale życie normalnych pielęgniarek nie zawsze przecież tak wygląda. Mają czas wolny...

— I ja miałam wolne chwile. Tyle że spędzałam je razem ze swoim mężem.

— Czy pani nie chce zrozumieć, do czego zmierzam?

— Dlaczego mi pan tego po prostu nie powie?

— Jak często życzyła pani śmierci swojemu mężowi?

— Jeżeli chce mi pan insynuować, że potrafiłabym rzucić się na niego ze sztyletem w dłoni...

— Tego nie powiedziałem. Chcę tylko wiedzieć, czy czasami życzyła mu pani śmierci.

— Tak — przyznała Lisa.

Ellmann wymienił szybkie spojrzenie ze swym asystentem.

— Ale to niczego nie dowodzi — tłumaczyła Lisa. — Praktycznie nie ma człowieka, który by czasem nie życzył śmierci innemu człowiekowi. Niech pan będzie szczery, panie inspektorze, czy nigdy nie żywił pan podobnych uczuć?

Ellmann zapalił jeszcze jednego papierosa.

— Ach tak, wiem — powiedziała Lisa. — To pan tutaj zadaje pytania, a nie ja.

— Całkiem słusznie — policjant zaciągnął się zbyt głęboko i musiał zakasłać. — Zostawmy to na razie! — powiedział, gdy tylko opanował atak kaszlu. — Co się właściwie działo po odejściu z firmy Brunona Hammera?

— On nigdy nie odszedł. De facto był jej szefem aż do ostatniego tchnienia.

— Ale praktycznie nie mógł się już przecież zajmować swoim przedsiębiorstwem.

— Robił to, na ile mógł, ze swego fotela inwalidzkiego.

— Jak to?

— Kierownik zakładu, Weigel, musiał przychodzić do niego w każdy piątek po południu i składać mu meldunki o bieżącej kondycji firmy, ważniejszych transakcjach i innych istotnych wydarzeniach.

— Nie wspominała pani o tym...

— Proszę nie mówić takim karcącym tonem. Nie przyszło mi to do głowy. Poza tym myślałam, że jest pan zainteresowany kontaktami prywatnymi.

— Nie, interesuje mnie każdy, kto przychodził do tego domu.

— A zatem przychodził tu pan Weigel, Ludwig Weigel...

— Ile ma lat?

— Około czterdziestki, jak sędzę.

— I, pani zdaniem, nie było między nim a pani mężem kontaktów prywatnych?

— Absolutnie nie. Co prawda, kiedy przychodził, pytał mnie zwykle: „Jak się dzisiaj miewa pan starszy?” — ale nie z troskliwości czy współczucia, lecz jedynie po to, żeby się dowiedzieć, w jakim Brunon jest humorze.

— A ten był zazwyczaj kiepski?

— To zależy. Pacjent miewał też dobre dni.

— Czy między obydwojma mężczyznami dochodziło do sporów?

— Nie byłam obecna przy ich naradach.

— Proszę mnie dobrze zrozumieć, pani Hammer! Nie posądzam panią o podsłuchiwanie. Ale tu, w bibliotece, musiało jednak docierać coś do pani uszu, zwłaszcza gdy dyskusja w sąsiednim pokoju stawała się gorąca.

— Zazwyczaj korzystałam z okazji, żeby pójść na górę, wziąć kąpiel i tak dalej.

— Zawsze? — zapytał sceptycznie nadinspektor wydziału kryminalnego.

— Tak się jakoś składało.

— Czy pan Weigel coś dla pani znaczy?

— Dlaczego pan tak uważa?

— Ponieważ bierze go pani w obronę.

— Nie mogę zaświadczać o czymś, co w mojej obecności nie miało miejsca.

— Z przedstawionego przez panią stanu rzeczy wynika, że musiało między nimi dochodzić do spięć i nawet jeśli szła pani wtedy do swojego pokoju nie wierzę, żeby pani nic nigdy nie zauważyła. Choćby dlatego, że musiała pani przecież od czasu do czasu schodzić, zanim jeszcze Weigel zdążył wyjść. Poza tym, jak można się domyślać, pan Hammer wyładowywał się potem na pani.

— Tak — przyznała Lisa z wysiłkiem.

— Dlaczego nie powiedziała pani tego od razu?

— Ponieważ te napięcia nie były niczym szczególnym. W sposób naturalny wynikały z sytuacji. Nie miały z pewnością nic wspólnego z tym morderstwem. Nie chciałam o nich wspominać, żeby nie poszedł pan złym tropem. Nie potrafię sobie wyobrazić Ludwiga Weigla ze sztyletem w ręku.

— Rozmawiając o tym panu, stała się pani bardzo elokwentna.

— To bardzo sympatyczny człowiek. Sam się pan przekona, gdy go pan pozna.

— Mały flircik z szacunku? Czy coś więcej?

— Ani to, ani tamto.

— Ale przyzna pani, że jego wizyty sprawiały pani przyjemność?

— Częściowo tak, częściowo nie.

— Czy mogłaby pani nam wyjaśnić, co to oznacza?

— Zawsze miał na podorędziu jakiś żart czy jakąś historyjkę, żeby mnie rozweselić. To było miłe. Z drugiej jednak strony, gdy narada nie przebiegła po myśli mojego męża, miałam potem trochę kłopotów.

— W jaki sposób się to objawiało?

— Przez jakiś czas mąż nie dawał się udobruchać. Ellmann zakasłał.

— No tak, rozumiem — odwrócił się do swojego asystenta, który z zapalem stuknął w małą maszynę do pisania. — Czy nic ci nie umknęło, Franz?

Młody mężczyzna wyszczerzył z zadowoleniem zęby.

— Skądże!

— Czy mogę już odejść? — spytała Lisa.

— Tak, proszę, pani Hammer. Czekam na panią jutro w komisariacie.

* * *

Dwa dni później zwłoki Brunona Hammera wydano krewnym, nie powiadamiając ich jednak, co wykazała obdukcja.

Pogrzeb zgromadził niemal pół Rodenberg. Odbył się około trzeciej, po mszy żałobnej. Niektóre sklepy zamknięto tylko z powodu tego wydarzenia. Ściągnęły prawdziwe tłumy, ponieważ znaczna część mieszkańców pośrednio lub bezpośrednio była związana z zakładami

Hammerów. Jednak tym, co skłoniło większość z nich do udziału w ceremonii był fakt, że szef firmy został zamordowany. Chciano więc na własne oczy zobaczyć tych, którzy wchodzili w grę jako potencjalni sprawcy, jak się zachowują podczas spuszczenia do grobu ciężkiej, ozdobionej mosiężnymi okuciami trumny.

Lisa odnosiła wrażenie, że stoi pod pręgierzem. Chociaż bez makijażu, ze skromnie zaczesanymi do tyłu włosami i w prostym czarnym płaszczu wyglądała tak niepozornie, jak to tylko możliwe, miała wrażenie, że te wszystkie pełne współczucia, zazdrości i nieufności spojrzenia skierowane są przede wszystkim na nią.

Jej matka, chuda kobieta, która trzymała się nadzwyczaj prosto, podobnie odbierała nastrój tłumu. Objęła córkę nieudolnym gestem mającym wyrażać jej troskliwość i szepnęła:

— Nic sobie z tego nie rób!

Artur, ubrany w niezbyt odpowiednią na tę okazję czarną kurtkę, stał ze spuszczonej oczami, nieprzerwanie wpatrując się w czubki swoich butów. Tylko Evelyn zdawała się przejmować niechęcią, może nawet wrogością gawiedzi. W swym czarnym, karakułowym futerku, czarnym kapelusiku, z blond włosami o popielatym odcieniu i z twarzą schowaną za kokieterijną woalką wyglądała wyjątkowo szykownie i była tego świadoma. Na jej starannie uszminkowanych ustach przez cały czas gościł wyniosły uśmiezek.

Ksiądz przemawiał długo. Wychwalał wspaniałomyślność zmarłego i jego odwagę w cierpieniu. Ceremonia przeciągała się w nieskończoność.

Kiedy nadszedł moment rzucenia do grobu symbolicznej pierwszej grudy ziemi, Lisa ustąpiła pierwszeństwa swojej pasierbicy. Evelyn, w butach na wysokim obcasie, lekko się potknęła, lecz utrzymała równowagę. Potem oddała łopatę swemu bratu. On wykonał tę czynność z kamienną twarzą. Lisa musiała powstrzymać wzbierające łzy. Czuła, że nie wypada jej płakać nad otwartym grobem, przyjęto by to bowiem jako przejaw hipokryzji.

Później, stojąc obok rodzeństwa Hammer, przyjmowała kondolencje. Zdaje się, że zmarły miał więcej przyjaciół i znajomych niż myślała. Wciąż pojawiały się przed nią obce twarze.

Doktor Krantz odciągnął ją na bok.

— Wystarczy, Liso! Proszę pójść teraz ze mną! — Wziął ją pod rękę i poprowadził bocznymi ścieżkami do wyjścia.

Matka Lisy podążyła za nimi, Evelyn i Artur szli w pewnym oddaleniu. Lisa obawiała się, że jej nagłe odejście może zostać potraktowane jako ucieczka. Bez sprzeciwu jednak pozwoliła na to, by doktor Krantz wsunął ją do samochodu. Matka Lisy usiadła na tylnym siedzeniu. Evelyn i jej brat ruszyli za nimi własnym samochodem.

Kiedy wysiedli przed willą przy alei Parkowej zauważyli, że policjanci w mundurach przeszukują przydomową część ogrodu.

— Akurat w dniu pogrzebu! — oburzył się doktor Krantz. — Cóż za takt! — Pomógł wysiąść obu paniom z samochodu.

Nie zwracając uwagi na policjantów, przeszli do domu. Evelyn wprowadziła samochód do otwartego garażu, z łoskotem zamykając za sobą bramę.

Z uwagi na fakt, że Brunon Hammer nie zmarł śmiercią naturalną, stypa po pogrzebie odbyła się w możliwie najwęższym gronie. Oprócz lekarza, aptekarza i Ludwiga Weigla nie zaproszono już nikogo. Nie powstrzymało to jednak pani Gaertner od przygotowania w pokoju ogrodowym zimnego bufetu. Jednakże nikt nie był głodny. Nastrój był przygnębiający.

Pani Gaertner roznosiła na srebrnej tacy kieliszki z wódką.

— Proszę spróbować! Alkohol dobrze państwu zrobi! — zachęcała.

Wszyscy sięgnęli po kieliszki, ale też i wszyscy, poza Arturem, zwlekali z wypiciem. Doktor Krantz wznosił toast:

— Za miłego zmarłego! Evelyn zaśmiała się drwiąco:

— Cóż za odpowiednie zawołanie! Stuknęli się kieliszkami.

— Miał wiele zalet — obstawał przy swoim doktor, nie zgadzając się z nie wypowiedzianą sugestią Evelyn.

Lisa poparła doktora:

— Trzeba go było znać, zanim zachorował.

— Przecież chyba wszyscy go już wtedy znali — zauważyła Evelyn.

Musieli jej przyznać rację. Nie było między nimi nikogo, kto nie znałby Brunona Hammera już od wielu lat. Doktor Otto Krantz, mężczyzna drobny i zwawy, przedwcześnie posiwiąły, ze starannie przyciętą bródką, był od dawna jego lekarzem domowym. Aptekarz, Siegfried Holbaum — zupełne przeciwieństwo doktora — duży i silnie zbudowany, był przyjacielem Brunona i towarzyszem do gry w skata. Ludwig Weigel dołączył do nich jako ostatni, ale także i on pracował w firmie swego szefa jeszcze przed jego chorobą. Był to szczupły, wysoki mężczyzna o czarnych włosach, mądrych, brązowych oczach i rzymskim nosie.

„Rzeczywiście — pomyślała Lisa, czując się bardzo nieswojo — tylko jedno z nas może być sprawcą. Tylko my byliśmy z nim dostatecznie blisko.” — Zadrzała.

— Postąpiłeś bardzo roztropnie, Otto — powiedział aptekarz — że przywiozłeś panie do domu swoim samochodem. Wokół tej czarnej limuzyny zgromadziło się już sporo nieprzyjaźnie nastawionych ludzi.

— Można się było tego spodziewać! — powiedział lekarz i zawołał gospodynię. — Prosimy o jeszcze jedną wódkę, pani Gaertner!

— Czy mam otworzyć szampana?

— Nie — zdecydowała Lisa — proszę tego nie robić. Nie ma żadnego powodu do świętowania.

Evelyn zdjęła z głowy swój czarny kapelusik i rozpuściła włosy.

— Ale nie ma też żadnego powodu, żeby zwieszać nos na kwintę. W każdym razie nie dla mnie — oznajmiła.

— Trochę to nie na miejscu — skomentował doktor, który znał ją od dzieciństwa.

— Jak widać, nie jestem obłudna! — odparła Evelyn, trzymając w ręku kapelusz i woalkę. Ponagliła panią Gaertner, która uzupełniała zawartość kieliszków. — A jeśli chodzi o tę limuzynę, to pomysł zajechania nią pod dom był dla mnie od początku pomyłony.

— Obstawał przy tym kierownik firmy pogrzebowej — broniła się Lisa. — Szofer i czarna limuzyna są częścią usługi.

— Mnie by czegoś takiego nie wmówił. Wiedziałam, po co biorę swój własny samochód.

— Twoja matka — powiedział doktor Krantz — nie byłaby w stanie sama prowadzić.

— Matka?! — krzyknęła Evelyn szyderczo. — Chyba się przesłyszałam! Matka?!

— Nie irytuj się tak, Evelyn — powiedziała Lisa bezbarwnym głosem. — Wkrótce się mnie pozbędziesz.

— A zatem jest jednak powód do świętowania!

— Evelyn — upomniał ją aptekarz — żona twojego ojca zrobiła ci niego więcej, niż to jest w ludzkiej mocy.

— No i po co? Według mnie ojciec powinien już od wielu lat lei w klinice. Oczywiście jemu by to nie odpowiadało, ale przynajmniej umarłby naturalną śmiercią.

— Skąd możesz być tego taka pewna? — zapytał doktor Krautz.

— Przecież zawsze mawiał, i ty o tym wiesz najlepiej, mój drogi wujku lekarzu: „Szpital mnie wykończy!” Przypuszczalnie mówił to nawet serio. Można więc sądzić, że długo by nie pociągnął. Komuś jednak, jak widać, bardzo się spieszyło.

— Za dużo mówisz! — upomniał ją doktor Krantz.

— Ktoś przecież musi otwierać usta!

— Nie, Evelyn — powiedziała Lisa — byłoby lepiej, gdybyś zachowywała się spokojnie.

— Nie będziesz mi mówiła, co mam robić! — skarciła ją Evelyn. — To mój dom albo przynajmniej będzie nim niedługo i to ja zapraszam gości.

Pani Gaertner, która właśnie weszła z butelką białego wina, pokazała Lisie etykietę.

— A to — kontynuowała Evelyn — jest wino z piwnicy mojego ojca. Czy nie mam racji, Arturze? No powiedzże coś!

Artur uporczywie milczał.

— Może byś coś wreszcie z siebie wydusił!

Evelyn podeszła do bufetu i nałożyła na talerz dwa plasterki lekko zaróżowionej pieczeni z zająca, łyżkę brusznic i sos cumberland, wzięła jedną serwetkę, sztućce i usiadła na krześle wyplatany z trzciny hiszpańskiej. Milcząc i z wahaniem zrobili to też wszyscy pozostali, oprócz Lisy i Artura. Każdy znalazł sobie miejsce, gdzie mógł spokojnie zjeść, napić się albo tylko rozprostować nieco nogi.

Łóżko chorego zostało już wyniesione, co przywróciło pokojowi ogrodowemu jego pierwotny wygląd. Stał w nim teraz okrągły stół przykryty żółtą serwetą, cztery fotele z trzciny hiszpańskiej, kolorowo wyściełane, do których pani Gaertner zapobiegliwie dostawiła oba skórzane fotele z biblioteki. Światło jesiennego słońca przenikało przez żółte kotary, którymi gospodyni przezornie zasłoniła drzwi wiodące na taras zaraz po pojawieniu się policjantów.

Wszyscy uczestnicy uroczystości żałobnej, łącznie z Evelyn, zdawali sobie przez cały czas sprawę z obecności tych mężczyzn, nawet jeśli udawali, że nie zwracają na nich uwagi.

— Wszystkie poszlaki — powiedział aptekarz — można interpretować w sposób całkowicie dowolny. Bardzo przygnębiająca sprawa.

— Może posłuchamy jakiejś muzyki! — zaproponowała Evelyn, odstawiła talerz i podniosła się z fotela. — Bez obawy, pop i rock nie wchodzi w grę. Ale może trochę jazzu. Cont Basie? — Podskoczyła do gramofonu.

W tej samej chwili rozległo się pukanie do szklanych drzwi. Wszyscy drgnęli.

— Ktoś chce wejść — stwierdziła Evelyn przytomnie. Lisa wstała, odsunęła zasłony i otworzyła drzwi na taras.

Na progu pojawił się inspektor Ellmann trzymający w ręku przezroczysty woreczek foliowy.

— Proszę mi wybaczyć, że przeszkadzam — rzekł — ale to tutaj... — uniósł woreczek lekko do góry — ... wydało mi się tak ważne, że uznałem za konieczne porozmawiać z państwem.

Wszyscy wpatrywali się w trzymany przez inspektora woreczek, w którym tkwił mniej więcej trzydziestocentymetrowy, metalowy przedmiot.

— Co to jest? — zapytała Evelyn.

— Mam nadzieję, że państwo pomogą mi to wyjaśnić.

— Nie mam pojęcia, co to może być — odezwał się Ludwig Weigel.

— W każdym razie u nas w fabryce czegoś takiego się nie używa.

— Gdybym mógł się temu lepiej przyjrzeć... — zawahał się aptekarz. — Czy nie można by było wyjąć tego z worka?

— Nie.

— Z powodu odcisków palców? — zapytała Evelyn gorliwie.

— A więc to jest narzędzie zbrodni?

— Możliwe, że tak.

Inspektor zwrócił się do Lisy, podsuwając jej niemal pod nos swoje znalezisko.

— Ten przedmiot wydaje się ostry. Zakończony jest dwoma uchwyty. To wygląda na jakieś nożyce. — Popatrzyła pytająco na Ellmanna. — Sekator?

— Czy używa pani takich nożyc?

— Nie. Z ogrodem nie mam przecież nic wspólnego.

— Czy wie pani, w którym miejscu w domu były bądź są przechowywane tego typu nożyce?

— Nie. Musi pan spytać o to panią Gaertner.

Na te słowa weszła gospodyni. Było jasne, że podsłuchiwała, chociaż zjawiała się niby przypadkiem, niosąc nową butelkę wina.

— Dobrze, że pani jest! — powiedział Ellmann, jej z kolei pokazując woreczek. — Pani Hammer uważa, że ten przedmiot to może być sekator.

— Skądże znowu! — powiedziała prędko. — Nigdy nie widział pan sekatora? Tym drobiazgiem nie dałoby się odciąć nawet najmniejszej gałązki.

— A może to jakiś przyrząd lekarski! — wmieszał się doktor.

— Takich ostrych nożyczek używa się przy operacjach.

— Przyrząd lekarski? Chyba pęknę ze śmiechu! — Pani Gaertner z łoskotem postawiła butelkę wina na stole. — Chce pan wiedzieć, co to jest? Nożyczki do papieru.

— Możliwe, że ma pani rację — skonstatował policjant.

— No jasne, że mam rację! Te, które miał pan Hammer, wyglądały prawie tak samo. — Pochyliła się tak nisko nad torebką, że niemal dotykała jej koniuszkiem nosa. — Może nawet zupełnie tak samo.

— Interesujące! A gdzie są teraz te nożyczki? Mam na myśli nożyczki zmarłego.

— Schowałam je.

— Kiedy?

— Dokładnie nie mogę panu powiedzieć, ale musiało to być ładnych parę lat temu. Wtedy jeszcze pan starszy czuł się całkiem nieźle, ale objawy choroby były już coraz wyraźniejsze i przeczuwał, do czego go ona doprowadzi. „Nie chcę żyć jako kaleka” — powtarzał w kółko. Musi pan to przecież pamiętać, panie doktorze! Baliśmy się, że może sobie coś zrobić. Dlatego wyliczał mu pan stale tabletki nasenne i przeciwbólowe. I to pan mi przecież powiedział: „Proszę zabrać stąd te nożyczki, pani Gaertner! Nie

mogę patrzeć na ten niebezpieczny przedmiot!" A one zawsze leżały na biurku świętej pamięci pana starszego, w bibliotece.

— To prawda — powiedział doktor. — Teraz to sobie przypominam.

— I gdzie się podziały te nożyczki?

— Zabrałam je do kuchni, do tej starej kuchni w suterenie, z której właśnie wtedy zrezygnowaliśmy. Włożyłam je do którejś z szuflad starego kredensu.

— Czy nie powiedziałem wtedy wyraźnie, że ma je pani wyrzucić?

— zapytał doktor, lekko zirytowany.

— Ale to była taka dobra para nożyczek! A poza tym pomyślałam sobie, że jak pan starszy będzie się za bardzo pieklił, to będę mu je mogła w razie czego oddać. No i pieklił się, ale w domu byli jeszcze rzemieślnicy, więc nie miał pewności, że to ja je wzięłam. Szybko się zresztą uspokoił. Miał inne zmartwienia, niż wściekać się z powodu głupich nożyczek do papieru.

— Proszę je przynieść! — rzekł nadinspektor. Gospodyni przypatrywała mu się nieprzytomnym wzrokiem.

— Co mam zrobić?

— Przynieść nożyczki do papieru, pani Gaertner. Jeżeli to, co nam tu pani opowiedziała, jest prawdą, to powinny leżeć nadal na swoim miejscu. j

— Mój Boże! Po tylu latach! — zawołała pani Gaertner, opuszczając pospiesznie pokój.

— Kto jeszcze spośród państwa tu obecnych ma dostęp do starej i kuchni?
— kontynuował swoje dochodzenie Ellmann.

— Każdy ma do niej dostęp! — wyjaśniła Evelyn skwapliwie. — Wejście nie zostało przecież ani zamknięte, ani zabarykadowane. Po prostu nikt już z niej nie korzystał.

— Nikt tam nie zaglądał?

— Pani Gaertner przechowuje tam, jak mi się wydaje, rzadko używane sprzęty kuchenne, dla których nie ma miejsca w nowej kuchni, jak na przykład słoiki, beczki do kwaszenia i tym podobne.

— Czy była pani w ostatnim czasie w tej kuchni, panno Hammer?

— Mimo najlepszych chęci nie mogę sobie przypomnieć. To musiało być w każdym razie bardzo dawno temu. Od kiedy się wyprowadziłam, z całą pewnością nie.

— A pan, panie Hammer?

Artur wzruszył milcząco ramionami.

— Kiedyś bardzo się nią interesowałeś, mniej więcej rok przed twoją maturą! — przypomniała mu Evelyn. — Chciałeś wtedy urządzić w niej

imprezy. Ale nic z tego wtedy nie wyszło, ponieważ ojciec nie chciał w domu żadnych hałasów.

Urządник wydziału kryminalnego zwrócił się do Lisy:

— A co z panią, pani Hammer?

— O co panu chodzi?

— Czy bywała pani w tej starej kuchni?

— Zdaje się, że tylko raz. Z panią Gaertner. Po ślubie pokazywała mi cały dom.

— Potem już nie?

— Przysiąc nie mogę. Ale czego miałabym tam szukać?

W tej właśnie chwili do pokoju z impetem wpadła pani Gaertner. Jej okrągła, gładka twarz była zaczerwieniona z podniecenia.

— Zniknęły! — zawołała.

Zatrzymała się pośrodku pokoju i spojrzała błyszczącymi oczyma na Lisę, ciekawa jej reakcji.

Lisa natychmiast pojęła doniosłość tego odkrycia, lecz nic nie dała po sobie poznać.

— Mówi pani o nożyczkach do papieru? — upewnił się spokojnie inspektor Ellmann.

— O czym by innym? — odparła pani Gaertner. — Nie ma ich tam, gdzie je położyłam.

— Jest pani tego zupełnie pewna?

— Oczywiście, przeszukałam nie tylko tę szufladę, do której je włożyłam, ale i wszystkie pozostałe. Przeszukałam całą kuchnię! Zniknęły!

Lisa otworzyła usta.

— Ale to przecież dowodzi jedynie tego, że sprawca miał swobodny dostęp do tego domu, a o tym wiedzieliśmy już wcześniej — zauważyła.

Nadinspektor wydziału kryminalnego trzymał demonstracyjnie wysoko woreczek ze złowieszczymi nożyczkami.

— Ale która z postronnych osób wiedziałaby o tym, że w starej, od lat nie używanej kuchni znajdzie odpowiednie narzędzie do popełnienia zbrodni?

— Każda, jeśli miałaby okazję pomyszkować w niej chwilę — odpowiedziała Lisa i ugryzła się w język, gdy zorientowała się, że brzmi to jak próba obrony.

Nieoczekiwanie z pomocą przyszła jej Evelyn.

— Lisa ma zupełną rację! Każdy, kto mógł dostać się do domu, mógł wejść też do starej kuchni. Co do mnie — nie wiedziałam nawet o istnieniu tych nożyczek.

— Ale właśnie pani, panno Hammer, musiała je przecież wcześniej widzieć na biurku pani ojca.

Na czole Evelyn pojawiły się fałdy, zaraz jednak stało się znów gładkie.

— Musiałabym się najpierw porządnie zastanowić. Nigdy jednak specjalnie na ten przedmiot nie zwracałam uwagi. Nigdy też nie zauważyłam, żeby te nożyczki zniknęły. Wcale nie pytałam o to, co się z nimi stało, prawda, pani Gaertner?

— Zgadza się, Evelyn. Nie pytała pani. Inspektor Ellmann zwrócił się teraz do Artura.

— A co pan ma do powiedzenia? Artur wzruszył ramionami.

— W ogóle nic nie mogę na ten temat powiedzieć.

— Nic?

— Zupełnie nic.

— To trochę mało.

Łatwo było zauważyć, że Artur najchętniej otuliłby się płaszczem milczenia. Ale pod wpływem badawczego spojrzenia urzędnika wydziału kryminalnego przemógł się, by złożyć nieco obszerniejsze wyjaśnienia.

— Nie mogę sobie przypomnieć, czy ojciec kiedykolwiek miał takie nożyczki — utrzymywał. — Dlatego też nie mogę powiedzieć nic na temat ich zniknięcia.

— Jak się wydaje, ma pan wyjątkowo słabą pamięć, panie Hammer! Artur zacisnął wargi, a ręce ukrył głęboko w kieszeniach.

— Na temat zniknięcia pańskiego klucza od domu też nie miał pan wiele do powiedzenia — kontynuował policjant.

— Teraz przypomniałem sobie, że...

— Tak?

— Nie miałem go już wtedy, gdy ostatnim razem wróciłem do Stuttgartu.

— Dostyc późno się to panu przypomniało.

— Prawdopodobnie gdzieś go zostawiłem...

— W twoim pokoju go w każdym razie nie było! — włączyła się pani Gaertner. — Po twoim odjeździe gruntownie go wysprzątałam.

— ... albo go zgubiłem, albo ktoś mi go ukradł.

— Artur stale zapodziewa gdzieś albo gubi jakieś rzeczy — wyjaśniła Lisa — dowód, prawo jazdy, dokumenty samochodu. To jego specjalność.

— Jest bałaganiarzem — dorzuciła Evelyn. — Każdy z nas o tym wie. Nadinspektor Ellmann zadał jeszcze kilka pytań gościom, zanim zdecydował się zakończyć tę część dochodzenia.

— To byłoby chyba wszystko na dzisiaj — powiedział — nie chcę państwu dłużej przeszkadzać.

Evelyn obdarowała go szerokim uśmiechem.

— Strasznie miło z pańskiej strony, panie Ellmann! Pana takt jest naprawdę wstrząsający.

Policjant nie dał się sprowokować i po krótkim pożegnaniu wycofał się tą samą drogą, którą przyszedł.

— A teraz, pani Gaertner — zawołała Evelyn — szampana! Ojciec nie żyje, a policja szuka mordercy między nami! Czy to nie jest powód do świętowania?!

Lisa przeprosiła wszystkich i odeszła do swego pokoju. Ściągnęła czółenka, zdjęła sukienkę i położyła się do łóżka. Z dołu dochodziły przytłumione głosy żałobników, które stopniowo stawały się coraz bardziej donośne i rozbawione. Czuła się bardzo samotna.

Ustalono, że otwarcie testamentu odbędzie się następnego przedpołudnia o jedenastej.

Lisa stawiała się punktualnie w towarzystwie Artura, ciągle jeszcze ubranego w czarną skórę. Ona sama rozjaśniła swą suknię białym kołnierzykiem, który sprawiał, że miała w sobie coś ze szkolnej uczennicy. Jeden z aplikantów zaprowadził ich do poczekalni, niezbyt dużego, mrocznego, wytapetowanego na brązowo pomieszczenia z zielonymi zasłonami. Na eksponowanym miejscu stało ciężkie biurko, za nim szeroki fotel, przed nim trzy mniejsze fotele.

Pośrodku siedziała pani Gaertner, odświętnie wystrojona, w czarnym toczku, skrywającym jasne, świeżo ufryzowane włosy. Na dzisiaj wzięła sobie wolne. Odwróciła się do wchodzących i przyjrzała im się rozpromieniona.

— No wreszcie! — odezwała się z nieskrywaną niecierpliwością. Ani Lisa, ani Artur nie zadali sobie trudu, żeby zwrócić jej uwagę, że jedenasta dopiero co wybiła. Ukłonili się tylko uprzejmie.

Pani Gaertner wskazała dłonią fotel obok siebie, proponując Lisie miejsce. Ta jednak potrząsnęła przecząco głową.

— Nie, dziękuję, lepiej nie.

Z tyłu, za fotelami, był jeszcze rząd krzeseł, ustawionych chyba specjalnie na tę okazję. Tam usiadła Lisa, a Artur poszedł za jej przykładem.

Nieco później zjawił się aptekarz i przywitawszy się ze wszystkimi, wybrał krzesło obok Lisy.

— No i jak się dzisiaj pani czuje? — zapytał troskliwie.

— Dziękuję, dobrze — odparła Lisa. Wiedziała, że z tak podkrążonymi oczami wygląda gorzej niż źle, nie chciała jednak niczyjego współczucia.

Aptekarz nie dał się zwieść.

— Jeżeli potrzebuje pani środków nasennych... — zaofiarował się.

— Nie, dziękuję! — przerwała mu Lisa, zdała sobie jednak sprawę, że była wobec niego zbyt szorstka, więc dodała przepaszająco:

— Jakoś to zniosę.

— Chciałabym wiedzieć, kiedy wreszcie pojawi się ten notariusz! — utyskiwała pani Gaertner.

— Z pewnością czeka, aż będziemy w komplecie — wytłumaczył aptekarz.

— To cała Evelyn! Ona to się spóźni nawet na swój własny ślub! Wszyscy byli nieco zaskoczeni, gdy wprowadzono Ludwiga Weigla, ale tylko pani Gaertner wyraziła to na głos:

— No coś podobnego! Nie miałam pojęcia, że pan także coś odziedziczył!

Lekko zmieszany, zatarł ręce.

— Ja też nie, pani Gaertner. Wezwano mnie zapewne dlatego, że byłem pełnomocnikiem pana Hammera w jego interesach.

Ludwig Weigel, czując się najwyraźniej nieswojo, ruszył w stronę tylnych rzędów.

— Może lepiej postoję — stwierdził, ustawiając się ostatecznie pod ścianą.

Pani Gaertner zwróciła się do pozostałych.

— No, to chyba jesteśmy już wszyscy — powiedziała, dodając zaraz z głębokim westchnieniem: — Oprócz jaśnie wielmożnej panienki, rozumie się!

Lisa próbowała wmówić sobie, że nie ma żadnego powodu do zdenerwowania. Chociaż jej mąż był człowiekiem nadzwyczaj trudnym i nieobliczalnym, wydawało się niemożliwe, by zupełnie pominął ją w swoim testamencie, a nawet jeśli tak się stało, to jako pielęgniarka wszędzie znajdzie zatrudnienie. Być może nawet bez pieniędzy, tylko dzięki stypendium, będzie mogła rozpocząć swe upragnione studia medyczne.

Lecz mimo tych uspokajających przemyśleń czuła, jak rosą jej obawy. Najwyraźniej pozostali mieli podobne zmartwienie. Jedyne zamożny aptekarz, dla którego potencjalny spadek niewiele znaczył, trwał obojętnie w niezmienniej pozycji. Gospodyni wierciła się na swoim fotelu. Artur zachowywał pozę, którą przyjął na początku — noga na nogę, ręce w kieszeniach kurtki — lecz Lisie zdawało się, że wyczuwa, jak bardzo napięte są jego nerwy. Oczekiwanie skruszyło wszystkich. Notariusza ciągle jednak nie było.

Dopiero kwadrans po jedenastej do sali wpadła jak pocisk Evelyn, bardzo elegancka w błękitnym kostiumie i białej, jedwabnej bluzce.

— Mam nadzieję, że się nie... — zawołała, urwała jednak w połowie zdania, gdy odkryła, że ów szeroki fotel za biurkiem jest jeszcze pusty.

— Dlaczego jeszcze nie zaczęliście?

Nikt nie miał ochoty udzielać jej wyjaśnień, Evelyn uznała więc za wskazane usprawiedliwić się.

— Nie mogłam znaleźć miejsca na parkingu.

— Trzeba było wyjechać wcześniej — odpowiedziała strofująco pani Gaertner.

— No ale przecież... — Evelyn znowu nie dokończyła zdania. — Kiedy wreszcie zacznie się ten cyrk?

Notariusz Alfons Hieber wszedł właśnie do sali. Był to mężczyzna słusznej postury, w dobrze skrojonym garniturze, w białej koszuli i srebrzystoszarym krawacie. Majestatycznie zajął miejsce za biurkiem.

Evelyn również prędko usiadła. Założyła nogę na nogę, starając się przy tym jak najefektowniej zaprezentować swe kształtne kolana.

Wszyscy wpatrywali się w napięciu w pismo, które notariusz położył przed sobą. On jednak nie odczytał go od razu, lecz dał najpierw wyraz swemu zaskoczeniu z powodu tej, jak się wyraził, niesłychanej i tragicznej zbrodni, a także współczuciu dla tak nagle opuszczonych krewnych, starannie dobierając przy tym każde słowo. Potem przyjrzał się uważnie każdemu z obecnych i powiedział:

— Proszę teraz państwa o okazanie dokumentów tożsamości.

— Przecież wszystkich dobrze pan zna! — zaprotestowała Evelyn.

— Identyfikacja to czysta formalność, panno Hammer — odparł notariusz łagodnie.

Evelyn zerwała się jako pierwsza, wygrzebała swój dowód osobisty stojąc już przy biurku i podała go notariuszowi. Na jej pełnych ustach błąkał się

ironiczny uśmieszek. Pani Gaertner, z dowodem w rękę, podążyła za nią. Potem wystąpił aptekarz Holbaum, Lisa i w końcu Ludwig Weigel, który przysiadł się później do Evelyn. Artur wstał, przeszukując swe kieszenie.

— Nie mogę znaleźć dokumentów — wyjaśnił, wzruszając ramionami.

— Myślę, że możemy to sobie darować, Arturze — powiedział notariusz łaskawie.

Artur usiadł z ulgą.

— A teraz przejdźmy do testamentu zmarłego! — ciągnął dalej notariusz. — Został sporządzony piętnastego sierpnia tego roku i podpisany w mojej obecności dnia dwudziestego pierwszego sierpnia. Niniejszym potwierdzam, że testator był w pełni władz umysłowych. Jeśli mogę go teraz państwu odczytać...

— Streszczaj się! — mruknęła Evelyn półgłosem.

Notariusz jednak dosłyszał jej słowa i posłał jej karcące spojrzenie. Potem otworzył wreszcie dokument i zaczął czytać:

„Moja ostatnia wola. Ja, Brunon Hammer, po dokładnym namyśle i w pełni władz umysłowych postanawiam uczynić głównym spadkobiercą moją kochaną żonę, Elisabeth Hammer, z domu Hopf...

— Nie! — krzyknęła Evelyn. — To niemożliwe!

Pani Gaertner odwróciła się do Lisy i rzekła donośnie: — Sprytnie, nie ma co!

Słowa notariusza podziały na Lisę paraliżująco.

— Proszę mi nie przerywać! — upomniał notariusz. Chrząknął i kontynuował: — ... Jej zapisuję dom i parcelę przy Alei Parkowej dwanaście. Jednocześnie mojemu jedynemu synowi, Arturowi, przyznaję prawo zamieszkiwania tam do czasu, dopóki się nie ożeni..."

Evelyn nie mogła już tego dłużej wytrzymać. Skoczyła na równe nogi.

— A co ze mną?

— Proszę się uspokoić, panno Hammer, za chwilę się pani dowie!

— Oczekuje pan, że przyjmę spokojnie to, że okrada się mnie z mojego spadku?!

— Nikt pani z niczego nie okrada!

— A jakże! Dobrze wiem! Ona... — Evelyn odwróciła się i wskazała na Lisę. — ... ona knuła przeciwko mnie intrygi przed moim ojcem! Ona doprowadziła do tego, że podpisał tak idiotyczny testament... A kiedy już to osiągnęła, zamordowała go! — Niebieskie oczy Evelyn aż iskrzyły się z podniecenia.

— To twierdzenie — wyjaśnił spokojnie notariusz — może posłużyć jako podstawa do wniesienia przeciwko pani pozwu o zniesławienie.

— Nie dam sobie zamknąć ust! — wrzeszczała Evelyn, tracąc nad sobą panowanie. — Ani panu, ani komukolwiek innemu!

Ludwig Weigel wstał, objął Evelyn ramieniem i próbował posadzić ją z powrotem w fotelu.

— Powinna nam pani pozwolić na wysłuchanie testamentu do końca, panno Hammer!

— Ja już usłyszałam dosyć!

— Ale pozostali nie. Proszę mieć wzgląd na innych! — Spoglądał na nią proszącym wzrokiem.

Niechętnie dała za wygraną i usiadła.

— Będę wnioskować o obalenie tego przekłętego testamentu. Już teraz to zapowiadam.

Notariusz odczekał, aż zapanuje zupełna cisza, po czym czytał dalej:

„Ponadto moja ukochana żona odziedziczy pięćdziesiąt procent mojego majątku, składającego się z gotówki, gruntów i udziałów w mojej firmie Zakłady Braci Hammer. Mojemu synowi, Arturowi, przypadnie trzydzieści procent wartości majątku, przy czym mam nadzieję, że zrobi z nich dobry użytek...”

Artur odetchnął głośno.

Notariusz czytał dalej:

— Mojej córce, Evelyn, wyznaczam niniejszym jedynie część należną jej z mocy prawa, to znaczy wyłącznie dziesięcioprocentową legitymę. Przez lata mojej choroby zaniedbywała mnie w sposób karygodny. Przyznaję, że jestem w pewnym stopniu winny tego rażącego egoizmu, ponieważ w dzieciństwie zbyt ją rozpieszczałem. To jednak w niczym nie umniejsza przykrości, jakich doznałem z powodu jej bezduszności. Dlatego też postanawiam, że musi się zadowolić owymi dziesięcioma procentami obecnej wartości mojego majątku.”

— Dziesięć procent! — powtórzyła roztrzęsiona Evelyn. — Chyba się przesłyszałam!

— Wydaje mi się, że testator podał wystarczające powody, które skłoniły go do pomniejszenia pani części spadku — przypomniał spokojnie notariusz.

— Nawet nie myślę jej przyjmować!

— Oczywiście może pani zaskarżyć ten testament, panno Hammer, ale opierając się na moim prawniczym doświadczeniu, mogę pani powiedzieć, że

nie ma pani większych szans na wygranie sprawy. — Po krótkiej przerwie dodał: — O ile nie zdoła pani odeprzeć zarzutów swego zmarłego ojca.

— Tego się nie da zrobić! — podsumowała pani Gaertner. — Ona się tu w ostatnim czasie w ogóle nie pokazywała, a i pisała tylko wtedy, gdy potrzebowała pieniędzy.

— A skąd pani to może wiedzieć? — ofuknęła gospodynię Evelyn. — Proszę się nie odzywać!

Lisa opanowała się wreszcie.

— Evelyn — powiedziała drżącym głosem — testament można oczywiście zmienić. Ułożymy się polubownie.

— Polubownie? — prychnęła Evelyn. — To by ci odpowiadało! Postawię cię przed sądem!

— Ależ Evelyn! Nie potrzebuję wcale tego domu! Co ja z nim zrobię?

— Ale to, że sprzątnęłaś pół firmy, to ci już nie przeszkadza!

— Ze wszystkiego zrezygnuję.

— Będziesz musiała, czy tego chcesz, czy nie. Nie pozwolę, żeby] morderczyni dziedziczyła po swojej ofierze! i

— Proszę nie składać pochopnych zobowiązań, pani Hammer! — upomniał notariusz. — Proszę się naradzić z adwokatem! — Uderzył dłonią w rozłożony przed sobą testament. — To jest ostatnia, i dobrze przemyślana decyzja pani męża. Myślę, że wszyscy powinniśmy uszanować jego wolę.

— On chyba oszalał, sporządzając taki testament! — stwierdziła Evelyn. — Może był zresztą pod wpływem narkotyków. Po tej tam... — ruchem głowy wskazała na Lisę — wszystkiego się można spodziewać.

Lisa wstała.

— Nie pozwalaj sobie na zbyt wiele, Evelyn!

— O, umiesz być też bezczelna!

— Weź się w garść! Później usiądziemy sobie w spokoju...

— Wydaje ci się, że wystarczy zapłacić i zamkniesz mi usta? To tylko pobożne życzenie. A ja, naiwna, próbowałam cię dotąd bronić. Ale to już historia. Teraz wyłożę karty na stół.

— Jeśli mogę prosić, moje panie, przełóżcie tę kłótnię na inny termin. Proszę mi pozwolić skończyć.

— Beze mnie! — Evelyn ruszyła w kierunku drzwi. — Jeżeli o mnie chodzi, to może pan sobie ten świstek wsadzić gdzieś, szanowny panie Hieber! — Wyszła, trzaskając drzwiami.

Lisa miała ochotę wybiec za nią, ale rozumiała, jak wielkie musiało być rozczarowanie Evelyn i że wszelkie próby porozumienia się skazane są z góry na niepowodzenie.

Usiadła więc z powrotem. Słowa notariusza odczytującego dalej testament zlewały się w jej uszach w pozbawiony treści szum.

Dopiero później dotarło do niej, że Ludwig Weigel odziedziczył dziesięć procent majątku firmy z zastrzeżeniem, że w dalszym ciągu będzie nią kierował, aptekarz Holbaum otrzymał cenną kolekcję broni Brunona, a Gerda Gaertner legat na pięć tysięcy marek.

Notariusz Hieber zakończył na tym posiedzenie — spadkobiercy stali jeszcze przez chwilę niezdecydowani w sali.

— Gratuluję, pani Hammer! — powiedział Ludwig Weigel serdecznie.

— Nikt bardziej nie zasłużył na to szczęście niż pani! — dodał aptekarz.

— Nazywa pan to szczęściem? — spytała Lisa, uśmiechając się słabo.

— To żadne szczęście — włączyła się pani Gaertner zawistnie. — Bardzo zgrabnie to pani rozegrała!

— Nic o tym nie wiedziałam! — broniła się Lisa.

— Proszę nie udawać! — odpowiedziała gospodyni.

— Pani jest bez wstydu! — skarcił ją Ludwig Weigel.

— Też coś! — oburzyła się pani Gaertner. — Jestem zbyt skromna! Przez dziesięć lat wiernie służyłam panu starszemu, oglądałam każdego feniga dwa razy, chociaż bez trudu mogłam się wzbogacić i nikt by tego nawet nie zauważył. I jak mi za to podziękowano? Marne pięć tysięcy marek!

— Ładna sumka, miła pani! — stwierdził Weigel. — Za darmo pani przecież nie pracowała.

— Za głodową pensję, jeśli chce pan wiedzieć. Ale tego już za wiele. Odchodzę natychmiast, żeby pani wiedziała, siostrze. Odtąd może pani sobie sama sprzątać w tym bagnie.

— W takim razie życzę pani wszystkiego dobrego w przyszłości, pani Gaertner! — powiedziała Lisa pojednawczo. — Będzie nam pani brakowało.

— Może być pani tego najzupełniej pewna! — Pani Gaertner wzgardziła wyciągniętą ręką Lisy, ostentacyjnie odwróciła się i wybiegła jak urażona księżna.

— Czegóż ona się spodziewała? — zapytał aptekarz, kiwając głową.

— Najwyraźniej czegoś więcej — stwierdził Weigel.

— Ale właściwie dlaczego? — spytała Lisa. — Nikt nie składał jej jakichkolwiek obietnic. Była dobrze opłacana, nigdy nie patrzyłam jej na

ręce, choćby po to, żeby mieć święty spokój. Zresztą zawsze się jakoś dogadywałyśmy.

— Teraz widzi w pani wroga — zauważył aptekarz.

— Nie mogę tego zrozumieć.

— Ponieważ ona uważa, że pani się ten spadek nie należy, pani Hammer! — powiedział Weigel. — A propos spadku — musimy o tym jeszcze porozmawiać!

Artur, który dotąd milczał, stojąc obok z rękami w kieszeniach, teraz zabrał głos:

— Liso, czy wracasz teraz ze mną do domu?

— Z panem także muszę porozmawiać, Arturze! Powinniśmy pojechać do zakładu. — Ludwig Weigel rzucił przelotne spojrzenie na zegarek. — Nie, mam lepszy pomysł. Chodźmy gdzieś na obiad!

— Właściwie wołałabym raczej... — zaczęła Lisa. Ludwig nie pozwolił jej jednak skończyć:

— To ważne, pani Hammer! Chcę to załatwić tak szybko, jak to tylko możliwe.

Ociągając się nieco, Lisa wyraziła wreszcie zgodę. Nie miała najmniejszej chęci na rozmowę o interesach. Wspólnie opuścili kancelarię notariusza. Na dole pożegnał się z nimi aptekarz.

— Ach, proszę pójść z nami, panie Holbaum! — poprosiła Lisa.

— Przeszkadzałbym tylko.

— Nie mamy przecież przed panem żadnych tajemnic. Widać było, że pan Holbaum waha się przez chwilę, ale brak wyraźnej zachęty ze strony Weigla sprawił, że aptekarz zdecydował się odejść.

— Jeżeli będzie miała pani ochotę, Liso — rzekł — opowie mi pani wszystko innym razem.

Lisa odprowadziła wzrokiem oddalającego się zamaszystym krokiem wysokiego, silnego mężczyznę, którego sylwetka nawet z oddalenia wzbudzała zaufanie.

— On jest naprawdę bardzo miły — powiedziała — to jedyny przyjaciel, jakiego mam.

— Nie jedyny, Liso — poprawił ją Ludwig. — Ma pani przecież jeszcze mnie.

Lisa spojrzała mimowolnie na swojego pasierba. Artur nie odzywał się i wyraźnie unikał jej wzroku.

Ludwig Weigel zaproponował, żeby pójść do „Chez Annabelle”, jedynej francuskiej restauracji w Rodenberg, która o tej porze była rzadko uczęszczana.

— Tam nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Lisa zgodziła się i ruszyli przez Plac Ratuszowy. Artur podreptał za nimi.

Weigel był znany w „Chez Annabelle” i kelner gorliwie zaprowadził ich do stojącego na uboczu stolika. Jeżeli nawet wiedział coś o rodzinie Hammer i o morderstwie, to nie dał tego po sobie poznać.

Inni goście jednak, przede wszystkim biznesmeni, z zaciekawieniem śledzili ich wzrokiem, szepcząc coś między sobą. Lisa była tego świadoma i starała się trzymać prosto. Ludwig Weigel zachowywał się szarmancko i nieskrępowanie, Artur natomiast wydawał się nieobecny duchem.

Karta dań nęciła wyjątkowymi przysmakami, ale Lisa, która nie była głodna, zdecydowała się jedynie na sałatkę nicejską. Weigel i Artur wybrali antrykot z dodatkami.

— A do tego — zaproponował Ludwig Weigel — lampka wina, dobrze?

Lisa odmówiła.

— Przy obiedzie nigdy nie piję.

— Ale dziś jest wyjątkowy dzień — odparł. — Łyk wina dobrze pani zrobi, Liso! — Zamówił butelkę wytrawnego białego wina. — Mogę mówić do pani „Liso”, prawda? Będziemy mieli wiele wspólnych spraw.

— Oby nie! — broniła się.

Był zbyt pewny siebie, by poczuć się urażony tą uwagą, ale zareagował ze zdziwieniem.

— Jak mam to rozumieć?

— Myślę, że będzie lepiej, jeśli będziemy unikać jakichkolwiek przejawów poufałości.

— Nie ufa mi pani?

— Ależ tak, Ludwigu... — natychmiast poprawiła się — panie Weigel. Tylko chodzi o to, że... — szukała odpowiednich słów — ...policja i tak przypisuje nam bliższy związek.

— Chyba oszaleli!

— Tak, to absurd. Ale oni niewątpliwie szukają jakiegoś motywu morderstwa.

— To idiotyczne, oskarżać panią! — oświadczył z rzadką u niego porywczością.

— Na razie jestem tylko jedną z podejrzanych — nie patrząc na Weigla znaczyła widelcem ślady na białym obrusie.

— Powinna pani wziąć sobie adwokata!

— Po co? Wyglądałoby to tak, jakbym rzeczywiście czuła się winna.

— Nie może się pani przecież bronić sama, Liso... pardon, pani Hammer! Ani Evelyn, ani pani Gaertner nie można ufać. One są zdolne uknuć przeciwko pani spisek.

— Może i tak, ale nie mogą mi przecież poważnie zaszkodzić, to nie ja zabiłam męża.

— Już sam fakt, że szef uczynił panią swoją główną spadkobierczynią, może być fałszywie interpretowany.

— Nie przyjmę tego spadku. Nie chciałam się tylko spierać z notariuszem Hieberem. Jestem pewna, że istnieje możliwość odrzucenia go.

— Powinna to pani trzy razy przemyśleć! Lisa spojrzała mu w oczy.

— Już to zrobiłam.

Na chwilę przerwali rozmowę, gdyż do stolika zbliżył się kelner z butelką wina. Potem Artur zwrócił się nieoczekiwanie do Ludwiga Weigla.

— Jeżeli Lisa odmówi jednak przyjęcia swojej części, to kto ją dostanie?

— Pan, Arturze, ponieważ, jak słyszeliśmy, pana siostrze przyznano jedynie minimalną, należną jej prawnie część spadku. — Spojrzał na Lisę. — Nie będzie więc pani mogła w ten sposób udobruchać Evelyn. Ona nic na tym nie zyska.

— Ale ja nie chcę tych pieniędzy!

— Rozumiem cię Liso — powiedział Artur — ale przecież na nie zasłużyłaś.

— Być może zasłużyłabym, gdyby twój ojciec pożył jeszcze z pięć lat dłużej, tak jak się spodziewaliśmy. Wówczas ofiarowałabym mu całą moją młodość. Ale teraz?!

Ludwig podniósł swój kieliszek.

— Najpierw napijmy się.

Artur wyciągnął z kurtki zmiętą paczkę papierosów i zapalniczkę, chciał już zapalić papierosa, lecz zreflektował się i podsunął paczkę Lisie.

— Masz ochotę? Zawahała się.

— Wyjątkowo tak — podjęła decyzję. Podał jej ogień.

— Zanim zdecyduje pani ostatecznie — oznajmił Weigel — powinna pani wiedzieć, w jakim stanie znajdują się finanse firmy. Możliwe, że będzie pani

zawiedziona. Na papierze fabryka jest warta wiele milionów. Poważnie jednak wątpię, czy dałoby się ją dzisiaj sprzedać.

— Dlaczego? — Artur wypuścił nosem dym.

— Żeby osiągnąć rentowność, trzeba by skomputeryzować park maszynowy. A na to brakuje pieniędzy. Od wielu lat prosiłem szefa, żeby ściągnąć do firmy cichego wspólnika, wystąpić o duży kredyt bankowy albo dokonać fuzji z pewną monachijską firmą. On jednak uparcie odrzucał moje propozycje. Ciągłe się o to spieraliśmy.

— Ale uważa pan, że to nieuniknione?

— Bezwzględnie. Jeżeli tego nie zrobimy, za parę lat z trudem będziemy wiązać koniec z końcem — jeśli będziemy mieli szczęście. Na dłuższą metę tak się nie da robić interesów.

— W takim razie proszę postąpić tak, jak pan uzna za słuszne.

— Dziękuję, Arturze — powiedział Ludwig Weigel z wyraźną ulgą. — Czy pani jest tego samego zdania, pani Hammer?

— Zna pan moje stanowisko.

— Jeżeli naprawdę nie przyjmiesz tego spadku, Liso, oczywiście sfinansuję twoje studia medyczne — zaproponował nieoczekiwanie Artur. — To by się dało zrobić, panie Weigel?

— Bez problemu. Pieniądzy jest dosyć, żebyśmy wszyscy w trójkę żyli całkiem dostatnio — bądź co bądź firma przynosi niezły dochód. Mam jedynie nadzieję, że Evelyn nie będzie się upierała, by spłacić jej udział gotówką. Większej sumy nie mogę wyłożyć, nie mogę, dopóki zakład nie zostanie poddany sanacji.

Oprócz filiżanki kawy Liza nie miała od rana nic w ustach. Wypite na pusty żołądek wino sprawiło, że lekko kręciło jej się w głowie. Mimo to miała wrażenie, że widzi teraz wszystko wyraźniej. Jeżeli z firmą jest faktycznie tak źle, to nagła śmierć szefa musiała być bardzo na rękę jej administratorowi. Skwapliwość, z jaką Artur przyjął jej ofertę zrzeczenia się spadku sprawiła, że także on wydał jej się podejrzany. Jak dotąd nigdy nie wystarczała mu niewielka pensja pracownika nie w pełni wykwalifikowanego, bo będącego jeszcze na trzecim roku studiów, ani pieniądze, które dawał mu ojciec. Ludwig Weigel byłby dla niego o wiele hojniejszy, gdyby tylko Artur zaaprobował jego projekty.

Lisa w zamyśleniu przyglądała się obu mężczyznom.

— Myślę, że powinnam jednak wziąć sobie adwokata — powiedziała, gasząc papierosa.

Ludwig Weigel i Artur Hammer popatrzyli na nią tak, jakby nagle wydała im się obca.

* * *

Kiedy Lisa i Artur wrócili do domu, nie zastali już tam Evelyn. Pokój, który zazwyczaj zajmowała, był pusty, a z garażu zniknął jej kabriolet. Nie zostawiła też żadnej wiadomości. Lisa nie martwiła się specjalnie tym, że Evelyn coś się mogło przytrafić, jednak jej nagła wyprowadzka zaniepokoiła ją.

— Gdzież ona może być?

— Przecież to nieważne! — odparł nieco opryskliwie Artur.

— Musimy jednak z nią porozmawiać.

— Ja nie.

Lisa nie mogła jednak znaleźć spokoju. Było raczej wykluczone, by Evelyn opuściła Rodenberg przed zakończeniem dochodzenia. Można się było wprawdzie spodziewać, że prędzej czy później się ulotni, ale przecież pozostawały nie uregulowane kwestie finansowe z Ludwigiem Weiglem.

Było też mało prawdopodobne, żeby przeniosła się do którejś ze swoich dawnych przyjaciółek, bo w tak dobrej komitywie nie była już z żadną z nich. Nasuwało się więc przypuszczenie, że wynajęła pokój w jakimś hotelu albo pensjonacie. Lisa nie chciała jednak dopytywać się o nią, by nie wywołać kolejnej fali plotek. Zdecydowała się zatem zadzwonić na policję. Dopiero późnym popołudniem zastała inspektora Ellmanna.

— Moja pasierbica nieoczekiwanie się ode mnie wyprowadziła — oznajmiła mu.

— Tak, wiem — odrzekł niewzruszony.

Lisa przypuszczała, że Evelyn — nie zdziwiłaby się wcale, gdyby to zrobiła zaraz po otwarciu testamentu — pobiegnęła prosto na policję, żeby ją oczernić. Nie mogła jednak zapytać o to Ellmanna wprost.

— Z pewnością ma pan jej adres — powiedziała tylko.

— Tak.

— Proszę mi go dać! Muszę z nią pomówić.

— Nie sądzę, aby pannie Hammer zależało na rozmowie z panią.

— Ale mnie zależy!

— No dobrze, mogła go pani przecież zdobyć, nie dzwoniąc wcale do mnie. Zatrzymała się w hotelu „Rodenberger Hoff.

Lisa podziękowała i chciała odłożyć słuchawkę.

— Jeszcze chwileczkę, pani Hammer! — powiedział Ellmann pospiesznie.
— Chciałbym zadać pani jeszcze kilka pytań. Czekam na panią jutro rano w moim biurze. Mam nadzieję, że godzina dziewiąta pani odpowiada.

— Kiedy tylko pan zechce.

Lisa powiedziała to spokojnie i dobitnie, ale czuła się kompletnie roztrzęsiona. Kiedy wreszcie skończy się ten obłęd?

Lisa nie przywykła do tego, żeby zwracano na nią szczególną uwagę. Ona sama uważała się zawsze za niepozorną. Jako nastolatka próbowała temu zaradzić stosując jaskrawy makijaż — dawno już jednak z tego zrezygnowała. Czuła się więc zdeprimowana faktem, że ledwie zdążyła wejść do hotelowego hallu, a już wszystkie spojrzenia skierowane były na nią. Na jej widok para, pogrążona właśnie w rozmowie, zamilkła. Jakiś starszy mężczyzna odłożył gazetę i przypatrywał się jej nachalnie. Kilku biznesmenów zadało sobie sporo trudu, by nie przyglądać się jej zbyt natarczywie, ale Lisa złowiła ich stłumione szepty. I choć nie mogła dosłyszeć, co do siebie mówili, łatwo było się tego domyślić: „Czy to nie ona? — Tak, to ona. Jestem tego pewny!”, „Czy ona naprawdę zabiła tego starego? — To chyba oczywiste”.

Śmierć męża zmieniła jej życie i sprawiła, że nagle stała się obiektem powszechnego zainteresowania. Zadawała sobie pytanie, czy kiedykolwiek będzie mogła znowu prowadzić normalne, wolne od wścibskiej ciekawości postronnych życie, nawet jeżeli ta sprawa zostanie ostatecznie wyjaśniona. Było jej ciężko na duszy.

Mimo to podeszła do recepcji wyprostowana i z wysoko uniesioną głową. Kiedy zapytała o swoją pasierbicę, młodzieniec za kontuarem był bardziej zmieszany niż ona. Dowiedziała się od niego, że Evelyn jest w barze.

Lisa miała nadzieję, że porozmawia z nią w cztery oczy. W tym stanie rzeczy było to jednak niemożliwe. Przez chwilę miała ochotę zrezygnować, przemogła się jednak i ruszyła w stronę baru.

Panował tam lekki półmrok. Lisa potrzebowała czasu, żeby przyzwycząić do niego oczy, stąd też nie rozpoznała Evelyn od razu. Tym bardziej, że spodziewała się zastać ją samą. Evelyn tymczasem flirtowała już z niemłodym, chociaż przystojnym mężczyzną. Siedziała na wysokim stołku barowym, trzymając, jak to było w jej zwyczaju, nogę na nogę w taki sposób, by można było podziwiać jej kolana, i śmiała się szczebiotliwie.

Lise znów opanowała pokusa, by zrobić w tył zwrot i po prostu wyjść. Przemogła się jednak i podeszła do baru.

— Evelyn! — odezwała się proszącym tonem.

Powiedziała to bardzo cicho, reakcja tych dwojga przy barze była jednak gwałtowna. Evelyn i jej rozmówca odwrócili się jednocześnie.

Mężczyzna zmierzył ją wzrokiem pełnym nieskrywanej ciekawości, Evelyn zimnej nienawiści.

— Ty? — syknęła. — Masz czelność?

— Musimy ze sobą porozmawiać — powiedziała Lisa.

— Wynoś się! — parsknęła Evelyn.

Także pozostali bywalcy baru zwrócili teraz uwagę na obie kobiety.

— Evelyn, proszę! Chyba nie chcesz skandalu?

— Odczep się! — Evelyn odwróciła się do Lisy plecami.

— Pójdę dopiero wtedy, kiedy mnie wysłuchasz! — oświadczyła Lisa stanowczym tonem.

Mężczyzna obok Evelyn zabrał swój kieliszek i chwiejnie zszedł ze stołka.

— Uważam, że będzie lepiej, jeśli zostawię panie teraz same — zaśmiał się cynicznie.

— Może poszukamy sobie jakiegoś spokojnego miejsca! — zdecydowała Lisa, wskazała na kieliszek Evelyn i zwróciła się do barmana:

— Dla mnie to samo! — po czym skierowała się do pierwszego wolnego stolika.

Gdyby jej pasierbica pozostała przy barze, Lisa musiałaby zrezygnować z tej rozmowy. Evelyn jednak podążyła za nią, by po chwili przysiąc się do jej stolika.

— Twoje szczęście, że czekam tu na kogoś — powiedziała sącąc alkohol ze szklaneczki i zapalając papierosa.

— Chodzi o testament.

— Wcale nie omamiłaś ojca, nic nie wiedziałaś, że zrobił cię swoją główną spadkobierczynią, wcale nie chcesz tych pieniędzy — bla, bla, bla... Możesz sobie oszczędzić tych bredni!

— Nie, muszę ci wyjaśnić coś całkiem innego: jeżeli zrzeknę się spadku, to Artur przejmie całą fortunę. Tak przynajmniej twierdzi Ludwig Weigel, a on chyba wie, co mówi.

— Co?! — Evelyn wpatrywała się w nią szeroko rozwartymi oczami.

— Dlatego musimy spróbować znaleźć jakieś inne wyjście.

— Jakie?

— Tego jeszcze nie wiem. Musimy się nad tym wspólnie zastanowić. Może skonsultować się z adwokatem?

— Chcesz mnie tylko zwieść! — Evelyn zaciągnęła się głęboko papierosem i wypuściła chmurę dymu. — Artur nigdy nie zagarnąłby wszystkiego dla siebie.

— Ma do tego prawo i w dodatku wydaje się nader chętny, aby z tego prawa skorzystać.

— Cholera jasna! — zaklęła Evelyn siarczyście.

— Tak, sytuacja jest szalenie skomplikowana — zgodziła się Lisa. — Dlatego powinniśmy zostawić emocje z boku, musimy usiąść we trójkę przy stole i rozsądnie ze sobą pogadać.

Kelner przyniósł zamówiony napój, Lisa skosztowała i stwierdziła, że był to gin z tonikiem.

— Evelyn — powiedziała niemal błagalnie — nigdy nie byliśmy wprawdzie prawdziwymi przyjaciółkami, ale jak dotąd żyłyśmy przecież zawsze w zgodzie. Nie powinnyśmy dać się skłócić z powodu testamentu Brunona. Nie chcę tej firmy, nigdy jej nie chciałam. A chyba sobie nie wyobrażasz, że zależy mi aż tak bardzo na tym domu?

Ale Evelyn wcale jej już nie słuchała. Wypatrywała kogoś gdzieś ponad jej głową i po chwili zawołała:

— Jest wreszcie!

— Kto?

Evelyn wskazała ruchem głowy wejście do baru:

— Peter Milz.

Na dźwięk tych słów Lisa drgnęła.

Peter Milz podszedł do ich stolika. Był to barczysty mężczyzna przed trzydziestką, z krótko ostrzyżonymi jasnymi włosami. Jego prężne ciało opinał ciemny garnitur, który nosił najwyraźniej dosyć rzadko. Rękawy i nogawki były nieco przykrótkie, a marynarka zbyt dopasowana.

Uśmiechając się z zażenowaniem, ukłonił się Evelyn, spróbował nawet niezręcznie pocałować ją w rękę. Dopiero wówczas dostrzegł Lisę i mięśnie jego twarzy stężały.

— Was nie muszę chyba sobie przedstawiać? — zapytała retorycznie Evelyn i uśmiechnęła się złośliwie.

Peter i Lisa spojrzeli na siebie. Oboje czuli się nieswojo, choć każde z nich odczuwało to inaczej. Chodzili kiedyś ze sobą, zanim Lisa nie zdecydowała się na małżeństwo.

— Koszmarnie kiepsko ci się teraz powodzi, co? — spytał w końcu Peter. — Sama jesteś sobie winna.

Lisa wstała.

— Dziękuję ci za słowa otuchy. Takt zawsze był twoją mocną stroną.

— Chcesz już iść? — zapytała Evelyn, udając zaskoczenie. — Przecież prawie nic nie wypiąś.

— Myślę, że Peter może dokończyć mojego drinka — oświadczyła Lisa, po czym zwróciła się do Petera: — Chyba nie będzie ci to przeszkadzało?

Wzruszył ramionami, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

* * *

Inspektor Ellmann przyjął Lisę następnego ranka w swoim biurze, choć nazwa „biuro” była może nieco zbyt szumna na określenie pokoju o pustych ścianach, ozdobionych kalendarzem sieci banków Raiffeisen, gdzie stało jedynie biurko z telefonem, komputer i popielniczka. Oprócz Ellmanna czekał tam jeszcze młody policjant, którego Lisa nie знаła i który nie został jej przedstawiony. Ellmann przywitał się dość uprzejmie i Lisa zajęła miejsce naprzeciwko niego, przyciskając mocno kolana do siebie. Młody policjant, który wstał kiedy Lisa wchodziła, usiadł przy krótszej krawędzi biurka.

— Mogę więc chyba pani pogratulować, pani Hammer — zagaił inspektor i tradycyjnie zapalił papierosa.

Lisa zrozumiała, że zrobił aluzję do treści testamentu, ale nie miała ochoty rozwodzić się nad tą sprawą akurat w rozmowie z Ellmannem. Powiedziała więc tylko:

— Dziękuję.

— Nie było chyba dla pani zaskoczeniem, że zmarły uczynił panią swą główną spadkobierczynią?

— Było — oświadczyła Lisa.

— Utrzymuje więc pani, że nic o tym nie wiedziała?

— Nie miałam o tym pojęcia.

— Mimo, że notariusz był dwukrotnie wzywany do pani domu?

— Tylko raz byłam obecna podczas jego wizyty. Za drugim razem musiałam być chyba w mieście.

— Mimo to — inspektor zaciągnął się głęboko — musiała pani przecież o tym myśleć.

— Nie — odparła Lisa, by po krótkim wahaniu dodać: — Przypuszczałam raczej, że Brunon zmniejszył wysokość zapisu, jaki dla mnie przeznaczył.

— Dlaczegoż to?

— Zanim przyszedł notariusz — nie pamiętam już dokładnie, kiedy to było, ale gdzieś pod koniec sierpnia — mąż bardzo się na mnie pogniewał.

— Z jakiego powodu?

— Czuł się marnie.

— I obwiniął o to panią?

— Oczywiście wiedział, że to nie moja wina. Ale oprócz mnie nie było przecież w domu nikogo, na kim mógłby wyładować swój zły humor.

— Czy bardzo go to dotknęło, gdy córka nie pojawiła się na jego urodzinach? O ile wiem, nawet do niego nie zadzwoniła. Przysłała mu z tej okazji jedynie telegram.

— Był na nią zły, to prawda, ale on często bywał na nią zły. Czuł się przez nią zaniedbywany. Sądzę, że w ogóle nie liczył, iż pojawi się na jego urodzinach. Zrobiłaby mu niewątpliwie niespodziankę.

— Ale chyba zwierzał się pani, że zamierza zostawić jej tylko legitymę?

— Nawet dość często. Tak często, że z czasem przestałam w to wierzyć.

— Nie uznała pani za konieczne ostrzec pannę Hammer? — zapytał policjant, gasząc papierosa.

— Zawsze kiedy dzwoniła nalegałam, żeby zaczęła się wreszcie troszczyć o własnego ojca.

— Ale nie wspomniała jej pani o grożącym jej niebezpieczeństwie utraty sporej części spadku.

— Nie. Uznałam, że to wykluczone, aby mój mąż posunął się wobec niej aż do tego. Evelyn była przecież zawsze jego ulubionym dzieckiem.

— Czy ma to oznaczać, że córkę cenił bardziej niż syna?

— Artur nie potrafił prawić ojcu takich komplementów jak ona, gdy przypadkiem tu zawitała. Ale jak pan na pewno wie, nie pokazała się u nas od ponad roku.

— Czy sądzi pani, że to możliwe, by miała za złe panu Hammerowi jego małżeństwo z panią?

— Dlaczego miałyby mu to mieć za złe?

— Z reguły tak bywa, kiedy ojciec żeni się po raz drugi, a zwłaszcza gdy decyduje się na związek z kobietą, która jest w wieku jego własnej córki.

— To wykluczone. Evelyn dokładnie wiedziała, że poślubił mnie tylko po to, żeby mieć pewność, że będę się nim opiekowała do końca.

— Czy to było takie oczywiste? — Ellmann znowu sięgnął po papierosa.

— Tak.

— Czy mimo to nie mogła sądzić, że pani wyparła ją z jego serca?

Lisa, która odpowiadała jak dotąd na wszystkie pytania bez oporu, tym razem zaprotestowała.

— Dlaczego nie zapyta pan o to Evelyn?

— Już to zrobiłem...

— I ona stwierdziła, że... — Lisa wciągnęła głośno powietrze.

— To już szczyt wszystkiego! Powinna była raczej częściej bywać u swego własnego ojca. Wystarczyło, by co jakiś czas przejmowała nad nim opiekę. Tyle razy ją o to prosiłam. Miałabym dzięki temu szansę choćby na krótki urlop.

— Panna Hammer nie jest pielęgniarką.

— Tego nie musi mi pan mówić! Ale uważam, że jest wiele kobiet, które pod nadzorem lekarza pielęgnują swoich chorych mężów, dzieci czy rodziców — i nikt ich tego nie uczył!

— Pani oczywiście tak to przedstawiała swojemu mężowi?

— Nie, nie robiłam tego. To by go tylko zdenerwowało. Przeciwnie: zawsze starałam się, żeby był w dobrym nastroju.

— Ale dawała mu to pani do zrozumienia.

— Jak może pan twierdzić coś podobnego? — Lisa powoli zaczynała tracić nad sobą panowanie, z trudem hamowała wybuch.

— Zawsze brałam ją w obronę i wymyślałam różne wymówki, nawet gdy z czasem stawało się to coraz trudniejsze i coraz bardziej przykre. W końcu...

— A więc jednak!

Lisa zerwała się z miejsca:

— Co pan ma na myśli?

— W końcu — wyjaśnił nadinspektor ostrożnie — przyznała pani mężowi rację, że zachowanie córki wobec niego jest podłe.

— Nie! To nieprawda! Jak może pan w ogóle coś podobnego insynuować?

— To przecież ludzkie.

— Może pan spytać Artura! Był przecież na urodzinach Brunona. On może panu powiedzieć, jak broniłam Evelyn. Wmawiałam mężowi, że miała jedyną okazję, by polecieć do Stanów i że na Boże Narodzenie na pewno już przyjedzie.

— Uwierzył pani?

— Przynajmniej dał się uspokoić — Lisa zrobiła krok w kierunku drzwi.

— Proszę usiąść z powrotem! — polecił jej inspektor Ellmann. — Jeszcze nie skończyliśmy.

Lisie nie pozostało nic innego, jak ponownie zająć swoje miejsce. Była wyczerpana. Inspektor to zauważył.

— Może chce pani szklankę wody? — zaproponował i wskazując ruchem głowy na młodego policjanta dodał: — Wagner może przynieść też pani filiżankę kawy.

— Nie, dziękuję! — odpowiedziała Lisa ostro. — Nie zamierzam przekształcać tego przesłuchania w piknik.

Ellmann chrząknął.

— A więc trzymajmy się faktów. Faktem jest, że zmarły uczynił z pani główną spadkobierczynią, podczas gdy swojej córce zostawił jedynie legitymę.

Lisa zacisnęła usta. Nie widziała żadnego powodu, żeby reagować na oczywistą sugestię Ellmanna.

— Możemy założyć, że zdecydował się na to, żeby po pierwsze, ukarać swoją córkę, po drugie, żeby panią wynagrodzić. — Tu policjant dla zobrazowania swego wywodu, posłużył się swymi mięsistymi palcami. — Jesteśmy zgodni?

— Nie wiem, dlaczego Brunon to zrobił, ale wiem, że pan również nie ma o tym bladego pojęcia! — podsumowała Lisa. — Nawet go pan przecież nie znał.

— Opowiedziała nam pani wcześniej, że zmarły poślubił panią po to, żeby upewnić się co do pani opieki. Czy przynajmniej to się zgadza?

— Tak.

— Tym małżeństwem chciał wyrazić swoją wdzięczność i uznanie dla pani wysiłków. Czy można to tak ująć?

— Mniej więcej tak.

— Więc możemy chyba przyjąć, że te same motywy skłoniły go potem do uczynienia pani główną spadkobierczynią?

— Tego nie można wykluczyć — przyznała Lisa.

— Bardzo dobrze! — rzekł z zadowoleniem inspektor Ellmann. — Wydaje się zatem oczywiste, że powinien był pani o tym powiedzieć.

— A jednak tego nie zrobił.

— Jakież miałoby to sens, gdyby o tym dowodzie uznania dowiedziała się pani dopiero po jego śmierci?

— Nie wiem.

— Po śmierci już przecież niczego nie potrzebował.

— Jest pan diabelnie logiczny, w życiu jednak nie wszystko układa się tak logicznie.

— Sugeruje więc pani, że zmarły nie był człowiekiem logicznie myślącym?

— W interesach, rzecz jasna, był, inaczej nie osiągnąłby tego wszystkiego, co osiągnął.

— A prywatnie?

— Nie zawsze. W przeciwnym razie nie wyładowywałby całej złości z powodu bólów i kiepskiego samopoczucia na mnie, wiedział przecież, że nie ponoszę za to żadnej odpowiedzialności.

— Czy to możliwe, żeby w stosunku do pani czuł się w jakiś sposób winny?

— Był mi wdzięczny, to prawda. Ale wydaje mi się, że o tym już mówiliśmy. — Lisa zaczęła się niecierpliwić. — To całe gadanie nie posuwa nas ani o krok naprzód.

— Twierdzi więc pani w dalszym ciągu, że nie wiedziała o zmianie testamentu.

— Tak.

— Przykro mi, ale nie mogę w to uwierzyć.

— W takim razie nie pojmuję, dlaczego mam dłużej odpowiadać na pańskie pytania! — Lisa podniosła się ponownie.

— Będziemy rozmawiać tak długo, aż zdecyduje się pani powiedzieć prawdę.

— Przecież nic innego przez cały czas nie robię! Jakież znaczenie może mieć zresztą to, czy wiedziałam o testamencie czy nie? Chyba sobie pan nie wyobraża, że zasztyletowałam męża, żeby dostać spadek?

Inspektor Ellmann nie odpowiedział. Minęło kilka sekund, zanim do Lisy dotarło, co oznacza ta pauza.

— Chyba nie myśli pan tego poważnie! — wyszeptała. — Uważa pan, że mogłabym... o, mój Boże! — Kolana ugięły się pod nią i opadła z powrotem na krzesło.

— Szklanekę wody?

Lisa potrząsnęła głową. Czowała suchość w ustach, ale wzdragała się prosić o coś człowieka, który uważa ją za zdolną do popełnienia tak okropnego czynu.

— Wagner — powiedział inspektor do swojego asystenta — niech pan otworzy okno!

Młody mężczyzna wykonał polecenie i usiadł ponownie. Rzeczywiście, świeży powiew, który wpadł do pomieszczenia i zaszeleścił papierami na biurku, dobrze Lisie zrobił.

— Byłam nie tylko jego żoną, byłam także pielęgniarką odpowiedzialną za stan jego zdrowia. Jakże mogłabym zrobić coś tak potwornego?

— Takie pytania ludzie zadają sobie po każdej zbrodni — odparł Ellmann nieporuszony.

Umysł Lisy pracował gorączkowo.

— Insynuuję więc pan, że wiedziałam o nowej wersji testamentu?

— Tak jest — Ellmann zapalił papierosa.

— Ale zmiany w testamencie nie dotyczą przecież tylko mnie, lecz także, a może przede wszystkim, Evelyn. Jeżeli pan zakłada, że Bruno poinformował o tym mnie, to dlaczego nie powiadomił Evelyn? Chciał ją przecież w ten sposób ukarać, jak sam pan to określił. Miałby z tego przynajmniej jakąś korzyść za życia.

— Spotkałem już dostatecznie wielu ludzi, którym sprawiało przyjemność wyobrażanie sobie twarzy spadkobierców rozczarowanych i zawiedzionych podczas odczytywania testamentu.

— Ale także i tych mile rozczarowanych! Musi pan to chyba przyznać.

Ellmann zaciągnął się kilkakrotnie głęboko i zgasił papierosa energicznym ruchem. Lisa zwróciła uwagę, że popielniczka była już wypełniona niedopałkami niemal po brzegi.

— Poprzestańmy więc na tym! — oświadczył, dodając groźnie: — Na razie!

Lisa odetchnęła.

— Mogę już odejść?

— Tak, ale muszę pani zakomunikować, że nie wolno pani opuszczać miasta.

Wagner wstał i otworzył jej drzwi. W jego oczach dojrzała cień współczucia. Ale to nie mogło jej przynieść pociechy.

* * *

Kiedy Lisa wróciła do domu Hammerów przy alei Parkowej, powitał ją zapach jedzenia, dolatujący z otwartych drzwi kuchni. Przy kuchence stał Artur.

— Podgrzewam sobie zupę jarzynową — wyjaśnił.

— Przepraszam, że nic nie ugotowałam, ale...

— Wiem, wiem, wezwano cię na policję.

— Było tak źle, jak nigdy. Otwarcie oskarżył mnie o popełnienie morderstwa.

— Nie przejmuj się! Oni próbują różnych sztuczek.

— Z tobą także?

— Mam to jak w banku.

— Ale ty byłeś przecież w Stuttgarcie.

— Musiałbym to najpierw udowodnić. Lisa osunęła się na krzesło.

— Och, Arturze! Spojrzał na nią dziwnie:

— Chcesz trochę zupy? Starczy dla dwojga.

Atmosfera domu i obecność młodego człowieka, który tak spokojnie stał przy kuchence, pozwoliły Lisie zapomnieć o koszmarze przesłuchania. Prawie uwierzyła w to, że jedynym zamysłem Ellmanna było przyparcie jej do muru. Jednak czuła się jeszcze słabo i pozwoliła, żeby Artur nakrył dla nich w małym saloniku. Przyniósł też dwa kieliszki i butelkę wina z lodówki.

— Jesteś taki kochany! — powiedziała, siadając do stołu.

— To mój obowiązek. Powinniśmy się teraz trzymać razem — odparł, uśmiechając się krzywo.

Opróżniła swoją lampkę jednym haustem i poczuła, że jej policzki znowu nabierają koloru.

— Poza tym — mówił Artur — była tu pani Gaertner. Zebrała swoje manatki i oddała mi swój klucz. Ten problem mamy więc z głowy.

— Ach, Arturze, jak długo to jeszcze potrwa?!

— Też chciałbym to wiedzieć. W Stuttgarcie nie będą wcale zachwyceni, że zamiast pracować, muszę tu tkwić. Przypuszczalnie obetną mi urlop — skonstatował, dolewając Lisie wina.

Choć Artur był rozmowniejszy niż zwykle i najwyraźniej chciał Lisę rozweselić, posiłek przebiegał w dość ponurej atmosferze. Oboje nie mieli ochoty rozmawiać na temat, który ich tylko przygnębiał, a nic innego nie przychodziło im do głowy.

— Co zamierzasz dzisiaj robić? — spytała w końcu Lisa. Wzruszył ramionami.

— A jaki mam wybór?

Stało się dla niej jasne, że pragnie unikać kontaktów ze swoimi dawnymi przyjaciółmi z obawy, że stanie się obiektem niezdrowej sensacji.

— Przepraszam! To było głupie pytanie!

Pomógł jej sprzątnąć ze stołu, a potem poszedł do swojego pokoju.

Lisa sprawdziła zawartość lodówki i sporządziła listę produktów, które w najbliższym czasie będą jej potrzebne. Kto jednak robi zakupy? W przeciwieństwie do Evelyn, Lisa nie miała odwagi tak beztrąsko pojawiać się w mieście. Prawdopodobnie będzie musiała poprosić o to swoją matkę. Ale zobaczy się z nią dopiero późnym popołudniem. Jakże chętnie pobiegłaby do niej teraz, by przy filiżance kawy i kawałku ciasta własnego wypieku pozwolić się pocieszać i rozpieszczać! Tylko że w tym stanie ducha zaraziłaby ją swoimi obawami. Nie było sensu niepokoić matkę.

Cóż miała teraz ze sobą począć? Powinna spakować rzeczy zmarłego i oddać je którejś z organizacji dobroczynnych. Ale dopóki dochodzenie policyjne nie zostało zakończone, było na to jeszcze za wcześnie.

Tak czy owak, zamiast marnować czas, lepiej zrobić coś pożytecznego. Lisa postanowiła więc wysprzątać dom. Ponieważ pani Gaertner przestała już przychodzić, to ona powinna przejąć jej obowiązki. Jeżeli każdego dnia wysprząta jeden pokój, to po czternastu dniach upora się ze wszystkimi.

Na samą myśl o tym zdumiała się. Za czternaście dni? A co potem? Czy w dalszym ciągu nie będzie mogła wychodzić z tego domu? Chciała się przecież stąd wydostać i rozpocząć wreszcie wymarzone studia. I choć w tym roku było już na to za późno, powinna przynajmniej zacząć przygotowania. Szybko odsunęła od siebie tę myśl. Jej obecna sytuacja nie pozwalała na snucie tak odległych planów. Dopóki mieszkała w tym domu, musiała w nim utrzymywać porządek.

Zdecydowanym krokiem poszła do swojego pokoju, zdjęła ciemną, wełnianą sukienkę, zamieniając ją na jeden ze swoich fartuchów pielęgniarских. Wokół głowy owinęła kolorową chustkę. Potem ponownie zeszła na dół i zaczęła porządki od pokoju ogrodowego, w którym pozostały jeszcze ślady ostatniej zabawy. Włączyła odkurzacz i przejechała nim po dywanie.

Kiedy w otwartych drzwiach do ogrodu ukazała się ciemna sylwetka mężczyzny stojącego pod światło, Lisa przestraszyła się. Dopiero po chwili rozpoznała inspektora Ellmanna. Wyłączyła odkurzacz.

— Ach, to pan!

— Dzwoniłem, ale nikt nie otwierał.

— Nic nie słyszałam.

— Prawdę mówiąc obawiałem się, że jest już pani daleko stąd.

— Nie zdążyłbym chyba zajechać zbyt daleko — nagle przyszło jej do głowy coś innego — ale panu by to odpowiadało. Próba ucieczki byłaby równoznaczna z przyznaniem się do winy, prawda?

— Jest pani bardzo przenikliwa.

Inspektor wszedł do środka. Dopiero teraz Lisa zauważyła, że nie jest sam. Towarzyszyła mu pewna kobieta. Miała na sobie beżową garsonkę, w rękę trzymała skórzaną aktówkę. Ellmann przedstawił ją Lisie.

— Pani inspektor wydziału kryminalnego Lauterwies. Urzędniczka nie wyglądała na starszą od Lisy, była jednak zarówno bardziej elegancka, jak i ładniejsza. Miała duże, brązowe oczy, ciemne, kręcone włosy i odpowiedni makijaż. Lisa wydawała się przy niej zupełnie niepozorna.

Na jej widok Lisa machinalnie zdjęła z głowy chustkę.

Ellmann bezlitośnie zmierzył ją wzrokiem.

— Widzę, że już po żałobie.

— Myli się pan! — odparła. — Ale i w czasie żałoby trzeba czasem posprzątać.

— Ma pani oczywiście rację — przyznał.

— Chciał pan ze mną mówić? — rozejrzała się po pokoju, w którym panował nieład. — Tutaj nie jest zbyt przytulnie. — Przez moment zastanawiała się nad swymi ostatnimi słowami. „Przytulnie czy nieprzytulnie, jakie to ma teraz znaczenie?”

— Chodźmy do biblioteki,— zaproponował Ellmann. Pewnym krokiem ruszył w stronę drzwi i otworzył je, przepuszczając przed sobą inspektor Lauterwies i Lisę.

Z dużą pewnością siebie zajął miejsce w fotelu z wysokim oparciem stojącym za biurkiem, przy którym usiadła również policjantka. Lisa stała.

Ellmann zapalił papierosa. Lisa podała mu małą porcelanową podstawkę, która stała na niskim ośmiokątym stole. Usługiwanie mu wydało jej się głupie, ale sprawiał wrażenie osoby, która byłaby w stanie strząsać popiół na podłogę, a papierosa zgasić na blacie biurka.

Podziękował jej skinieniem głowy.

— Streszczajmy się! — powiedział, dając znak policjantce, która otworzyła aktówkę i wyjęła z niej worek foliowy, w którym znajdowała się para sportowych butów, białych, z niebieskimi paskami.

— Pani Hammer — zapytał Ellmann — czy te buty należą do pani? Proszę nie odpowiadać, jeżeli obawia się pani, że może ją to obciążyć. Może chciałaby się pani naradzić najpierw ze swoim adwokatem?

— Nie. Nie mam adwokata.

— No więc — co z tymi butami?

— To całkiem zwyczajne trzewiki. Jestem pewna, że istnieją tysiące podobnych.

— Czy jest pani w posiadaniu takiej pary?

— Tak, ale jeśli chodzi o te, nie mogę stwierdzić, czy są moje. Nie mają przecież żadnych znaków szczególnych.

— W jakich okolicznościach używała pani zwykle swoich butów?

— Podczas spacerów po ogrodzie. Inspektor Ellmann zmarszczył brwi.

— Nie wspominała nam pani dotąd o tym swoim zwyczaju.

— Nikt mnie przecież o to nie pytał.

— Trudno mi sobie wyobrazić, że miała pani na to czas.

— Zdziwi się pan, ale jakoś go znajdowałam. Musiałam przecież dbać o formę. Mój mąż też to przyznawał. Człowiek potrzebuje ruchu.

— Wcześniej jednak utrzymywała pani, że w ogrodzie nie miała pani nic do roboty.

— I to się zgadza. Nie musiałam się troszczyć o jego wygląd, przycinać trawników, wyplenianie chwastów i tak dalej. Ale nie twierdziłam wcale, że nigdy tam nie byłam.

Teraz do rozmowy włączyła się pani Lauterwies.

— Czy zechciałaby pani jednak usiąść, pani Hammer? — zaproponowała, a zwracając się do Ellmanna dodała: — Zdaje się, że to trochę potrwa.

— Nie mam nic przeciwko temu — powiedział Ellmann, wyraźnie rozdrażniony tą przerwą w przesłuchaniu.

Pani Lauterwies zniosła to spokojnie.

— Dziękuję — powiedziała Lisa. — Równie dobrze mogę stać. Inspektor zgasił papierosa tylko po to, żeby po chwili sięgnąć po następnego.

— Proszę mi opowiedzieć o pani spacerach, pani Hammer.

— Właściwie nie były to wcale spacery. Raczej dłuższe przebieżki. Truchtałam sobie wokół trawników, zawsze dróżkami dookoła.

— Zatrzymywała się pani gdzieś po drodze?

— Tak.

— Nie szperała pani przypadkiem w krzakach?

— Po co miałabym to robić?

— Szperała pani — tak czy nie?

— Nie.

— Jak wytłumaczy pani zatem fakt, że na podszwach znaleźliśmy ślady ziemi z drugiego końca ogrodu? Droga jest przecież wysypana żwirem?

— Wobec tego nie są to moje buty.

Ellmann zaciągnął się tak głęboko, że aż zakasłał, co wybiło go nieco z rytmu.

— Więc proszę nam powiedzieć, gdzie są teraz pani buty!

— Na tarasie.

Policjant wskazał dramatycznym gestem na buty w plastikowej torbie:

— Stamtąd je właśnie wzięliśmy!

— To niemożliwe!

— Wysłaliśmy je do analizy laboratoryjnej. Tam odkryto na nich ziemię, dokładnie taką samą jak pod krzakiem leszczyny, a tam właśnie znaleźliśmy narzędzie zbrodni.

Lisa chciała zaprotestować, ale nic poza chrapliwym rżeniem nie wydobyło się z jej gardła. Ziemia pod jej stopami zachwiała się, a pokój zawirował. Potem zrobiło jej się czarno przed oczami.

Gdy przyszła do siebie, leżała na dywanie. Pod stopami miała miękką poduszkę. Obok niej kucąca inspektor Lauterwies, podsuwając jej pod nos buteleczkę z solami trzeźwiącymi. Jej brązowe oczy patrzyły na Lisę z troską. Lisa zmusiła się do uśmiechu.

— Powinam była usiąść! W ostatnim czasie... sama nie wiem, co się ze mną dzieje.

— Proszę się tak nie dręczyć! — zawołała przyjaźnie młoda policjantka.

— Ja? Nie dręczyć się? Proszę to lepiej powiedzieć Ellmannowi!

— Na dłuższą metę pani tego nie wytrzyma.

— Muszę.

— Niech się pani zdobędzie na szczere wyznanie. Proszę mi wierzyć, poczuje się pani bez porównania lepiej.

Dopiero teraz Lisa zorientowała się, do czego zmierza ta kobieta.

— Uważa mnie pani za winną! — zawołała przerażona i wyprostowała się.

— Powoli, powoli! — ostrzegła Lauterwies. — Bo znowu pani zemdleje.

— Ja tego nie zrobiłam! Przysięgam na wszystko, co jest mi najświętsze, nie jestem morderczynią!

Teraz dopiero dostrzegła inspektora Ellmanna i chociaż w rzeczywistości nie był specjalnie wysoki, Lisie leżącej na podłodze wydawał się potężny.

— No i sama pani widzi, Ireno! — powiedział. — Po dobroci nic się z nią nie wskóra.

Jego wypolerowane na połysk, czarne buty znalazły się tak blisko twarzy Lisy, że ta skurczyła się nagle, jakby w obawie, że ją rozdepczą.

— Nie! — krzyknęła i uczepliła się Ireny Lauterwies. — Proszę, nie!

Młoda policjantka trzymała ją w objęciach.

— Proszę się nie denerwować! Nic pani nie grozi. Teraz spróbujemy wstać powoli, bardzo powoli i ostrożnie, tak?

Nawet wtedy gdy stała już o własnych siłach, Lisa nie odważyła się puścić policjantki bojąc się, że może stracić równowagę. Lauterwies posadziła ją delikatnie w jednym z foteli.

Lisa wciąż była oszołomiona. Kiedy policjantka zostawiła ją samą, poczuła się jeszcze bardziej zagubiona. Teraz nie patrzyła już na Ellmanna jak na policjanta, którego zadaniem było wyjaśnić sprawę morderstwa, lecz jak na wroga, przed którym należy mieć się na baczności.

Inspektor Lauterwies wróciła ze szklanką wody, podała Lisie różową pigułkę i powiedziała:

— Proszę to połknąć!

Lisa przełknęła tabletkę, popijając wodą ze szklanki — dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo była spragniona. Siedziała ściskając udami dłonie i próbowała zrozumieć, jak doszło do tego, że sprawy przybrały taki obrót.

Ellmann i Lauterwies wyszli do sąsiedniego pokoju najwyraźniej po to, aby o czymś ze sobą porozmawiać. Mówili szeptem — zupełnie niepotrzebnie, bo Lisa i tak nie zwracała uwagi na to, co mówili. Była zbyt zajęta sobą.

Po chwili Lauterwies wróciła.

— Czy ma się już pani trochę lepiej? Lisa drgnęła.

— Nie wiem. Tak.

— W takim razie chodźmy na górę! Powinna się pani przebrać!

— Dlaczego?

— Będzie pani musiała pójść z nami.

— Jestem aresztowana?

— Nie.

— W takim razie po co...

— Jeszcze nie, pani Hammer! Chodźmy, proszę!

Lisa podniosła się i wyszła pierwsza do hallu. Czuła się jak lunatyczka. Wszystko wydawało jej się takie nierzeczywiste. Irena Lauterwies weszła za nią na schody. Przed drzwiami swojego pokoju Lisa zatrzymała się.

— Za chwilę wrócę.

— Nie, nie! Wejdę z panią!

W zachowaniu Lisy pojawił się cień dawnej wojowniczości.

— Boi się pani, że mogę skoczyć z okna? Lauterwies nie odpowiedziała bezpośrednio.

— Jestem za panią odpowiedzialna — oznajmiła. Towarzyszyła Lisie także w drodze do łazienki — nie wyszła nawet wtedy, gdy ta brała prysznic. Na koniec Lisa włożyła świeżą sukienkę i wyszcotkowała przed lustrem swe matowe włosy. Oczy miała głęboko zapadnięte, a jej wąskie usta były zupełnie sine.

— To chyba wszystko — powiedziała. — Torebkę i płaszcz mam na dole.

— Powinna pani wziąć trochę rzeczy na noc.

— Chcecie mnie tam trzymać przez całą noc?

— Niestety, to bardzo prawdopodobne.

— Ale przecież nie możecie tego zrobić tak po prostu!

— Przykro mi, ale to możliwe — stwierdziła Lauterwies, a w przypływie życzliwości dodała: — Szef wydziału będzie się teraz starał o nakaz aresztowania. W tym stanie rzeczy powinien go raczej bez kłopotów uzyskać. A nawet gdyby mu się nie udało, dzisiaj i tak nie zdąży pani wrócić.

— Zamkniecie mnie, żebym trochę skruszała? — zapytała Lisa z goryczą.

— Proszę popatrzeć na swoją sytuację realistycznie! Jest całkiem prawdopodobne, że sędzia zdecyduje, by odpowiadała pani z wolnej stopy. Jednak na pani miejscu nie liczyłabym na to, że nastąpi to szybko. W każdym razie byłoby lepiej, gdyby zabrała pani ze sobą najpotrzebniejsze rzeczy. — Wzruszyła ramionami. — Ale decyzja należy oczywiście do pani.

Lisa zaczęła więc pakować swoją płócienną torbę, która od trzech lat stała pod leżanką w bibliotece. Szło jej to dość sprawnie — miała w końcu paroletnią praktykę.

— Czy mogę pożegnać się z pasierbem? — zapytała.

W odpowiedzi inspektor Lauterwies rzuciła ostentacyjne spojrzenie na swój zegarek.

— Zrobię to bardzo szybko. Powinien przynajmniej wiedzieć...

— No dobrze.

Artur nie otworzył od razu, a kiedy pojawił się na progu, miał podpuchnięte oczy i rozwichrzone włosy. Najwyraźniej przed chwilą jeszcze spał.

— Muszę iść na przesłuchanie — wyjaśniła Lisa. — Prawdopodobnie nie wrócę już do domu.

— Zostałaś aresztowana? — spytał wystraszony.

— Jeszcze nie. Proszę, powiadom moją matkę i Ludwiga Weigla! Na stole kuchennym leży lista zakupów...

Policjantka przerwała jej bezceremonialnie:

— Wystarczy. Chodźmy.

— Nie przejmuj się, Liso! — powiedział Artur prędko. — Niedługo wszystko wróci do normy.

Jeszcze zakładając płaszcz medytowała nad tymi słowami. Wydały się jej nienaturalne. Czy nie powinien był raczej powiedzieć: „Wkrótce wszystko się wyjaśni”?

Ale po chwili odsunęła od siebie te myśli. Artur nigdy nie był przecież zbyt mocny w dobieraniu słów. Byłoby niemądre przywiązywać jakiegokolwiek znaczenie do tak pospiesznie wypowiedzianego zdania.

* * *

Na komisariacie rozpoczęto na nowo przesłuchanie. Lisa odetchnęła z ulgą, gdy okazało się, że nie będzie go przeprowadzał Ellmann, którego zdążyła już szczerze znienawidzić. Za biurkiem Ellmanna siedziała teraz Irena Lauterwies. Rozłożyła przed sobą stare protokoły i zaczęła stawiać stare pytania. Mimo wszystko ta młoda kobieta wydała się Lisie na swój sposób sympatyczna, postanowiła więc jeszcze raz podjąć próbę przekonania jej o swojej niewinności. Po raz kolejny odpowiadała na tylekroć zadawane pytania i stopniowo zaczęła uświadamiać sobie, jak wiele przemawia przeciwko niej. Mimo to Irena Lauterwies zachowywała się w stosunku do niej rzeczowo, niemal przyjaźnie. Zarządzała przerwy, kazała przynosić gorącą, słodzoną herbatę i kanapki dbając o to, by Lisa nie opadła z sił. Około dziesiątej zamknęła segregator.

— Jeśli wszystko, co pani mówi, jest zgodne z prawdą... Zmęczona Lisa z oburzeniem wpadła jej w słowo:

— Nigdy nie powiedziałam nic innego jak tylko szczerą prawdę!

— ... mimo to nie chciałabym znaleźć się w pani skórze.

— A któż by chciał?

— Pragnęłabym jakoś pani pomóc.

— Starając się skłonić mnie, bym przyznała się do winy? — zapytała Lisa wyczerpana rozmową.

— Poczulały się pani wówczas dużo lepiej.

— Poczulałabym się lepiej, bo dalibyście mi w końcu spokój — ale tylko na chwilę, ponieważ przyznałabym się do czegoś, czego nie zrobiłam.

— Szkoda — stwierdziła pani inspektor i wstała. Lisa poszła za jej przykładem.

— Czy mogę iść teraz do domu?

— Ciągłe jeszcze pani na to liczy?

— A dlaczego nie? Nakaz aresztowania nie został mi przecież jeszcze wręczony.

— Nie. Dlatego też nie zostanie pani przewieziona do więzienia, lecz przenocuje pani tutaj, w jednej z cel.

— Razem z paroma pijakami? — Lisa aż zadygotała. — Powinnam mieć adwokata!

— Dlaczego dotąd nie wynajęła pani żadnego?

— Ponieważ żadnego nie znam.

— Zajrzyjmy do spisu branżowego. Dzisiaj nikt już nie będzie w stanie pani stąd wyciągnąć, ale dobrze by było, gdyby jutro rano miała pani jakiegoś obrońcę. — Inspektor Lauterwies wysunęła jedną z szuflad biurka, wyjęła cienką, złotą książkę i zaczęła ją kartkować.

— W tej miejscinie nie ma zbyt wielu dobrych obrońców w sprawach karnych. Może byłoby lepiej, gdyby zdecydowała się pani na kogoś z Monachium — sprawa sama w sobie jest dosyć interesująca.

— Chcę takiego, który uwierzy w moją niewinność!

— Ma pani dość wysokie wymagania! O, tutaj! — Lauterwies wskazała palcem na jedno z nazwisk. — Doktor Adam.

— Zna go pani?

— To bardzo przebiegły starszy pan, któremu nic co ludzkie nie jest obce.

— Proszę sprawdzić pod „Z”.

Pani Lauterwies uniosła ze zdziwieniem głowę.

— Dlaczego?

— Bo ten na ostatnią literę w alfabecie ma przypuszczalnie najmniej klientów.

Inspektor Lauterwies zaśmiała się, pokazując białe, trochę nierówne zęby. Lisa nie słyszała jej jeszcze śmiejącej się, ale jak dotąd nie było po temu okazji.

— Możliwe, że ma pani rację. To całkiem sprytne. — Przesunęła palcem po rubrykach. — Zumbruch — nie znam. Chyba niedawno musiał zostać włączony do palestry. Czy rzeczywiście chce pani z nim spróbować?

— Tak, jeśli uda mi się do niego teraz dodzwonić. Inspektor Lauterwies usiadła ponownie i powiedziała, wykręcając numer:

— Zawsze będzie się mogła go pani pozbyć, jeśli okaże się niezbyt sprawny.

Przez chwilę czekały w milczeniu, aż w słuchawce odezwał się czyjś głos. Policjantka podała telefon Lisie.

— Pan Zumbruch? — upewniła się Lisa. — Mówi Lisa Hammer. Jestem oskarżona o zamordowanie męża, choć naprawdę tego nie zrobiłam.

— Czytałem o pani sprawie. — Miał niski, sympatyczny głos.

— Bardzo wiele przemawia przeciwko mnie. Czy mimo to spróbuje pan mi uwierzyć?

— Spróbuję. Sądzę, że tak.

— Dzięki Bogu! — powiedziała Lisa, której zrobiło się lżej na sercu.

— Gdzie pani teraz jest?

— Na policji.

— Zaraz przyjadę. Lauterwies potrząsnęła głową.

— Teraz nie będzie to miało żadnego sensu — powiedziała Lisa do słuchawki — ale może jutro rano?

— O dziewiątej — podpowiadała Lauterwies.

Kiedy Lisa odłożyła słuchawkę poczuła, że dzięki tej krótkiej rozmowie trochę jej ulżyło.

— Dziękuję, pani Lauterwies — powiedziała. — To było bardzo miłe z pani strony.

— Nie jestem pani wrogiem, nawet jeżeli muszę uważać panią za potencjalną zabójczynię. Jestem przekonana, że do tego czynu popchnęła panią skrajna desperacja. Zbyt długo była pani ofiarą straszliwego tyrana.

Lisie opadły ręce.

* * *

Lisa nie spędziła tej nocy, jak się obawiała, w towarzystwie zgarniętych z ulicy pijaków, lecz w osobnej celi. Mimo, że z korytarza można ją było obserwować, zdjęła sukienkę, żeby jej nie pognieść i założyła piżamę. Wsunęła pod głowę zwinięty ręcznik frotte, wyciągnęła się na twardym materacu i natychmiast zasnęła.

Następnego ranka jeden z młodych policjantów zaprowadził ją do umywalni, gdzie mogła zmienić bieliznę i odświeżyć się, podczas gdy on pilnował drzwi z zewnątrz. Później napiła się kawy, którą jej przyniesiono i

zmusiła się do zjedzenia grubej kromki chleba posmarowanej margaryną. Nie chciała już bowiem ryzykować ponownego omdlenia.

Pokój, do którego ją zaprowadzono był większy niż biuro, w którym była przesłuchiwana, ale podobnie umeblowany. Czekał już tam inspektor Ellmann i jeden z jego asystentów, a ponadto adwokat Paul Zumbruch, który od razu podszedł do Lisy z wyciągniętą dłonią.

Ellmann odczytał jej nakaz aresztowania wraz z uzasadnieniem. Gdy skończył, Paul Zumbruch oświadczył, iż musi pomówić ze swoją klientką, zanim zostanie ona przeniesiona do więzienia.

Ellmann zgodził się, patrząc jednocześnie na zegarek.

— Daję panu pół godziny.

— To za mało. Dobrze pan wie, że powinien był pan o wiele wcześniej skłonić moją klientkę, by wynajęła adwokata. Wówczas mógłbym zapoznać się ze sprawą i doradzać jej podczas przesłuchań.

Ellmann zdjął swoje okulary w plastikowych oprawkach i zaczął je miarowo czyścić papierową chusteczką.

— Nie było ku temu okazji — stwierdził sucho.

— Pan żartuje! Trzeba to było zrobić najpóźniej wtedy, gdy uznał ją pan za główną podejrzaną. Możliwe, że wykorzystam to przed sądem.

Ellmann ponownie założył okulary, zmiażdżył chusteczkę i schował ją do kieszeni.

— No więc dobrze — rzekł. — Proszę rozmawiać tak długo, jak będzie trzeba. — Pożegnał się szorstko.

Asystent Ellmanna zaprowadził Ligę i jej adwokata do małego pokoju, w którym stał tylko stolik i dwa krzesła. Okno było niedomyte, ale kolorowe plakaty ożywiały szarzystą ścian. Usiedli naprzeciw siebie.

— Dobrze pan to rozegrał — powiedziała z uznaniem Lisa. Paul Zumbruch był gładko ogolonym brunetem, o wyrazistych rysach, prostym nosie, mocno zarysowanej linii ust i mądrych, brązowych oczach.

— Dlaczego — spytał na wstępie — nie postarała się pani wcześniej o jakiegoś adwokata?

— Ponieważ nie przyszło mi nawet do głowy, że będą mnie podejrzewać, a tym bardziej, że mnie oskarżą.

— To był błąd.

— Obawiam się, że popełniłam więcej niż jeden błąd — przyznała i opowiedziała Zumbruchowi całą historię.

Słuchał uważnie, stawiając dodatkowe pytania, gdzie było to absolutnie konieczne. Lisie sprawił ulgę fakt, że po raz pierwszy opowiada tę historię komuś, kto jest skłonny jej uwierzyć.

— Co pan o tym sądzi? — spytała na koniec.

— Czeka nas ciężka przeprawa.

— Nie wierzy mi pan?

— Wręcz przeciwnie. Jestem przekonany, że mówi pani prawdę. Nikt nie mógłby złożyć tak absurdalnych zeznań, gdyby nie odpowiadały prawdzie.

— Co pan ma na myśli?

— Musiało to chyba wreszcie do pani dotrzeć, przynajmniej teraz. Siedziała pani godzinę przy zmarłym, zanim zaalarmowała pani policję.

— Zanim zauważyłam, że został zamordowany — poprawiła go pospiesznie.

— Ale policji nie musiała pani o tym niówić. Z dokładnym ustaleniem godziny zgonu zawsze są problemy. I dlaczego tak uparcie twierdziła pani, że nie słyszała żadnych podejrzanych odgłosów? Jak mogła być pani tego w ogóle pewna?

— Bo byłam.

— W ten sposób sama pani obudziła w inspektorze prowadzącym dochodzenie — on się chyba nazywa Ellmann, prawda? — podejrzenie, że krytycznej nocy tylko pani i pani mąż mogliście być w domu. To dosyć nieprawdopodobne, że ma pani aż tak twardy sen, żeby zupełnie nie słyszeć wtargnięcia intruza.

— Ale tak właśnie było! Jeśli mi pan nie wierzy...

— Ależ skądże. Wierzę pani. Stwierdzam po prostu, że pani sama stworzyła większość poszlak, które świadczą teraz przeciwko pani.

— Powiedziałam po prostu prawdę. Cóż innego miałam zrobić?

— Przemyśleć wszystko dokładnie, zanim zaczęła pani zeznawać! Albo jeszcze lepiej: bez narady z adwokatem nie otwierać ust w ogóle.

Spojrzała na niego z błyskiem w oczach.

— Dziękuję za dobrą radę! Następnym razem, gdy uwikłam się w jakieś morderstwo, zastosuję się do niej.

Zumbruch wydawał się ubawiony.

— Boję się, że jeżeli takim tonem rozmawiała pani z Ellmannem, to nie można było gorzej zacząć.

— Co w tym złego? — spytała krnąbrnie.

— Miła pani Hammer, przecież nie jest pani już dzieckiem! Czy naprawdę nie wie pani, jak się zdobywa przyjaciół, a jak przysparza sobie wrogów?

Lisa milczała zakłopotana.

— Nie wie pani? — drążył adwokat.

— Nie — musiała przyznać — nigdy nie zwracałam na to uwagi. Zawsze wydawało mi się, że albo się kogoś lubi, albo nie.

— A więc jest pani nadal małą dziewczynką.

Jego opanowanie, nieskazitelna powierzchowność, a także zachowanie, które wydawało jej się protekcyjne, zirytowały Lisę.

— Jak to dobrze, że ktoś się wreszcie nade mną ulitował i nauczy mnie dobrych manier — powiedziała z przekąsem.

— Razem będziemy musieli stanąć do walki, którą mam zamiar wygrać. Nie jest pani głupia. Musiała pani zauważyć, że fakty przemawiają przeciwko niej. Jestem tego pewien. Upiera się pani przy swojej niewinności? Doskonale! Nie upoważnia to jednak pani do atakowania wszystkich wokół bez wyboru, nie zrobi to dobrego wrażenia na przysięgłych.

— Jestem, jaka jestem. Nie widzę powodu, żeby się zmieniać.

— Powód jest! Najlepszy, jaki może być: pani wolność.

Przez sekundę siedziała zupełnie cicho, ze złączonymi kolanami, jak to miała w zwyczaju i zaciśniętymi między udami dłońmi. Potem rzekła speszona:

— Wygląda na to, że wszystko zepsułam?

— Tak można to chyba określić — przyznał ze spokojem.

— I co mam teraz robić?

— Nierozsądnych i budzących wątpliwości wypowiedzi nie może pani już zmienić. Nikt by pani nie uwierzył. Ale może się pani wcielić w rolę kobiety o ujmującym sposobie bycia.

— Przykro mi, nie jestem aktorką!

— Ależ pani jest właśnie taką kobietą! Przez wiele lat ofiarnie zajmowała się pani swoim mężem i on to bardzo sobie cenił, to przecież prawda?

Przytaknęła milcząco.

— Nawet jeśli uważała to pani tylko za swój obowiązek...

— Właśnie tak!

Zumbruch nie pozwolił sobie przerwać.

— ... była to postawa godna najwyższego uznania, na którą tylko niewielu ludzi potrafi się zdobyć. Dlaczego nie jest pani z siebie dumna?

— Teraz już pana zupełnie nie rozumiem.

— Spróbuję pani wytłumaczyć, że nie miała pani żadnego powodu, by zachowywać się tak agresywnie. W stosunku do Ellmanna była to taktyka totalnie nietrafiona.

— Nie wiedziałam, że potrzebna mi jest jakaś taktyka, żeby udowodnić swoją niewinność.

— Znowu pani zaczyna? — rzekł. — To, że zbeształa pani policjanta z wydziału kryminalnego, mogę jeszcze zrozumieć. Ale dlaczego mnie? Czy pani nie rozumie, że chcę pani tylko pomóc? Że jestem może jedynym, który jest jeszcze w stanie to zrobić?

— Przepraszam — szepnęła ze skruchą.

— Proszę tylko nie myśleć, że może mnie pani obrazić albo zranić! Na to jestem zbyt gruboskórny. Nie chodzi tu o mnie, lecz wyłącznie o panią, pani Hammer! Musi się pani nauczyć robić dobre wrażenie, nawet jeżeli będzie to pani przychodziło z diabelnie wielkim trudem.

— Nigdy tego nie potrafiłam — przyznała.

— Nigdy nie była też pani w podobnej sytuacji. I mimo, że kara śmierci została zniesiona, to chodzi teraz dosłownie o pani głowę, pani Hammer! Jeśli uda im się wsadzić panią za kratki, pani życie będzie skończone!

— To niemożliwe!

— Że zostanie pani skazana?

— Tak, to niemożliwe, żeby skazano kogoś, kto nie popełnił żadnego przestępstwa.

— Niech pani nie będzie taka naiwna! Sama się pani uwikłała w sieć poszlak, składając szereg niewątpliwie prawdziwych, lecz mimo to zupełnie nierozsądnych zeznań. Te wypowiedzi przemawiają przeciwko pani. Nawet najbardziej zajadły wróg nie mógłby się z panią rozprawić skuteczniej, niż zrobiła to pani sama. Powinna się pani teraz ratować pokazując, jaka jest pani naprawdę: wyjątkowo szczerą, wyjątkowo naiwną — niewinna ofiara szeregu niejasnych przesłanek.

— Nigdy tak o sobie nie myślałam.

— No to już najwyższy czas. Każda bezczelna odpowiedź, każda napastliwa uwaga, każda przekorna reakcja będzie przed sądem świadczyła przeciwko pani.

— Zawsze sądziłam, że najważniejsze to trzymać się prawdy.

— Czy nie pojęła pani jeszcze, że w tym przypadku prawda to pułapka, w którą pani sama się złapała?

Lisa milczała.

— A co się tyczy testamentu, czy powiedziała pani szczerą prawdę? Czy istotnie nic pani nie wiedziała o tej zmianie zapisu na pani korzyść?

— Testament — wyjaśniła — nie ma tu nic do rzeczy. I tak nie mam zamiaru przyjąć spadku.

Zumbruch zrobił wielkie oczy.

— Czy ma to znaczyć, że chce pani zrezygnować z dziedziczenia?

— Tak — przyznała.

— To najgłupsza z decyzji, jaką mogłaby pani podjąć. Wyglądałoby to tak, jakby miała pani nieczyste sumienie.

— Ale co mam zrobić z domem, z firmą i całą tą resztą?

— O tym może pani pomyśleć później. Jeśli uda nam się uzyskać pani uniewinnienie i będzie pani mogła w ogóle objąć spadek. Do zakończenia procesu i tak nie może pani z niego korzystać. Potem, jeśli chodzi o mnie, to będzie pani mogła oddać wszystko Armii Zbawienia.

— W gruncie rzeczy wcale nie zasługuję na ten spadek.

— Ależ tak. Już chociażby z tego powodu, że tak postanowił testator. Dlatego ponawiam swoje pytanie: Czy wiedziała pani o tej zmianie?

— Naturalnie, że nie.

— To wcale nie jest takie oczywiste. Dlaczego mąż miałby to przed panią zatajać?

— Żeby nie miała pokusy go zabić. Młody adwokat jeszcze szerzej otworzył oczy.

— Te parę tysięcy marek — ciągnęła Lisa — które mi wcześniej obiecał, nie mogło mnie przecież skusić. Ale główna część spadku przedstawia znaczną wartość, nawet jeśli nie da się jej spieniężyć od razu.

— Pani Hammer, pani jest niepoprawna! Jak może pani tak bezmyślnie pleść?

— Ale to przecież prawda! To jasne jak słońce, że z tego właśnie powodu Bruno nic mi nie powiedział.

— Przecież mogła pani zdobyć tę informację w inny sposób. Wystarczyło tylko podsłuchać...

— Nie zrobiłam tego! Nic nie wiedziałam o zmianie testamentu i nie zabiłam mojego męża. Ile razy mam to powtarzać?

— Po co więc snuje pani takie spekulacje? Jak może pani dawać do zrozumienia, że mąż mógł panią posadzać o chęć pozbycia się go dla pieniędzy?

— Był człowiekiem bardzo nieufnym.

— Musiał przecież ufać przynajmniej pani.

— Niekoniecznie. Był na mnie skazany, to prawda. Ale właśnie to budziło jego niepokój. Zawsze zwracał baczną uwagę, jakie lekarstwo mu podaję, przy każdym specyfiku chciał wiedzieć, na co on skutkuje.

— Czy ma to oznaczać, że żył w ciągłym strachu, że mogłaby go pani otruć?

— Tak.

Paul Zumbruch wziął głęboki oddech.

— Pani Hammer, dobrze, że powiedziała to pani tu i teraz. Jako pani obrońca, mogę i muszę znać wszystkie okoliczności tej sprawy. Jednak proszę panią usilnie, dla jej własnego dobra: niech pani nikomu nie wspomina o podejrzeniach męża. Postawiłaby się pani w bardzo niekorzystnym świetle.

— Nie rozumiem. Czy to coś nadzwyczajnego, że pacjent, zdany tylko na łaskę swojego lekarza i pielęgniarki, jest wobec nich nieufny?

— Powiedziała to pani na policji? Lisa zastanowiła się.

— Nie — rzekła — nie było okazji...

— Powinna się pani z tego cieszyć! Możliwe, że sędzia śledczy będzie insynuował coś podobnego. Jeśli to robi, proszę zaprzeczyć. Będzie pani twierdzić, że cieszyła się pani zawsze całkowitym zaufaniem swego męża i proszę się tego trzymać. Pod żadnym pozorem proszę nie snuć jakichkolwiek przypuszczeń.

— Więc z jakiego powodu ukrywał przede mną, że uczynił mnie swoją główną spadkobierczynią?

— Tego można się jedynie domyślać, prawdy nie dowiemy się już nigdy. To nie pani zadanie łamać sobie nad tym głowę. Proszę to zostawić innym. Pomiędzy panią a pani mężem panowało pełne zaufanie. Rozumie mnie pani? Proszę to sobie wbić mocno do głowy i obstawać przy tej wersji — cokolwiek by pani nie powiedziano i o cokolwiek by panią nie pytano. Proszę nie dać się wyprowadzić w pole. I tak stąpa pani po bardzo cienkim lodzie.

— Nie bardzo rozumiem, co to szkodzi, jeśli przyznam...

— Proszę niczego nie przyznawać... Proszę ograniczać się jedynie do bezspornych faktów. Zrobiła już pani wystarczająco dużo głupstw.

— Zdaje się, że ma mnie pan za idiotkę.

— Nie grzeszy pani nadmiarem rozsądku. Gdy pomyślę o tej historii ze sportowymi butami... Proszę mi powiedzieć, pani Hammer, dlaczego tak się pani upierała, że w czasie spacerów nigdy nie zbaczała pani ze ścieżki?

— Ponieważ to prawda.

— Ale po co było twierdzić to z taką pewnością!

— Czego miałabym szukać w tych zaroślach?

— Ani krzty fantazji, co? Mogła pani sprawdzać, czy orzeszki laskowe już dojrzały albo zbierać liście na bukiet.

— Nigdy bym na to nie wpadła...

— Nie musiała pani przecież niczego wymyślać. Wystarczyło tylko oświadczyć, że zdarzało się pani spacerować poza główną alejką.

— No dobrze. Jeżeli pan tak sądzi. Następnym razem tak właśnie powiem.

— Tylko nie to! Teraz już za późno. Proszę się trzymać możliwie wiernie swoich pierwotnych zeznań. Niech pani nie dodaje żadnego słowa ani żadnego nie ujmuje. Poradzi sobie pani?

Wzruszyła ramionami.

— To nic trudnego — będę przecież mówiła prawdę. Nie chcę kłamać.

— Tego nikt od pani nie wymaga. Ale proszę nie odpowiadać bez zastanowienia, tak jakby strzelała pani z karabinu. Zanim pani cokolwiek powie, proszę dobrze pomyśleć! Musi pani unikać składania obciążających panią zeznań. A pytania będą podchwytliwe!

— Będę uważać.

— Mam nadzieję. Myślę, że na dzisiaj wystarczy. Będziemy zmuszeni jeszcze nieraz ze sobą rozmawiać. — Westchnął bez cienia teatralności. — Przyznaję, że ta sprawa nie będzie dla mnie zbyt przyjemna.

— Nie musi pan jej wcale brać.

— I znowu harda, co? Czy wciąż jeszcze pani nie pojmuję, że czyjaś pomoc jest jej nieodzowna?

— Jestem niewinna.

— Tak, wiem. Gdyby ponosiła pani choć odrobinę winy za ten czyn, pani zeznania nie wypadłyby tak idiotycznie. Proszę mi wybaczyć moją bezpośredniość, ale niewiele rzeczy wyprowadziło mnie tak z równowagi, jak pani zachowanie.

— Ale wierzy mi pan przecież?

— Niestety, to nie załatwia sprawy. Czy mogę jeszcze coś dla pani zrobić? Może ma pani jakieś życzenie? Odwiedzę panią tak szybko, jak to będzie możliwe.

— Czy mógłby mi pan przynieść kilka podręczników z zakresu medycyny? Gdy to wszystko się skończy, chcę rozpocząć studia medyczne.

Paul Zumbruch otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, zrezygnował jednak z komentarza.

— To bardzo taktownie z pana strony, panie mecenasie — oświadczyła Lisa — że nie wspomniał pan o wariacie pesymistycznym mojej przyszłości. Gdyby jednak coś poszło źle, nie wiedziałabym nawet, skąd wziąć pieniądze na pańskie honorarium. — Skuliła się pod jego wzrokiem. — Przepraszam! Nie chciałam być cyniczna. To się już więcej nie powtórzy. Obiecuję.

* * *

Przystosowanie się do życia więziennego nie sprawiło Lisie żadnych kłopotów. Uregulowany rozkład dnia współgrał z jej potrzebą porządku. Cella, w której ją osadzono, była skąpo wyposażona, ale właśnie dlatego łatwa do utrzymania w czystości. Wolno jej było mieć tam obrus albo wazon, ale Lisa nie myślała o tym, żeby uczynić ją przytulniejszą. Woląa pamiętać, że pobyt w więzieniu jest jedynie tymczasowy.

Ponieważ w czasie spaceru nie wolno jej było biegać, lecz jedynie chodzić w miarowym tempie, ćwiczenia uzupełniała gimnastyką.

Matka odwiedzała ją tak często, jak tylko mogła. Była bardzo strapiona i wydawało się, że w ostatnich miesiącach gwałtownie się postarzała. Chociaż starała się być dla Lisy ostoją, w rezultacie to Lisa musiała ją pokrzepiać i uspokajać.

— Wszystko będzie dobrze, przecież nie zrobiłam nic złego — powtarzała nieustannie.

— Ach, moja biedna Liso! Czy nadal wierzysz, że jest jeszcze sprawiedliwość na tym świecie?

— Może nie wszędzie. Ale przed niemieckim sądem na pewno! Matka miała zwyczaj przynosić jej świeże owoce, co sprawiało Lisie przyjemność. Poza tym zadowalała się normalną, więzienną strawą, choć jako więzień aresztu śledczego miała prawo do prywatnej aprowizacji. Tylko kiedy kończyły jej się owoce, prosiła jedną ze strażniczek o ich kupno. Kobiety te traktowały ją przyzwoicie, choć z pewną rezerwą. Lisie było to nawet na rękę.

Pokazał się także Ludwig Weigel. Wyjaśnił, że podział spadku nie może dojść do skutku, dopóki sprawa nie zostanie wyjaśniona, o czym Lisa i tak wiedziała. Dodał jej otuchy podkreślając, że cała ta historia jest tylko

pożałowania godną pomyłką. Stwierdził też, że wolałby, aby to ona, a nie dzieci Brunona, przejęła fabrykę.

— Oni oboje myślą tylko o sobie, nie o przyszłości firmy. Pani natomiast jest roztropną kobietą, z którą łatwo jest dojść do porozumienia.

Opowiedział jej, że przystąpił do bardzo obiecujących negocjacji z jednym z monachijskich przedsiębiorstw.

— Do czasu pani zwolnienia spróbuję tę sprawę dopiąć na ostatni guzik. Jak pani myśli, jak długo może to jeszcze potrwać?

Lisa wiedziała jednak tyle co on.

Adwokat odwiedzał ją dwa razy w ciągu tygodnia. Przyniósł jej nie tylko książki medyczne, o które prosiła, ale również biografie i książki beletrystyczne. Szczególnie ucieszyła się z radia na baterie, którego wolno jej było słuchać dopiero po tym, jak przejrzał je kompetentny strażnik. Wieczorem, kiedy gaszono światło, mogła teraz słuchać muzyki.

— Gdybyśmy tylko mieli jakiś ślad, jakąś wskazówkę, kto to mógł zrobić... — westchnął raz Zumbruch. — Motyw mieli zarówno Artur, jak i Evelyn.

— Ale żadne z nich tego nie zrobiło. To absolutnie wykluczone. Tak samo jak i gospodyni. Jest co prawda kłótniwą ksantypą, ale nie byłaby zdolna do popełnienia morderstwa.

— Musiał to być jednak ktoś, kto dobrze znał dom.

— I posiadał klucz.

— Klucz nie jest tu taki ważny. Pół Rodenberg mogło go sobie dorobić.

— Dawniej, gdy żyła jeszcze pierwsza żona Brunona, u Hammerów ciągle pełno było gości. Ponieważ wspomniał pan właśnie o połowie Rodenberg — w tym domu bywali zarówno prominenci, jak i przeciętni ludzie.

— Mógł to być zatem jakiś spóźniony akt zemsty.

— To właśnie wydaje mi się najbardziej prawdopodobne.

— Czy mąż opowiadał pani o swojej przeszłości?

— Tak, w chwilach gdy czuł się nieco lepiej. Ale pamiętał tylko swoją wspaniałomyślność i wdzięczność innych. O żadnych napięciach nic nie wspominał, choć przecież między nim a jego pierwszą żoną musiało do nich dochodzić. Znałam ją jeszcze — była bardzo elegancką i wymagającą kobietą, na pewno nie była potulnym barankiem.

— Na co właściwie zmarła?

— Tego nigdy się dokładnie nie dowiedziałam. Przebakowano, że popełniła samobójstwo.

— Może to byłby jakiś trop, ale, na miły Bóg, nie jestem przecież detektywem!

— Może powinniśmy jakiegoś zaangażować — zaproponowała Lisa.

— W takim małym mieście jak Rodenberg? Gdzie każdy każdego zna i obcy rzuca się od razu w oczy?

Lisa musiała się z tym zgodzić.

— Proszę zatem porozmawiać z panem Holbaumem, tym aptekarzem. Był starym przyjacielem mojego męża.

— Tak zrobię! — obiecał Zumbruch.

Ale podczas następnej wizyty musiał wyznać, że z tej rozmowy niewiele wynikło. Siegfried Holbaum okazał się wprawdzie człowiekiem bardzo chętnym do współpracy, ale nie potrafił udzielić żadnych użytecznych informacji. Potwierdził jedynie, że Brunon Hammer po śmierci swojej pierwszej żony — może zresztą i przed nią — miał romans z niejaką Isolde Hurda, znaną projektantką z Monachium. Owa pani była wściekła i urażona, gdyż Brunon nie chciał jej poślubić ze względu na dorastające dzieci. Według relacji aptekarza, miała porywczą naturę, dochodziło więc do gwałtownych scen, które doprowadziły do rozpadu ich związku. Jednak jako sprawczyni nie wchodzi w rachubę, ponieważ przed kilku laty zmarła.

— Odtrącona kochanka, która zakrada się nocą, żeby dokonać krwawej zemsty, to zakrawa na tani kryminał — stwierdziła Lisa sceptycznie.

— Ale moglibyśmy przynajmniej wprowadzić pewne zamieszanie — westchnął adwokat.

— O wiele bardziej zależałoby mi na ostatecznym wyjaśnieniu całej sprawy.

— Nie mogę zrozumieć, dlaczego tak mądra kobieta jak pani nie zrobiła podczas przesłuchań użytku ze swego rozumu...

— To temat, który roztrząsaliśmy już zbyt często.

— Jak posuwają się przesłuchania? Lisa zastanowiła się.

— Trudno powiedzieć. Doktorowi Meerkatzowi nie przychodzą do głowy żadne nowe pytania, a na stare mogę dawać tylko stare odpowiedzi.

* * *

Dwa razy w tygodniu zielona więzienna karetka przewoziła Lisę, a także innych więźniów, z aresztu do gmachu sądu. Lisa z niepokojem wyczekiwała pierwszego przesłuchania, ale z czasem stały się one dla niej niemal przyjemną odmianą.

Doktor Meerkatz, sędzia śledczy, był człowiekiem zadbanym, miał wąską czaszkę, dłonie o długich palcach i nosił okulary w złotych oprawkach — spokojny, doświadczony prawnik. Nigdy nie próbował zapędzić Lisy pytaniami w kozi róg, nie posuwał się do gróźb czy prób zastraszenia. Wciąż tylko od nowa kazał sobie opowiadać o najdrobniejszych szczegółach dotyczących nocy, kiedy popełniono morderstwo. Lisa traciła niekiedy w czasie przesłuchania cierpliwość, sędzia śledczy — nigdy.

— Podsumujmy to więc jeszcze raz! — zaproponował. — W noc morderstwa była pani z ofiarą sama w domu.

— Nie licząc mordercy — dorzuciła Lisa.

— O którym jednak nic nie wiemy. Nie słyszała pani przecież nic podejrzanego. Miała pani dostęp do owych nożyczek. Był to w końcu pani dom, w którym mieszkała pani razem z mężem, musiała go pani znać na wylot. Dopiero po godzinie od znalezienia denata powiadomiła pani policję. Miała więc pani wystarczająco dużo czasu, żeby włożyć swoje sportowe buty i ukryć nożyczki w najdalszej części ogrodu, w taki sposób, że można je było znaleźć tylko przy pomocy detektora. Lisa nie mogła już dłużej nad sobą zapanować.

— Ale dlaczego miałabym robić coś tak głupiego? Miałabym przecież wystarczająco wiele czasu i okazji, żeby dokładnie umyć te nożyczki i odłożyć je na stare miejsce.

— Dlaczego tak się nie stało, to już pani powinna nam wyjaśnić — odparł chłodno Meerkatz.

— Ile razy mam panu powtarzać, że ja tego nie zrobiłam?

— Nie za często. Nadużywa pani mojej cierpliwości, pani Hammer. Proszę mi już więcej nie przerywać, bo usłyszysz pani moją wersję wypadków. Zeznała pani, iż sportowe buty służyły jej wyłącznie do biegania po wyznaczonej dróżce i podtrzymała pani to zeznanie także podczas kolejnych przesłuchań — ale znaleziono ślady ziemi na podeszwach świadczące o tym, że wybrała się pani do owej najdalszej części ogrodu. Wszystko, naprawdę wszystko wskazuje na to, że to pani... — doktor Meerkatz wymierzył palec wskazujący w stronę Lisy — ...właśnie pani jest zabójczynią. Zrezygnowana wzruszyła ramionami.

— Poza tym ma pani motyw — kontynuował sędzia śledczy.

— Nawet jeśli pozostawimy na boku kwestię, czy wiedziała pani o zmianie testamentu na pani korzyść czy też nie. Przez wiele lat znosiła pani trudy opieki nad chorym, nieustanne zarzuty pacjenta, jego napady złości,

jego wyzwiska. Owej nocy doszła pani już do punktu krytycznego, nie mogła już pani tego wytrzymać. Myślę, że każdy sąd okaże zrozumienie dla pani sytuacji. — Spojrzał na Lisę wyczekująco.

Zrozumiała, że chce jej w ten sposób wskazać drogę wyjścia, nie mogła jednak nią pójść, a uznając, że byłoby bezcelowe zapewniać go po raz kolejny o swej niewinności, siedziała dalej bez słowa.

— Wprawdzie ktoś mógłby powiedzieć, że wystarczyło po prostu opuścić pacjenta i dom, zdążyła przecież pani, jak sądzę, odłożyć do pończochy parę tysięcy marek, ale wówczas ofiary, które poniosła pani dla, nazwijmy to, pewnego dobrobytu i zabezpieczenia sobie dalszej drogi życiowej, byłyby daremne. To wydaje się zrozumiałe, zwłaszcza że teraz, ponieważ, może być pani przerażona swoim postępowaniem. Dlaczego pani nic nie mówi?

— Słucham pana, tak jak pan sobie tego życzył.

— Dlaczego nie spakowała się pani i po prostu nie odeszła? Nikt nie mógłby pani zatrzymać.

— Jestem pielęgniarką, byłam za mojego pacjenta odpowiedzialna. Nigdy też nie przyszła mi do głowy myśl, żeby z dnia na dzień zwinąć manatki i zostawić Brunona samemu sobie, zupełnie bezradnego.

— Bardzo dobrze! — Doktor Meerkatz, na którego imponującym biurku leżała sterta protokołów przesłuchań, zanotował coś złościście połyskującym długopisem. — Wolą ją pani zatem uwolnić od cierpień. To tylko wzmacnia motyw.

Lisa wzięła głęboki oddech.

— Panie sędzio — powiedziała — gdybym rzeczywiście chciała zabić mojego męża, z pewnością pomyślałabym o jakiejś innej, bardziej przemyślnej metodzie, na pewno nie użyłabym nożyczek. Czy o tym pan pomyślał?

Podniósł na nią oczy.

— Oczywiście. Mogła mu pani zaaplikować podwyższoną dawkę jakiegoś leku. Ale lekarz robiący oględziny mógłby to zauważyć, nie chciała więc pani ryzykować.

Lisa zamierzała już odpowiedzieć, że świadectwo zgonu wystawiłby pewnie doktor Krantz. Jednak, nie chcąc obciążać lekarza, wolą powstrzymać się od tej uwagi.

— Jestem pewny — podsumował sędzia śledczy — że uzyskane materiały wystarczą prokuratorowi do wniesienia przeciwko pani aktu oskarżenia. — Odłożył długopis. — Ale naturalnie będzie to typowy proces poszlakowy, a

to nie jest przyjemne dla żadnej ze stron biorących w nim udział. — Spojrzał na nią wyczekująco: — Powinna się pani raczej przyznać do winy.

— Dla pańskiej wygody?

— Nie, dla pani spokoju.

— Mimo starań, panie sędzio — powiedziała Lisa — nie udało się panu wmontować mnie w swoją koncepcję. Czy nie przyszło panu do głowy, że nie byłabym zdolna do takiego czynu, choćby i wszystkie poszlaki wskazywały na mnie? Byłoby to całkowicie niezgodne z moją naturą.

— Przyznaje więc pani, że poszlaki przemawiają przeciwko niej?

— Nie da się tego nie zauważyć.

— Mimo to nie przypomina sobie pani, żeby popełniła ten czyn?

— Jak mogę sobie przypomnieć coś, czego nie zrobiłam?

— Pani pytanie jest tylko z pozoru trafne. Czy nie słyszała pani nigdy, że człowiek, który stracił panowanie nad sobą, i dopuścił się, jak pani to ładnie ujęła, czynu niezgodnego z jego naturą, często zupełnie tego nie pamięta, czasem wręcz traci pamięć?

— Tak, czytałam o podobnych wypadkach. Ale mnie to nie dotyczy.

— Niewykluczone, że usunęła pani z pamięci zarówno przebieg zajścia, jak i wszystko, co zdarzyło się później — niemal całą godzinę. Skieruję panią, o ile oczywiście wyrazi pani zgodę, do kliniki psychiatrycznej.

— A jeżeli nie wyrażę?

— Może pani odmówić współpracy z lekarzami. Ale to świadczyłoby tylko przeciw pani — oświadczył Meerkatz, by po chwili dodać łagodząco:

— Chyba zależy pani na tym, żeby dowiedzieć się prawdy, a badania psychiatryczne stwarzają taką możliwość, jak sędzę.

* * *

W nocy po tym przesłuchaniu Lisa spała źle. Dotychczas świadomość niewinności podtrzymywała ją na duchu. Ale doktor Meerkatz zasiał w niej wątpliwości. Czy to możliwe, żeby dokonała tego czynu, a potem wymazała go z pamięci? Czy mogła to zrobić podczas tej godziny bezpośrednio poprzedzającej znalezienie zmarłego?

Niespokojnie przewracała się na twardej pryczy. Przez zakratowane okno na pustą ścianę padała smuga światła. Dotąd miała absolutną pewność, że tamtej nocy spała głęboko i mocno. Ale była wówczas pełnia księżyca, a ona w okresie dorastania przejawiała pewne skłonności do lunatyzmu. Matka opowiadała jej o tym kiedyś. Ona sama nigdy nie pamiętała o nocnych zajściach. Wprawdzie nie dokonywała wówczas żadnych niezwykłych

czynów, ale bądź co bądź wstawała z łóżka i wychodziła na balkon kuchenny.

Było też prawdą, że zachowanie pacjenta doprowadzało ją często do białej gorączki — musiała wyęźać wszystkie siły, żeby nie stracić panowania nad sobą. Czy jej podświadomość mogła skłonić ją do popełnienia tej okropnej zbrodni?

Lisie wydawało się, że widzi siebie podnoszącą nożyczki i wbijającą je śpiącemu mężowi w serce. Ale przecież nigdy nie miała tych nożyczek w ręku, ba, nawet nie wiedziała o ich istnieniu. Tego była najzupełniej pewna. Nie, to nie do pomyślenia, żeby najpierw przestrząsała cały dom w poszukiwaniu narzędzia zbrodni, żeby potem ukryć je gdzieś w ogrodzie, zmieniając uprzednio buty. Po co? Żeby nie wnieść do domu błota. Przecież trudno o bardziej absurdalne wytłumaczenie. Jeśli dokonała całego tego szeregu czynności, to musiała być zupełną wariatką. Ale przecież nią nie była. Umysł miała jasny i badania psychiatryczne powinny to wykazać.

Gdy księżyc powędrował dalej i w celi zrobiło się mroczno, wreszcie zasnęła.

* * *

Kilka dni później jedna ze strażniczek nakazała, by Lisa spakowała swoje rzeczy.

— Zostanie pani przeniesiona do kliniki psychiatrycznej — wyjaśniła.

— Z powodu badań lekarskich? Czy nie można ich przeprowadzić tutaj?

— Prawdopodobnie tam zrobią to dokładniej — padła rzeczowa odpowiedź.

Lisa miała wrażenie, że strażniczka nie miałaby nic przeciwko, gdyby Lisę na zawsze zamknięto w jakimś zakładzie.

Podczas jazdy do kliniki Lisa siedziała na tylnym siedzeniu samochodu policyjnego. Kierowca i policjantka, którzy jej towarzyszyli, żartowali i plotkowali ze sobą, nie zwracając na nią najmniejszej uwagi. Oboje dużo palili. Kiedy dotarli długim podjazdem do kompleksu budynków kliniki, policjantka wysiadła i poleciła Lisie zrobić to samo. Od paska odpięła parę kajdanek.

Lisa broniła się.

— Czy to naprawdę konieczne?

Policjantka spojrzała pytająco na kierowcę, który skinął przyzwalająco głową.

— No, dobrze — powiedziała. — Proszę pójść ze mną! — Chwyła Lisę bez ceregieli pod rękę i zaczęła ją prędko popychać po schodach na górę, a potem do recepcji, trzymając w drugiej ręce kajdanki.

W recepcji siedział chudy mężczyzna w białym kitlu i w okularach bez oprawek, który nawet nie podniósł wzroku, gdy weszli. Wartowniczka przywitała się z nim.

— Polecono mi przywieźć tu tę osobę — wyjaśniła. — Lisa Hammer. Z aresztu śledczego. — Z wąskiej, czarnej aktówki wydobyła kartę Lisy i wręczyła mężczyźnie.

Pobieźnie zapoznał się z danymi. Potem uruchomił jakiś przycisk.

— Proszę poczekać. Siostra oddziałowa zaraz przyjdzie — obojętnie powrócił do swoich zajęć.

— Spiesz mi się — niecierpliwie odrzekła policjantka. Mężczyzna w izbie przyjęć nie zareagował.

Po chwili zjawiała się kobieta o obfitym biuście, w niebieskiej bawełnianej sukience, mocno ściągniętym fartuchu i czepku pielęgniarzki na gładko do tyłu zaczesanych blond włosach. Była w butach na płaskim obcasie i wydawało się, że ślizga się po idealnie wypolerowanym linoleum.

— Witamy, pani Hammer — powiedziała, wyciągając do Lisy rękę. — Jestem siostra Hilda.

Policjantce nie spodobało się to uprzejme powitanie.

— Ta kobieta jest oskarżona o popełnienie morderstwa — powiedziała. — Została tu skierowana na obserwację psychiatryczną.

— Wiem, wiem! — powiedziała siostra oddziałowa niewzruszona. — Oddała pani jej dokumenty?

— Tak.

— To wszystko w porządku. — Zwróciła się teraz do Lisy: — Proszę iść ze mną, moja kochana.

Lisa była zaskoczona. Szła za pielęgniarzką korytarzem i schodami, które wydawały się takie same jak w każdym innym szpitalu.

— Jesteśmy koleżankami po fachu, czy tak? — zapytała siostra Hilda po drodze.

Lisa przytaknęła.

— Niektórzy ludzie potrafią być naprawdę niesympatyczni — ciągnęła pielęgniarzka.

Lisa ledwie mogła w to uwierzyć, ale miała wrażenie, że ta kobieta stoi po jej stronie.

Wreszcie siostra Hilda otworzyła drzwi do przestronnego, ładnie urządzonego pokoju.

— Jesteśmy! — oświadczyła. — Mam nadzieję, że będzie się pani u nas dobrze czuła.

Lisa rzuciła okiem na okno i doznała wstrząsu. Nie było krat. Mogła swobodnie podziwiać widok na rozległy park. Odjęło jej niemal mowę.

— Ale, ja... — wybełkotała, nie mogąc dokończyć.

— Tutaj jest pani pacjentką, a nie więźniem, moja kochana.

— Tak, ale...

— Stąd nam pani nie ucieknie. Wszystkie wyjścia są naturalnie strzeżone.

— Co mam teraz robić? — spytała w końcu Lisa dość infantylnie.

— Proszę się rozgościć i urządzić tak jak w domu. Myślę, że pozostanie pani u nas kilka dni. — Siostra oddziałowa otworzyła wąskie drzwi boczne.

— Gdybym była na pani miejscu, najpierw wzięłabym kąpiel. W więzieniu nie miewa pani raczej takich okazji, prawda?

Prosta, wyłożona białymi kafelkami łazienka była dla Lisy czymś takim, jak oaza dla wycieńczonego wędrowca.

— Tu jest jak w bajce!

— Wiedziałam, że się pani ucieszy.

— Ucieszy? To mało — jestem w siódmym niebie!

— Proszę się nie spieszyć! Proszę się rozluźnić. Profesor Krueger zajmie się panią prawdopodobnie dopiero po południu. Ma teraz jeszcze wizyty.

— Dziękuję pani, siostrze oddziałowa! — powiedziała Lisa ciepłym głosem.

— Proszę mówić do mnie po prostu Hilda, Liso.

— Dziękuję, Hildo.

Pielęgniarka uśmiechnęła się do niej, po czym zostawiła ją samą.

Lisa upewniła się, że siostra oddziałowa już się oddaliła, a potem spróbowała otworzyć drzwi na korytarz. Były rzeczywiście otwarte. Zdaje się, że mieli do niej duże zaufanie. Zupełnie inaczej wyobrażała sobie pobyt w zakładzie psychiatrycznym. Ale znowu obudziła się jej wrodzona nieufność. Za tym nieomal serdecznym przyjęciem, za tymi wygodami i pozorną swobodą musiała się kryć na pewno jakaś pułapka. Chciano, by poczuła się bezpieczna, żeby tym łatwiej skłonić ją do mówienia. Zdecydowała, że będzie się mieć na baczności. Po chwili jednak pomyślała: „To bzdura! Nie mam przecież nic do ukrycia!” Postanowiła po prostu

rozkoszować się tą chwilą wytchnienia, poczuć się pacjentką, a nie więźniarką.

Profesor Klaus Krueger był szczupłym, starszym panem, którego siwe włosy stanowiły zaskakujący kontrast dla jego zdrowej, opalanej cery. Jego jasnoniebieskie, nieco zmęczone oczy otoczone były siateczką drobnych zmarszczek, charakterystycznych dla ludzi skłonnych do śmiechu. Przyjął Lisę w drzwiach swego gabinetu i poprowadził ją w kierunku narożnej kanapy. Tam poprosił ją, by zechciała usiąść. Kiedy zajmował miejsce za biurkiem, odrzucił do tyłu poły swego białego fartucha. Wystawała spod niego sportowa bluza i szare, flanelowe spodnie.

— Teraz sobie chwilę porozmawiamy, dobrze? — zaczął rozmowę.

— Chętnie — odparła Lisa.

Wzięła kąpiel, umyła włosy, odpoczęła i czuła się teraz wprost wspaniale.

— Proszę mi najpierw zdradzić, jak się pani nazywa?

— Pan tego nie wie? — spytała zdumiona Lisa. Profesor uśmiechnął się.

— To rutynowe pytanie. Oczywiście wiem, ale chcę stwierdzić, czy jest pani w stanie udzielić mi sensownych informacji na swój temat.

— Czy wyglądam na kogoś niespełna rozumu?

— Czasami wygląd bywa mylący. ,

— Jeżeli tak pan uważa, to muszę pana rozczarować. Nazywam się Lisa Hammer, z domu Hopf, ostatnio mieszkałam w Rodenberg, przy alei Parkowej dwanaście, w chwili obecnej przebywam w areszcie śledczym... no cóż, to nie jest ściśle, w tej chwili jestem przecież tutaj, w klinice.

— Bardzo dobrze. A ile pani ma lat?

— Dwadzieścia pięć.

— Znakomicie.

— A cóż w tym tak znakomitego?

— Zazwyczaj pacjenci chorzy umysłowo nie potrafią podać swego wieku, umieją tylko podać datę urodzenia.

— Wobec tego nie jestem chora umysłowo?

— Chciałaby pani być?

— Nie rozumiem tego pytania.

— Proszę się dobrze zastanowić!

— Chciałby pan wiedzieć, czy byłoby moim życzeniem, aby mój adwokat dążył w swej linii obrony do uniewinnienia mnie ze względu na niepoczytalność?

— Bardzo zgrabnie to pani sformułowała.

— Nie, nie chcę tego. Nie popełniłam tego czynu.

— Jest pani tego zupełnie pewna?

— Tak! — po chwili jednak dodała szczerze: — Choć muszę przyznać, że przez chwilę miałam pewne wątpliwości. — Opowiedziała mu o swych skłonnościach lunatycznych, podkreślając zarazem, że nie może wyobrazić sobie, by tak naprawdę mogła wykonać szereg tak niedorzecznych czynności.

— To bardzo interesujące — powiedział profesor — ale sądzę, że muszę mieć się przed panią na baczności.

— Dlaczego?

— Bo to pani w tej chwili decyduje o przebiegu naszej rozmowy. Tymczasem miałem zamiar porozmawiać z panią na tematy bardziej ogólne, żebyśmy mogli poznać się nieco bliżej. Taki mamy tu zwyczaj.

— Cóż, niech więc tak będzie — Lisa uśmiechnęła się. — Im bardziej przeciąga się nasza rozmowa, tym lepiej. Chciałabym pozostać w moim pięknym pokoju z łazienką tak długo, jak to tylko możliwe.

Profesor odwzajemnił jej uśmiech.

— I to jest właściwe nastawienie.

Profesor Krueger poprowadził dalej rozmowę świadomie trzymając się spraw ogólnych. Mówił z Lisą o pogodzie ubiegłego lata, o telewizji i o ostatnich wyborach. Wyglądało to na swobodną, niemal wesołą pogawędkę, ale Lisa dostrzegła, że lekarz próbuje wyrobić sobie pogląd na temat stanu jej umysłu. Po mniej więcej godzinie profesor Krueger zakończył rozmowę.

— Nie zwariowałam, prawda? — spytała Lisa.

— Nie — przyznał — jest pani wyjątkowo rezolutną kobietą. To wcale jednak nie musi koniecznie znaczyć, że jest pani umysłowo całkiem zdrowa.

— Nie?

— Są choroby, które nie dają wyraźnych objawów, lecz są głęboko ukryte.

— Chcę mieć pewność! — oświadczyła Lisa z naciskiem. Profesor Krueger spoważniał.

— My również — powiedział.

* * *

Następnego ranka zaprowadzono Lisę do szpitalnego okulisty. Był to mężczyzna po czterdziestce, miał rzadkie włosy, które dzięki starannej fryzurze wyglądały jednak na bujniejsze.

Najpierw zbadał Lisie oczy. Lisa cierpliwie znosiła tę zupełnie bezbolesną procedurę, na koniec zapytała jednak:

— Czemu ma to służyć?

— A dlaczego to panią interesuje?

— Chcę studiować medycynę. To mnie ciekawi. Lekarz odłożył oftalmoskop.

— Gdyby we wnętrzu pani oka, w obrębie źrenicy, ujawniły się początki katarakty, mogłoby to być wynikiem ucisku na mózg.

— To dzięki źrenicy widzimy?

— Tak jest. Teraz proszę popatrzeć przez ten peryskop. Chciałbym sprawdzić, czy nie nastąpiło zawężenie obszaru widzenia. Nacisk na nerw wzrokowy mógłby przyczynić się do częściowego zaniku percepcji optycznej.

— Liczy się więc pan z możliwością nowotworu mózgu? — zapytała Lisa zdziwiona.

— Wprost przeciwnie. Chcemy mieć pewność, że można wykluczyć tę możliwość.

— I można?

— Z tego co widzę, tak. Wyślę teraz panią do laryngologa. Potem zobaczymy się ponownie.

Na następne badanie Lisa musiała poczekać pół godziny. Ale nie przeszkadzało jej to. W pewnej chwili zauważyła pensjonariuszkę zakładu, młodą jeszcze kobietę prowadzoną przez opiekunkę. Była niekształtnie gruba i szczerzyła radośnie zęby do Lisy. Po raz pierwszy Lisa zdała sobie sprawę, czym byłaby dla niej konieczność spędzenia reszty życia lub choćby kilku lat pomiędzy chorymi umysłowo. Zadrżała.

Lekarzem laryngologiem był stary, mrukliwy mężczyzna mówiący gromkim głosem — czy to dlatego, że często miał do czynienia z niedosłyszającymi, czy raczej z przyczyny, że sam nie słyszał zbyt dobrze. Zbadał dokładnie słuch Lisy i jej zmysł równowagi. Nie stawiała mu żadnych pytań, ponieważ zdążyła się już domyślić, że także przy tym badaniu chodziło o to, by wykluczyć istnienie ewentualnego ucisku na mózg.

Po południu jednak, siedząc ponownie naprzeciw profesora Krueger a zapytała go, dlaczego podejrzewa, iż może tu wchodzić w grę nowotwór mózgu.

— Cóż, byłoby to dobre wyjaśnienie dla zachowania nienormalnego z punktu widzenia pani osobowości. Niestety, badanie nie potwierdziło mych podejrzeń.

— Dlaczego niestety?

— Nie można byłoby pani skazać.

— Wierzy pan mimo wszystko, że to ja zabiłam?

— Co znaczy: „mimo wszystko” i co znaczy: „wierzę”? Moja osoba nie ma tu znaczenia — nie do mnie należy wyrokowanie w tej sprawie. Moim zadaniem jest stwierdzić, czy jest pani umyślowo zdrowa czy też nie.

— A więc kontynuujmy badania.

— Tak też zrobimy.

Tym razem znów jednak poprzestał na rozmowie dotyczącej tematów ogólnych. Lisa musiała się wysilać, żeby nadążyć za jego wywodami i dawać poprawne odpowiedzi. Czowała się trochę jak uczennica, która wróciła do szkoły. Gdy następnego dnia profesor zapowiedział, że poprosi ją o rozwiązanie kilku zadań, była pełna entuzjazmu ciesząc się, że będzie mogła się wykazać. Była więc nieco zdziwiona rodzajem tych zadań.

— Przeczytam pani teraz pewne zdanie — powiedział Krueger — a pani spróbuje je powtórzyć.

Lisa skinęła głową.

Profesor otworzył oprawioną w ceratę książkę.

— Pociąg pośpieszny z północnych Wioch — przeczytał — który przybył na szwajcarską granicę o dziesiątej rano, miał przymusowy dłuższy postój z powodu awarii instalacji grzewczej. Podróżni zostali przewiezieni na następną stację specjalnym pociągiem.

— Przecież to idiotyczne! — zawołała Lisa.

— Tak się tylko pani wydaje. Czy zdoła pani powtórzyć teraz to zdanie, czy też mam je pani przeczytać jeszcze raz?

— Nie, dziękuję. Spróbuję teraz. — Udało jej się odtworzyć to zdanie niemal bezbłędnie. — Ale czemu ma to służyć?

— Sprawdzeniu pani zdolności spostrzegania, niezależnej od stanu wiedzy. Mam tu zresztą jeszcze parę tego typu historyjek. Proszę uważać!: W czasie pory obiadowej inwalida o jednej nodze przeszedł przez ulicę, zaraz potem minęła go ciężarówka z dwoma przyczepami, na których umieszczono wielkie beczki. Inwalida zderzył się z pięćdziesięcioletnią rowerzystką w tak nieszczęśliwy sposób, że ta spadła z roweru nie odnosząc żadnych obrażeń, łamiąc jednak przechodniowi obie nogi.

— To jest przecież zupełnie nielogiczne! — zaprotestowała Lisa.

— Co ma wspólnego ciężarówka ze zderzeniem? I jak ktoś z jedną nogą może sobie połamać dwie nogi?

— Chodzi właśnie o to, by w tych historyjkach umieścić jak najwięcej detali, często nie związanych ze sobą i nielogicznych. Dzięki temu trudniej je odtworzyć.

Tym razem Lisa poprosiła profesora o ponowne przeczytanie całego zdania, a potem powtórzyła je bezbłędnie.

Badanie trwało jeszcze jakiś czas. Lisie wydawało się, że jest traktowana jak opóźnione w rozwoju dziecko, o czym nie omieszkała oczywiście wspomnieć.

Profesor Krueger zbył jej wątpliwości.

— Wydaje mi się, że pani zmysł spostrzegawczości jest w takim samym porządku jak pani zdolność logicznego myślenia — powiedział jedynie. — Naprawdę nie ma żadnej przesłanki wskazującej na jakikolwiek defekt umysłowy. Jutro spróbujemy razem trochę policzyć, dobrze?

— Liczenie nigdy nie było moją mocną stroną — powiedziała Lisa otwarcie.

— Moją również — przyznał uprzejmie Krueger. — Poza tym myślę, że powinniśmy jeszcze zrobić pani EEG.

— Elektroencefalogram?

— Brawo! Widzę, że świetnie się pani orientuje.

— W końcu jestem przecież pielęgniarką.

— Zapomniałem o tym, pani Hammer. Jak dotąd nie stwierdziliśmy u pani żadnych objawów mogących świadczyć o zaburzeniach w pracy mózgu. Może powinniśmy zafundować sobie teraz EEG?

— Sądzę, że tak — rzekła Lisa i uśmiechając się słabo dodała:

— To przecież nie boli.

Lisa wiedziała, jak przebiega badanie elektroencefalograficzne. Nauczono ją tego w szkole. Polega ono na rejestrowaniu prądów wytworzonych przez komórki kory mózgowej w postaci krzywych, na podstawie których można rozpoznać, czy mózg funkcjonuje prawidłowo. Odchylenia od standardowych krzywych pozwalają określić schorzenie, a najczęściej również miejsce jego występowania.

Badanie to nie miało zatem przed Lisą tajemnic. Mimo to była zaskoczona, gdy wprowadzono ją do pomieszczenia, którego ściany wyglądały jak wytapetowane srebrem. Zaraz jednak przypomniała sobie, że aparat do EEG jest niezwykle czuły. Każde inne urządzenie elektryczne w budynku wywoływałoby zakłócenia. Dlatego też ściany pokoju izolowano aluminiową folią.

Lekarka, doktor Leukner, która przyjęła Lisę, była młoda i żywa. Nosiała elegancko skrojony biały kitel. Jej włosy były wyjątkowo jasne, a makijaż stonowany.

— No, to do dzieła! Zrobimy pani trwałą — zawołała wesoło. Lisa spojrzała na nią pytającym wzrokiem. Była nieco zdumiona tym swobodnym tonem.

— Niektórzy nasi pacjenci tak to nazywają. Inni mówią o szpiegu w mózgu.

— A jak to działa naprawdę?

— Ach prawda! Jest pani przecież pielęgniarką.

— Chcę studiować medycynę.

— W więzieniu? — Lekarka znowu się zaśmiała. — Proszę nie brać mi tego za złe — przeprosiła. — Nie zawsze panuję nad moim językiem.

— Mnie też to się często zdarza — przyznała Lisa. — Ale czy zechciałaby mi pani wyjaśnić...

— To nadzwyczaj proste. Siada pani w tym wygodnym fotelu, a ja mocuję na pani głowie kilka elektrod. Sądzę, że dwanaście powinno wystarczyć. Do elektrod przymocowane są przewody, które prowadzą do tej kuli, która wisi nad panią. Tam zostają skupione w wiązki i doprowadzone do tego aparatu.

Nie przerywając wyjaśnień, zaczęła przytwierdzać elektrody do głowy Lisy.

— A w jaki sposób powstaje wykres?

— Po tym pulpicie przesuwana się kalka maszynowa, jak na taśmociągu. Na niej rejestruje się każda krzywa obrazująca pracę mózgu.

— Interesujące.

— Tak, to prawda. Gdyby jednak faktycznie istniało podejrzenie nowotworu — choć z tego co wiem, w pani wypadku takie podejrzenie nie zachodzi — należałoby jeszcze prześwietlić pani mózg promieniami Roentgena.

— Ale w ten sposób można przecież tylko odkryć zmiany kostne.

— Tak było dawniej. Teraz można również uwidoczniać zagłębienia ciała, wstrzykując do tętnicy szyjnej środek kontrastujący. — Doktor Leukner zamocowała elektrody i stanęła przy aparacie, żeby uruchomić kilka włączników. — Środek kontrastujący przepływa przez wszystkie naczynia mózgowe, a przebieg tego jest rejestrowany przez szereg zdjęć rentgenowskich. Całe to badanie nosi nazwę arteriografii.

— Czy taśma już się przesuwana?

— Właśnie zaczyna.

— I jak to wygląda?

— Na razie nie mogę jeszcze nic powiedzieć.

— Będę mogła potem sama popatrzeć?

— Chce pani koniecznie wiedzieć, co się dzieje w pani głowie?

— Tak.

— Krzywa zupełnie nic pani nie powie. Tylko specjalista może się w tym zorientować. Nawet ja nie będę robiła tego sama, tylko wezwę doktora Kruegera.

— Ach, ta lekarska tajemniczość! Doktor Leukner roześmiała się.

— Proszę tylko zaczekać, aż sama będzie pani lekarką. Jeśli to się pani w ogóle uda. Ale proszę nie myśleć, że jestem cyniczna. Życzę pani tego z całego serca.

* * *

Podczas następnej sesji u profesora Kruegera Lisa dowiedziała się, że krzywa jej prądów mózgowych wypadła całkowicie normalnie.

— Tak też myślałam. Nie byłam wcale zdenerwowana.

— To nie ma tu nic do rzeczy. Nerwowość zmusza niekiedy serce do wzmożonego wysiłku i przyspiesza krążenie. Mózgu to nie dotyczy — popatrzył na Lisę uważnie, prawie ze współczuciem. — Co mieliśmy dziś robić?

— Mówił pan coś o zadaniach arytmetycznych.

— Zgadza się. Chociaż nie obiecuję sobie po tym zbyt wiele.

— Dlaczego nie?

— Ponieważ mam wrażenie, że umysłowo jest pani zupełnie zdrową osobą. No cóż. Spróbujmy jeszcze tego. — Podeszedł do biurka i ze swej szuflady wyciągnął stos formularzy. — Najlepiej niech pani usiądzie tutaj, naprzeciw mnie!

Lisa zajęła miejsce przy biurku.

Profesor wręczył jej jeden z formularzy, na którym wydrukowano kolumny cyfr. Lisa przebiegła po nich wzrokiem.

— Nie mogę dopatrzeć się w tym uszeregowaniu żadnego systemu.

— Bo też nie musi pani. Proszę wziąć ołówek, a następnie dodawać po trzy cyfry, podkreślać i wpisywać wyniki. Ja tymczasem będę spoglądał na zegarek.

— Ale to może przecież trwać wieczność!

— Nie. Najwyżej godzinę. Proszę więc zaczynać!

Choć uważała dodawanie prostych liczb za kompletnie pozbawione sensu, posłusznie zaczęła zliczać kolumny cyfr. Profesor położył przed sobą swój zegarek kieszonkowy i upływ każdej kolejnej minuty zaznaczał na niebiesko w specjalnym formularzu.

Lisa nie potrzebowała więcej niż czterdziestu minut, żeby rozwiązać poprawnie to zadanie.

— Bravo! — pochwalił profesor, oglądając kartkę. — To rekordowy czas!

— O czym to świadczy?

— Najważniejszy jest fakt, że zrobiła to pani tak równomiernie i bez jakichkolwiek objawów zmęczenia.

— Bo to nie było męczące, tylko diabelnie nudne.

— Tak, wiem. To zadanie jest w pewnym sensie próbą cierpliwości. Jedno jest dla mnie pewne: pani mózg jest w zupełnym porządku. Jeśli popełniła pani to morderstwo, była pani przy zdrowych zmysłach.

— Nie zrobiłam tego!

— Musimy podjąć próbę przeniknięcia do dna pani duszy.

— Testy Rohrschacha i tak dalej?

— Tak, to także. Będzie pani musiała również opowiedzieć o sobie.

— Och nie! Przez wiele godzin byłam wypytywana przez policję i sędziego śledczego! Nie ma nic, czego bym wcześniej nie powiedziała.

— Wierzę pani. Ale tym razem chodzi o coś innego. Jestem lekarzem. Może będę potrafił zrobić z tego lepszy użytek. Musimy zacząć od pani dzieciństwa, cofnąć się głęboko, przywołać najwcześniejsze pani przeżycia.

— Jeżeli to naprawdę konieczne.

— Konieczne.

— Ale przecież nie ma żadnego powodu, by szukać motywów czynu, którego nie popełniłam!

— Zobaczymy — podsumował profesor Krueger, nie przejmując się protestami Lisy.

* * *

Badania Lisy nie zakończyły się na EEG. Następnego dnia młody doktor Ringer poddał ją kilku testom, które miały ocenić jej inteligencję, fantazję i usposobienie. Rozwiązywała je z łatwością, a nawet uznała je za zabawne. Oczywiście trochę przy tym oszukiwała. Kiedy na przykład pokazano jej obrazek, który przedstawiał kobietę usiłującą wyrzucić przez okno swoje dziecko, Lisa powiedziała:

— Dziecko weszło na parapet. Chce właśnie skoczyć z okna. Matka stara się je zatrzymać.

Doktor Ringer wydawał się zadowolony z tych odpowiedzi i z zapalem robił notatki. Oglądając i analizując kolorowe bohomy, które przejmowały ją zgrozą, zawsze znajdowała jakieś bagatelizujące wyjaśnienie.

Popołudniowe sesje u profesora Kruegera były bardziej absorbujące i wyczerpujące. Lisa nie była przyzwyczajona do mówienia o sobie. Dopiero po śmierci męża znalazła się w sytuacji, która zmusiła ją do drobiazgowych opowieści o każdym z etapów swego życia. Wprawdzie zadała sobie sporo trudu, żeby podjąć współpracę z lekarzem, ale przychodziło jej to z trudem.

Jako dziecko bardzo kochała swego ojca, którego pamiętała jako człowieka dobrodusznego i czulego. Bardzo przeżywała jego chorobę i przedwczesną śmierć. Już wtedy postanowiła sobie, że zdobędzie zawód, dzięki któremu będzie mogła pomagać cierpiącym. Z matką, która z natury była chłodna, a po śmierci męża wręcz odrętwiała, łączyły ją dużo gorsze stosunki. Nie było żadnych napięć, które mogłyby prowadzić do konfliktów. A jednak w głębi duszy Lisa zawsze buntowała się przeciwko tępemu pesymizmowi matki.

Brunona Hammera podziwiała już jako dziecko. Jako nastolatka marzyła o nim. Ze względu na swoją pozycję towarzyską i swoje bogactwo był dla niej nieosiągalny. Dopiero choroba umożliwiła jej znalezienie się w jego pobliżu. Była szczęśliwa mogąc go pielęgnować, i dumna, że wolał ją od innych pielęgniarek. Fakt, że Brunon zdecydował się z nią ożenić, dał jej nowy powód do zadowolenia z siebie.

Nie była specjalnie lubiana przez swoich rówieśników, ale też nigdy się o to nie starała. Nie przejawiała ani sportowych, ani muzycznych talentów i nigdy nie potrafiła zachowywać się swobodnie. Czuła się dużo bardziej dojrzała niż inni i bez skargi przyjmowała rolę dziewczyny podpierającej ścianę.

O wszystkim tym mówiła swobodnie i bez oporów, przedstawiając szczegóły i podając przykłady, a mimo to nie była z siebie zadowolona.

Profesor Krueger także nie był.

— Gdyby tylko nie opowiadała pani tego z taką rezerwą, pani Hammer!
— powiedział pewnego dnia z westchnieniem.

— Robię co w mojej mocy.

— Wiem, ale to za mało. Łamię sobie głowę nad tym, jak mógłbym pomóc się pani rozluźnić. Zazwyczaj rozmawiam z moimi pacjentami

siedząc z nimi twarzą w twarz. Może jednak byłoby lepiej, gdybyśmy rozmawiali w klasycznej pozycji psychiatrycznej.

Lisa zrozumiała go natychmiast.

— Miałabym leżeć na kanapie, a pan siedziałby z tyłu, niewidoczny dla mnie? Nie, nie sędzę, żeby mi to pomogło.

Profesor Krueger pogładził się po swych srebrnie połyskujących włosach.

— Jest jeszcze jedna możliwość. Mógłbym dać pani zastrzyk.

— Serum prawdy?

— Nie ma czegoś takiego. Jest jednak lek, który pozbawi panią zahamowań, sodium penthatol.

— Nigdy o nim nie słyszałam.

— Jest całkowicie nieszkodliwy i nie ma żadnych skutków ubocznych, jeśli nie liczyć zmęczenia i ewentualnego bólu głowy, gdy przestaje działać.

— W takim razie dlaczego nie wykorzystaliśmy go już wcześniej?

— Zeznania złożone pod wpływem tego preparatu nie są przez sąd honorowane. Nie mógłbym więc ich użyć w moim orzeczeniu.

— Zróbmy to mimo wszystko. To dla mnie ważne. Chcę wiedzieć, na co mnie naprawdę stać w sytuacji krytycznej.

Przed następną sesją Lisa dostała zastrzyk. Najpierw nie odczuwała zupełnie jego działania, potem opanowało ją wrażenie lekkości. Czuła się tak, jakby była na lekkim rauszu, ale nie miała żadnych trudności z mówieniem. Słowa wprost zaczęły z niej tryskać.

Jej pierwsze, dość późne kontakty seksualne. Miała osiemnaście lat, gdy doszło do pierwszego zbliżenia z chłopcem. Było to podczas wycieczki klasowej. Nie była zakochana, po prostu tak wyszło. Chociaż wcześniej niczego sobie po tym nie obiecywała, było to dla niej rozczarowujące przeżycie. Doszła do przekonania, że kontakty seksualne nie są jej wcale potrzebne.

Kiedy miała dwadzieścia lat starał się o nią pewien młody mężczyzna, Peter. Miał dwadzieścia cztery lata i był instalatorem urządzeń elektrycznych. Imponował jej, ale najbardziej podobało jej się to, że wydawał się ją doceniać. Sprawiało jej przyjemność, że chodzą razem do restauracji, do kina, na dyskoteki. Bardzo lubiła też jego pieszczoty. Ale przed stosunkiem broniła się tak długo, jak tylko to było możliwe. W końcu jednak stanęła przed wyborem, rozstać się z nim albo ulec. W łóżku wydał jej się grubiański, ale nie dała tego po sobie poznać. Zdawała sobie sprawę,

że nie ma skali porównawczej. Jeśli chodzi o niego — wydawał się zadowolony z ich współżycia.

Potem jednak zaczęło ją niepokoić, że tak mało ze sobą rozmawiają. On przyjmował za pewnik, że Lisa pracuje tylko przejściowo, do czasu aż zostaną małżeństwem. Długo nie wyprowadzała go z błędu, być może zbyt długo, co zrozumiała dopiero później. Z tchórzostwa. Wiedziała, że dochodziłoby do nie kończących się kłótni, gdyby wyłuszczyła mu swój punkt widzenia. Woląca nie komplikować ich i tak już niełatwych stosunków.

Kiedy później przejęła częściową opiekę nad swym późniejszym mężem, miała coraz mniej czasu dla Petera. Była z tego zadowolona i miała nadzieję, że ich związek umrze śmiercią naturalną. Tak się jednak nie stało. Peter robił jej sceny. Był zazdrosny o Brunona.

— Bezpodstawnie? — włączył się profesor Krueger.

— Nie — przyznała Lisa. — Brunon znaczył dla mnie dużo więcej niż Peter. Był o wiele silniejszą osobowością. Ale tego nie mogłam Peterowi wyjaśnić, nie sprawiając mu przykrości. Był dotknięty w swej próżności już samym faktem, że go unikam. Cieszyłam się, gdy Brunon zaproponował mi małżeństwo. Mogłam wreszcie skończyć z Peterem. Jemu się wydawało, że polecałam tylko na wielkie pieniądze Hammera.

— Ale tak nie było?

— Absolutnie nie.

— Czy także seksualnie mąż panią pociągał?

— Nie, był przecież bardzo chory.

— Nie dochodziło więc między wami do stosunków seksualnych?

— Dochodziło. Sypialiśmy ze sobą tak długo, jak było to możliwe.

— I co pani wtedy odczuwała?

— Byłam zadowolona, że mogę mu sprawić przyjemność.

— To bardzo mało.

— To istotnie mało.

Na koniec sesji Lisa rzekła:

— Nigdy tak długo nie mówiłam o sobie! Czy posunęło to pana naprzód?

— Niewiele. Żeby zbadać do głębi pani duszę, potrzeba by chyba miesięcy.

— Wspaniale! Chętnie tu zostanę.

— Niestety, nie mamy już zbyt wiele czasu do dyspozycji. Musi pani wrócić do aresztu śledczego.

Twarz Lisy zdradzała rozczarowanie, ale nie padło z jej strony ani jedno słowo prośby.

— Spróbuję zatrzymać panią tu jeszcze przez weekend.

— Bardzo dziękuję, panie profesorze — rzekła wstając. — Dziękuję za wszystko. Był pan dla mnie taki miły.

— W przeciwieństwie do prawników i policjantów wiem, że ludzi nie można dzielić na dobrych i złych. W każdym z nas jest odrobina dobra i zła, a zatem każdemu może się przydarzyć, że zło w nim zwycięży.

Było to stwierdzenie na tyle jasne, że Lisa nie musiała pytać, czy istotnie wierzy w to, że byłaby zdolna do popełnienia tego mordu. Nie miała już siły i ochoty, żeby go przekonywać, że jest niewinna.

Być może jednak nie było to wcale potrzebne.

Dwudziestego listopada prokurator wniósł pozew przeciwko Lisie Hammer, z domu Hopff, oskarżając ją o morderstwo z premedytacją. Proces został wyznaczony na drugą połowę stycznia przed sądem przysięgłych w Traunstein.

— Przykro mi, pani Hammer—powiedział Paul Zumbruch, kiedy znowu siedzieli naprzeciw siebie w małej rozmównicy — ale nic się nie dało zrobić. Prokurator uznał, że poszlaki są wystarczające.

— To było do przewidzenia — oświadczyła Lisa z rezygnacją.

— Naprawdę próbowałem wszystkiego... — Zumbruch zawiesił głos w połowie zdania.

— Jestem o tym przekonana, panie mecenasie! Przypuszczalnie nawet na święta nie dostanę urlopu, czy tak?

— W obecnym stanie rzeczy — na pewno nie.

— Nie szkodzi. I tak byłyby to smutne święta, po raz pierwszy bez mojego męża.

— Czy naprawdę tak go pani brakuje?

— Tak, oczywiście. W końcu przez wiele lat byliśmy ze sobą dzień i noc.

— Ale przecież sama pani przyznała, że był człowiekiem wyjątkowo trudnym.

— Mimo wszystko.

Spojrzał na nią swymi mądrymi, szarymi oczami z głębokim zastanowieniem.

— Chciałbym mieć u swego boku taką kobietę jak pani, kiedy będę już stary i schorowany.

— To niech pan poślubi pielęgniarke!

Roześmiali się oboje i atmosfera stała się mniej przygnębiająca.

— W każdym razie mamy jeszcze wystarczająco dużo czasu, żeby wybrać linię obrony i ustalić, co i jak mam zeznawać — stwierdziła Lisa.

— W ogóle nie będzie pani zeznawać — oświadczył Zumbruch nieoczekiwanie.

— Nie? — zapytała zdziwiona.

— Przemyślałem to sobie dokładnie. Oczywiście przysięgłych nie nastawi zbyt przychylnie fakt, że skorzystała pani ze swego prawa do odmowy zeznań. Ale jeszcze bardziej niebezpieczne byłoby pozwolić pani mówić.

— Ma mnie pan za idiotkę?

— Nie, ale jest pani impulsywna. Łatwo może się pani przytrafić odpowiedź, którą ława przysięgłych mogłaby zinterpretować jako agresywną bądź cyniczną.

— Będę się bardzo pilnowała.

— To również nie uszłoby uwagi przysięgłych. Nie, będzie lepiej, jeżeli odpowie pani tylko na pytania dotyczące danych osobowych, a potem odmówi dalszych zeznań.

— Mam nadzieję, że wierzy pan przynajmniej w to, iż potrafię przybrać stosowną minę podczas rozprawy.

— Proszę nie sądzić, że to takie łatwe! Jeśli będzie pani zbyt opanowana, uznają panią za osobę bez serca, jeśli zbyt wzruszona, będą skłonni twierdzić, że to z powodu nieczystego sumienia.

— Słuchając pana można by pomyśleć, że trzeba być aktorką, żeby zrobić dobre wrażenie na ławie oskarżonych.

— W gruncie rzeczy nie ma w tym wcale przesady.

* * *

Pobyt w klinice psychiatrycznej przyniósł Lisie pewną korzyść — zyskała pewność, że nie popełniła tego morderstwa podczas napadu schizofrenii. Skoro zaś nie zrobiła tego będąc przy zdrowych zmysłach wierzyła, że proces udowodni jej niewinność. Powtarzała to sobie bez przerwy i całą energię skupiła na tym, by zachować spokój.

Wieczorami jednak ogarniał ją strach, że mimo czystego sumienia zostanie jednak skazana. Miała wtedy ochotę zerwać się ze swojej pryczy, walić pięściami w drzwi i krzyczeć: „Wypuście mnie stąd! Jestem niewinna!”

Na krótko przed Bożym Narodzeniem do celi Lisy dokwaterowano nową więźniarkę. Miała około trzydziestu lat. Centymetrowej długości odrosty zdradzały naturalny, ciemny kolor jej ufarbowanych na blond włosów.

Robiła sympatyczne wrażenie. Nosiła wytarte jeansy, a jej różowy sweter najlepsze dni miał już za sobą.

— Mam na imię Edith — powiedziała, rzucając swój worek marynarski na pryczę. — Nie musisz mi mówić, kim jesteś. W niemieckich landach wszyscy cię już znają.

Reporter i kamerzyści czatowali bowiem na Lisę, gdy opuszczała klinikę. Na samo wspomnienie o tym przebiegły ją dreszcze.

— No cóż, domyślałam się tego — powiedziała tylko i ponownie zagłębiła się w lekturze podręcznika anatomii.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam — Edith ściągnęła kozaczki i włożyła pantofle.

— Nie, dlaczego? Cieszę się, że będę miała towarzystwo, szczególnie podczas świąt.

— Grywasz w remika?

— Tak. Tylko że nie mam kart.

— Ale ja mam! — Edith triumfalnie wyjęła z worka nieco przybrudzoną talię. — Partyjkę?

— Nie w tej chwili. Może wieczorem — Lisa ponownie oddała się lekturze.

— Nie jesteś zbyt dociekliwa.

— Zgadza się.

— Nie interesuje cię zupełnie, dlaczego mnie zgarnęli?

— Na pewno mi o tym opowiesz — powiedziała Lisa, po czym zdała sobie sprawę, że zachowuje się zbyt lekceważąco, więc dodała: — No więc za co tu jesteś?

— Kradzież sklepowa.

— Przestań! Nie zamyka się ludzi za coś takiego.

— Przyłapali mnie nie po raz pierwszy...

— To dosyć głupio z twojej strony. Mimo wszystko to jeszcze nie powód, żeby cię zamykać w areszcie śledczym.

Edith wzruszyła ramionami.

— Nie mam stałego miejsca zamieszkania. Lisa poczuła przypływ zainteresowania.

— Czy to ma znaczyć, że śpisz na ulicy?

— Rzadko. Ale czasami się zdarza. Zwykle coś znajduję — to tu, to tam.

— Ale przecież nie możesz tak dłużej żyć!

— Masz rację. Dlatego nawet się cieszę, że mnie zapuszkowali.

— Jesteś twarda!

— Wiesz, pochodzę z normalnego drobnomieszczańskiego domu. Po maturze zaczęłam nawet studiować ekonomię przedsiębiorstw. Ale wtedy zakochałam się w pewnym przystojniaku, który ciągał mnie ze sobą po całym świecie. Do Londynu, do Kairu, na Tajwan. Wszędzie. Oczywiście rzuciłam studia. Miałam naprawdę cudowne życie. Dopóki go nie przymknęli. Był handlarzem bronią. Nic o tym nie wiedziałam.

— A potem?

— Było coraz gorzej. Zostałam deportowana — to było w Paryżu, kiedy go zwinęli. Nie miałam już potem ochoty na żadne studia. Rodzice tymczasem zmarli, a do moich braci nie chciałam się zwracać. Bądź co bądź miałam jeszcze trochę ciuchów i biżuterii. Bez trudu poderwałam innego faceta. To nie to, co myślisz. Na ulicę nie wyszłam.

— Ale żyłaś z mężczyzną.

— A czy nie robi tego większość kobiet? W taki czy inny sposób?

— Nie wiem.

— Ale tak jest. Masz coś zapalić?

— Niestety nie.

Edith wyłowiła z worka zmiętą paczkę papierosów i po chwili wahania podsunęła ją Lisie.

— Częstuj się!

Lisa pokręciła głową.

— Nie, dziękuję.

— Tym lepiej — Edith zapaliła papierosa, z lubością zaciągając się dymem.

Lisa rozejrzała się za popielniczką. Wstała, podeszła do umywalki, opróżniła swoją mydelniczkę i postawiła ją na stole przed Edith.

— Miło z twojej strony.

— Nie chcę po prostu zmiatać potem twoich niedopałków i resztek popiołu.

Edith roześmiała się.

— Tak źle nie będzie. Nie jestem aż taką bałaganiarą.

— Dobrze wiedzieć.

— Byłoby pewnie najrozsądniej, gdybym wyszła za męża. Ale rozsądna to ja nigdy nie byłam. Faceci, których znałam po Ivie — ten handlarz bronią, o którym ci mówiłam, nazywał się Ivo Mirkovitsch — nie dorastali mu do pięt. Ja, głupia, dawałam im to do zrozumienia. A później — no cóż, potem żaden

mnie na dłuższą metę nie chciał. Od kiedy ostatni z nich wyrzucił mnie ze swojego mieszkania, pozostała mi ulica.

— Jest mi naprawdę strasznie przykro — powiedziała Lisa szczerze.

— Mnie czasem też, możesz mi wierzyć — Edith zaciągnęła się głęboko. — Ale co zrobić? Jakoś to będzie.

— Masz teraz przynajmniej czas, żeby się zastanowić, co chcesz robić w przyszłości — Lisa znowu poświęciła się lekturze książki.

Edith wyciągnęła rękę i przechyliła książkę tak, żeby odczytać jej tytuł.

— Anatomia człowieka? Co w tym takiego interesującego?

— Kiedy stąd wyjdę, chcę studiować medycynę.

— Wtedy będziesz już na to grubo za stara.

— Jak to? Mam dopiero dwadzieścia pięć lat.

— Miałam na myśli, że kiedy stąd wyjdiesz... — powiedziała Edith znacząco, jeszcze raz zaciągając się papierosem i zgasiła go w mydelniczce.

— Jestem pewna, że na procesie zostanie udowodniona moja niewinność.

Edith uniosła swe ciemne brwi.

— Faktycznie?

— Bezwarunkowo.

— A ja myślałam... — Edith przerwała. — No, ale zostawmy to. Opowiedz mi, jak to było.

— Opowiem. Nawet jeśli niekoniecznie jest to temat, który mnie bawi. Ale teraz pozwól mi się pouczyć. — Ruchem głowy wskazała na półkę z książkami, dodając: — Możesz sobie wziąć któryś z moich kryminałów.

Edith zamilkła. Jednak Lisie nie udało się skoncentrować na treści podręcznika. Zaczęła podejrzewać, że Edith znalazła się w tej celi tylko po to, by ją szpiegować. Może nie była wcale prawdziwą więźniarką, tylko policjantką, która udaje szumowinę. Poczowała lęk.

Po chwili jednak uznała, iż nie ma powodów, by obawiać się Edith — niezależnie od tego, kim ona jest. Nie ma przecież nic do ukrycia. Powinna się raczej cieszyć, że poszlaki są dla wymiaru sprawiedliwości na tyle nieprzekonywające, że zdecydowano się na ten podstęp w nadziei, że powie w celi coś, co ją obciąży. Skwapliwie i bez dalszego namawiania opowiedziała więc Edith wszystko, co wiedziała o morderstwie i o tym, jak to się stało, że to z niej próbowano zrobić kozła ofiarnego. Edith wysłuchiwała tego wszystkiego z na pozór wielkim współczuciem.

Podejrzenia Lisy ugruntowały się w czasie następnych kilku tygodni, bowiem Edith ciągle wracała do tego tematu.

— Znasz już przecież moją historię od a do zet! — rzekła w pewnej chwili Lisa, zadając sobie sporo trudu, żeby nie okazać nieufności.

— Czy nie mogłybyśmy porozmawiać o czymś innym? Edith ustąpiła.

— No dobrze. Jeśli tak uważasz.

Wkrótce jednak znowu do tego wróciła. W noc po wieczorze wigilijnym, który obie spędziły w nastroju nieco melancholijnym, Edith wyrwała nagle Lisę ze snu.

— Co jest? — spytała Lisa zaspana.

Edith chwyciła ją za ramiona, potrząsnęła kilkakrotnie, powtarzając jej imię.

— Co się dzieje? — powtórzyła Lisa przytomniej.

— Krzyczałaś przez sen!

— Naprawdę?

— Musiałaś chyba mieć jakiś koszmar. Lisa przetarła oczy.

— Zupełnie sobie tego nie przypominam.

— Ale krzyczałaś. Strasznie mnie przestraszyłaś.

— Przykro mi. Chodźmy już spać, dobrze? Edith chwyciła Lisę w objęcia.

— Liso, byłoby lepiej, gdybyś mi wreszcie wyznała, co cię gnębi. Sama nie dasz sobie z tym rady.

— Boję się oczywiście procesu — przyznała Lisa.

— Udowodnią ci winę.

— Dlaczego tak mówisz? — Lisa próbowała uwolnić się z uścisku Edith.

— Ponieważ musisz w końcu dostrzec powagę sytuacji. Nie pomoże ci okłamywanie całego świata. Otwórz się przynajmniej przede mną.

— Puść mnie! — Lisa odepchnęła ją gwałtownie. — Odbiło ci?

— Sama wiele przeszłam, Liso, i rozumiem cię.

— Nie! Daj mi się w końcu wyspać!

— Nie możesz zamykać oczu na prawdę.

— Znasz prawdę. Opowiedziałam ci ją co najmniej z dziesięć razy!

— Całą prawdę?

— Nie ma półprawd. I zostaw mnie wreszcie w spokoju! — Lisa obróciła się do Edith plecami.

Ta jednak nie dała za wygraną i dalej zamęczała ją pytaniami. Lecz Lisa nie powiedziała już ani słowa więcej.

Następnego ranka zażądała jednak wyjaśnień.

— Co ty właściwie sobie myślisz? Dlaczego budzisz mnie w środku nocy?

— Chciałam ci pomóc.

— Jak? Czy mogłabyś mi to wytłumaczyć?

— Liso, czy ty naprawdę nie pojmujesz, że żaden człowiek nie może żyć z tak przerażającą tajemnicą — nawet jeśli zostanie uniewinniony.

— A więc mi nie uwierzyłaś — stwierdziła Lisa.

— Próbowałam — broniła się Edith.

— Nie wierzę ci. Było odwrotnie: chciałaś wydobyć ze mnie jakieś wyznanie, które mogłoby mnie obciążyć. Dlaczego? Co ja ci zrobiłam?

— Nic — Edith spuściła oczy.

— Czy obiecano ci jakieś względy, jeśli pomożesz im mnie skazać?

— Liso, proszę cię, źle to oceniasz.

— To popraw mnie!

— Nie sposób dziś z tobą rozmawiać. Nie chcesz zrozumieć...

— Świetnie. A zatem skończmy z tym wreszcie — Lisa ponownie zajęła się swoim podręcznikiem do anatomii. Ale zamiast się uczyć, gorączkowo wracała pamięcią do rozmów z Edith — czy nie powiedziała czegoś, co mogłoby przemawiać przeciwko niej. Nic jednak nie przyszło jej na myśl.

Edith nie próbowała już nawiązać z nią rozmowy. Lisie to zupełnie nie przeszkadzało. Ale przykrością napawał ją fakt, że przebywa w jednej celi ze szpiclem.

Odetchnęła, kiedy jeszcze tego samego dnia Edith została przeniesiona.

* * *

Wczesnym rankiem osiemnastego stycznia Lisa została przewieziona z więzienia do budynku sądu w Traunstein. Dzień był mroźny i Lisa zmarzła w swym znoszonym płaszczu zimowym. Powinna była już dawno kupić sobie nowy, ciągle to jednak odkładała.

Kiedy wysiadła z policyjnej furgonetki, rzuciła się na nią sfera fotografów i kamerzystów. Młoda policjantka, która jej towarzyszyła, próbowała ją chronić przed ich natarczywością — szybko utorowała jej drogę do gmachu sądu. W hallu i na schodach również czekali dziennikarze. Lisa podniosła ręce na wysokość twarzy i pozwoliła swojej opiekunce zaprowadzić się do celi.

Zwykle tak opanowana — teraz była bliska płaczu.

— Nie wolno się pani załamać! — upomniała ją policjantka.

— Ale to przecież straszne! Czy jestem zwierzyną przeznaczoną na odstrzał?!

— W sali posiedzeń na szczęście nie wolno fotografować. Lisa uśmiechnęła się drżącymi wargami.

— Słaba to pociecha.

W celi było ciasno i duszno. Lisa zdjęła płaszcz. Proszą, bladonie-bieską wełnianą sukienkę, którą miała na sobie, wybrał Paul Zumbruch. Był zdania, że gdyby włożyła coś czarnego, posądzono by ją o hipokryzję.

— Czy mam zamówić dla nas kawę? — zapytała młoda policjantka. — Na pewno jeszcze zdążymy.

— Za chwilę zostanę wezwana.

— Przy tych prawniczych rozmowach przedwstępnych nie jest pani potrzebna.

Policjantka wysunęła głowę za drzwi i poprosiła jakiegoś strażnika sądowego o kawę, którą ten dostarczył po chwili w dwóch plastikowych kubkach. Obie kobiety usiadły przy prostym, kwadratowym stole naprzeciwko siebie.

— Mocna to ona nie jest, ale za to gorąca — powiedziała policjantka po pierwszym łyku.

— Wcale nie gorsza od tej w areszcie śledczym.

Policjantka przesunęła w stronę Lisy paczkę papierosów. Gdy ta po namyśle odmówiła, najpierw wykonała taki ruch, jakby chciała sama zapalić, po chwili jednak zrezygnowała.

Czas włókł się niemiłosiernie. Minęła już dziesiąta, gdy wreszcie wezwano Lisę. Policjantka wprowadziła ją do sali sądowej bocznymi drzwiami. Lisa spuściła oczy, ale była świadoma faktu, że to wielkie pomieszczenie jest szczelnie wypełnione. Przypuszczalnie pól Rodenberg przyszło, żeby popatrzeć, jak zostaje skazana.

Sędzia poprosił ją, by podała personalia i opowiedziała krótko o swym życiu. Wydawał się młody, w każdym razie miał chyba nie więcej niż trzydzieści lat. Miał owalną, sympatyczną twarz i jasne, kręcone włosy.

Lisa starała się patrzeć mu w oczy, gdy tak stała przed nim i opowiadała o sobie. W jej życiu nie było nic, czego musiałaby się wstydzić. Opowiedziała prostymi słowami, dlaczego poślubiła o wiele od siebie starszego i schorowanego Brunona Hammera.

— Potrzebował mnie, a ja potrzebowałam poczucia, że jestem komuś naprawdę niezbędna.

— Mówi się jednak, że była pani przez niego źle traktowana.

— Nie, to nieprawda. Buntował się przeciwko swemu losowi, przeciw bólowi, przeciw swej bezsilności. Nawet jeśli mi wymyślał, w rzeczywistości nie chodziło mu o mnie. W każdym razie ja to tak rozumiałam.

— Czy zechciałaby nam pani teraz opowiedzieć, co wydarzyło się w noc śmierci pani męża?

— Nie, panie sędzio. Wolałabym tego nie robić. Opowiadałam o tym zbyt wiele razy. Skorzystam z przysługującego mi prawa do odmowy składania zeznań.

— Z pewnością rozumie pani jednak, że sędziowie przysięgli chcieliby z pani ust usłyszeć przebieg wypadków?

— Rozumiem, ale przecież nie jestem w stanie opowiedzieć o samym morderstwie.

Sędzia uniósł swe ledwie zarysowane brwi.

— Mówi pani o morderstwie?

— Tak. Jak inaczej można nazwać zasztyletowanie bezbronnego, przykutego do łóżka człowieka?

— Mogłoby chodzić o zabójstwo w afekcie.

— Nie znam się w ogóle na prawnych niuansach. W moich oczach to było morderstwo.

— Nic ponadto nie ma nam pani do powiedzenia?

— Nie, panie przewodniczący.

Wezwano nadinspektora Ellmanna. Był najwyraźniej głównym świadkiem oskarżenia. Prokurator — nie był to Goldberg, który przesłuchiwał Lisę w noc popełnienia zabójstwa, lecz starszy, szpakowaty mężczyzna — starał się wydobyć z jego zeznania te szczegóły, które przemawiały przeciwko Lisie. Lisa tymczasem obserwowwała przysięgłych i zauważyła, że byli przejęci.

Gdy skończył, do rozgrywki włączył się obrońca.

— Oskarżona przyznała więc sama, że wezwała policję dopiero w godzinę po znalezieniu zwłok?

— Tak.

— Czy możliwe byłoby udowodnienie tego faktu, gdyby pani Hammer to przemilczała?

— Według analizy treści żołądka można bardzo dokładnie ustalić zgon człowieka.

— Jak dokładnie? Co do minuty?

— Nie.

— Co do godziny? Ellmann zawahał się.

— Z dokładnością do dwóch godzin.

— A czy to prawda, że oskarżona przygotowała mężowi ostatni posiłek?

— Tak przynajmniej oświadczyła.

— A zatem mogła, podając mu ostatni posiłek według własnego uznania godzinę wcześniej albo godzinę później, ukryć w ten sposób prawdziwą godzinę zgonu?

Sędzia interweniował.

— Panie obrońco, mamy zajmować się tutaj faktami, a nie hipotezami!

— Chodzi mi jedynie o to, żeby podkreślić, że oskarżona szczerze przyznała, iż powiadomiła policję w godzinę po odnalezieniu ciała. Czy złożyła w tej sprawie wyjaśnienie, proszę świadka?

— Utrzymuje, że nie od razu zorientowała się, że mąż został zasztyletowany.

— Zakładała więc, że zmarł śmiercią naturalną?

— Tak.

— Co zatem robiła w czasie tej godziny od znalezienia zwłok do powiadomienia policji?

— Nic.

— Wydaje mi się, że to trochę mało. Jakieś wyjaśnienie na pewno przecież złożyła.

— Powiedziała, że w środku nocy nie chciała wyciągać lekarza z łóżka.

— Mówi pan o tym, czego oskarżona nie zrobiła. Ale jak spędziła tę godzinę?

— Była zajęta zakopywaniem nożyczek w ziemi w tylnej części ogrodu.

— To tylko hipoteza, na której poparcie nie ma żadnego dowodu. Na narzędziu zbrodni nie wykryto przecież żadnych odcisków palców, a ponadto żeby to zrobić, nie potrzebowalaby wcale aż godziny — wystarczyłoby jej dziesięć minut. Czy w tym punkcie zgadza się pan ze mną?

— Założenie butów i zakopanie nożyczek mogłoby trwać nawet i dwadzieścia minut.

— To możliwe — przyznał adwokat — ale i tak pozostałoby nam czterdzieści minut.

— Oskarżona mogła przecież odkryć plamy krwi na swym fartuchu — musiałyby się go jakoś pozbyć.

— Czy znalazł pan ten fartuch?

— Nie, ale miała przecież dość czasu, żeby go naprawdę dobrze schować.

— Czy denat był cały zakrwawiony?

— Nie, ale oskarżona mogła go umyć.

— Na poparcie swoich twierdzeń nie ma pan więc żadnych dowodów. — Obrońca zwrócił się do ławy przysięgłych: — Panie i panowie, narzędzie zbrodni leży przed wami. Chodzi o niezwykle ostre, niezwykle cienkie nożyczki do papieru, które zostały wbite bezpośrednio w serce w taki sposób, że z rany wypłynęło bardzo mało krwi. Dla poparcia tej tezy wnioskuje o wezwanie lekarza sądowego.

— Wniosek oddalony — oświadczył sędzia. — Nie ma wątpliwości co do rodzaju rany.

— A więc zapomnijmy o zakrwawionym fartuchu, którego wcale nie było! Powróćmy do faktów. Co robiła oskarżona, siedząc przy zwłokach swego zmarłego męża? Szkoda, że jej samej nie możemy o to spytać, ale jej odpowiedź jest zanotowana w protokole z przesłuchania. A więc, panie nadinspektorze, proszę spróbować sobie przypomnieć!

Z widoczną niechęcią Ellmann odpowiedział:

— Opłakiwała męża. — Starając się jednak pomniejszyć wagę tego zeznania, dodał zaraz bez nabierania oddechu: — W każdym razie tak twierdziła.

Na tym zakończono przesłuchanie świadka. Lisa czuła, że obrona wyszła zwycięsko z tego starcia.

Następnym świadkiem była Gerda Gaertner, gospodyni domowa. Opowiadała z fantazją i wyraźną przyjemnością, jak to zmarły źle traktował swoją żonę i jak to często widywała w jej oczach łzy.

— Musiało kiedyś dojść do katastrofy — oświadczyła — ale że zdarzy się coś tak okropnego, tego nie przewidziałam.

— Czy oskarżona wiedziała o istnieniu nożyczek? — zapytał prokurator.

— Jakże miała nie wiedzieć? Była przecież panią domu.

— Czy oskarżona kiedykolwiek skarżyła się pani na zachowanie swego męża?

— Nie, nigdy. Wszystko tłumiała w sobie. Właśnie dlatego musiało do tego dojść.

— Czy wiedziała pani o wizytach notariusza?

— No jasne. To przecież ja wpuszczałam go do domu.

— Czy rozmawiała pani o tym z oskarżoną?

— Nie.

— Nie była pani zaintrygowana? Przecież najwyraźniej chodziło o zmianę testamentu.

— Nie byliśmy z oskarżoną w tak zażyłych stosunkach. Ona była raczej wyniosła w stosunku do mnie, rozumie pan, co mam na myśli. Jak to czasem pielęgniarki — uważają się za coś lepszego.

Wywołało to śmiech na sali.

— Ale — zgodnie z tym, co zeznała pani podczas dochodzenia — oskarżona wiedziała o zmianie testamentu?

— Jestem pewna! To było tak: zapytałam ją, czy nie jest ciekawa, co jest w testamencie. Na to ona odpowiedziała chłodno: „Nie!” Może to tylko znaczyć, że...

— Nie mam więcej pytań do świadka — przerwał jej w pół słowa prokurator.

Adwokat Paul Zumbruch nawiązał do ostatniego punktu przesłuchania.

— A zatem oskarżona odpowiedziała „nie” na pani pytanie? A może: „Nie, nie znam treści testamentu”?

— Powiedziała tylko: „Nie!” Pamiętam to dokładnie.

— A czy to „Nie!” nie mogło znaczyć: „Mam w tej chwili inne zmartwienia”?

— Panie mecenasie — interweniował sędzia — to jest pytanie, na które świadek nie jest w stanie odpowiedzieć.

— Chciałem jedynie wykazać, że to krótkie przeczenie w gruncie rzeczy nic nie oznacza.

— Zrozumieliśmy.

Adwokat Zumbruch zwrócił się znowu do pani Gaertner.

— Powiedziała pani przed chwilą: „Oskarżona była przecież panią domu”.

— Bo przecież była.

— W jakim stopniu zajmowała się sprawami swego gospodarstwa domowego?

Pani Gaertner milczała. Robiła takie wrażenie, jakby nie zrozumiała pytania.

— Czy decydowała o tym, jaką potrawę należy przyrządzić na obiad? — wypytywał obrońca.

— To nie było konieczne. Sama wiedziałam, co trzeba ugotować. Zakupy też ja robiłam.

— Czy zarządzała mycie okien albo trzepanie dywanów?

— Niechby tylko spróbowała. Byłam w tym domu w końcu dłużej niż ona!

— Jeśli dobrze panią zrozumiałem, pani Hammer zupełnie nie troszczyła się o gospodarstwo domowe. Zresztą wcale nie musiała, ponieważ u jej boku była tak dobrze zorganizowana siła fachowa jak pani.

— Robiła mu kolacje.

— Do których pani z kolei czyniła wszelkie przygotowania? Pani Gaertner milczała, nie wiedząc, czy ma odpowiedzieć na to pytanie.

— Czy to prawda, pani Gaertner?

— Tak.

— W takim razie przyzna mi pani rację, że pani Hammer była nie tyle panią domu, ile pielęgniarzką i towarzyszką swego męża.

— Jeżeli pan to tak widzi. W domu w każdym razie nie kiwnęła palcem. Tylko tyle, że ścieliła sobie łóżko.

— Skąd więc ta pewność, że oskarżona wiedziała o istnieniu owych nożyczek?

— Ponieważ myszkowała po domu.

Lisa spojrzała na swą gospodynię z zaskoczeniem.

— Czy mogłaby to pani bliżej wyjaśnić!

— No więc tak. Jak przychodziłam rano, to zawsze zauważałam jakieś zmiany. Nawet w pokojach, w których nie miała czego szukać. Jakiejś poduszki nie było na swoim miejscu, jakaś narzuta była przesunięta.

— Czy rozmawiała pani o tym ze swoją szefową?

— Nie. Nie było to przecież takie ważne.

— Czy widziała pani kiedyś, jak oskarżona wchodzi do starej, nie używanej kuchni?

— Oczywiście, że nie. Przecież szperała zawsze po nocy.

— Czy zauważyła pani jakieś zmiany w owej starej kuchni? Pani Gaertner zawahała się.

— Tak — powiedziała — zauważyłam.

— Czy mogłaby to pani zeznać pod przysięgą?

Duża, owalna twarz pani Gaertner zaczerwieniła się. Kobieta zaczęła nerwowo manipulować przy swej odświętnej torebce.

— Lepiej nie — wypaliła wreszcie.

— Zakładam jednak, że powiedziała nam pani prawdę.

— Tak, tak!

— Ale nie jest pani pewna, czy wyobraźnia nie splątała pani figla, jeśli idzie o starą kuchnię?

— Pan to jest dopiero przebiegły! Czepia się pan każdego słowa.

— Ale przyzna pani, że jej twierdzenia opierają się jedynie na przypuszczeniach?

— Jestem przekonana, że to, co powiedziałam, jest prawdą.

— Niestety, droga pani, nie chodzi nam o przekonania, lecz o fakty.

— Przysiąc nie mogę.

Adwokat zakończył więc przesłuchanie.

Lisa czuła, że pani Gaertner kłamała, żeby przedstawić ją w jak najgorszym świetle.

Kolejnym świadkiem był doktor Otto Krantz. Wszedł sprężystym, pewnym krokiem. Na życzenie prokuratora najpierw bardzo szczegółowo, posługując się słownictwem, którego na pewno nie zrozumiała połowa przysięgłych, opisał chorobę zmarłego. Lisie wystawił opinię najlepszą z możliwych. W jego oczach była to najbardziej dzielna, ofiarna i cierpliwa pielęgniarka, jaką poznał w czasie swojej długoletniej praktyki lekarskiej.

— Mimo to oskarżona uznała za niepotrzebne, by wezwać pana natychmiast po znalezieniu zwłok — argumentował prokurator.

— Dlaczego miała to robić? Nie potrafię przywracać zmarłych do życia i ona o tym wiedziała.

— Czy nie obudziło to w panu podejrzania, że coś jednak w tej zaskakującej śmierci jest nie tak?

— Absolutnie nie. Serce pacjenta było poważnie osłabione na skutek złego dokrwienia, a także w wyniku zażywania licznych lekarstw, które chory musiał przyjmować.

— Tak poważnie, że zgon mógł nastąpić w każdej chwili?

— Tak — oświadczył doktor Krantz bez wahania.

— Jak zatem wytłumaczyć, że wobec policji dawał pan swojemu pacjentowi jeszcze kilka lat życia?

— W takim razie źle się wyraziłem albo zostało to źle zaprotokołowane. W najlepszym wypadku chory mógł żyć jeszcze kilka lat to się zgadza. Ale wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby umarł już kilki miesiące temu.

— Wystawiłby więc pan świadectwo zgonu bez wahania?

— Jak najbardziej! Bez wymogu obdukcji.

— Zajmował się pan zmarłym przez wiele lat. Jak dobrze pan go znał?

— Bardzo dobrze. Mogę powiedzieć bez przesady, że byliśmy zaprzyjaźnieni.

— Wobec tego jest pan zorientowany co do jego stosunku do obwinionej?

— Ależ oczywiście. Często mawiał, że to wielkie szczęście mieć ją u swego boku. Jest inteligentna i potrafi wczuć się w położenie swego rozmówcy, był więc wdzięczny losowi, że mógł z nią rozmawiać. Doceniał, ile uwagi mu poświęcała i to jako osobie upośledzonej ze względu na zaawansowane kalectwo.

— I mimo to traktował ją źle?

— W żadnym wypadku. Źle traktował? Nie. Potrafił być dosyć nieprzyjemny także wobec mnie, ale on, zawsze był porywczy.

— A jak ona na to reagowała?

— Tak samo jak ja. Oboje wiedzieliśmy, że mamy do czynienia z ciężko chorym, nękanym bólami pacjentem, od którego nie można wymagać, żeby ważył każde słowo.

— Jak często widywał pan pacjenta?

— Bywałem u niego regularnie raz w tygodniu, czasami też częściej, w zależności od potrzeby.

— Musi pan więc przyznać, że to zupełnie coś innego niż czuwać nad chorym codziennie.

— Nigdy nie twierdziłem, że jestem pielęgniarką. Ta wypowiedź wywołała wesołość na sali.

— Wiem jednak, że stosunek oskarżonej do zmarłego zawsze był pełen szacunku. Pani Hammer jest bardzo silną kobietą, której nie można tak łatwo wyprowadzić z równowagi. Nigdy też nie zauważyłem u niej najmniejszej oznaki zniecierpliwienia, nigdy się nie uskarżała ani nie dawała do zrozumienia, że opieka nad pacjentem kosztuje ją zbyt wiele. A musiała być przy nim przecież dzień i noc.

— Czy uważał pan ten rodzaj opieki za rozwiązanie rozsądne?

— Nie. Lecz kiedy tylko zwracałem panu Hammerowi uwagę, że powinien mieć przynajmniej jeszcze jedną pielęgniarkę, ze zdenerwowania niemal wychodził ze skóry. Więc już się nie odzywałem.

— Czy mówił pan o tym oskarżonej?

— Ona odpowiadała na to jedynie: „Wie pan, że on tego sobie nie życzy. Proszę się nie martwić, dam sobie radę.” Albo coś w tym rodzaju.

— Odseparowała go więc zupełnie od otoczenia?

— Cóż za pomysł! To absurd. To choroba go odizolowała, a nie opiekunka. Gdyby dzieliła opiekę nad nim z jeszcze dwoma innymi pielęgniarzkami i tak wolałby jej towarzystwo, ponieważ to właśnie ją lubił.

— I nie przyszło panu nigdy do głowy, że całe to poświęcenie może służyć jedynie zdobyciu dużych pieniędzy?

— Wiem, że dla pieniędzy ludzie są w stanie wiele poświęcić — ale nie aż tyle!

— Łowcy spadków istnieli od niepamiętnych czasów.

— Siostra Lisa — pardon, pani Hammer — z pewnością do tej kategorii ludzi nie należy.

Posłał Lisie dodający otuchy, niemal radosny uśmiech, po czym opuścił salę rozpraw. Najwyraźniej nie miał czasu, by uczestniczyć w rozprawie jako widz.

* * *

W czasie przerwy obiadowej Lisie i jej strażniczce przyniesiono ciepły bulion z knedlami wątrobianymi. Zarządził to Paul Zumbruch.

Lisa nie była głodna, jednak młoda policjantka — nazywała się Remminger i była w stosunku do Lisy bardzo miła, wręcz przyjacielska — rozlała tę zupę do talerzy, namawiając ją usilnie:

— Musi pani coś zjeść, pani Hammer! Nie chce pani chyba ryzykować omdlenia w najmniej pożądanym momencie? To mogłoby pani zaszkodzić.

Lisa zmusiła się więc do zjedzenia całej zupy, a potem wypila filiżankę kawy. Tym razem nie odmówiła też, gdy Remminger zaproponowała jej papierosa — nie miała nań wielkiej ochoty, ale zauważyła, że policjantka krępuje się palić sama.

Jeden z sądowych strażników wprowadził do celi adwokata. W tym małym i dusznym pomieszczeniu było bardzo ciasno, więc policjantka podniosła się i na czas rozmowy wyszła na korytarz. Lisa zamieniła z Paulem Zumbruchem kilka słów o przebiegu dotychczasowych przesłuchań, a on zapewnił ją, że wszystko przebiega zgodnie z planem.

— Następnym świadkiem będzie Artur Hammer.

— On mnie na pewno nie pogrąży.

W żywych, szarych oczach Zumbrucha zagościło zdziwienie.

— A mógłby?

— Och nie! Chciałam jedynie powiedzieć, że on nie będzie próbował mnie obciążyć.

— I znowu ta pani nierozważna spontaniczność. Wiedziałem co robię, nie pozwalając pani zeznawać.

— Przykro mi. A co z Evelyn?

— Zaoferowała się jako świadek oskarżenia. Ale raczej wątpię, czy prokurator zechce ją przesłuchać. Zostało przecież stwierdzone, że przez cały rok poprzedzający morderstwo nie widziała się ani z ojcem, ani z panią.

— Ona wylałaby na mnie tyle pomyj, ile tylko by zdołała.

— Ale ponieważ sąd wie, że nie opiekowała się swoim ojcem i dlatego została wydziedziczona, nie byłoby się czym przejmować.

Tak jak zapowiedział adwokat, popołudniowym świadkiem był Artur Hammer. Ku zdumieniu Lisy wystąpił w bardzo konserwatywnym, ciemnoszarym garniturze i jasnoszarym jedwabnym krawacie, który pasował do jego płowych włosów. Jednak nie prezentował się zbyt dobrze w tym stroju — zniknęła gdzieś owa niedbała elegancja, która dodawała mu wdzięku.

Gdy tylko podał swoje personalia, prokurator przystąpił do pytania.

— Jaki był pana stosunek do ojca?

— Mój? — spytał Artur nieco niemądrze, wskazując na siebie palcem.

— Tak, pana.

— Cenilem go. Był silną osobowością. Wiele w życiu osiągnął.

— Trudno w pańskiej wypowiedzi wyczuć synowską miłość.

— To, że kocha się swojego ojca jest chyba sprawą oczywistą — padła naiwna odpowiedź.

— A jaki był stosunek pańskiego ojca do pana?

— Oczywiście kochał mnie również, jeśli chce pan wiedzieć. Byłem przecież jego jedynym synem. Odwiedzałem go zresztą tak często, jak tylko mogłem.

— Wobec tego na pewno może nam pan wiele powiedzieć na temat stosunku łączącego zmarłego i oskarżoną?

— Był bardzo zadowolony, że jest przy nim.

— Jednak traktował ją źle.

— Był porywczy, niecierpliwy.

— A ona to cierpliwie znosiła?

— Cóż innego mogła zrobić?

— Pacjent jest w dużym stopniu skazany na swoją pielęgniarkę. Czy ona dawała mu to odczuć?

— Przy mnie — nigdy!

— W jakich jest pan stosunkach z oskarżoną?

— W neutralnych.

— Musi nam pan to bliżej wyjaśnić.

— Nigdy nie miałem nic przeciwko niej.

— Ale nie lubił jej pan?

— Tak tego bym nie ujął.

Lisa zdumiała się i mimowolnie rzuciła pytające spojrzenie na swego adwokata. Zawsze myślała, że Artur ją lubi. Musiał przecież zauważyć, że zawsze starała mu się umilić pobyt w domu rodzinnym.

— Była mi po prostu obojętna — dodał Artur.

— A więc nawet w najmniejszym stopniu nie odczuwał pan w stosunku do niej wdzięczności, że przejęła opiekę nad pana ojcem?

Artur wzruszył ramionami.

— A dlaczego miałbym odczuwać? Gdyby tego nie zrobiła, ojciec znalazłby się w klinice.

— Nie było więc żadnego powodu, żeby opieką zajmowała się oskarżona?

— Z jej punktu widzenia był. Ojciec obiecał jej przecież furę pieniędzy.

— Co według pana znaczy „fura”?

— Miał jej zostawić tyle, by wystarczyło na sfinansowanie studiów.

— Zgadzał się pan z tym?

— Nikt mnie przecież o zdanie nie pytał.

— Proszę nam jednak odpowiedzieć, czy uważał pan to rozwiązanie za rozsądne i stosowne?

— Nie. Opieka w klinice, po rozważeniu wszystkich za i przeciw, byłaby lepsza i chyba nawet mniej kosztowna — przyznał Artur, a po krótkiej przerwie dodał: — a ona dzięki stypendium mogłaby od razu zacząć studia, zamiast harować przy ojcu.

— Czy sugerował pan to oskarżonej?

— Tak. Powiedziała, że też się nad tym zastanawiała. Że boi się, iż po śmierci ojca będzie za stara na rozpoczęcie studiów. Ale w tym stanie rzeczy nie mogła go tak zostawić na pastwę losu.

Lisa zdumiała się raz jeszcze, bo nie przypomiwała sobie, żeby kiedykolwiek przeprowadziła ze swoim pasierbem podobną rozmowę.

— „W tym stanie rzeczy” — powtórzył oskarżyciel. — Co pan chciał przez to powiedzieć?

— Cóż, zdecydowała się go poślubić.

— A dlaczego to zrobiła?

— Przecież to jasne jak słońce. Chciała mieć pewność, że naprawdę dostanie te pieniądze, a on w ten sposób zabezpieczył się przed jej odejściem.

— Czy odnosił pan wrażenie, że oskarżona dąży do zdobycia większej sumy niż ta, którą mąż jej obiecał?

— Często dziwiło mnie, że jest dla niego taka cukierkowata. Ale co się za tym kryło, pojąłem dopiero po otwarciu testamentu.

— Dziękuję. Nie mam więcej pytań do świadka. Prokurator wytarł śnieżnobiałą chusteczką wyimaginowane krople potu ze swego wysokiego czoła i usiadł. Artur odwrócił się z wyraźną ulgą. Mecenas Zumbruch zerwał się z miejsca.

— Chwileczkę, panie Hammer, jeszcze nie jest pan wolny.

— Czego pan ode mnie chce?

— Oczekuję, że odpowie mi pan na kilka pytań. Wobec pana prokuratora wyraził pan przekonanie, że pana cierpiący ojciec powinien był — dla swego dobra — zostać umieszczony w jakiejś klinice.

— Bo to się zgadza.

— Czy pańska siostra była również tego zdania?

— Tak.

— Dlaczego więc nie doszło do przeniesienia ojca do kliniki?

— Ojciec bronił się przed tym.

— Zmarły nie chciał więc tego za żadną cenę?

— Tak.

— A jaki pogląd wyraził w tej sprawie opiekujący się nim lekarz, doktor Krantz?

— Stał naturalnie po stronie ojca.

— Dlaczego „naturalnie”?

— Ojciec był w końcu jego płatnym pacjentem.

Szmer przebiegł po sali. Artur zorientował się, że posunął się za daleko.

— Nie chcę wcale twierdzić, że chodziło mu wyłącznie o pieniądze.

— Jakiż więc podał powód? W każdej chwili możemy go zapytać o to sami.

— Twierdził, że w klinice ojciec szybko by umarł.

— Nie uwierzył mu pan? Czy było to panu obojętne?

— Słowa doktora Krantza nie przekonały nas.

— Mimo iż wiedział pan, że pana ojciec byłby trudnym pacjentem?

— W klinice musiały się stosować do regulaminu.

— Pozwoli pan, że wyrażę powątpiewanie, panie Hammer! Proszę mi powiedzieć, jak wyglądały pana kontakty z ojcem?

— Już to wyjaśniałem prokuratorowi. Zumbruch zajrzał do notatek.

— Powiedział pan, że ojciec był porywczy i niecierpliwy. — Podniósł głowę i spojrzał Arturowi w jego nieco mętne oczy. — Czy był taki zawsze, czy dopiero od czasu choroby?

— Nie pamiętam — Artur zawahał się, by po chwili dodać: — Choroba chyba tylko wzmogła te cechy.

— Już jako dziecko cierpiał więc pan z powodu jego, nazwijmy to, dominującego usposobienia?

— Tego wcale nie powiedziałem.

— A więc dopiero w czasie dorastania?

— Proszę mi niczego nie insynuować — zaprotestował Artur.

— Chce więc pan powiedzieć, że ojciec traktował pana wyjątkowo? Że w stosunku do pana okazywał pobłażliwość i opanowanie?

— Nie — powiedział Artur z wyraźnymi oporami.

— Jak więc było naprawdę?

— Mój ojciec chętnie czepiał się mnie o wszystko — przyznał stłumionym głosem Artur.

— Proszę świadka, aby mówił głośniej — upomniał go sędzia.

— Zarzucał mi brak ambicji.

— Przebywanie z nim nie było więc dla pana sielanką — podsumował obrońca. — Mimo to ciągle go pan odwiedzał.

— Był w końcu moim ojcem.

— Chce pan powiedzieć, że był pan od niego finansowo uzależniony?

— To też.

Lisa zdała sobie sprawę, że Artur zrobił na przysięgłych jak najgorsze wrażenie i prawie zrobiło jej się go żal. Kątem oka obserwowała publiczność. Niektórzy mieszkańcy Rodenberg szturchali się łokciami i szeptali między sobą. Reporterzy pilnie notowali.

— Przejdźmy teraz do sprawy rzekomo zgubionego klucza — kontynuował obrońca.

— Ja go naprawdę zgubiłem — albo ktoś mi go ukradł!

— W tej sprawie składał pan dość zagmatwane zeznania. Kiedy naprawdę zauważył pan jego brak?

— Tego już teraz dokładnie nie pamiętam! Musiałem się chyba zorientować w domu, w Stuttgarcie, kiedy chciałem go wyjąć z kieszeni i włożyć do szuflady w biurku.

— To było zaraz po pańskim ostatnim pobycie w Rodenberg?

— Tak.

— A więc w sierpniu ubiegłego roku?

— Tak.

— I nie uznał pan za stosowne zadzwonić do swojej macochy lub napisać jej o tym?

— To przecież nie było takie ważne.

— Także podczas następnych rozmów telefonicznych nie powiadomił jej pan o tym?

— Zupełnie o tym zapomniałem.

— Nie zdaje albo nie zdawał więc pan sobie sprawy z tego, jak ważnym przedmiotem jest klucz od domu?

— Prawie nigdy go nie używałem. Tylko gdy późno wracałem do domu. Od czasu gdy wyprowadziłem się z Rodenberg, nie korzystałem z niego wcale.

— Ale dla mieszkańców pana domu rodzinnego — dla pańskiego ojca, pańskiej macochy, a także dla gospodyni — było to ważne. Sądzi pan, że to przyjemnie mieszkać w domu, do którego może się niepostrzeżenie dostać ktoś obcy?

— Nie pomyślałem o tym. obrońca zakończył przesłuchanie.

— Dziękuję, nie mam więcej pytań.

Prokurator i sędzia omawiali jeszcze krótko, czy Artur powinien zostać zaprzysiężony, odstąpili jednak od tego zamiaru. Sędzia rzucił okiem na swój piękny, stary zegarek kieszonkowy, który ostentacyjnie wyjął spod togi, po czym obwieścił, że zamyka posiedzenie sądu i wznowi je następnego dnia. Wszyscy w sali podnieśli się.

Jeden z fotoreporterów wykorzystał okazję, żeby błysnąć Lisie fleszem w oczy. Adwokat szybko jednak przypomniał mu o zakazie fotografowania.

Lisa i policjantka Remminger opuściły tymczasem pospiesznie salę. W nadziei, że dziennikarze się wyniosą, pozostały jeszcze pół godziny w celi. Policjantka zapaliła papierosa. Wpuszczono do nich jedynie Paula Zumbrucha, który zdążył już zdjąć swoją togę.

— Nie ma sensu dłużej czekać — powiedział. — Ta sfora się nie wyniesie. Miejmy to wreszcie za sobą.

Opuścili budynek tylnymi drzwiami. Adwokat i policjantka ochraniaли Lisę, na ile to było możliwe, przed feerią błyskających fleszy. W drodze do więzienia Remminger rzekła:

— Ma pani szansę wywinąć się z tego, pani Hammer. Lisa nie miała ochoty znowu zapewniać o swej niewinności.

— Będzie mi pani towarzyszyła również jutro? — zapytała zamiast tego.

— Zobaczę, co się da zrobić.

— Proszę — błagalnie powiedziała Lisa, która w czasie ostatnich kilku tygodni miała już do czynienia z różnymi policjantkami, zazwyczaj jej nieprzychylnymi.

Remminger zrozumiała, o co jej chodzi.

— Dobrze — rzekła — przejdę przez to razem z panią.

Tego wieczoru przewietrzona cela wydała się Lisie wyjątkowo bezpiecznym azylem.

* * *

Ku zaskoczeniu Lisy następnego dnia w roli świadka wystąpił także lekarz sądowy. Nie wiedziała, czy to był pomysł, prokuratora czy Zumbrucha.

Patolog był krępy, łysym mężczyzną o żółtawej cerze. Na żądanie prokuratora wyjaśnił, że dokonał sekcji zwłok i że oprócz wiadomych już wcześniej oznak polyarthritisa chronica — zwyrodnień stawów, wywichnięć, poważnych zmian chorobowych w łokciach i nadgarstkach — stwierdził również zaawansowane schorzenie naczyń wieńcowych.

Oskarżyciela interesowała bardziej przyczyna śmierci denata.

— Cios zadany ostrym i cienkim przedmiotem, który trafił dokładnie w lewą komorę serca i spowodował natychmiastowy zgon.

— Żeby osiągnąć takie — może użyjmy tu potocznego określenia — trafienie, jest chyba konieczna wiedza medyczna.

— Niekoniecznie. Prokurator uniósł brwi.

— Nie?

— Każdy laik może się dowiedzieć, na przykład z ilustracji w encyklopedii, gdzie leży serce. Wie o tym również każdy rzeźnik.

— Ale nie każdy ma tyle — nazwijmy to — odwagi, żeby zadać taki cios z absolutną pewnością.

— To prawda — przyznał lekarz sądowy.

— Czy to wymaga siły?

— Niezbyt dużej, ponieważ denat został trafiony pomiędzy trzecim a czwartym żebrem, licząc od dołu.

— Czy dziecko mogłoby tego dokonać? Lekarz pogładził się po swej łysej głowie.

— Raczej nie.

— Kobieta?

— Tak.

Teraz przyszła kolej na pytania obrońcy.

— Panie doktorze, czy według pana jest prawdopodobne, aby tego czynu dokonała kobieta?

— Nie.

— Czy mógłby pan nam to bliżej wyjaśnić?

— Tego typu czyn jest dla kobiety nietypowy. Kobiety sięgają po bardziej subtelne środki, na przykład po truciznę. Siły używają tylko wtedy, gdy są doprowadzone do ostateczności, a wtedy uderzają gdzie popadnie, ciężkim narzędziem, które mają właśnie pod ręką. Takie są przynajmniej nasze doświadczenia.

— Dziękuję, panie doktorze! Obrońca usiadł.

— Mam kilka dodatkowych pytań do świadka — zgłosił się ponownie rzecznik oskarżenia.

— Proszę — powiedział sędzia, zamasyżycie wskazując dłonią świadka.

— Stwierdził pan przed chwilą, że precyzyjny cios w serce nie jest typowy dla kobiet?

— Tak właśnie powiedziałem.

— Czy w tym wypadku nie mamy czasem do czynienia z wyjątkiem, który potwierdza regułę?

— Nie sędzę.

— Skąd może być pan tego taki pewien?

— Opieram się na swoim doświadczeniu. Od dwudziestu pięciu lat jestem lekarzem sądowym.

— I jak długo ma pan zamiar nim być?

— Kolejnych piętnaście lat, o ile mi zdrowie pozwoli.

— I jest pan pewny, że w ciągu następnych piętnastu lat nie zdobędzie pan innych doświadczeń?

Tym razem prokurator miał śmiech sali po swojej stronie.

— Oczywiście, że nie mogę być tego całkiem pewny — próbowała bronić się patolog — ale...

Oskarżyciel przerwał mu.

— Nie mam więcej pytań.

Lekarz sądowy nie został zaprzysiężony, ponieważ już wcześniej, podczas innego procesu, złożył jako biegły sądowy przysięgę na cały rok.

Na widok następnego świadka Lisa drgnęła z zaskoczenia. Był nim Peter Milz. Wciśnięty w ciemny, odświętny garnitur, próbował zachowywać się

swobodnie. Kiedy jednak poczuł, że skupia na sobie powszechną uwagę, stracił pewność siebie.

Lisa obrzuciła swego adwokata pytającym spojrzeniem. Ten wzruszył tylko ramionami.

Peter Milz musiał najpierw podać do protokołu swoje dane, a potem rozpoczął prokurator:

— Jak dobrze zna pan oskarżoną?

— Bardzo dobrze. Prawie trzy lata ze sobą chodziliśmy, jak to się mówi.

— Jeśli dobrze rozumiem, utrzymywał pan z oskarżoną kontakty seksualne?

— Tak.

— Czy również po zamążpójściu oskarżonej?

— Nie, wtedy już nie. Powiedziała mi: „Musisz być teraz bardzo rozsądny, Peter, bo inaczej wszystko mi zepsujesz”.

— Czy miała na myśli swoje małżeństwo?

— Chodziło jej o dziedziczenie po starym.

— Jest pan pewien, że miała taki plan?

— Oczywiście. Przecież właśnie dlatego za niego wyszła.

— Tak dosłownie się wyraziła?

— Wiedzieliśmy to przecież oboje. Nie trzeba było o tym specjalnie mówić.

— Czy nie próbował pan odwieść oskarżonej od tego zamiaru?

— No pewnie! Ale ona była gotowa na wszystko — nie chciała mnie słuchać.

— Jednak musiał pan mieć przecież pewien wpływ na oskarżoną.

— Dlatego, że sypialiśmy ze sobą? Nie, panie prokuratorze. W łóżku była zimna jak lód, a wybić się chciała od zawsze. Ja ją ostrzegałem. „Lisa — mówiłem — stary może pociągnąć jeszcze Bóg wie jak długo. Nie wytrzymasz tego.” A ona uśmiechała się wtedy dziwnie i mówiła: „O to już ty się nie kłopotz! Jak przyjdzie co do czego, to mam przecież dostęp do leków.”

— Czy może pan to powtórzyć pod przysięgą?

— Tak, dlaczego by nie?

— Jest więc pan zupełnie pewien, że oskarżona, jeszcze zanim wstąpiła w związek małżeński zaplanowała sobie, że w razie konieczności przyspieszy śmierć swego męża.

— Dokładnie tak.

Prokurator zrobił znaczącą pauzę, żeby to twierdzenie mogło głębiej zapaść w świadomość przysięgłych. Po chwili przystąpił do dalszych pytań.

— Czy był pan kiedykolwiek w domu zmarłego?

— Wielokrotnie. Odwiedzałem oskarżoną, gdy była jeszcze pielęgniarką.

— Czy dochodziło tam między wami do kontaktów seksualnych?

— Niezupełnie. Oskarżona chciała się mnie jak najszybciej pozbyć, bo stałem jej na drodze.

— Czy miał jej pan to za złe?

— Tak, miałem. W końcu kochała mnie. Wyszłaby za mnie, gdyby nie pieniądze starego.

Po kilku dalszych pytaniach prokurator uznał, że to mu wystarczy. Przyszła więc kolej na obrońcę Lisy.

— Natura pańskiego związku z obwinioną zdaje się być wyjątkowo skomplikowana — rozpoczął swoją część przesłuchania. — Przedstawił nam pan ją jako kobietę zimną, chorobliwie ambitną i chciwą. Z drugiej zaś strony, jeśli wierzyć pana zapewnieniom, kochał ją pan, a nawet obiecywał jej pan małżeństwo. Gdzie tu logika?

Peter Milz wzruszył swymi szerokimi ramionami.

— Cóż, właśnie tak było. Miłość nie zawsze kieruje się logiką. Publiczność bawiła się wyśmienicie.

— Kiedy wreszcie zorientował się pan, że oskarżona — nazwijmy to — nie jest pana warta?

— Od samego początku to przeczuwałem. Ale kiedy wyszło na jaw, że zgodziła się wyjść za starego, poczułem, że nic nas nie łączy.

— Mimo to do końca próbował pan ją powstrzymać?

— Tak.

— Dlaczego?

— Ponieważ nie chciałem, żeby popadła w tarapaty.

— To bardzo szlachetnie z pańskiej strony. Ale czy nie było raczej tak, że był pan zazdrosny?

— O tego starego... — widać było, że Peter Milz z trudem powstrzymuje się, by nie użyć bardziej dosadnego słowa — ... człowieka? Musiałbym chyba na głowę upaść!

— Właśnie dlatego, że jest pan cały i zdrowy, młody i przystojny, musiało chyba pana nieco zboleć, że przyjaciółka zdecydowała się na innego.

— Dla pieniędzy.

— Czy rzeczywiście tylko dla pieniędzy? Czy ten starszy pan nie był przypadkiem mądrzejszy, lepiej wykształcony, bardziej odczytany niż pan? Czy nie był silniejszą osobowością?

— Coś mi w ten desień bajała — przyznał Peter Milz.

— A nie przyszło panu do głowy, że mówiła prawdę? Sam pan twierdził, że na seksie jej nie zależało. — obrońca kartkował swoje notatki, starając się coś w nich znaleźć. — „W łóżku była zimna jak lód” — powiedział pan dosłownie.

— Zgadza się.

— W takim razie jeszcze coś. Robi pan wrażenie mężczyzny, który ma przyjaciół, zapewne jest pan rozrywany w towarzystwie i lubiany przez dziewczęta?

— No, nie narzekam.

— Nie potrzebował więc pan oskarżonej tak bardzo, jak jej zmarły mąż.

— Ja też jej potrzebowałem.

— Do czego?

— Do łóżka oczywiście. Chętne kobiety mi jakoś nie leżą. Poza tym, wie pan... dzieci, może jakiś interes w przyszłości.

— Czy nie wziął pan nigdy pod uwagę faktu, że dla niej to mogło być trochę za mało?

— Każda kobieta powinna być zadowolona, kiedy mężczyzna ma wobec niej poważne zamiary.

Na tym zakończyło się przesłuchanie świadka Petera Milza. Również on nie został zaprzysiężony, chyba dlatego, że był zbyt zaangażowany uczuciowo, żeby obiektywnie oceniać oskarżoną.

Po jego wyjściu sędzia zarządził zamknięcie drugiego dnia procesu.

Trzeciego dnia przed sądem stanął profesor Klaus Krueger. Lisa dopiero teraz dostrzegła, że zdrowy, śniady koloryt jego cery to rezultat regularnych seansów w solarium. Nie był więc wolny od ludzkiej próżności.

Niemniej wyglądał imponująco ze swymi jasnymi jak śnieg włosami, szczupły i wysoki, we flanelowych spodniach i tweedowej marynarce. Zdawał się wprost emanować niewymuszoną elegancją. Zanim przeczytał sporządzoną przez siebie ekspertyzę psychiatryczną, złożył przysięgę.

— Oskarżona jest zdrowa umysłowo i fizycznie, aczkolwiek dało się u niej zauważyć pewne napięcie, które jednak można wytłumaczyć jej obecnym położeniem. Dysponuje bardzo wysokim ilorazem inteligencji, jest pojętna i ma otwarty umysł. Jej myślenie praktyczne wydaje się również dobrze

rozwinęte. Przejawia pewne skłonności do agresji, które przypuszczalnie wynikają z jej kompleksu niższości. Pod warstwą okazywanej, ale i szczerzej dobroci kryje się pewna szorstkość, zwykle jednak charakterystyczna dla przedstawicielek jej zawodu. Jeżeli sąd uzna, że oskarżona popełniła zarzuconą jej zbrodnię, powinien też przyjąć, że była w pełni świadoma swych czynów.

Prokurator chciał się dowiedzieć, jakie konkretnie badania zostały przeprowadzone. Profesor Krueger wymienił je z nie skrywaną dumą.

— Musi pan przyznać, że postępowaliśmy nadzwyczaj skrupulatnie — powiedział, kończąc swoją relację.

— Stwierdził pan, że oskarżona przejawia pewną skłonność do agresji. Czy byłaby zatem zdolna do popełnienia morderstwa?

— Tak daleko nie chciałbym się posuwać. W naturze oskarżonej leżą raczej czyny spontaniczne.

— Wielu świadków potwierdziło, że oskarżona musiała znosić poniżenie i szykany ze strony ofiary morderstwa. Czyż zatem nie jest prawdopodobne, że pewnego dnia przestała nad sobą panować?

— Do takiego stopnia, żeby zabić? Bardzo mało prawdopodobne. Mogła przecież łatwo rozładować swe niezadowolenie czy gniew werbalnie — wybuchem żalu i strumieniem pretensji. Nikt nie mógłby jej zmusić, żeby cierpliwie milczała.

— Załóżmy jednak, że często przeklinała swojego pacjenta, kłóciła się z nim, groziła mu — a mimo to upragniona ulga nie przychodziła?

Obrońca zgłosił sprzeciw.

— Szanowny kolego, to czysta insynuacja. Przecież żaden z dotychczasowych świadków nie wspomniał nawet słowem, by oskarżona w jakikolwiek sposób okazywała swe niezadowolenie mężowi.

Prokurator zaoponował. "

— Co nie musi wcale znaczyć, że tego nie robiła. Szykany wobec starego człowieka, męża i pacjenta — tego się przecież nie robi przy świadkach.

— Wszystko przemawia przeciwko tezie, że obwiniona kiedykolwiek źle traktowała zmarłego! Chcę przypomnieć panu wypowiedź świadka Hammera, który określił jej zachowanie w stosunku do jego ojca jako „cukierkowate”, a także fakt, że zmarły wyznaczył ją swą główną spadkobierczynią!

Sędzia uznał, że powinien interweniować:

— Dosyć, moi panowie, to do niczego nie prowadzi. Marnują panowie jedynie czas naszego eksperta. Proszę kontynuować zadawanie świadkowi pytań, panie prokuratorze! Chciałbym jednakże zaproponować, aby porzucił pan teorię, jakoby oskarżona znęcała się werbalnie nad ofiarą zabójstwa przed popełnieniem tego czynu. Sądzę, że jest ona bezpodstawna.

Prokurator chrząknął.

— Zakładając, panie profesorze, że oskarżona mogła mieć narzędzie zbrodni w zasięgu ręki — nie zostało przecież udowodnione, że przyniosła je z kuchni dopiero w noc przestępstwa, mogła po nie sięgnąć już wcześniej, może nawet w zupełnie niewinnym celu — a więc przyjmując, że miała w rękę narzędzie zbrodni: czy mogła wtedy spontanicznie zadać śmiertelny cios?

— Nikt nie może zajrzeć w duszę drugiego człowieka.

— Uważa więc pan, że to niewykluczone?

— Tak.

Szmer przeszedł po widowni.

— Dziękuję, panie profesorze — powiedział prokurator — to wszystko, co chciałem wiedzieć.

Przed zgromadzonych wystąpił mecenas Zumbruch.

— Panie profesorze, oskarżona jest pielęgniarką i dysponowała znacznym zapasem leków. Gdyby istotnie miała zamiar pozbyć się pacjenta, czy nie podałaby mu raczej nadmiernej dawki któregoś z nich?

— Nie, to zakładałoby działanie z rozmysłem.

— Do którego jednak w chwili działania nie byłaby zdolna?

— Tak.

— To przecież oznacza, że w chwili działania mogła być w pewnym stopniu nieobliczalna.

— To prawda.

— W pańskiej ekspertyzie uznał pan ją jednak za w pełni świadomą swych czynów.

Profesor Krueger przeciągnął dłonią po srebrno-siwych włosach. Było widoczne, że próbuje przewyciężyć zakłopotanie.

— Wtedy, gdy redagowałem swoją ekspertyzę, nie znałem wszystkich faktów związanych z tą sprawą — ustąpił.

— Teraz, kiedy zna pan już te fakty, przyzna pan, że w wypadku uznania winy oskarżonej, należałoby jednocześnie podkreślić, że w chwili popełnienia tego czynu miała ograniczoną poczytalność.

— Tak, przyznaję.

Sędzia oświadczył, że przesłuchania świadków dobiegły końca.

— Powinna być pani zadowolona ze swojego adwokata — oznajmiła w czasie przerwy obiadowej policjantka Remminger. — Ta sprawa wygląda teraz zupełnie inaczej.

— Co pani ma na myśli?

— Zobaczysz pani. W tym stanie rzeczy prokurator nie podtrzyma zarzutu morderstwa. Będzie mógł panią oskarżyć tylko o zabójstwo.

— To i tak wystarczająco źle.

— Nie tak znów źle, pani Hammer. Zabójstwo, a w dodatku ograniczona poczytalność — to najwyżej dziesięć, dwanaście lat, z których przyjdzie pani odsiedzieć tylko połowę. Są przecież zwolnienia warunkowe.

— Naprawdę czarująca perspektywa!

Po południu prokurator wygłosił mowę końcową. Istotnie zrezygnował z oskarżenia o morderstwo, uznał jednak za zasadne przedstawić Lisie zarzut zabójstwa. Przytoczył zatem wszystko, co mówił wcześniej o motywach postępowania sprawczyni, o czasie, który upłynął, zanim powiadomiła policję, o fakcie, że w domu była sama z ofiarą i miała dostęp do narzędzia zbrodni, o śladach ziemi na jej sportowym obuwiu.

— Głównym motywem jej postępowania nie była — jak to sugerowali niektórzy świadkowie — chęć szybkiego wzbogacenia się. Oskarżona nie mogła już dłużej znieść poniżenia i upokorzeń, które ją spotykały od męża. Zadała mordercze uderzenie bez premedytacji, w momencie ograniczonej poczytalności. Kiedy uświadomiła sobie, co zrobiła, popadła w odrętwienie. To wyjaśnia, dlaczego minęło tyle czasu od zabójstwa do powiadomienia policji. Aby wyczyścić nożyczki i odłożyć je na miejsce — do szuflady w nie używanej kuchni, wystarczyłoby niespełna kilka minut. Oskarżona była jednak w szoku, roztrzęsiona i wzburzona popełnionym czynem. Nie była zdolna do logicznego myślenia. Włożyła swoje sportowe buty — uczyniła to odruchowo — i ukryła narzędzie zbrodni w najdalszej części ogrodu. Ów szok i wzburzenie jest też przyczyną, że podczas pierwszego przesłuchania oskarżona sama złożyła obciążające ją zeznania — przyznała, że śmierć męża odkryła już przed godziną i oświadczyła, że nie słyszała żadnych podejrzanych hałasów.

Gdyby w pełni kontrolowała wówczas swój umysł, mogłaby z łatwością skierować policję na fałszywy trop. Ona wszakże nie była jeszcze w pełni świadoma tego, co mówi. Pragnę jednak podkreślić, że czyn oskarżonej —

choć popełniony w afekcie — jest przerażający i godny potępienia. Pozbawiła życia człowieka, do tego człowieka chorego, bezbronno, pokładającego w niej zaufanie. To, że nie przyznała się potem do winy, nie zrobiła rachunku sumienia i nie okazała skruchy, powiększa tylko tę winę. Dlatego też wymierzona jej kara, przy uwzględnieniu wszelkich okoliczności łagodzących, nie może być zbyt niska. Wnoszę o dwanaście lat pozbawienia wolności.

Prokurator wrócił na swoje miejsce z miną znamionującą pewność siebie.

Z natury blada twarz Lisy stała się teraz jeszcze bledsza. Remminger ścisnęła mimowolnie jej dłoń.

— Proszę zachować spokój! — szepnęła. Teraz podniósł się Zumbruch.

— Wysoki sędzie—zawołał — panie i panowie! Całymi godzinami toczyłem rozmowy z oskarżoną i mogę powiedzieć jedno: ona jest niewinna! Bywa czasem gwałtowna, nie jest delikatnym, uległym dziewczęciem, ale morderstwa, które pan prokurator słusznie określił mianem przerażającego i godnego potępienia, nie popełniła. Ze względu na swój charakter i strukturę osobowości po prostu nie byłaby do tego zdolna. Pan prokurator wskazywał na to, że obciążają ją jej własne zeznania, które złożyła tuż po przybyciu policji. Tłumaczy to szokiem. Ale czy jest to wyjaśnienie wiarygodne? Profesor Krueger potwierdził nadzwyczaj wysoki iloraz inteligencji u obwinionej. Tymczasem zachowała się nierozsądnie, wręcz głupio — jeśli założyć, że popełniła zarzucaną jej zbrodnię. Identyfikacja obuwi sportowego nastąpiła dopiero kilka dni później, kiedy wciąż, z pełną świadomością, trwała przy tych obciążających ją zeznaniach. Gdyby była sprawczynią, mogłaby powiedzieć po prostu: „Tak, często zatrzymywałam się koło tych krzewów”. Któż mógłby dowieść, że kłamie? Tymczasem ona wciąż upierała się przy swoim: „Nie, nigdy nie zbaczałam z drogi żwirowej”. Gdyby była sprawczynią, świadczyłoby to o jej głupocie. Ale to nie ona zabiła. Powiedziała prawdę, nic innego, jak tylko szczerą prawdę ufając, że dzięki niej udowodni swoją niewinność. To nie szok po dokonaniu zbrodni, ale czyste sumienie kazało jej szczerze odpowiadać na pytania policji. Dlaczego więc mamy wątpić w jej szczerłość, gdy mówi o swej niewinności?

— Wysoki sędzie, wiemy wszyscy — i żaden świadek temu nie zaprzeczył — że oskarżona pielęgnowała swojego ciężko chorego męża z niezwykłym poświęceniem i nadzwyczajnym zaangażowaniem i że z wielką cierpliwością i miłością znosiła jego zmiany nastrojów. Czy mamy jej za to podziękować, oskarżając ją o zabójstwo? Tylko dlatego, że będąc słabszymi od niej nie

potrafimy sobie wyobrazić, skąd brało się w niej tyle hartu ducha, że potrafiła znieść swój na pewno ciężki los? Jeśli o mnie chodzi, jestem najgłębiej przekonany, że oskarżona nie jest winna śmierci swojego męża i pacjenta.

Kim zatem jest sprawca? Nie wiemy. Policja również tego nie wie, gdyż — trzeba to podkreślić — nie starała się w sposób obiektywny znaleźć prawdziwego winowajcy, ograniczając krąg podejrzanych do pani Hammer, która pragnęła jedynie dowieść swej niewinności. W rzeczywistości nie jest ona sprawczynią, ale ofiarą policyjnej indolencji.

Wysoki sędzie, oskarżenie przyjmuje, że moja klientka w noc zabójstwa znajdowała się z mężem sama w domu. Skąd czerpie tę pewność? Dom nie był strzeżony, nie było urządzenia alarmowego — wiemy natomiast, że pasierb oskarżonej zgubił w Rodenberg swój klucz. Gospodyni domowa zeznała, że miała często wrażenie, że w domu ktoś „szpera” czy „myszkuje”. Przyznaję, że uznałem tę wypowiedź za śmieszną. Oskarżona zapewniła mnie, że nigdy nie interesowała się starą kuchnią ani też nie „myszkowała” w innych pokojach, nie miałyby zresztą na to dość siły i energii po nieomal dwudziestogodzinnym dniu pracy. Ponadto oskarżona zeznała w sposób wiarygodny już podczas pierwszego przesłuchania, że ma bardzo mocny sen, który pozwalał jej regenerować siły w czasie tych niewielu godzin, które miała wyłącznie dla siebie.

Nie można więc wobec tego wykluczyć, że nie tylko w noc morderstwa, ale także i wcześniej, do domu mógł się wślizgnąć ktoś obcy, kto zapoznał się z jego wnętrzem, znalazł nożyczki i uknuł plan zbrodni. Ofiara była pod działaniem barbituranów, oskarżona ma zdrowy, naturalny sen — ktoś mógłby powstrzymać osobę trzecią przed wtargnięciem nocą na teren posesji?

Proszę wysokiego sądu, panie i panowie! Tak właśnie było! Ponieważ to nie oskarżona dokonała czynu, o który jest obwiniana, musiał to zrobić ktoś z zewnątrz. Nie wiemy, kto to był, ani jakie powodowały nim motywy. Jedno jest pewne, sprawca śmierci Brunona Hammera jest nadal na wolności.

Wysoki sędzie, jeszcze raz pragnę zapewnić: oskarżona nie zabiła swego męża. Dlatego wnoszę o jej uniewinnienie.

Sędzia zwrócił się do prokuratora:

— Czy ma pan jeszcze coś do dodania?

— Tak, panie sędzio. Spodziewałem się, że pan mecenas opowie nam tę piękną bajkę o niewinnym, pokrzywdzonym Kopciuszku. Niemniej powtórzę raz jeszcze — oskarżona była z ofiarą sama. Sen głęboki czy płydd — doświadczenie uczy nas, że każdy człowiek czuje, gdy kręci się po jego mieszkaniu ktoś obcy. Oskarżona miała dostęp do narzędzia zbrodni i miała nie tylko jeden, ale kilka motywów, żeby zabić swą ofiarę. Ostatecznym dowodem jej winy są buty ubrudzone ziemią. Dlaczego sama przyznała, że w normalnych okolicznościach nigdy nie zapuszcza się na koniec ogrodu? Z naiwności czy z wyrafinowania? Odpowiedź jest tu nieistotna. Oskarżonej udowodniono popełnienie czynu przestępczego i musi zostać za to ukarana. Podtrzymuję swój i tak łagodny wniosek i żądam dla niej dwunastu lat pozbawienia wolności! — dramatycznym gestem zawinął swoją togę i usiadł.

— Ostatnie słowo należy do oskarżonej — odezwał się sędzia. — Czy ma nam pani coś do powiedzenia?

Lisa podniosła się z wahaniem, spoglądając pytająco na swojego adwokata.

— Jestem niewinna — oświadczyła. — To nie ja zabiłam. Z jakiego powodu miałabym to robić? Przecież kochałam swojego męża, a to, że czasem bywał przykry, mało mnie obchodziło. Nigdy nie brałam tego sobie do serca. Wiedziałam, że nie złości się na mnie, lecz buntuje się przeciwko swemu losowi. Podczas ciężkiej choroby człowiek często staje się niecierpliwy i drażliwy, często wyładowuje złość na bliskich mu osobach. Ale wiedziałam, że w głębi serca Brunon myśli inaczej, że jest mi wdzięczny. Nigdy, przenigdy nie przyszedłby mi do głowy pomysł, by go zabić.

Sędzia ogłosił zakończenie przewodu sądowego.

— Wyrok zostanie wydany jutro — powiedział na koniec. Kiedy Lisa opuszczała gmach sądu, znowu dopadła ją sfera dziennikarzy. Tym razem nie tylko pstrykały aparaty fotograficzne i błyskały flesze, ale także zarzucono ją pytaniami.

— Czy wierzy pani w uniewinnienie?

— Jak wyobraża sobie pani swoją przyszłość?

— Kto, pani zdaniem, zastawił na panią tę pułapkę?

Nie udzielała żadnych odpowiedzi. Policjantka Remminger i adwokat Zumbruch osłaniali ją, na ile byli w stanie, torując jej drogę do samochodu policyjnego. Jeden z żurnalistów zdołał zrobić jej zdjęcie, gdy siedziała już

w samochodzie. Ta fotografia — profil Lisy ze słabo zarysowanym podbródkiem i silnie zaciśniętymi ustami, które miały w sobie coś nieprzyjaznego — obiegała później całą prasę światową.

Paul Zumbruch towarzyszył Lisie do samego więzienia.

— Sprawy mają się nieźle, pani Hammer — zapewnił. — Proszę się nie martwić!

— Łatwo panu mówić — odparła.

Noc przed ogłoszeniem wyroku zanosila się na najdłuższą w jej życiu. Na pożegnanie policjantka Remminger zaoferowała jej środki nasenne. Lisa odmówiła. Później tego żałowała. Okazało się, że przeceniła swe siły. Nie mogła zasnąć. Ale wzywianie o północy funkcjonariuszki więziennej było wbrew jej naturze. Nie chciała ani drwiących, ani pełnych współczucia uwag, a już na pewno żadnych aluzji co do jej sumienia. Zmusiła się więc, skoro o śnie nie mogło być mowy, żeby leżeć spokojnie i nieco się rozluźnić.

Jednak następnego dnia czuła się fatalnie, doskonale wiedziała, że ma pod oczami ciemne podkopy i że wygląda wyjątkowo niekorzystnie. Wbrew radom adwokata założyła czarną sukienkę, którą nosiła już na pogrzebie. Była po prostu w takim właśnie smutnym nastroju.

Ledwie wraz z funkcjonariuszką Remminger zajęła miejsce w malutkiej celi w budynku sądu, jeden ze strażników wprowadził nieznanego młodego mężczyznę.

— Feuerbach — przedstawił się. — Achim Feuerbach. Jestem z prasy. — Podał nazwę jakiegoś pisma.

— Proszę wyjść — zaprotestowała Remminger. — Nie może pan teraz rozmawiać z oskarżoną!

— Mogę — Achim Feuerbach podsunął jej pod nos urzędowe pismo. — Mam zezwolenie.

— Nie chcę z panem rozmawiać — oświadczyła energicznie Lisa.

— To nie byłoby zbyt mądre z pani strony! — odparł dziennikarz zuchwale. — Jak dotąd ma pani przeciwko sobie całą prasę. Już czas, żeby pojawił się w niej również jakiś przychylny pani głos.

— Skąd mogę mieć pewność, że napisze pan o mnie przychylnie?

— Proszę tylko na mnie spojrzeć! Czy wyglądam na potwora?

— Achim Feuerbach miał okrągłą jak księżyc twarz, a na nosie za duże okulary w rogowej oprawie, które sprawiały, że przypominał sowę. Był brunetem o włosach tak długich, że opadały mu niemal na ramiona —

najwidoczniej próbował w ten sposób odwrócić uwagę od swego lekko już łysiejącego czoła.

— Nie sędzę, by ludzie, którzy wypisują paskudne rzeczy, musieli wyglądać koniecznie jak demony — powiedziała Lisa.

Feuerbacha to rozśmieszyło.

— Dobrze powiedziane. Nie wyraziłbym tego lepiej. Muszę to sobie zapamiętać.

Remminger wstała.

— Skoro już jednak zaczęli państwo rozmowę, mogę was chyba zostawić samych.

— Proszę, nie! — jęknęła błagalnie Lisa.

— Ależ dziecko, ta cela jest za mała dla trzech osób. Brakuje powietrza.

— Naprawdę nie musi się pani mnie obawiać, pani Hammer! — zapewnił solennie dziennikarz, siadając na krześle, z którego właśnie wstała Remminger.

— Każę przynieść państwu kawę — obiecała policjantka i wyszła.

— Miła kobieta — stwierdził Feuerbach.

— Tak, bardzo miła — zgodziła się Lisa.

— Jest dla pani podpora?

— Tak.

— Popadła pani w niezłą kabałę. Lisa milczała.

— Oczywiście jestem świadom — kontynuował dziennikarz — że o przebieg zajścia pytano już panią dziesiątki razy. Nie chcę więc pani już tym dręczyć. Mam inną propozycję: proszę nam sprzedać swoją historię!

— Ani mi się śni! Będę szczęśliwa, gdy przestanę wreszcie budzić powszechne zainteresowanie.

— Tak czy owak, nie uda się pani to tak łatwo.

— Po prostu zniknę.

— A jeżeli zostanie pani skazana? Jeśli trzeba będzie odsiedzieć wyrok?

— Spodziewa się pan tego?

— A pani nie?

— Jestem niewinna i nie potrafię sobie nawet wyobrazić...

— Właśnie to powinna pani opowiedzieć naszym czytelnikom! — wpadł jej w słowo Feuerbach. — Będzie pani miała dużo, dużo czasu. Na pewno poczuje się pani lepiej, dzieląc się z innymi tym, co leży pani na sercu. Proszę się nie bać! Ja będę to wszystko spisywał.

Strażnik sądowy w cywilu przyniósł dwa kubki z kawą i bez słowa postawił je na stole między rozmawiającymi, po czym dyskretnie się wycofał.

— Będzie pani zadowolona, gdy wpadnę tu od czasu do czasu — mówił dalej Feuerbach. — Czas w więzieniu dłuży się koszmarnie. Będzie pani żądna każdej odmiany.

— Wyrok jeszcze nie zapadł.

Feuerbach zerknął mimowolnie na tarczę swojego zegarka.

— To już długo nie potrwa. Moim zdaniem gdzieś do południa.

— Spojrzał na Lisę: — Proszę mi podać choćby jeden rozsądny argument przeciw mojej propozycji. Dlaczego nie miałaby pani spisać swoich wspomnień? Coś takiego bardzo ludzi interesuje.

— Ponieważ chcę zapomnieć.

— Nigdy się to pani nie uda.

— W każdym razie chcę spróbować. Chcę sama zapomnieć i chcę, żeby zapomniano o mnie.

— Pobożne życzenie. Może się spełni, jeśli istotnie zostanie pani uniewinniona. A jeżeli nie?

— Nie można mnie skazać za coś, czego nie zrobiłam.

— Niech pani nie będzie tak uparta! Rozumiem, że ma pani nadzieję na całkowite uwolnienie od zarzutów. Ale musiała pani chyba rozważyć co będzie, gdy panią skażą. Jeśli tak się stanie, to przyjdzie się pani pożegnać ze spadkiem. Z czego ma pani zamiar opłacić swojego adwokata?

Lisa w zamyśleniu wypła łyk kawy.

— Czy rozmawiał pan z nim o tym?

— Naturalnie. Nie widzi w tym nic zdroźnego.

— Ani słowem mi o tym nie wspomniał.

— Oczywiście, że nie. Ponieważ nie chce, żeby straciła pani pewność siebie. Tak długo, jak to możliwe, powinna pani myśleć, że wszystko idzie gładko.

Lisa przez chwilę walczyła ze sobą, żeby nie chlusnąć kawą w tę jego radosną, okrągłą gębę.

— Jest pan naprawdę czarujący — powiedziała — taki taktowny i troskliwy!

— Jestem tylko przyzwyczajony patrzeć na sprawy realnie. To część mojego zawodu.

— A potem je porządnie rozdmuchać, robiąc z nich niezłą sensację?

— Oczywiście, jeśli zajdzie taka potrzeba. Ale pani sprawa od dawna jest już sensacją! Nic pani nie pomoże chowanie głowy w piasek. Nie stanie się pani przez to niewidzialna. Dlaczego więc nie spróbować walki, droga pani?

— Powoli zaczyna mi pan działać na nerwy. Dziennikarz roześmiał się.

— Dzięki za szczerość! Myślę, że świetnie by się nam współpracowało. Proszę mi tylko powiedzieć, dlaczego tak mądra kobieta jak pani, nie chce spojrzeć prawdzie w oczy? Jeśli sąd wyda wyrok skazujący — podkreślam „jeśli”, bo nie chciałbym ani zranić pani uczuć, ani odebrać pani nadziei — zostanie pani praktycznie bez pieniędzy. Te drobne, które sobie pani uskładała — zakładam, że ma pani co nieco — przeznaczy pani pewnie na honorarium dla swego adwokata. Kiedy więc znów wyjdzie pani na wolność, nie będzie pani miała ani grosza. W więzieniu nie zarabia się kokosów. Starcza akurat na najpilniej potrzebne drobiazgi. A pani wciąż jeszcze będzie na tyle młoda, by rozpocząć nowe życie. Do tego potrzeba pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy.

— Zastanowię się nad tym.

— To brzmi już nieco lepiej. Tylko po co się długo zastanawiać? Moja oferta jest niezwykle korzystna. — Otworzył swoją znoszoną aktówkę. — Mam przy sobie kontrakt. Musi go pani tylko podpisać.

— Nie — powiedziała Lisa, rzucając okiem na podsunięte przez dziennikarza papiery.

— Ale dlaczego? Proszę go przeczytać. Chodzi przede wszystkim o to, że przekazuje nam pani wyłączne prawa do swej historii. Nie żądamy poza tym nic innego. Nie musi jej pani ani opowiadać, ani tym bardziej o niej pisać!

— Nie! — wybuchnęła gniewem Lisa. — Miał pan nadzieję, że nie mam teraz głowy do tego, by dostrzec klauzule dopisane drobnym drukiem? Co z pana za człowiek?! Jak może pan pisać o ludziach dla ludzi, skoro zupełnie pan ludzi nie rozumie?!

Jej wzburzony głos słychać było aż na korytarzu. Policjantka Remminger wsunęła głowę w uchylone drzwi:

— Coś się stało?

— Pan Feuerbach już wychodzi! — powiedziała Lisa, wciąż jeszcze silnie wzburzona.

— Przecież to nieprawda. Chciałbym jeszcze... — protestował dziennikarz.

— Niech pan stąd wyjdzie! — zawołała Lisa. — Niech mnie pan zostawi w spokoju! Nie chcę mieć z panem nic wspólnego!

Feuerbach wsunął umowę z powrotem do teczki.

— Po co się tak od razu gorączkować? — powiedział ojcowskim tonem, starając się zbagatelizować poniesioną porażkę.

— Proszę już wyjść! — nalegała policjantka. — Powiedział pan już dosyć, jak sądzę, proszę więc na tym skończyć!

Dziennikarz wstał.

— Proszę nie mieć mi tego za złe, pani Hammer — oświadczył uśmiechając się. — W tych okolicznościach pani wzburzenie jest zrozumiałe. Wrócimy do tego innym razem.

— Pan chyba żartuje! — odparła stanowczo Lisa.

W małej i dusznej celi czas mijał niemiłosiernie wolno. Lisa starała się zapanować nad zdenerwowaniem, ale jej niepokój rósł z minuty na minutę. Wreszcie krótko przed dwunastą jeden z urzędników sądowych poinformował, że za chwilę zostanie ogłoszony wyrok.

Zaledwie Lisa zdążyła zająć swoje miejsce, gdy na salę wszedł sędzia, a za nim przysięgli. Wszyscy obecni powstali. W wielkiej sali zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Napięcie związane z uroczystym charakterem tej chwili było wyczuwalne niemal fizycznie.

Sędzia trzymał w dłoni kartkę papieru, nie zajął jednak do niej podczas ogłaszania decyzji przysięgłych.

— W imieniu narodu niemieckiego zapadł następujący wyrok: Oskarżona zostaje uwolniona od zarzutu popełnienia zabójstwa męża, Brunona Hammera.

Część zgromadzonych na sali osób odetchnęła głośno, lecz pojawiły się również okrzyki protestu. Lisa była jak odurzona.

— Proszę o spokój! — ostrzegł sędzia. — W przeciwnym razie każę opróżnić salę.

Okrzyki ucichły. Wszyscy chcieli usłyszeć uzasadnienie wyroku.

— Po gruntownej i sumiennej analizie zgromadzonych dowodów i poszlak — kontynuował sędzia — sąd doszedł do przekonania, że oskarżona mogła popełnić zarzucany jej czyn. Miała zarówno poważny motyw, jak i sposobność po temu. Prawdopodobnie byłaby również zdolna do popełnienia zabójstwa. Prokuratorowi nie udało się jednak przedstawić wystarczających dowodów na poparcie tej tezy. Wobec zaistniałych okoliczności, stosując zasadę in dubio pro reo, sąd postanowił rozstrzygnąć sprawę na korzyść oskarżonej, której tym samym przysługuje odszkodowanie za czas

przebywania w areszcie śledczym. Pisemne uzasadnienie wyroku zostanie doręczone zainteresowanym stronom w terminie późniejszym.

Teraz już nie można było okiełznać tłumu.

— I to ma być prawo?! — podniosły się okrzyki.

— Uniewinniliście morderczynię! Na stryczek z nią!

— Maluczkich wieszacie, a takie jak ona puszczacie wolno, bo ma pieniądze!

W całej tej wrzawie zginął gdzieś głos prokuratora, który zapowiedział apelację.

Funkcjonariuszka Remminger objęła Lisę matczynym gestem. Wychodząc słyszały jeszcze, jak jakiś mężczyzna krzyknął:

— A może istotnie jest niewinna?

Został jednak szybko zakrzyczany przez wrogą publiczność. W chwilę po tym, jak Lisa wróciła do celi, pojawił się Paul Zumbruch.

— Musimy się stąd wydostać! — oznajmił. — Tak szybko, jak to możliwe. Dopóki reporterzy są jeszcze zajęci przekazywaniem doniesień o wyroku.

Razem z Remminger i innymi policjantami ochraniał Lisę przed dziennikarzami, osłaniając ją zarazem przed wzburzonym tłumem. Kiedy wreszcie była już bezpieczna na tylnym siedzeniu swego samochodu, zapytała roztrzęsiona:

— Dlaczego oni wszyscy są przeciwko mnie?

— Proszę się tym nie przejmować, Liso! Na pewno wkrótce się uspokoją.

— Niczego tak bardzo nie pragnęłam, jak tego, by proces dowiódł mej niewinności, tymczasem... — przerwała.

— Przykro mi, Liso, ale to było niemożliwe. Sąd uznał, że brak jest dostatecznych dowodów winy. To i tak dużo!

Aż do alei Parkowej towarzyszyła im wrzawa. Stary dom z ogrodem wydawał się jak zawsze spokojny i wyniosły. Zumbruch zahamował przy wjeździe do ogrodu i pomógł Lisie wysiąść z samochodu.

— Chyba nie zostawi mnie pan teraz samej? — zapytała nieśmiało.

— W środku czeka już pani matka.

— Mimo to. Ja...

— Oczywiście, że zostanę, jeśli tylko pani sobie tego życzy.

— Dziękuję, panie mecenasie! Tak wiele panu zawdzięczam! Uśmiechnął się do niej porozumiewawczo:

— Proszę mi mówić Paul! Część oficjalna naszych stosunków niniejszym dobiegła końca.

— Dziękuję, Paul — powiedziała i szybko ruszyła w stronę domu.

Adwokat pozostał, by zgasić silnik i zamknąć samochód. Drzwi wejściowe otworzyły się, zanim jeszcze Lisa zdążyła przed nimi stanąć.

— Znów jesteś wolna! — wykrzyknęła matka na powitanie. — Nie mogę wprost uwierzyć.

— Przecież byłam niewinna, mamó! Jak długo mam ci to jeszcze powtarzać.

— To nie ma nic do rzeczy. Jeśli sąd dostanie kogoś w swoje łapy, to...

— Przestań już z tym swoim czarnowidztwem! — Lisa objęła matkę bez wylewności. — Jak widzisz, wszystko jest w porządku.

— Przyrządziłam tylko coś na zimno. Bo gdyby cię nie uniewinnili...

— Mogę to sobie wyobrazić! — wpadła jej w słowo Lisa. — Wtedy spakowałabyś wszystkie produkty i zabrała je ze sobą.

— Co w tym złego? Trzeba przecież myśleć praktycznie.

Do domu wszedł Zumbruch, zamykając za sobą drzwi. Lisa zwróciła się do niego:

— Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, to wskoczę teraz szybciotko do wanny. A potem zjedlibyśmy razem.

— Z przyjemnością.

Na półpiętrze Lisa odwróciła się.

— Czy są tu Artur i Evelyn?

Pani Hopf zaprzeczyła ruchem głowy.

— To jest teraz pani dom, Liso — powiedział adwokat. — Będzie się pani musiała do tego przyzwyczać.

— O, nie! Mam zupełnie inne plany.

Trochę później — przy pieczywie, maśle, wędlinie i filiżance mocnej kawy — omawiali rzeczy praktyczne. Adwokat zaofiarował się odebrać z więzienia skromny dobytek Lisy. Chciał również złożyć w jej imieniu wniosek o odszkodowanie.

— A czy teraz naprawdę jest wolna? — wciąż dopytywała się pani Hopf. — Czy prokurator zadowolony jest takim wyrokiem?

Ani Lisa, ani jej adwokat nie mieli już jednak siły wyjaśniać, że zgodnie z prawem proces jest już zamknięty. Oboje odpowiedzieli, nie uzgadniając tego wcześniej między sobą, że o wszelkich nowinach z sądu będą ją informować jako pierwszą.

— Prokurator mógłby złożyć apelację jedynie wtedy, gdyby w czasie procesu doszło do poważnych uchybień formalnych — wyjaśnił Paul Zumbruch — albo gdyby wyszły na jaw jakieś nowe okoliczności. Nie sądzę jednak, żeby to zrobił. Jest zadowolony, że ma ten proces wreszcie za sobą. Nie miał łatwego zadania — musiał opierać się na wątpliwych poszlakach.

— A więc teraz jesteś wolna i do tego bogata, moje dziecko!

— Ach, mam!

Zadzwoił telefon. Lisa poprosiła Zumbrucha, żeby odebrał.

— Pan Feuerbach chce z panią rozmawiać — oznajmił.

Lisa potrząsnęła energicznie głową.

— Nie! — oświadczyła.

Jeszcze wielokrotnie tego dnia adwokat musiał odprawiać z kwitkiem przedstawicieli prasy. Odbierał jednak również telefony, o których treści nic jej nie wspominał, jak na przykład:

— Niech pan powie tej świni, co zamordowała Hammera, żeby się za wcześnie nie cieszyła. Już my jej pokazemy!

Lisa nawet nie przeczuwała, dlaczego Zumbruch odkłada czasem słuchawkę bez słowa.

— Że też tak wiele ludzi chce teraz z tobą rozmawiać — powiedziała zdziwiona matka. — Przecież nigdy nie byłaś za bardzo lubiana.

— Pani córka jest teraz sławna — wyjaśnił adwokat — i jeszcze przez jakiś czas niestety będzie. Trzeba się z tym po prostu pogodzić.

Dziennikarze gromadzili się na ulicy, otaczali dom i dzwoniли do drzwi. I choć nikt do nich nie wychodził, nie dawali za wygraną aż do zapadnięcia zmierzchu. Wdarli się nawet do ogrodu. Pani Hopf przy pomocy Paula Zumbrucha musiała więc zaciągnąć zasłony w oknach.

Wreszcie uspokoiło się nieco i już wydawało się, że najgorsze minęło, gdy rozległo się trzykrotne rytmiczne pukanie do drzwi. Siedzieli bez ruchu. Dopiero, kiedy pukanie nie ustawało, Lisa rzekła:

— To może być Ludwig Weigel.

Wyjrzawszy ostrożnie przez okno kuchenne pani Hopf stwierdziła, że istotnie był to Weigel i wpuściła go do środka. Przywitał się z Lisą nie zdejmując płaszcza i najpierw pogratulował jej, a potem jej adwokatowi.

— Wokół domu kręcą się jacyś ludzie — poinformował. — Czy wiecie o tym?

— To dziennikarze — powiedział Zumbruch.

— Mam wrażenie, że nie tylko. Liso, powinna pani poprosić o ochronę policyjną!

— Obawiam się — odezwał się adwokat — że miejscowa policja nie jest do Lisy nastawiona zbyt przyjaźnie. Orzeczenie sądu to dla tutejszego wydziału dochodzeniowego kompletny blamaż.

— Wobec tego sami musimy coś przedsięwziąć! — oświadczył Weigel energicznie. — Proszę pójść ze mną, panie Zumbruch, przepędzimy tych osobników! Trzeba też zamknąć bramę wjazdową.

— Tak — zgodziła się Lisa — przyniosę klucz! — Znalazła go na jednej z półek w kuchni. — Ale to nic nie da, zawsze można wspiąć się po ogrodzeniu. To przecież nie jest mur obronny.

— Czy w garażu jest jeszcze trochę miejsca? — dopytywał się Weigel.

— Przypuszczalnie stoi tam tylko mój samochód — odpowiedziała Lisa.

— Bardzo dobrze. Wobec tego zaparkuję tam samochód. Brama jest na pewno otwierana od wewnątrz. Panie Zumbruch, czy mógłby pan to dla mnie zrobić? Pani, Liso, proszę poszukać, czy nie ma tu gdzieś latarki. — Otworzył swoją walizeczkę, którą postawił na fotelu w hallu. — Przyniosłem ze sobą jedną, przydałaby się druga...

Lisa popatrzyła na niego z podziwem. Jego przezorność i zapobiegliwość zaimponowały jej. Zawsze miała go za dobrego menadżera, ale nie spodziewała się, że i w takiej sytuacji mógłby przejąć inicjatywę. Miała wrażenie, że trochę go to nawet bawi. Jego ciemne oczy błyszczały, a twarz wydawała się bardziej niż kiedykolwiek ożywiona.

Kiedy mężczyźni zakończyli już akcję, Lisa podziękowała im szczególnie ciepło.

— Na wszelki wypadek powiadomię policję — oznajmił Weigel. — Tutaj nie jest pani bezpieczna, Liso. Pani matka również. — Mimo protestów zadzwonił na najbliższy posterunek policji. — Rzeczywiście, nie byli zbyt uprzejmi — rzekł odkładając słuchawkę.

— Powinienem się już pożegnać, Liso — powiedział Zumbruch z wahaniem.

— Proszę, niech pan jeszcze zostanie! — nalegała Lisa. — Musi pan mi pomóc przejrzeć umowy. Przyniósł je pan ze sobą, prawda, Ludwigu?

Następne pół godziny zajęło Lisie przeglądanie umów związanych z fuzją Zakładów Braci Hammer z pewnym dobrze prosperującym monachijskim przedsiębiorstwem budowy maszyn. Weigel udzielał przy tym niezbędnych wyjaśnień. Pani Hopf zajęła się tymczasem przygotowaniem kolacji, po

czym nakryła do stołu w małym saloniku. Kiedy Lisa złożyła już podpisy, wszyscy zasiedli do posiłku. Tak naprawdę nikt nie był specjalnie głodny, ale wino, które pani Hopf przyniosła z piwnicy, wszystkim dobrze zrobiło.

Kiedy się już nieco rozluźnili, odezwał się Ludwig Weigel:

— Obawiam się, Liso, że tu, w Rodenberg, nie może już pani pozostać.

— Wcale nie chcę. Jak pan wie, od dawna chciałam studiować w Monachium.

— Wspaniale! Proszę jednak nie zaprzętać sobie głowy przeprowadzką, sprzedażą domu i podobnymi sprawami. Tym wszystkim zajmę się ja i pani adwokat. Proszę spakować jedynie najpotrzebniejsze rzeczy i wyjechać stąd możliwie jak najszybciej. Najlepiej będzie, jeśli matkę zabierze pani ze sobą.

— Mnie? — zawołała pani Hopf. — A co ja będę robiła w Monachium? Moje miejsce jest w Rodenberg.

— Myli się pani. Po tym, co się wydarzyło, nie będzie tu pani mogła spokojnie żyć.

— To wyglądałoby na ucieczkę! — zaprotestowała Lisa.

— To jest ucieczka! — oświadczył Weigel z powagą.

— Jestem niewinna, uniewinniono mnie przecież... Przedsiębiorca położył jej rękę na ramieniu.

— Proszę, Liso, żadnego dzielenia włosa na czworo! Niech pani po prostu zrobi to, co radzę.

— Obawiam się, że pan Weigel ma rację — przyłączył się do niego Zumbruch.

— Będę musiała przecież pracować, żeby zarobić jakieś pieniądze — wahała się pani Hopf. — A w moim wieku nie jest łatwo znaleźć pracę.

Ludwig Weigel zbył te argumenty wymownym ruchem ręki.

— To są problemy mniejszej wagi. Pokój w hotelu się znajdzie, a pracować już pani nie potrzebuje, pani Hopf. Pani córka zajmie się przecież panią.

Weigel i Zumbruch naradzali się nad tym jeszcze przez dłuższy czas. Otworzyli drugą butelkę wina. Nie mogli pozwolić na to, żeby Lisa i jej matka zostały w domu same.

— Jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu — oznajmił Weigel — to przenocuję tu dzisiaj.

— Będzie nam bardzo miło — odpowiedziała Lisa. — Łóżek jest przecież dosyć.

— Nie, nie, zdrzemnę się w hallu — zaproponował.

— Wobec tego ja także zostanę — zdecydował się Zumbruch. Lisa z trudem powstrzymała śmiech.

— Teraz obaj panowie już chyba przesadzacie.

Ledwie zdążyła to powiedzieć, gdy rozległ się huk detonacji, potem dwa następne wybuchy tak głośne, że prawie ich ogłuszyły. Przez chwilę wszyscy czworo siedzieli przy stole jak zakłęci. Pierwsza zerwała się Lisa.

— To było gdzieś blisko! — krzyknęła.

Chciała wybiec z saloniku, lecz Weigel powstrzymał ją, chwytając za rękę.

— Proszę tu zostać! My się tym zajmiemy! — po czym wybiegł z Zumbruchem z pokoju.

Lisa i jej matka siedziały przestraszone, wpatrując się w siebie bez ruchu.

— Ktoś chyba podłożył bombę — powiedziała w końcu Lisa.

— Tak to brzmiało.

— Nie możemy tu przecież siedzieć jak zahipnotyzowane króliki!

— krzyknęła Lisa. — Musimy coś zrobić!

— A co chcesz zrobić?

— Pomóc im.

— Przecież zabronili.

— To nie fair! To po prostu nie fair!

— Kiedy się wreszcie nauczysz, że na świecie nie ma sprawiedliwości?

Minęło ponad dwadzieścia minut, zanim mężczyźni wrócili, obaj osmaleni. Paul Zumbruch miał rozcięty policzek, a gładko zazwyczaj przyczesane ciemne włosy Ludwiga Weigla były potargane.

— Co to było? — zawołała Lisa.

— Proszę teraz nie pytać! — komenderował Ludwig Weigel.

— Chodźmy wszyscy do garażu! Pani również, pani Hopf! Wyjeżdżamy. — Odwrócił się szybko i wyszedł z saloniku. — Pan Zumbruch sam wszystko wyjaśni policji, jeżeli ta raczy się wreszcie zjawić.

Lisa powstrzymała cisnące się jej na usta pytania i pośpiesznie wyszła za nim. Z tyłu szła jej matka. W garażu Weigel polecił im wsiąść do jego limuzyny. Potem otworzył bramę garażu, a na koniec bramę wyjazdową z posesji. Nie potrzebował na to więcej niż minuty. Wreszcie usiadł za kierownicą, uruchomił silnik i ruszył.

Przejeżdżając obok domu Lisa zauważyła ze zgrozą, że samochód Zumbrucha pali się jasnym płomieniem. Miała nadzieję, że nie dostrzegła tego jej matka, siedząca z przeciwnej strony.

Weigel zwolnił.

— Gdybyśmy jechali zbyt szybko — stwierdził z cierpką ironią — policja zaraz by się tu pojawiła.

Dopiero teraz, kiedy już wyjechali z alei Parkowej, usłyszeli syreny wozów strażackich i policyjnych.

— Co się stało? — dopytywała się Lisa.

— Ktoś rzucił bombę, a może koktajl Mołotowa, czy ja wiem. W każdym razie musiało brać w tym udział co najmniej kilka osób. Ktoś wdarł się do pokoju ogrodowego, ale zdążył tylko podpalić zasłonę. Z kuchnią było już gorzej. Podłoga i kuchenka gazowa są zniszczone.

— A samochód Paula?

— Nie zdążyliśmy go ugasić. Zbiornik paliwa wyleciał w powietrze.

— Przeklęta hołota!

— Proszę się nie denerwować, Liso! To tylko szkody materialne. Najważniejsze, że pani i pani matka jesteście całe i zdrowe.

— Sądzi pan, że ktoś chciał mi wyrzucić krzywdę?

Weigel nie odpowiedział na pytanie. Pani Hopf zaczęła płakać. Lisa ujęła jej dłoń i próbowała ją uspokoić.

* * *

Weigel wjechał do garażu nowoczesnego budynku.

— Przepraszam, ale najpierw muszę wstąpić na chwilę do siebie — wyjaśnił. — Nie mogę się przecież tak pokazać.

Pomógł paniom wysiąść z samochodu, po czym windą wjechali na jedno z górnych pięter. Na korytarzu spotkali jakiegoś mężczyznę, który najwyraźniej był pijany i nie rozpoznał Lisy. Weigel rzucił mu zdawkowe „dobry wieczór” i prędko wepchnął Lisę i jej matkę do przedpokoju swego apartamentu. Zapalił wszystkie światła i zaprowadził gości do zadziwiająco dużego salonu, który był elegancko i przytulnie urządzone, z szerokimi kanapami, wygodnymi fotelami, niskimi stolikami i prawdziwymi orientalnymi dywanami.

— Oczywiście mogłyby panie zostać na noc tutaj — rzekł rozglądając się z namysłem — ale będzie bezpieczniej zniknąć jeszcze dzisiaj.

Wyciągnął z barku butelkę whisky, kieliszki i kostki lodu. Poczęstował Lisę i jej matkę, nie pytając ich o zdanie.

— Ja również chętnie bym się napił, ale będę musiał jeszcze prowadzić. Proszę się rozgościć. To potrwa tylko parę minut — powiedział, po czym zostawił je same.

Lisa usiadła w wygodnym fotelu. Matka usadowiła się na brzegu kanapy. Miała zaczerwienione oczy, a na jej twarzy malowało się zmartwienie. Lisa czuła się wobec niej winna i starała się ją pocieszyć.

Z drugiej jednak strony sama czuła się opuszczona. Ale matka nigdy nie była dla niej podporą.

Whisky zaczęła już działać, rozgrzała Lisę i sprawiła, że poczuła się nieco lepiej. Na stoliku obok leżała inkrustowana papierośnica. Lisa otworzyła ją, wyjęła papierosa i zapaliła go ciężką, ozdobną zapalniczką na statywie.

— Od kiedy palisz? — spytała zaraz matka.

— Właściwie nie palę. Ale musisz przyznać, że sytuacja jest wyjątkowa — odparła niechętnie Lisa.

Zgasiła właśnie papierosa, gdy w progu pojawił się Ludwig Weigel. W innym garniturze, w czystej koszuli i z gładko przyczesanymi ciemnymi włosami robił wrażenie wypoczętego i gotowego do działania. Kobiety podniosły się, nie czekając na jego słowa. Przechodząc przez przedpokój Weigel chwycił jeszcze z wieszaka swój płaszcz. W trójkę udali się z powrotem do garażu. Tym razem nie spotkali na swej drodze nikogo. Lisa usiadła na przednim siedzeniu obok przedsiębiorcy.

Dopiero kiedy opuścili miasto Lisa zapytała go, dokąd właściwie je zabiera.

— Do Monachium, a dokładnie mówiąc, do hotelu „Bayerischer Hoff. Znają mnie tam.

— Ale przecież nawet nie mamy bagażu!

— Dzisiejszej nocy muszą się panie jakoś przemęczyć. Jutro w ciągu dnia przywiozę wszystko, co będzie potrzebne.

— Tak wiele pan dla mnie robi, Ludwigu.

Nie spojrzał na nią, ale na jego ustach pojawił się lekki uśmiech.

— W końcu jest pani teraz szefową. — Po chwili dodał: — Wiem, jakie to dla pani okropne, Liso. Nie zasłużyła pani na to. Ale proszę się pocieszyć, że to tylko stan przejściowy. Nie będzie pani musiała przecież uciekać wiecznie. Wkrótce to minie. Może już być tylko lepiej.

— Nie tak wyobrażałam sobie dzień wyjścia na wolność. Weigel nic na to nie odpowiedział, a Lisa zdała sobie sprawę, że musi się pogodzić z tą sytuacją. Nagle przemknęło jej przez myśl podejrzenie, że to Ludwig mógł zainscenizować atak na posesję. Zaraz jednak zaczęła się wstydzić tej myśli. Cóż by zyskał na jej ucieczce z Rodenberg? Przecież zdawał sobie doskonale sprawę, że ani nie zna się na zarządzaniu firmą, ani też nie ma zamiaru się

tego uczyć, nie była więc dla niego żadnym zagrożeniem. To nikczemne z jej strony podejrzewać człowieka, który tak dzielnie stanął w jej obronie.

— Podłość jest zaraźliwa — powiedziała głośno, podsumowując swoje rozmyślenia.

Weigel rzucił jej przelotne spojrzenie.

— Nie powiedziałbym. Każdy z nas miewa czasem podłe myśli i niegodne życzenia. Ale jeśli chodzi o ich realizację — potrzeba do tego czegoś, czego pani w sobie nie ma: przestępczej energii, morderczego instynktu, skrajnego egoizmu, chwiejnego charakteru i głupoty.

— Musiał pan już rozważać ten problem?

— Naturalnie, Liso. Ponieważ to był pani problem. Nigdy nie wierzyłem, że to pani zabiła Brunona Hammera.

— Właściwie dlaczego nie powołano pana na świadka?

— Ponieważ pani adwokat obawiał się, że będę bronił pani z takim zapałem, że prokurator zyska dzięki temu dodatkowy motyw zabójstwa. Ulżyło mu, kiedy dowiedział się, że prokuratura nie chciała o mnie nic słyszeć.

Mknęli pogrążoną w mroku autostradą. Pani Hopf, zmęczona szlochaniem, zasnęła na tylnym siedzeniu.

— Myślę, że dałby pan sobie radę w sądzie — powiedziała Lisa.

— Próbowałbym, chcąc pani pomóc. Ale człowiek nie zawsze potrafi zapanować nad swymi emocjami, a ja byłem przecież taki przejęty tą całą sprawą. Ciągle zresztą jestem.

Lisa delikatnie dotknęła jego dłoni trzymającej kierownicę.

— Dziękuję, Ludwigu.

— Słodka Evelyn również miała ochotę wystąpić jako świadek. Chciała być nawet oskarżycielem posiłkowym. Udało mi się jej to na szczęście wyperswadować. Powiedziałem, że w razie pani uniewinnienia musiałaby ponieść koszty pani obrony, a tego nie chciała już ryzykować. Ograniczyła się więc do podburzenia przeciwko pani połowy miasta.

— Była w Rodenberg?

— Nie można jej było tego zabronić. Dla uczczenia skazania chciała wydać wielkie przyjęcie.

— Niezły pomysł.

— No, powiedzmy.

Lisa czuła, że rozmowa z człowiekiem, który bez zastrzeżeń jest po jej stronie, podnosi ją na duchu. Miała nawet wrażenie, że zaczyna nabierać dystansu do wydarzeń ubiegłych tygodni.

Kiedy pojawiły się przed nimi pierwsze światła Monachium pomyślała, że Rodenberg i związana z nim przeszłość została wreszcie gdzieś poza nią. W wielkim mieście chciała zacząć nowe życie.

Gdy tylko obie panie zamknęły za sobą drzwi — postępując za radą Weigla wpisały się do książki hotelowej jako pani Hopf i jej córka — poczuły się bezpieczne. Mimo przeżytych wrażeń spędziły spokojną, pozbawioną sennych koszmarów noc. Następnego ranka świat ponownie wydał im się pełen barw.

Lisa podeszła do okna i spostrzegła, że na miasto spadają grube płatki śniegu. Uznała to za dobry omen.

Skorzystała z łazienki, próbując doprowadzić swój wygląd do ładu, co przyszło jej z trudem z powodu braku potrzebnych kosmetyków. Weigel zadbał jednak o to, żeby w łazience znalazły się grzebienie, pasta i szczoteczki do zębów.

Obie z matką nabrały teraz ochoty na filiżankę kawy. Zanim jednak zdecydowały się zejść na dół do sali śniadaniowej, pani Hopf stwierdziła z wahaniem:

— Nie wiem, Liso, czy to rozsądne.

Choć Lisę trapiły podobne wątpliwości, nie chciała się jednak do nich przyznać przed matką.

— Więc mam się ukrywać przez całe życie? — zapytała ze złością.

— Nie o to mi chodziło. Mam jednak wrażenie, że byłoby lepiej, gdyby był tu pan Weigel albo twój adwokat.

Lisa musiała w końcu przyznać matce rację, już sama myśl o tym, że musiałyby wystawić się na spojrzenia wszystkich ludzi w kawiarni, budziła w niej grozę.

— No dobrze — powiedziała — w takim razie zamówię jedzenie do pokoju.

Połączyła się z obsługą hotelową i nie minęło więcej jak dziesięć minut, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Lisa spytała dla pewności:

— Kto tam?

— Przyniosłem śniadanie — odpowiedział młody głos. Przekręciła więc klucz w zamku i uchyliła drzwi. Na progu stał kelner z tacą. Otworzyła więc drzwi szeroko, żeby odebrać ją od niego. W tej samej chwili ktoś odsunął

kelnera na bok tak gwałtownie, że ten potknął się i taca przechyliła się raptownie. Wolną ręką zdążył przytrzymać jeszcze dzbanek z kawą. Filiżanki, talerzyki, dzbanuszek ze śmietanką, cukiernica i koszyk z tostami zachwiały się niebezpiecznie.

Lisa mimowolnie cofnęła się lękając się, że zostanie oblana kawą. Zza pleców kelnera wyskoczyła tymczasem młoda kobieta, uniosła szybko aparat fotograficzny i włączając lampę błyskową pstryknęła kilka zdjęć przestraszonej Lisie i jej bezradnej matce.

— Jak pani śmie! — zawołała Lisa oburzona. — Proszę stąd wyjść! Natychmiast!

Reporterka uśmiechnęła się do niej rozbrajająco.

— Przecież już po wszystkim — rzekła, chowając aparat do skórzanego futerału zawieszzonego na ramieniu. — Chyba nie bolało?

— Gdzie mam nakryć? — spytał kelner.

— Proszę odstawić tę tacę! — poleciła Lisa. — Obojętnie gdzie. Choćby i na łóżku. I proszę stąd wyjść! Oboje!

Kelner postawił przyniesione śniadanie na jednym z niższych stolików, po czym zniknął nie czekając na napiwek.

Reporterka została. Lisa chciała ją niemal wypchnąć na korytarz, lecz gdy uświadomiła sobie, że mogą tam czatować następni dziennikarze, zamknęła pośpiesznie drzwi.

— Tak już lepiej! — stwierdziła reporterka. — Robi pani błąd, szukając zwady z prasą, pani Hammer. Wiem, że źle się z panią obchodzono, ale również wśród nas są ludzie, którzy trzymają pani stronę. Tak się składa, że i ja się do nich zaliczam.

Zamknęła drzwi na klucz z taką pewnością siebie, jakby był to jej pokój. Potem ściągnęła futrzaną kurtkę.

— Pozwoli pani? — zapytała poniewczasie. — Strasznie tu u pani gorąco.

Lisa czuła się bezradna wobec takiej zuchwałości.

— Jak pani mnie znalazła?

— To naprawdę nie było takie trudne. — Reporterka niedbale pozwoliła swej kurtce upaść na dywan. — Pani Hopf i jej córka — cóż za naiwny kamuflaż. Moi szanowni koledzy też tu zapewne niebawem zawitają. Tylko że tym razem jestem od nich minimalnie szybsza. — Opadła na jeden z foteli. — Proszę sobie spokojnie wypić kawę. Mamy trochę czasu.

Pani Hopf zajęła się nakrywaniem do stołu, podczas gdy Lisa przyglądała się młodej kobiecie próbując ocenić, jakim jest człowiekiem. W gruncie

rzeczy wydawała się nawet sympatyczna z tymi podkrążonymi oczami i raczej nieładną, pociągłą twarzą. Ubrana była w przyduży, najwyraźniej ręcznie dziergany sweter, wytarte jeansy i botki na wysokim obcasie.

— Wybrała sobie pani paskudny zawód — stwierdziła Lisa.

— Czasami też mi się tak wydaje — przyznała kobieta beztrąsko. — Ale sprawia mi dużo przyjemności — a to jest dla mnie ważne. Czym byłaby demokracja bez prasy?

— Pozwoli pani, że nie będę się na ten temat wypowiadać.

— Tego też nie mogę mieć pani za złe... Ależ jestem roztrzępana, zapomniałam się przecież przedstawić. Nazywam się Kate Braun, właściwie Kati, ale zrobiłam z tego Kate, pisze się Kate, a wymawia Kejt, lepiej brzmi, prawda?

Lisa usiadła w fotelu naprzeciw niej.

— Jeżeli zmieniła pani też nazwisko na Brown, to niewątpliwie imię do niego pasuje.

— Nie, aż tak daleko się nie posunęłam — zaśmiała się Kate. — Po prostu Braun.

Pani Hopf podała Lisie filiżankę z kawą, po czym wycofała się w najdalszy kąt pokoju, chcąc w ten sposób dać do zrozumienia, że nie ma z tą sprawą nic wspólnego. Lisa znowu pomyślała, że wolałaby, gdyby matka siedziała teraz przy niej.

— Musiała pani chyba sprawdzić wszystkie hotele — rzekła Lisa, wciąż jeszcze zaskoczona faktem, że tak szybko ją odnaleziono.

— Wcale nie! — zaprzeczyła reporterka. — Po ustaleniu, że osobą, która wywiozła panią z miasta, był pani pełnomocnik w interesach — a wiem skądinąd, że nie ma on ani domku letniskowego na wsi, ani żadnego szalasu nad jeziorem — stało się dla mnie jasne, że wywiózł panią do Monachium. Był środek nocy. Bez bagaży i bez dokumentów nie mógł umieścić pani w żadnym z małych hotelików. Poza tym zachodziła obawa, że ktoś mógłby tam panią rozpoznać. Wysnułam stąd wniosek, że ulokował panią w hotelu, w którym on sam ma zwyczaj się zatrzymywać, gdy przyjeżdża do Monachium w interesach. Mogło więc chodzić jedynie o „Bayerischer Hoff”.

— Wiedziała pani o tym?

— Oczywiście. Zaczęłam zbierać informacje jeszcze przed rozpoczęciem procesu. Ten pan to naprawdę interesujący jegomość. Szkoda, że nie wystąpił na procesie jako świadek. Właściwie dlaczego tego nie zrobił?

— Nie mam pojęcia — Lisa dopiła małymi łykami kawę, po czym wstała, by jeszcze sobie dolać.

— Proszę mi teraz opowiedzieć, co wydarzyło się ubiegłej nocy! — poprosiła reporterka.

— Na pewno wszystko już pani wie.

— Zgadza się. Z faksu. Ale teraz chciałabym to usłyszeć z pani ust, pani Hammer!

Lisa znowu usiadła w fotelu.

— No, niechże pani mówi — nalegała reporterka. — Nie ma pani nic do stracenia. Dzięki tej historii może pani tylko zyskać powszechną sympatię.

— Nie zależy mi na sympatii. Chodzi mi tylko o to, żeby zostawiono mnie wreszcie w spokoju.

— Tę nadzieję powinna pani porzucić. Lata miną, zanim ta sprawa przycichnie. Naprawdę, musi się pani z tym pogodzić. Proszę myśleć realistycznie!

— Ja chyba oszaleję, jeżeli to dłużej potrwa.

— Pani Hammer — czy mogę mówić do pani: „Lisa”? A zatem, Liso, od początku byłam po pani stronie, może mi pani wierzyć. Policja poszła na łatwiznę. Pani nazbyt szczere zeznania były dla mnie — i nie tylko zresztą dla mnie — dowodem na to, że nie mogła być pani sprawcą tego morderstwa. Nikt, kto miałby coś na sumieniu, nie zachowywałby się tak głupio, nie byłby też w stanie udawać osoby tak naiwnej. Poszlaki były absolutnie niewystarczające. Ten proces nie powinien się być w ogóle odbyć.

Lisa z coraz większą sympatią spoglądała na swą rozmówczynię. Gdy ta ponowiła swą prośbę o relację z wypadków ubiegłego wieczora, Lisa uległa. Reporterka przysłuchiwała się z zainteresowaniem, rezygnując z robienia notatek.

— Kto to mógł być, pani zdaniem? — zapytała, gdy Lisa skończyła opowiadanie.

Lisa wzruszyła ramionami.

— Chuligani, motłoch — czy ja wiem?

— Zgoda, ale kto to wszystko inspirował, jak pani myśli?

— Skąd pani wie, że w ogóle był jakiś inspirator?

— Zawsze jest ktoś taki. Weźmy na przykład jakiś gang młodocianych wyrostków. Przecież zawsze jest między nimi ktoś, kto nadaje ton. Któż by to mógł być w tym wypadku?

— Nigdy nie obracałam się w takich kręgach. Poza tym uważam, że pani przypuszczenia są fałszywe. Sądzę, że nie kryje się za tym żaden spisek.

— Zgodziłabym się z panią, gdyby rzucano tylko kamieniami, ale mówiła pani przecież o bombach zapalających.

— Tak mi to przedstawił Weigel. Ja się na tym nie znam.. W każdym razie wybuchł pożar.

— W oficjalnym doniesieniu jest mowa o cocktailach Mołotowa. Ktoś je musiał przecież przygotować.

— Wie pani co, to wszystko mało mnie obchodzi. Nie zdziwiłabym się wcale, gdyby chodziło o jakieś organizacje radykalne, chcące ukarać uprzywilejowanego członka społeczeństwa, który w ich mniemaniu zaszkodził społecznej moralności. Czy ja wiem?

— A nigdy nie przyszło pani do głowy, że za tym wszystkim może stać ktoś z rodziny?

— Artur? Evelyn? To przecież śmieszne.

— Skąd ta pewność?

— Znam tych dwoje dosyć dobrze. Taki akt przemocy po prostu nie jest w ich stylu.

— Liso, niech pani otworzy oczy! To nie pani zabiła swojego męża. Ktoś jednak to zrobił, ktoś z jego i pani otoczenia.

— W każdym razie nie była to ani Evelyn, ani Artur! Z wczorajszym napadem też nie mają nic wspólnego.

— Liso, Liso, dlaczego ciągle ich pani broni? To bardzo lojalnie z pani strony, przyznaję, ale tu przecież chodzi o pani głowę. Powinna pani myśleć o sobie. Dlaczego nie powiedziała pani policji, że oboje nie byli w dobrych stosunkach ze swoim ojcem? Że nigdy nie wystarczało im pieniędzy, żądali wciąż więcej i więcej, budząc tym jego wściekłość?

— Wie pani o tym? — Filiżanka, którą Lisa odstawiła na podstawkę, głośno zadźwięczała.

— Teraz wie już o tym cały świat. Prasa to oczywiście odkryła, ale niestety zbyt późno, kiedy policja zdążyła już dostać bzika na punkcie pani udziału w zabójstwie.

— Nie chciałam nikogo oczernić — wyjaśniła Lisa z uporem — nie potrafię tego robić.

— Tak właśnie myślałam. Ale nie mówmy już o tym. Choć kto wie, może policja znalazłaby dzięki pani zeznaniom prawdziwego sprawcę. Przecież w grę wchodzi nie tylko pani pasierbowie. Zresztą, gdyby nie stanęła pani

przed sądem, pani nazwisko byłoby już na zawsze związane z tym nie wyjaśnionym przestępstwem. — Reporterka podniosła się do wyjścia.

— Co mam teraz robić? Proszę, Kate, niech mi pani coś poradzi?

— Niech je pani zmieni!

— Ale co? — spytała Lisa zdziwiona.

— Nazwisko. Nie powinno być z tym problemów. Proszę to omówić ze swoim adwokatem!

— Muszę o tym pomyśleć. W każdym razie dziękuję pani, Kate!

— Niech pani nie opuszcza swojego pokoju. Założę się, że na korytarzu aż roi się teraz od dziennikarzy.

— Byłam już dostatecznie długo w więzieniu! — zaprotestowała Lisa.

— Oczywiście, może pani stanąć przed tą sforą. Atak zamiast obrony. Jeżeli ma pani do siebie zaufanie.

Lisa milczała, wahając się.

— Najpierw musiałabym jednak porozmawiać z moim adwokatem.

— Racja. Cóż, będę lecieć — Kate Braun podała Lisie rękę na pożegnanie.

— Powodzenia! I niech pani będzie ostrożna. Proszę zamknąć się na klucz!

Lisa odprowadziła ją do drzwi, które Kate tylko lekko uchyliła wyslizgując się zwinnie na korytarz. Lisa natychmiast przekreśliła klucz i oparła się plecami o framugę.

„Inne nazwisko — pomyślała — tak, to byłaby jakaś szansa ucieczki. Ale to mało, zawsze może znaleźć się ktoś, kto mnie rozpozna. To, czego potrzebuję, to nowa twarz.”

— Każę się zoperować! — powiedziała na głos. Matka zbierała właśnie filiżanki, by odstawić je na tacę.

— Jesteś chora? — zapytała bez szczególnego zainteresowania.

— Nie, ale chcę być innym człowiekiem.

— Ach, Liso, gdyby to tylko było możliwe! Zawsze pozostaniesz tym, kim jesteś!

— Zobaczymy.

* * *

Paul Zumbruch nie był tak sceptyczny jak matka Lisy.

— To da się zrobić — powiedział — ale musi to trochę potrwać. Do tego czasu, Liso, będzie pani potrzebny ochroniarz.

Tak jak przepowiedziała Kate Braun, Zumbruch natknął się w hallu na dziennikarzy, musiał więc wyjść z hotelu i upozorować swój odjazd. Dopiero za drugim razem udało mu się dostać niepostrzeżenie do „Bayerischer Hoff

schodami przeciwpożarowymi. Pilotowany przez jednego z hotelowych boyów dotarł do pokoju Lisy. Na szczęście detektyw hotelowy wyprosił intruzów z korytarza na piętrze, gdzie mieszkała. Następnie Zumbruch dał boyowi kluczyki od swojego samochodu z poleceniem, by ten przyniósł z niego bagaże obu pań. Cała ta operacja była uciążliwa i czasochłonna — przypominała Zumbruchowi zabawę w chowanego.

— Ochroniarza? — powtórzyła Lisa. — Czy to nie lekka przesada?

— W żadnym razie. Na dłuższą metę nie możemy wymagać od kierownictwa hotelu, żeby zapewniało pani ochronę. Jeśli wyprowadzi się pani do innego hotelu, cały ten cyrk zacznie się na nowo. Chyba sama pani w to nie wierzy, że znowu uda się nam wymknąć niepostrzeżenie.

— Ja tego nie wytrzymam! — jęknęła matka Lisy. Nikt jej nie odpowiedział.

— Czy pan naprawdę myśli, że ktoś może czyhać na moje życie? — zapytała z niedowierzaniem Lisa.

— Nie, naturalnie, że nie. Chcę tylko, żeby ktoś czuwał pod pani drzwiami, ktoś, kto zatroszczyłby się o to, żeby do pokoju wpuszczano tylko prawdziwych kelnerów i prawdziwe pokojówki. Nie możemy przecież kontrolować całego hotelu, a pani potrzebuje świeżej bielizny, jedzenia i picia. — Policzki Paula Zumbrucha były nieco zaróżowione, a w jego mądrych, szarych oczach było więcej blasku niż zazwyczaj. Lisa dostrzegła to z lekkim zdziwieniem.

— Albo mi się wydaje, albo sprawia to panu przyjemność. Zumbruch uśmiechnął się zmieszany.

— Ta cała sprawa jest dla mnie, nazwijmy to, wyzwaniem. Niezwykłym wyzwaniem.

— A więc postawi pan tu człowieka z krótkofalówką?

— To rzeczywiście dobry pomysł. Mogłaby go pani powiadamiać, gdyby pani czegoś potrzebowała.

— Wielkie nieba! — westchnęła Lisa. — Jak długo mam tu siedzieć zamknięta?

— Dopóki ten rwetes trochę nie ucichnie i oczywiście dopóki nie znajdę dla pani miejsca w klinice.

— Ja tego nie wytrzymam! — jęknęła znów pani Hopf. Tym razem zareagował adwokat.

— Pani to wszystko nie dotyczy. Jeszcze dzisiaj mogę panią stąd wyprowadzić tylnym wyjściem. — Przeniósł spojrzenie na Lisę.

— O ile nie ma pani ochoty pozostać przy córce i jeśli ona pani nie potrzebuje.

Lisa spojrzała pytająco na matkę, ta jednak milczała — rzuciła więc prędko:

— Jakoś sobie sama poradzę.

Poczuła zawód, że matka nie chce jej dotrzymać towarzystwa, ale jednocześnie była zadowolona z takiego rozwiązania.

* * *

Następne tygodnie Lisa spędziła więc w więzieniu, choć trzeba przyznać, że było to więzienie komfortowe. Mogła uczyć się, czytać, słuchać radia, a nawet oglądać telewizję, dostawała smaczne, lekkie posiłki — nie mogła wyjść jedynie na świeże powietrze. Dlatego wróciła do ćwiczeń gimnastycznych. Koniecznie chciała być sprawna, zaczynając nowe życie.

Ponieważ na świat przyszła w jednej z monachijskich klinik, Paul Zumbruch złożył wniosek o zmianę nazwiska w tutejszym urzędzie stanu cywilnego. Zdecydowała, że chce się nazywać Vivian Wagner. Zumbruch zgłosił zastrzeżenia do tego pomysłu. Uważał, że jest on zbyt ekstrawagancki. Ona jednak obstawała przy swoim.

— A dlaczego nie? Lubię imię „Vivian”, a Richarda Wagnera ubóstwiam od zawsze. Jeżeli już mam nosić inne nazwisko, dlaczego nie miałabym wybrać sobie takiego, jakie mi się naprawdę podoba?

Zumbruch nie wydawał się jednak zadowolony.

— Musi pani pamiętać, że poprzednie nazwisko nie ulegnie tak całkiem wymazaniu z pani dossier. Gdyby miała pani w przyszłości do czynienia z policją...

— Niech pan nie wywołuje wilka z lasu! — wtrąciła Lisa.

— ... poza tym zapisując się na uniwersytet, będzie pani musiała podać swoje poprzednie nazwisko. Postaram się dla pani o nowy paszport, ale oczywiście nie możemy zlecić przepisania wszystkich dokumentów i świadectw.

— To prawda, zapomniałam o tym — przyznała Lisa.

— Pani koledzy na studiach nie muszą o niczym wiedzieć. Ale przynajmniej jedną osobę z władz uczelni będziemy musieli wtajemniczyć. Ja się tym zajmę.

— To niepotrzebne, Paul. Wyjeżdżam do Berlina.

— Liso! — krzyknął Zumbruch zaskoczony. — To coś nowego!

— Chciałabym wynieść się jak najdalej stąd, czy pan to rozumie? Najchętniej wyjechałabym za granicę, ale moja znajomość języków nie wystarczy, żeby tam studiować.

— Będzie mi pani brakowało, Liso. Zaczerwienił się lekko.

— To miłe z pana strony.

— Czy nie zechciałaby się pani nad tym jeszcze zastanowić? Dla mnie?

— Nie, Paul. Ktoś niepowołany mógłby zauważyć, że spotyka się pan z jakąś Vivian Wagner, mógłby zacząć snuć domysły...

— Miałem nadzieję, że będziemy się teraz częściej widywać — powiedział ze smutkiem.

Odpowiedziała mu z nieco sztuczną wesołością:

— Cóż to za żale! Czyżbym nareszcie znalazła wielbiciela?

— Proszę nie kpić, Liso! Bardzo wiele pani dla mnie znaczy.

— To oczywiste. Dzięki mnie prowadził pan pierwszą ważną sprawę kryminalną.

— Nie tylko dlatego, Liso. Czy pani nie czuje, że...

— Proszę przestać, Paul! Nikt lepiej od pana nie zna mojej sytuacji. Dobrze pan wie, że nie mogę teraz pozwalać sobie na sentymenty. Pan również znaczy dla mnie zbyt wiele. Nie chciałabym, by niemądry flirt zepsuł coś w naszej przyjaźni. Będzie pan jedynym łącznikiem z moim dotychczasowym życiem. Czy pan to rozumie?

— Czy nie chce pani wtajemniczyć w swoje plany Ludwiga Weigla? Wiem, że jemu również na pani zależy. Zresztą wiele już dla pani zrobił.

— Myślę, że akurat on nie potrzebuje pańskiego wstawiennictwa.

— Zgadzam się. Nie chciałem go tu jakoś specjalnie wychwalać... ale sądzę, że powinien...

— Paul, przepraszam, że panu przerywam, teraz to pan jest niemądry. Czy pan zapomniał, że popełniono morderstwo? I że sprawca wciąż jest na wolności?

— Chyba nie chce pani powiedzieć, że podejrzewa pani... — Zumbruch nie wypowiedział swego pytania do końca.

— A dlaczego nie? Między nim a moim mężem były poważne różnice zdań. Wydaje się nawet bardziej prawdopodobnym sprawcą niż Artur czy Evelyn. Nie był z Brunonem spokrewniony, nie pozostawał z nim w przyjacielskich stosunkach. Nie chcę go obwiniać, Paul, proszę mnie dobrze zrozumieć, ale wolę mieć się przed nim na baczności. Jedynie pan powinien wiedzieć, jak będę się w przyszłości nazywać i jak będę wyglądać.

Chciałabym, żeby mnie pan reprezentował. Chyba że nie chce pan się tego podjąć?

— Naturalnie, że chcę — wykrzywił usta w gorzkim uśmiechu. — W końcu nie będę tego robił za darmo.

— Proszę tak nie mówić! Tego, co robi pan dla mnie, nie da się kupić za pieniądze.

— Ludwig Weigel, a raczej firma, którą zarządza, będzie musiał pokryć moje koszty. Obawiam się, że mu się to nie spodoba.

— Będzie to musiał jakoś przełknąć.

— A jeśli coś mi się przytrafi? Musimy pomyśleć o wszystkim, Liso. Zresztą ja również nie mam wcale zamiaru zostawać w Rodenberg.

— Nie? — spytała zdziwiona.

— Nie mam tam czego szukać, podobnie jak pani. Dla mieszkańców Rodenberg pozostanę tym skrupulatnym adwokatem, który uchronił morderczynię przed sprawiedliwą karą.

— Och! — westchnęła Lisa.

— Proszę mi wybaczyć, Liso, nie chciałem pani martwić. Świat na szczęście nie mierzy ludzi miarą z Rodenberg. Dostałem bardzo dobrą propozycję z jednej z monachijskich kancelarii. Zamierzam ją przyjąć. Dla kolegów po fachu jestem tym facetem, który wygrał trudny proces poszlakowy. — Znowu uśmiechnął się krzywo.

— Gratuluję, Paul — powiedziała Lisa z ulgą. — A więc koniec końców przyniosłam panu szczęście.

* * *

Wkrótce potem Lisa odbyła ostatnią naradę ze swym pełnomocnikiem w interesach. Tak jak przewidział Paul Zumbruch, Ludwig Weigel nie był wcale zadowolony z faktu, że nie chciała go wtajemniczać w plany dotyczące przyszłości.

— A więc nie ufa mi pani — stwierdził zmartwiony, spuszczać smutno głowę.

— To nie ma nic do rzeczy! — wykręcała się. — Ale im mniej osób będzie o wszystkim wiedziało, tym będę bezpieczniejsza.

— Ja naprawdę należę do ludzi, którzy potrafią trzymać język za zębami.

— Nie wątpię w to — powiedziała Lisa, dodając w myślach: „Gdybyś był sprawcą tego zabójstwa, istotnie milczałbyś jak zaklęty.” Głośno natomiast rzekła: — Ale ma pan przecież sekretarkę, która mogłaby okazać się

wścibską i odkryć prawdę o mnie. Poza tym jest pan, o ile wiem, obserwowany przez prasę.

— Nie zauważyłem tego.

— Ale to prawda. Tylko dlatego Kate Braun mogła tak szybko wytropić mnie w „Bayerischer Hoff”.

Ludwig Weigel nadspodziewanie łatwo zrezygnował z oporu.

— Ma pani rację, Liso. To naleganie było egoistyczne z mojej strony. Ale pani wie, jak bardzo panią zawsze podziwiałem. Myśl, że miałbym tak z dnia na dzień stracić panią z oczu, jest dla mnie trudna do zaakceptowania.

— Nie znikam przecież na zawsze — oznajmiła Lisa. — Może pewnego dnia pojawię się znowu, powstanę jak feniks z popiołów.

— Wówczas jednak nie będzie pani tą samą osobą.

— Miejmy nadzieję, Ludwigu. Nie chciałabym już nigdy więcej przeżywać podobnego koszmaru, a myślę, że to nie tylko okoliczności niezależne ode mnie, ale również moja struktura wewnętrzna wpędziła mnie w te tarapaty.

— Jest pani najbardziej ofiarną osobą, jaką znam.

— Może to również był błąd. Jak widać ofiarność bywa czasem poszlaką obciążającą.

* * *

Profesor Schoenhuber przyglądał się Lisie krytycznie, ujmując w dwa palce jej podbródek i obracając jej głowę raz w prawo, raz w lewo.

— A więc jest pani zdecydowana zmienić swój wygląd?

— Całą osobowość, jeśli to będzie możliwe — odparła Lisa.

Hotel „Bayerischer Hoff” opuściła tylnym wyjściem bardzo wczesnym rankiem, właściwie jeszcze nocą, nie zabierając bagażu. Mimo złych doświadczeń ostatnich tygodni, uważała te wszystkie środki ostrożności za przesadę, ale jej adwokat nalegał. Mimo że tłum dziennikarzy już dawno się rozproszył, obawiał się, że ktoś może jeszcze na Lisę czatować. Od czasu gdy spłonęło jego auto, korzystał z wypożyczonego samochodu. Odwożąc Lisę do kliniki specjalnie zmienił model wozu, chciał w ten sposób zatrzeć wszystkie tropy.

Lisa nie miała wprowadzić jeszcze nowych dokumentów, zameldowała się jednak w recepcji kliniki jako „Vivian Wagner, pacjentka prywatna”.

— Jedno zazwyczaj idzie w parze z drugim — wyjaśnił profesor flegmatycznie. Był to brzydki mężczyzna i Lisa zadawała sobie pytanie, dlaczego nie wpadł na pomysł, by zrobić coś choćby ze swymi oczami.

— Czy ma pani jakąś wizję tego, jak chciałaby pani wyglądać? — zapytał.

— W każdym razie inaczej i... ładniej.

— Mnie wydaje się pani wystarczająco ładna. Na swój własny sposób.

— To mi jednak nie wystarcza.

— Jest pani wybredna...

— Mam swoje powody.

— Wiem, pani adwokat zdążył mnie już wtajemniczyć. Czy to pani przeszkadza?

Lisa spojrzała mu prosto w oczy.

— Nie, o ile nie będzie o tym szeptać cała klinika.

— Bez obaw. Pani tajemnica pozostanie tajemnicą.

— Dziękuję, panie profesorze. Inaczej nie miałoby to przecież żadnego sensu.

— Wiele pani przeszła, moja kochana.

— Proszę mi o tym nie przypominać. Zajmijmy się teraz moją przyszłością.

— Ma pani wiele odwagi.

— Tak, zawsze ją miałam. Byłoby miło, gdyby mi ją pan pozostawił, zmieniając mój wygląd.

Lekarz roześmiał się.

— I tak nie mógłbym jej pani pozbawić. Duszy człowieka nie da się przefasonować. W każdym bądź razie nie takimi środkami, jakie dzisiaj mamy do dyspozycji.

— To brzmi pocieszająco.

Profesor Schoenhuber wskazał Lisie fotel w swym pokoju zabiegowym, a sam usiadł obok niej.

— Muszę powiedzieć, że jest pani dla mnie szczególnym przypadkiem, pani Wagner.

Po raz pierwszy ktoś zwrócił się do Lisy, używając jej nowego nazwiska. Zrobiło to na niej duże wrażenie.

— Właściwie dlaczego? Na pewno ma pan już za sobą dziesiątki operacji plastycznych.

— Nawet więcej — przyznał lekarz, zakładając nogę na nogę, co zważywszy na ich długość, nie było takie łatwe. — Zawsze jednak chodziło o ludzi, którzy albo nie byli zadowoleni ze swojego wyglądu, albo których rysy zostały poważnie zniekształcone w wyniku jakiegoś wypadku. Chodziło więc albo o zbędne, albo o konieczne naprawy. Jak rozumiem, gdyby nie

okoliczności, nie przyszedłby pani do głowy pomysł zmiany wyglądu zewnętrznego?

— Chyba nie.

— Była więc pani zadowolona ze swojego fenotypu?

— No, nie do końca. Ale nauczyłam się ze sobą wytrzymywać.

— Bardzo rozsądne podejście.

— Teraz jednak musiałam je zmienić, panie profesorze. Jestem prześladowana.

— Tak, ci wścibscy żurnaliści.

— Nie tylko oni. Obawiam się, że również inne osoby mają mnie na oku.

— To minie.

— Tak, z pewnością. Jako stara kobieta będę zapewne cieszyć się spokojem. Teraz jednak potrzebuję pana.

— To zrozumiałe. Lisa wstrzymała oddech.

— Panie profesorze, czy może mi pan pomóc? Czy ma pan w ogóle na to ochotę?

— Ależ naturalnie. Już to omówiliśmy z pani adwokatem, który zresztą przedstawił mi odpowiednie zezwolenie policyjne.

— Dlaczego więc się pan jeszcze zastanawia?

— Ponieważ jest pani dla mnie interesującym przypadkiem. Każdy z nas, chirurgów, chciałby raz w życiu spotkać osobę, która chce rzeczywistej zmiany osobowości.

— Nie jestem żadnym zbiegłym przestępcą, jeżeli to ma pan na myśli.

— Ale była pani podejrzana o popełnienie zbrodni, prawda?

— Gdyby pan wiedział, jak bardzo mi to ciąży! Schoenhuber znowu się roześmiał.

— Ale zdaje sobie pani sprawę z tego, że jeśli proces zostanie powtórzony, będzie pani musiała wziąć w nim udział. Nawet gdybym zrobił z pani królową Sabę.

— O tym nie musi mnie pan pouczać.

— Jest pani bardzo niezależna, prawda?

— Może zmienię się, gdy dostanę nową twarz.

— No dobrze. Czy mogę pani przedstawić swoje propozycje?

— Nic by mnie bardziej nie ucieszyło.

— Ma pani skośnie ułożone oczy.

— To dla mnie nie nowość.

— Poprzez nacięcie fałdy powieki można by to zmienić. Pani oczy zaokrągliłyby się wówczas i sprawiały wrażenie większych. Dzięki szkłom kontaktowym mogłaby pani również lekko zmienić ich kolor.

— Brzmi to zachęcająco.

— Mogę też zmienić pani podbródek, implantując trochę silikonu o grubości mniej więcej czterech do ośmiu milimetrów. Będzie wówczas bardziej uwydatniony.

— Zgadzam się!

— A co zrobimy z pani nosem? Tak, myślę, że usuniemy ten mały garbik, pozbędziemy się go, szlifując równiutko kość.

— Jak będę wtedy wyglądała?

— W każdym razie inaczej. Obiecuję, że z trudem rozpozna pani samą siebie. Oczywiście powinna pani zadbać potem o siebie kosmetycznie. Tak jak powiedziałem — szkła kontaktowe, no i inny kolor włosów.

— A co z dłońmi?

— Tu nic nie da się zrobić. Ale nikt nie zwraca takiej uwagi na ręce, żeby móc dzięki nim rozpoznać człowieka, którego wygląd został zmieniony. — Schoenhuber wziął prawą rękę Lisy i obejrzał ją krytycznie. — Typowa dłoń pielęgnarki. Króciutko przycięte paznokcie, bo to praktyczne, silny uchwyt robi niewątpliwie sympatyczne wrażenie. — Spojrzał na Lisę. — Proszę wyhodować dłuższe paznokcie, opiłować je owalnie i pomalować lakierem. Dzięki temu będą sprawiały zupełnie inne wrażenie.

— Ale ja chcę studiować medycynę.

— Długie paznokcie nie powinny pani w tym przeszkadzać. Najwyżej złamie sobie pani któryś czy zedrze z któregoś lakier, ale wtedy nic już nie będzie przypominało pani dawnych dłoni pielęgnarki.

— To wszystko będzie dla mnie nadzwyczajnym przeżyciem — rzekła Lisa z wahaniem.

— I to jeszcze jakim! — odparł profesor niewzruszony. — Będzie pani musiała porzucić swoje stare przyzwyczajenia. Z makijażem i tego .typu sprawami nie ma pani chyba większego doświadczenia, czy nie tak? Tymczasem będzie się pani musiała nauczyć go stosować. Najpierw po to, żeby zamaskować blizny. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, to nie powinny być zbyt widoczne — tyle mogę pani obiecać. Poza tym makijaż będzie też służył pani do podkreślania nowej osobowości. Niech się pani przemieni w femme fatale i pozbędzie nawyków niewinnego jagniątka.

— Prawie nikt nie brał mnie dotąd za niewinne jagniątko, niestety.

— Ależ brał, na przykład pani adwokat. On jest przekonany, że stała się pani niewinną ofiarą niekorzystnego zbiegu okoliczności.

Lisa lekko się zaczerwieniła.

— To bardzo miłe z jego strony. W każdym razie przekonałam się już sama, że nie powinnam zachowywać się tak naiwnie. Zresztą nie pasowałoby to do mojego nowego wyglądu.

— A więc ma pani już plan działania na przyszłość. Proszę nie być już infantylną dziewczyną, tylko żyć świadomie. Proszę wykorzystać wszystkie swoje atuty.

— Spróbuję.

— Nie wystarczy spróbować. Musi pani tego chcieć.

— Tak, chcę tego.

* * *

Aby nikt w klinice nie odkrył tożsamości Lisy, konieczne badania przedoperacyjne profesor Schoenhuber przeprowadził osobiście. Lisa była mu za to wdzięczna. Potem dostała zastrzyk uspokajający i jeszcze tego samego dnia znalazła się na stole operacyjnym. Po narkozie przespała całą noc aż do następnego rana.

Zaraz po przebudzeniu mimowolnie dotknęła swojej twarzy: była zabandażowana, bolała ją. Lisa wstała. Poczowała, że uginają się pod nią kolana. Przeszła do łazienki. Ku swemu zdumieniu nie znalazła tam żadnego lustra. Nie uległa pokusie, żeby zdjąć opatrunek. Zataczając się wróciła do pokoju. Rozglądała się przez jakiś czas za swoją torebką, by wreszcie znaleźć ją w szafie. Musiała jednak z przykrością stwierdzić, że ktoś wyjął z niej lusterko kosmetyczne. Poczowała się zniechęcona i nieco rozdrażniona.

Do pokoju Lisy weszła młoda pielęgniarka, bardzo ładna, o jasno-blond włosach, i niezwykle miła.

— Dzień dobry, pani Wagner! — przywitała się. — Już na nogach? Powinna się pani oszczędzać — objęła Lisę w talii i delikatnie, choć pewnie, odprowadziła z powrotem do łóżka.

— Ktoś zabrał moje lusterko — poskarżyła się Lisa.

— A do czego jest ono pani potrzebne?

— Chcę się przejrzeć.

— Dopiero kiedy profesor na to pozwoli.

— Nie lubię, kiedy traktuje się mnie jak dziecko. Mówiła niewyraźnie, czując ból przy każdym słowie.

— Nie jak dziecko, pani Wagner — odparła pielęgniarka. — Jak pacjentkę, a pani nią jest, czyż nie?

Lisa usiadła na łóżku, a pielęgniarka pomogła jej wygodnie ułożyć nogi.

— Nie jestem chora — zaprotestowała Lisa — i sama sobie poradzę!

— Jest pani świeżo po operacji, pani Wagner, i jeśli nie będzie się pani zachowywała rozsądnie, będą blizny. Powinna pani leżeć bez ruchu, nic nie mówić i spróbować się odprężyć.

— Chce mi się pić.

— Zaraz pani coś przyniosę. Tak przy okazji, nazywam się Ida, siostra Ida, dobrze?

Lisa przytaknęła. Czowała się osaczona, schwytana w pułapkę. Jak mogła tak lekkomyślnie i naiwnie zdecydować się na operację plastyczną? Powinna była liczyć się z tym, że zabieg chirurgiczny może zniekształcić jej rysy. „Będą blizny — pomyślała z wściekłością — tego mi jeszcze brakowało”.

Po chwili znowu zjawiała się siostra Ida niosąc filiżankę z dzióbkiem wypełnioną rosółem. Wyregulowała korbką wysokość zagłówek, po czym przystąpiła do karmienia Lisy, podając jej ostrożnie łyk po łyku.

— Zupa nie jest gorąca — oświadczyła — ale to zamierzone. Gorąca zupa mogłaby sprawić pani ból. Wie pani pewnie, że pani podbródek został od wewnątrz nacięty.

Lisa piła bardzo ostrożnie, starając się jak najkrócej przetrzymać w ustach ciepły bulion.

— Bardzo dobrze pani sobie radzi, pani Wagner! — pochwaliła ją pielęgniarka. — Nie wszystkim to tak od razu wychodzi. Minie trochę czasu, zanim znowu będzie pani mogła przeżuwać.

Lisie cisnęła się na usta cięta odpowiedź, ale zdołała się powstrzymać. Nie chciała wyładowywać swej złości i strachu na tej młodej pielęgniarce. Poza tym sprawiłoby jej to dodatkowy ból. Bez słowa opróżniła filiżankę, po czym siostra Ida odstawiła ją na stolik.

— Jest pani bardzo grzeczna, pani Wagner. Teraz panią umyję. Oczywiście może pani pójść do toalety, jeśli pani chce, nie jest pani przecież chora. Jednakże nie powinna się pani forsować. A więc przez następnych kilka dni zadowolimy się taką pobeżną toaletą, zgoda?

Pielęgniarka poszła do łazienki i wróciła z pełną miską ciepłej wody, ściereczką i frotowymi ręcznikami. Umyła Lisę pod pachami, w miejscach intymnych, nie zapominając o ramionach.

— Tak, teraz jesteśmy już czyste — stwierdziła na koniec. Lisa postanowiła sobie, że nigdy nie będzie używać tego irytującego „my” w kontaktach z pacjentami.

— Może powinniśmy wyszczotkować trochę włosy? — zastanawiała się na głos pielęgniarka. — Nie, zostawmy to na razie. Teraz mogłoby to panią zboleć. — Obniżyła zagłówek przy łóżku Lisy, kładąc go niemal poziomo. — Świetnie, a teraz proszę się zupełnie odprężyć. Czy mam włączyć pani radio?

Lisa potrząsnęła głową.

— Tutaj jest dzwonek — wyjaśniła siostra Ida. — Wystarczy nacisnąć przycisk, żebym się pojawiła.

— Kiedy... profesor? — zapytała Lisa z wysiłkiem.

— Pan profesor jeszcze operuje. Ale zaraz po operacji przyjdzie do pani, pani Wagner. Troszkę cierpliwości.

Gdy tylko Lisa została sama, zamknęła obolałe powieki. Zdała sobie sprawę, że zachowała się jak nierozumne dziecko i była za to zła na siebie. Jak mogła się tak zachować? Powinna była przewidzieć, że bezpośrednim następstwem operacji będzie ból i chwilowa słabość. Jak mogła, jako wykwalifikowana pielęgniarka i przyszła lekarka, być tak niecierpliwą i nieznośną pacjentką? Było jej wstyd i postanowiła od zaraz wziąć się w garść.

Kilka godzin później odwiedził ją profesor w towarzystwie innej pielęgniarki, szczupłej, śniadej dziewczyny. Lisa popatrzyła na niego wyczekująco swymi podpuchniętymi oczami. Schoenhuber podszedł do jej łóżka, ujął jej dłoń i pogłaskał ją przyjacielsko.

— Jak słyszę, noc miała pani spokojną. To już coś. Wiem, ma pani bóle. Mimo to nie chciałbym faszzerować pani lekarstwami. Mam nadzieję, że pani to rozumie. Dzisiaj wieczorem otrzyma pani naturalnie środek nasenny.

Lisa skinęła głową.

— Teraz zdejmujemy opatrunki i obejrzymy sobie, jak to wszystko wygląda — oświadczył lekarz.

Bardzo ostrożnie zdjął bandaż, pochylił się i skrupulatnie zbadał twarz Lisy.

— Pięknie — rzekł — naprawdę bardzo pięknie. Mamy wyjątkowe powody do zadowolenia. Proszę teraz otworzyć usta!

Lisa posłusznie wykonała jego polecenie, a on odchylił lekko jej dolną wargę. Lisa omal nie krzyknęła z bólu.

— Bardzo dobrze — ocenił doktor. — Wyśmienicie — dodał, uśmiechając się do niej z góry.

— Na pewno by się to pani spodobało, miła pani Wagner. Ale ze spoglądaniem w lustro poczekajmy jeszcze chwilę.

— Jak długo?

— Tylko kilka dni, niecały tydzień. Wtedy obrzęki powinny już ustąpić. Siostrze Karlo, proszę być tak miłą i zrobić pacjentce nowy opatrunek.

— Z roztworem soli kuchennej? — zapytała pielęgniarka.

— Ależ skądże! Po co? — rzekł Schoenhuber, po czym zwrócił się ponownie do Lisy: — Opatrunek jest w pani wypadku potrzebny tylko po to, żeby ochronić pani twarz przed kontaktem z szorstką pościelą.

O tym, że powinna pani trzymać ręce z dala od twarzy, nie muszę chyba mówić?

Lisa kiwnęła głową.

— Jeszcze jedno pytanie: Czy pani pali?

— Nie.

— To dobrze, inaczej musiałbym pani zabronić. Proszę teraz z optymizmem patrzeć w przyszłość, trochę pobujać w obłokach i pomarzyć. Uprawiała pani już kiedyś rozluźniający trening autogeniczny?

Lisa przytaknęła.

— Więc ma pani teraz świetną okazję, żeby znowu go zastosować. Tydzień później podczas porannego obchodu profesor Schoenhuber oznajmił:

— Czekam na panią dzisiaj po południu w moim gabinecie, pani Wagner. Powiedzmy o trzeciej.

Lisa nie odważyła się zadać mu żadnego pytania. Minione dni były dla niej trudne. Wprawdzie mogła już wstawać z łóżka i myć się samodzielnie, nadal jednak trudno jej było czytać, ponieważ oczy miała jeszcze zasłonięte opatrunkiem. Szamotając się między nadzieją a zwątpieniem i wzrastającymi obawami, szukała ukojenia w muzyce, której słuchała od czasu do czasu z radia. Pomimo ostrzeżeń profesora Schoenhubera nie mogła się powstrzymać od dotyknięcia swojej nowej twarzy — ale nic z tego nie dało się wywnioskować. Ból jednak stopniowo ustępował, a jej mowa stawała się coraz wyraźniejsza. Silne swędzenie, świadczące o gojeniu się ran łagodzone odpowiednimi maściami.

Przed wizytą u profesora Schoenhubera serce waliło jej jak młot. Wiedziała, że teraz pozna prawdę: czy operacja się powiodła, czy zakończyła

fiaskiem. Nie wierzyła tak do końca uspokajającym zapewnieniom chirurga. To naturalne, że zależało mu na tym, by nie stresować niepotrzebnie pacjentów.

Profesor przyjął Lisę jak zwykle uprzejmie. Wyczuwając wzbierającą w niej niecierpliwość, przeszedł od razu do rzeczy. Kiedy zdjął opatrunki, ujął ją za ramiona i obrócił tak, że mogła spojrzeć w wielkie, dobrze oświetlone lustro... Zobaczyła w nim jakąś obcą kobietę.

— Czy to ja? — spytała wstrząśnięta. Profesor roześmiał się.

— Tak. Jak widać, zrobiliśmy z pani zupełnie inną osobę. Tylko na dni jej szarych, teraz o wiele większych oczu pozostało coś, co przypominało dawną Lisę Hopf — jakiś cień energii, nieufności i sprzeciwu.

— Będzie mi ciężko przywyknąć do tych zmian.

— Założę się, że będzie pani z siebie bardzo zadowolona — rzekł chirurg.

Lisa przyjrzała się sobie dokładniej. Oprócz dwóch cienkich linii w kącikach oczu po operacji nie pozostał żaden ślad.

— To niewiarygodne! — stwierdziła. — Nawet rodzona matka nie mogłaby mnie teraz rozpoznać. Czy rzeczywiście powinnam zakładać szkła kontaktowe?

— Nie jest to niezbędne. Ale byłoby to zwieńczeniem dzieła. Siostra Ida umówi dla pani termin najpierw u optyka, a potem u fryzjera.

Dopiero teraz Lisa zwróciła uwagę na swoje zmierzwione, pozbawione połysku włosy.

— Nie mogłam umyć głowy... — usprawiedliwiła się.

— Wiem, pani Wagner. Moim zdaniem trzeba nadać tym włosom inny odcień. Jest pani teraz piękną kobietą i powinna pani zacząć zdawać sobie z tego sprawę. Uroda to dar. Trzeba o niego bardzo dbać.

Lisa poszła za radą lekarza. Dawniej, kiedy uważała się za mało interesującą, a nawet brzydką, nie przykładła nigdy wagi do swego wyglądu zewnętrznego, co było niejako reakcją obronną. Teraz wyszukała sobie u optyka szkła kontaktowe o ciepłym, błękitnym odcieniu. Starannie wybierając kupiła szminkę, cienie do powiek, tusz do rzęs i kredkę do ust.

Klinika „Na prawym brzegu Izery” była częścią wielkiego kompleksu medycznego, znajdował się tu również optyk i salon fryzjerski, Lisa nie musiała więc nawet wychodzić z budynku, żeby załatwić najpilniejsze sprawy. Nie było tu jedynie sklepów odzieżowych. Kupno nowej garderoby musiała zatem odłożyć na później, gdy opuści już szpital.

* * *

Zadzwoił Paul Zumbruch, pytając z troską o zdrowie Lisy.

— Jak się miewam? Wspaniale! — oznajmiła.

— Dzięki Bogu! — powiedział z ulgą. — Robiłem sobie ciężkie wyrzuty z pani powodu, Liso. Powinienem był odradzić pani tę operację.

— Jestem zadowolona, że się na nią zdecydowałam.

— Czy mogę się z panią zobaczyć?

— Tak, naturalnie. Dlaczego nie?

Zumbruch przyszedł następnego dnia po południu z bukietem jasnoczerwonych róż. Oczekiwała go, siedząc w fotelu. Miała na sobie śliwkowy, jedwabny szlafrok — ostatni prezent urodzinowy od męża. Zumbruch zapukał, wsunął głowę do pokoju i szybko się wycofał. Po chwili zapukał ponownie.

— Proszę wreszcie wejść! — zawołała Lisa. — To ja, Vivian. Adwokat wszedł z pewnym wahaniem, wpatrując się w nią z osłupieniem.

— Pani stroi sobie chyba żarty — powiedział — proszę się przyznać!

— Nie, Paul. To naprawdę ja. Szara myszka zamieniła się w dziewczynę z plakatów. — Przyjęła wręczone jej róże i w podzięcie pocałowała go lekko w policzek.

— W głowie mi się to nie mieści. Lisa zaśmiała się wesoło.

— Niezła robota, prawda? — powiedziała dzwoniąc po pielęgniarkę.

— To nie tylko twarz, pani również wydaje się jakaś inna.

— „Uroda to dar. Trzeba o niego dbać” — powiada profesor Schoenhuber.

— I ma oczywiście rację.

— Jestem teraz trochę jak lalka, która pozwala się malować i upiększać.

— Dotychczas nie zauważyłem, żeby miała pani niebieskie oczy. Nie miała ochoty tłumaczyć mu, że nosi teraz szkła kontaktowe.

Zamiast tego uśmiechnęła się tylko tajemniczo.

Do pokoju weszła siostra Ida. Lisa poprosiła, by wstawiła róże do wazonu. Młoda pielęgniarka powąchała bukiet.

— Pachną tak intensywnie, że wieczorem będziemy je chyba musiały postawić w łazience. — Spojrzała najpierw na Lisę, a potem na Paula Zumbrucha. — Może napiją się państwo kawy?

— Właściwie chcieliśmy zejść na dół, do kafejki — powiedziała Lisa, podnosząc się z fotela.

— Lepiej nie — sprzeciwił się prędko adwokat.

— Więc przyniosę ją tutaj.

Lisa usiadła znowu w małym fotelu, drugi wskazując gościowi.

— Co ma pan przeciw tej kawiarence?

— Byłaby to lekkomyślność pokazywać się razem.

— Czyż nie mogę być czasem lekkomyślna? — zapytała Lisa, lecz zaraz przyznała: — Ma pan oczywiście rację, Paul. Gram o zbyt dużą stawkę, żeby teraz narazić się na przegraną. Co z moimi dokumentami?

— To jeszcze trochę potrwa.

Lisa wstała i z szuflady nocnej szafki wydobyła kopertę.

— Na wszelki wypadek zrobiłam już sobie zdjęcia do paszportu i do dowodu osobistego.

Zumbruch wyjął je i obejrzał.

— Nie sądziłem, że coś takiego jest możliwe, Liso!

— Musi pan teraz szybko zapomnieć o tym imieniu. Nie jestem już Lisą, jestem Vivian Wagner.

Adwokat włożył kopertę ze zdjęciami do wewnętrznej kieszeni swojej marynarki.

— Nie sprawi mi to szczególnej trudności. Mam wrażenie, że dawna Lisa już nie istnieje.

— Myślę, że to niewielka strata.

— Proszę tak nie mówić! Była pani wspaniałą kobietą — inteligentną i z charakterem. Bardzo panią ceniłem. — Skłonił się lekko. — Liso... przepraszam... Vivian, jak rozumiem, ma pani teraz zamiar przenieść się do Berlina. Przyznaję, że jest to w tej sytuacji najrozsądniejsze. Ale chyba nie zostanie tam pani na całe życie?

— Nie mam jeszcze tak dalekosiężnych planów.

— Mam na myśli to, że mogłaby tu pani przecież wrócić, na przykład po roku...

— Pozostaniemy ze sobą w kontakcie.

Siostra Ida wróciła z wielkim, białym wazonem, napełniła go w łazience wodą, ułożyła w nim ładnie róże i postawiła na nocnej szafce.

Lisa podziękowała jej.

— Zaraz przyniosę kawę — obiecała pielęgniarka i znowu zostawiła ich samych.

— Chciałbym, żeby została pani moją żoną! — wypalił Zumbruch cały czerwony.

Lisa nie ukrywała, że to wyznanie wytrąciło ją z równowagi:

— Coś takiego! — zawołała kpiąco. — A nie chciał mnie pan nawet zaprosić do kawiarni!

— Dla pani własnego bezpieczeństwa. Ktoś mógłby mnie rozpoznać. Domyśliłyby się, że jest pani moją klientką, a nie miałem ich wiele. Gdyby zadał sobie trochę trudu i sprawdził, na którym oddziale pani leży, znów zostałyby pani zidentyfikowana.

— To mogłoby się rzeczywiście zdarzyć — przyznała Lisa.

— Liso... Vivian, moje oświadczyzny proszę traktować jak najpoważniej. Nie chciałbym wiele mówić o swoich uczuciach. Jestem nieco oszołomiony tym, jak bardzo się pani zmieniła, ale wiem, że nigdy nie spotkam lepszej kobiety od pani!

— Na pewno nie — odparła Lisa z ironicznym uśmiechem. — Nie zaglądałabym panu do kieszeni, a oprócz tego jeszcze wyładniałam.

— Vivian, proszę niech pani nie kpi!

— Przykro mi, ale nie mogę inaczej. Kiedy przyszedł panu do głowy ten pomysł?

— Kiedy była pani operowana. Zdałem sobie wtedy sprawę, jak bardzo mi na pani zależy.

— Mój drogi Paul, wtedy było już za późno. Gdyby mi się pan oświadczył, zanim zmieniłam nazwisko i zdecydowałam się na operację, może wszystko potoczyłoby się inaczej. Może wówczas żadna z tych dwu decyzji nie zostałaby podjęta. U pana boku, z pańskim nazwiskiem mogłabym żyć nawet z dawną twarzą. Adwokat nie poślubiłby wszak swej klientki, żywiąc choćby cień podejrzenia, że ta zabiła swojego pierwszego męża.

Speszony Zumbruch przejechał dłonią po swych gęstych, ciemnych włosach.

— Proszę mi wybaczyć! Nie pomyślałem o tym.

— Szkoda. Byłaby to ucieczka w przyszłość miłsza niż ciągle zacieranie za sobą śladów.

Do pokoju weszła siostra Ida, niosąc na tacy dwie filiżanki kawy, cukierniczkę i śmietankę. Lisa podziękowała jej uprzejmie i odczekała, aż wyjdzie.

— Czy natrafiono na ślad podpalacza? — zapytała.

— Nie. Zdaje się, że policja traktuje tę całą sprawę dosyć lekko.

— Spodziewałam się tego.

— Co mam zrobić z domem?

— Proszę go przede wszystkim jakoś zabezpieczyć, choćby prowizorycznie. Za remont można się przecież wziąć trochę później. W tej chwili mam dość duże wydatki.

Lisa upiła łyk czarnej kawy. Zumbruch sięgnął natomiast po cukier i śmietankę.

— Nie powinienem był niepokoić pani swymi oświadczeniami — powiedział ze skruchą.

— Proszę już o tym nie myśleć, Paul. Propozycja małżeństwa zawsze jest czymś miłym, nawet jeśli jest niestosowna.

— Teraz znowu przemawia przez panią cyniczna Lisa Hopf.

— Tak szybko nie pozwoli sobie zamknąć ust.

* * *

Jeszcze tego samego dnia wieczorem profesor Schoenhuber ponownie zbadał podbródek Lisy i wnętrze jej nosa.

— Jak to właściwie możliwe, że na podbródku nie ma żadnej blizny? — dopytywała się Lisa.

— Dostałem się doń interotialnie, to znaczy od strony ust, do tak zwanego sulcus baccalis.

— Aha — mruknęła Lisa, chociaż tylko częściowo orientowała się w określeniach łacińskich. Postanowiła, że musi to sprawdzić.

— Wszystko się wspaniale zagoiło, miła pani Wagner — zapewnił profesor. — Z czystym sumieniem mogę więc panią stąd wypisać.

Wiadomość była tak nieoczekiwana, że Lisa przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć.

— Tak, dobrze pani słyszała — rzekł chirurg. — Może pani wracać do domu.

Lisa zmagala się sama ze sobą. Lekarz zaczynał pojmować.

— Może pani tego nie chce?

— Wiem, że nie mogę zostać tu na zawsze — odezwała się Lisa — ale byłabym panu wdzięczna, gdyby zechciał pan zrobić coś z moją figurą. Zupełnie nie pasuje do mojej nowej twarzy.

— Jak to nie? Ma pani zgrabną figurę.

— Jestem płaska jak deska do prasowania.

— Mały biust ma swoje zalety. Na starość nie opadnie.

— Starość mało mnie obchodzi, panie profesorze. Ja chcę wyglądać pociągająco teraz.

— No więc obejrzyjmy go sobie.

Lisa posłusznie ściągnęła jedwabny szlafrok i koszulę nocną. Była rada, że ma na sobie slipy. To niezbyt przyjemne obnażać się przed obcym mężczyzną, nawet jeżeli jest to lekarz.

Schoenhuber krytycznie przyglądał się jej piersiom.

— Cóż, faktycznie niezbyt imponujące.

— Przecież mówiłam. Czy można jakoś temu zaradzić?

— Czy kobiety w pani rodzinie miały jakiegokolwiek problemy z piersiami?

— O ile wiem, nie. Biust mojej matki jest tylko nieco obwisły. Twierdzi, że to od karmienia piersią.

— Zdarzył się wypadek raka sutka w rodzinie?

— Czy operacja mogłaby wywołać nowotwór? — zapytała Lisa przestraszona. — Jeśli tak, zapomnijmy o tym...

— Nie, nie, bez obaw. Po zabiegu powiększenia biustu rak piersi nie występuje częściej niż normalnie.

— Dlaczego więc pytał mnie pan o to?

— Zwykła rutyna. Zawsze zadaję takie pytania, żeby wiedzieć wszystko o pacjentce. Taki zabieg nie jest przecież absolutnie bezpieczny. Każda operacja niesie ze sobą pewne ryzyko, o czym pani zapewne świetnie wie.

— Tak, oczywiście. Ale chciałabym znać dokładnie wszystkie zagrożenia.

— Może dojść do infekcji. Ale skoro pani twarz goi się tak znakomicie, nie widzę większego powodu do obaw. Nie można jednak wykluczyć ztwardnienia piersi, wywołanego przez powstanie torebki czy przesunięcie masy implamowanej.

— A jeśli do tego dojdzie?

— Operację trzeba będzie powtórzyć.

— Wobec tego zaryzykuję! — oznajmiła Lisa zdecydowanym tonem. — Jaki przebieg będzie miał ten zabieg?

— Zagłębienia pod pani piersiami są ledwo zarysowane, mimo to na obu dokonam małego nacięcia. Okolice sutka pozostaną nietknięte, w przeciwnym razie mogłaby mieć pani później zaburzenia zmysłu czucia. Poprzez każde z tych nacięć wprowadzę silikonowy implant, który umieszczę za gruczołem piersiowym. To wszystko. Nadzwyczaj prosta sprawa.

— Bardzo się cieszę, że pana o to spytałam, panie profesorze. — Lisa sięgnęła po swoją nocną koszulę.

— Proszę się jeszcze nie ubierać! Muszę najpierw zmierzyć pani biust.

— Po co?

— Mogłyby powstać pooperacyjne asymetrie.

— To brzmi groźnie.

— Bez obaw. Również naturalny biust rzadko bywa idealnie symetryczny, dotyczy to również innych części ciała. Mogę jednak obiecać, że pani sztucznie powiększony biust będzie prawdziwym arcydziełem.

* * *

I rzeczywiście — młode piersi Lisy stały się zuchwałe i prowokacyjne. Już po czternastu dniach dwie cienkie blizny zbladły tak, że nie było ich już prawie widać. Lisa spoglądała z podziwem na swój nowy biust.

Trzeba było jednak podjąć decyzję. Chcąc nie chcąc musiała opuścić w końcu klinikę. Po dłuższym namyśle zdecydowała się wrócić do hotelu „Bayerischer Hoff. Nie będzie się tam czuła zbyt obco, a w nowym wcieleniu na pewno nikt jej nie rozpozna. Tym razem zajęła skromny pokój jednoosobowy, który okazał się nawet bardziej skromny, niż się spodziewała. Właściwie była to mała klitka z prysznicem, ale w gruncie rzeczy wcale to Lisie nie przeszkadzało.

Tym, co ją naprawdę niepokoiło, był rozległy hall i wielka jadalnia. Najchętniej zamawiała by posiłki do pokoju, tak jak w czasie poprzedniego pobytu. Ale wiedziała, że musi się przemóc i zjeżdżać na dół, zachowując się przy tym swobodnie jak każdy inny gość.

Jeszcze więcej wysiłku kosztowało ją wychodzenie z hotelu. Nie obawiała się już, że może zostać przez kogoś rozpoznana — rozsądek podpowiadał jej, że jest to prawie niemożliwe — ale na ulicy czuła się do tego stopnia niepewnie, że już po kilku krokach marzyła o tym, by wrócić do swego pokoju. Zrozumiała, że zbyt długo żyła w odosobnieniu. Już wtedy, gdy opiekowała się mężem, praktycznie zupełnie nie wychodziła z domu, jeśli nie liczyć cotygodniowych wizyt w aptece. Nigdy jednak nie podejrzewała, że obcowanie z ludźmi będzie jej przychodziło z takim trudem. Czuła się niepewnie. Stawiając każdy kolejny krok obawiała się potknięcia, a nawet upadku. Wydawało jej się, że zaraz ktoś ją potrąci albo przewróci.

Wiedziała jednak, że te obawy są zupełnie bezpodstawne i walczyła z nimi. Nie chciała jednak zwracać się do psychiatry. Zmuszała się więc każdego ranka po śniadaniu do wychodzenia z hotelu i spacerowania po promenadzie. Po dwudziestu minutach uciekała zlna potem i kompletnie wyczerpana do swego pokoju w hotelu. Mimo to uparcie powtarzała te spacer. Broniała się z całych sił, by nie stać się ofiarą swojej fobii.

Każdego dnia coraz bardziej oddalała się od hotelu, docierając z czasem do pełnego ludzi placu Karola. Kiedy wkrótce potem doszła aż do odległego placu Mariackiego wiedziała, że najgorsze ma już za sobą. Była na dobrej drodze do zupełnego wyzdrowienia.

Podniesiona na duchu zrobiła najpilniejsze zakupy. Nabyła beżowo-brązowy kostium w kratę z długą, brązową spódnicą, pasujące doń spodnie, dwie bluzki, dwa swetry i trenecz. Przymierzanie wszystkich tych rzeczy — kiedy to wzrok ekspedientki z nie skrywaną zazdrością lustrował jej figurę — sprawiło jej nieopisaną przyjemność. Najchętniej robiłaby takie zakupy codziennie, zachowała jednak miarę i w salonie obuwniczym kupiła jedynie parę botków na wysokim obcasie, parę butów do biegania i kozaczki. Pozostałe zakupy postanowiła odłożyć do czasu wyjazdu do Berlina.

Przez wszystkie te lata, kiedy opiekowała się mężem, paradowała wyłącznie w białym kitlu i nigdy nie kupowała sobie żadnych strojów. Śliwkowo-niebieski szlafrok, który zresztą dopiero teraz pasował do jej kasztanowych włosów, dostała w prezencie od męża, podobnie jak kilka koszul nocnych, które wciąż jeszcze nadawały się do noszenia. Po powrocie do hotelu wrzuciła do kosza swoją czarną i jasnoniebieską sukienkę, do której nosiła ostatnio jedwabną chustkę. Nie były podniszczone — Lisa nie chciała ich już po prostu widzieć.

Na dzień przed odlotem spotkała się w hallu hotelu „Koenigshof” z Paulem Zumbruchem. Poszła tam pieszo świadoma tego, że w swoim nowym kostiumie i w bluzce z naturalnego jedwabiu wygląda czarująco. Kiedy jednak znalazła się na placu Karola, poczuła wzbierającą w niej panikę.

W powietrzu unosiło się delikatne tchnienie wiosny.

Paul Zumbruch czekał już na nią. Zerwał się z miejsca, gdy tylko weszła. Po błysku w jego oczach Lisa poznała, jak bardzo mu się podoba. Nic jednak nie powiedział, a ona była mu wdzięczna za jego takt.

Zajęli miejsca przy stoliku. Zumbruch otworzył aktówkę i wydobył z niej nowe wystawione w Monachium dokumenty Lisy — paszport, dowód osobisty, prawo jazdy i zmieniony akt urodzenia, w którym napisano, że „dziecko Lisa Hopf od tej chwili nazywa się Vivian Wagner.

— Dziękuję panu za wszystko — powiedziała ciepło. Chciała schować dokumenty do swojej torebki.

— Musi pani niektóre z nich najpierw podpisać — wyjaśnił jej adwokat.

— Tu i teraz?

— W każdym razie w mojej obecności. Właściwie powinna to pani zrobić w odpowiednim urzędzie. — Wręczył jej swój długopis. — Uznano jednak, że mogę być oficjalnym przedstawicielem tej instytucji.

— Ale ja jeszcze wcale nie ćwiczyłam nowego podpisu.

— Proszę to zrobić bez ćwiczeń. Po prostu.

Zrobiła to, czego od niej wymagał — efekt był całkiem zadowalający. Zumbruch wziął do rąk jej paszport.

— Widzi pani! Wygląda zupełnie nieźle. Lisa zniżyła głos.

— Charakter pisma ~ szepnęła — zawsze może mnie zdradzić.

— Z pewnością, podobnie jak i odciski palców. Proszę jednak o tym nie myśleć. Jeżeli nie uwikła się pani w jakąś nową aferę kryminalną, nikt nie zada sobie aż tyle trudu, żeby ustalić pani tożsamość. Zresztą nie ma już pani odwrotu...

Zabrała mu swój paszport i wsunęła go wraz z resztą dokumentów do torebki.

— Działa to na mnie wyjątkowo uspokajająco — rzekła.

— Co właściwie mam zrobić z pani samochodem?

— Należy do mojego męża. Proszę go sprzedać! Nie sądzę, abym go potrzebowała w najbliższej przyszłości.

— A co z pani domem? Kiedyś trzeba rozpocząć remont.

— Pozostawiam to panu. Ponieważ Artur ma prawo w nim mieszkać, nie można będzie go chyba sprzedać. Jeżeli znajdzie pan jakiegoś lokatora, proszę zadbać o meble, przynajmniej o te najwartościowsze. Może Artur i Evelyn będą chcieli zabrać to czy owo ze sprzętów domowych. Byłabym wdzięczna, gdyby spytał pan ich o to — rzekła Lisa podnosząc się do wyjścia.

— Proszę zostać jeszcze chwilę! — poprosił Zumbruch. Posłusznie usiadła z powrotem.

— Oto pani bilet do Berlina — powiedział, wręczając jej blankiet ponad stołem.

Podziękowała i włożyła go do torebki.

— Z największą przyjemnością odwiózłbym panią na lotnisko, ale... — odezwał się Zumbruch z żalem.

— Wiem, Paul. Musimy być ostrożni.

— Czy pożegnała się już pani ze swoją matką, Vivian?

Lisa zwróciła uwagę, że po raz pierwszy bez trudu wymówił jej nowe imię.

— Tak — powiedziała — telefonicznie.

— Nie wie wobec tego, jak bardzo się pani zmieniła?

— Opowiadałam jej. Gdyby miała chęć mnie zobaczyć, spotkałabym się z nią oczywiście. Ale, no cóż... wie pan doskonale, jaka ona jest. Znalazła sobie w końcu mieszkanie i to zajmuje ją teraz bardziej niż wszystko inne.

— Powinna się też pani zastanowić nad tym, czy nie będzie pani potrzebowała nowego życiorysu, Vivian.

— Ach nie, Paul, to byłby tylko niepotrzebny kłopot. Jestem pewna, że nikt nie będzie się specjalnie interesował moją przeszłością. Ludzie wolą mówić o sobie.

— Ja także, Vivian?

— Nie, pan nie. W gruncie rzeczy nic o panu nie wiem.

— To normalne w stosunkach między adwokatem a jego klientką. Ale chyba powinniśmy to zmienić, nie sądzi pani? Czy wolno mi zaprosić panią na obiad?

Lisa wzbraniała się, miała bowiem zamiar wrócić wcześniej do hotelu.

— To nasz ostatni dzień — nalegał Zumbruch. — Już zarezerwowałem dla nas stolik.

— I nie boi się pan, że to zbyt lekkomyślne? — spytała z uśmiechem Lisa.

— Jeśli ktoś mnie rozpozna zdziwi się tylko, jakim cudem udało mi się poderwać tak piękną kobietę.

— Proszę mi tak nie schlebiać, Paul! Wie pan doskonale, że jest pan atrakcyjnym mężczyzną. Czy koniecznie musi to pan usłyszeć ode mnie?

— Właśnie o to mi chodziło — uśmiechnął się krzywo. — Miło czasem usłyszeć dobre słowo.

Lisa roześmiała się.

— Ach ci mężczyźni!

Wspólnie opuścili hall — aby dostać się do restauracji w górnej części hotelu, musieli skorzystać z windy. W jej ciasnym wnętrzu, stojąc blisko swojego adwokata, Lisa czuła się skrepowana. Spoglądał na nią tak czule, że miała obawy, czy za chwilę nie chwyci jej w ramiona i nie zacznie całować. Zastanawiała się, jak pohamować jego zapędy, nie sprawiając mu przy tym przykrości. Tak wiele dla niej uczynił, a i w przyszłości będzie od niego w pewien sposób zależna. On jednak stał nie poruszony z płaszczem na ramieniu i aktówką w ręku, był zbyt onieśmielony, by w ten sposób dawać wyraz swym uczuciom.

Po wejściu do restauracji Zumbruch zatrzymał się, by oddać płaszcz do szatni, Lisa tymczasem przejrzała się w wielkim lustrze o złoconych ramach. Ze zdziwieniem pomyślała, że kiedyś nie przyszłoby jej to nawet do głowy.

Żeby dotrzeć do stolika przy oknie, zarezerwowanego przez Zumbrucha, musieli przemierzyć całą salę. Niektórzy goście oderwali wzrok od swoich talerzy i przyglądali się Lisie. Ona jednak czuła się bardzo pewnie — mijała ich z wysoko uniesioną głową. Wiedziała, że w tak eleganckim otoczeniu — czerwona wykładzina, kryształowe żyrandole, śnieżnobiały adamaszek — może się teraz pokazywać bez zażenowania. Kelner gorliwie pospieszył przed nimi do stolika i odsunął im krzesła.

Widok, który roztaczał się z okna, był imponujący. Przez potężny plac przed Bramą Karola płynęła fala samochodów. Przelewały się one szerokimi, kolorowymi kolumnami, zatrzymując się co pewien czas na czerwonym świetle, by znów ruszyć, gdy zabłyśnie zielone. Fontanna po drugiej stronie placu była jeszcze nieczynna, ale na jej krawędzi odpoczywali mimo chłodu zmęczeni turyści, zajęci studiowaniem planu miasta i przewodnika po Monachium.

Lisa i Paul Zumbruch przez chwilę kontemplowali ten kolorowy i ciągle zmieniający się obraz. Przejrzawszy menu zdecydowali się szybko i jednomyślnie na kotlet jagnięcy z zielonym groszkiem.

Przy butelce czerwonego wina Paul zaczął opowiadać o sobie. Dzieciństwo minęło mu szczęśliwie, ale gdy miał dwanaście lat, jego rodzice się rozwiedli. Ojciec — architekt — zniknął mu z pola widzenia, ale matka troskliwie zajmowała się nim i jego starszą siostrą. Nigdy nie miał trudności w szkole, choć siostra była zawsze od niego nieco lepsza, co go zawsze okropnie złościło. Chciał zostać lekarzem, ale to jego siostra zdołała dostać się na studia medyczne. Później jednak, gdy skończyła dwadzieścia lat, zrezygnowała z nich i wyszła za męża. Jej małżeństwo szybko się rozpadło, lecz zdażyła urodzić dwie wspaniałe córki.

Lisa musiała zadać sobie wiele trudu, żeby słuchać Zumbrucha uważnie. To wszystko wydawało jej się zupełnie nieistotne — jego pierwsza nieszczęśliwa miłość z lekcji tańca, która nie trwała zbyt długo. Starła się jednak tego nie okazywać, zadawała mu nawet pytania i wpatrywała się w niego swymi wielkimi oczami.

Nagle zdała sobie sprawę, że przecież te wszystkie wydarzenia są dla niego szalenie ważne. To tylko jej wina, że nie potrafi tego właściwie ocenić. W czasie ostatnich miesięcy tak bardzo była zajęta sobą, że już zdażyła

zapomnieć, że istnieją także inni ludzie, ich radości i problemy. „Muszę się zmienić! — pomyślała. — Koniecznie! Muszę przestać traktować siebie jak pępek świata.”

Zumbruch tymczasem opowiadał dalej, zdając się nie zauważać, że kelner podał obiad.

— Proszę, Paul — upomniała go delikatnie Lisa — niechże pan coś zje.

— Czy ja panią nudzę?

Bez mrugnięcia powieką wytrzymała badawcze spojrzenie jego inteligentnych oczu.

— Nie — zaprzeczyła — wręcz przeciwnie. Ale mięso jagnięce nie smakuje, gdy jest zimne.

— Naturalnie, ma pani rację — przyznał.

Później przy kawie znów zadawała mu pytania, żeby i jego, i siebie przekonać, jak pilnie uważała. Dlaczego rozpadło się małżeństwo jego rodziców? Czy w życiu jego matki nie było później żadnego innego mężczyzny? W jakich stosunkach pozostaje obecnie z ojcem?

Po tej rozmowie oboje mieli uczucie, że udało im się do siebie zbliżyć. Paulowi wydawało się, że zdobył jej przychylność, nazywając ją konsekwentnie Vivian, a ona miała nadzieję, że potrafiła pokonać swój egocentryzm.

* * *

Wyprowadzka z „Bayerischer Hoff” była niezwykle prosta. Boy hotelowy zabrał z pokoju obie walizki Lisy, zniósł je na dół i załadował do bagażnika taksówki, która czekała przed hotelem. Lisie pozostało jedynie zapłacenie rachunku. Ubrana w swój nowy kostium, z torebką w dłoni i trenchem zarzuconym na ramię wyszła szybkim krokiem na ulicę i wsiadła do taksówki. Cieszyła się na tę podróż.

Na lotnisku Monachium-Riem sytuacja wyglądała już zupełnie inaczej. Taksówkarz, któremu dała niezły napiwek, wystawił jej walizki na chodnik przed budynkiem dworca lotniczego. Później jednak, dotykając dwoma palcami brzegu swojej czapki, uśmiechnął się i życząc miłego lotu, odjechał. Po bagażowych ani śladu. Chcąc nie chcąc Lisa musiała chwycić swoje walizki i zataszczyć je po pochyłym podejściu do oszklonych drzwi wejściowych, które na szczęście otworzyły się przed nią automatycznie.

Terminal był potężny. Lisa miała wrażenie, że nigdy nie odnajdzie stanowiska, z którego miał być odprawiany jej samolot. Wszędzie kłębili się podróżni. Dorośli, sami lub w grupach, z dziećmi na ręku i psami na smyczy

przeciskali się koło niej. Popychali Lisę, jedna ze smyczy o mało nie oplatała jej nóg. Stała tak bezsilna ze swymi walizkami, które odstawiła nieco na bok i czuła powracającą falę tego panicznego lęku, który, jak jej się wydawało, już zdołała pokonać. Tym razem nie było miejsca, do którego mogłaby uciec.

Nagle wyrósł przed Lisą przystojny, młody blondyn.

— Mogę pani w czymś pomóc? — zapytał.

Ze zdenerwowania nie zrozumiała, o co ją pyta. Przestraszyła się.

— Proszę — wybełkotała — niech pan odejdzie! Młody mężczyzna nie poddawał się jednak tak łatwo.

— Spytałem panią, czy mogę w czymś pomóc — powtórzył głośno, wyraźnie wymawiając każde słowo.

Lisa spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. Nigdy dotąd żaden mężczyzna nie zaoferował jej dobrowolnie swojej pomocy. Zrozumiała, że w jej nowym życiu będzie się to zdarzać częściej, więc uśmiechnęła się promiennie.

— No nareszcie! — wykrzyknął młody mężczyzna. — Jeszcze przed sekundą wyglądała pani jak wystraszony zając.

— Nigdy jeszcze nie leciałam samolotem — wyznała.

— A dokąd pani leci?

— Do Berlina.

— To wspaniale! Ja też się tam wybieram. Którą linią? Pan-Am?

— Tak, chyba tak.

— Proszę mi pokazać swój bilet.

Z wewnętrznej kieszeni trencza wyjęła bilet i podała go nieznanemu.

— Dwunasta trzydzieści pięć? To ten sam lot! — uśmiechnął się wesoło. — I niech mi ktoś spróbuje powiedzieć, że nie ma szczęśliwych zbiegów okoliczności! A więc razem przejdziemy przez odprawę. — Podniósł walizki. — O rany, ale one ciężkie. Co pani tam ma? Cegły czy książki telefoniczne?

— Literaturę specjalistyczną.

Nieznajomy pewnie podszedł z Lisą do okienka linii Pan American World Airways, stanął obok niej w kolejce, a kiedy dotarli do wagi, postawił na niej obie walizki. Lisa okazała swój bilet i została przepuszczona.

— No, udało się! — stwierdził mężczyzna zadowolony, otoczył Lisę ramieniem i skierował do poczekalni. — Jak można tak delikatną osóbkę, jak pani, puszczać w podróż samą?

— Tak się jakoś złożyło — odparła Lisa niemal przeproszającym tonem.

Nieznajomy zatrzymał się i popatrzył na nią z góry.

— Kłótnia z chłopakiem? Proszę mi wybaczyć! Co to mnie właściwie obchodzi, prawda? Ale wygląda mi to na kłótnię. Tak przy okazji, nazywam się Sven Miller.

Lisa uśmiechnęła się do niego.

— Vivian Wagner! — przedstawiła się i w tym właśnie momencie, choć zrozumiała to dopiero później, zrzuciła z siebie ostatecznie skórę Lisy Hopf.

Zaczynało właśnie świtać, gdy Vivian Wagner powróciła z długiej podróży w przeszłość. Zadrżała — zmarzła w swoim jedwabnym kimonie. Była bardzo zmęczona. Gazeta, otwarta na historii: Lisa Hammer — morderczyni z zimną krwią?, leżała wciąż przed nią na kuchennym stole. Vivian podniosła się, złożyła pismo na pół i wyrzuciła je do zsypu. Słyszała, jak spadając obija się o ściany szybu, ale wiedziała, że z przeszłością nie uda się jej tak łatwo rozprawić. Dzisiaj nie chciała już jednak podejmować żadnych decyzji. Była już najwyższa pora, żeby pójść do łóżka.

Nie chcąc, by jej przeszkadzano, wyłączyła dzwonek do drzwi i wyciągnęła kabel telefoniczny z gniazdka. Potem wyszła do łazienki, by po chwili znaleźć się w sypialni. Rozwiązała pasek przy kimonie, zdjęła je i rzuciła na krzesło. Zrzuciła pospiesznie pantofle z jagnięcej skóry i wskoczyła do szerokiego łóżka. Wyciągnęła się w nim błogo i przewróciła na bok. Ale mimo zmęczenia nie mogła wcale zasnąć.

Wracała myślą do lat studenckich spędzonych tu, w Berlinie. To Sven Miller, również studiujący na berlińskim Wolnym Uniwersytecie był osobą, która pomogła jej się odnaleźć. Oczywiście zakochali się w sobie. Jego zaraźliwa beztroska była dla niej darem opatrności, nie minęło więc zbyt wiele czasu, gdy Vivian uległa jego staraniom. W odróżnieniu od Petera Milza był czuły, serdeczny i wyrozumiały. Był pierwszym mężczyzną, któremu udało się obudzić w niej namiętność, co zresztą napawało go dumą.

Pewnego razu powiedział:

— Wiem, że to bzdury, ale z początku wydawało mi się, że jesteś dziewczyną, moją małą księżniczką z lodu.

Nie mieli dla siebie zbyt wiele czasu, oboje przecież studiowali. Kiedy jednak znaleźli jakąś chwilę, wykorzystywali ją jak najgorliwiej. Potem,

kiedy Sven zdał już ostami egzamin, musieli się pożegnać. Sven wracał do swego rodzinnego miasta. Rozstanie było trudne, trudniejsze dla niej niż dla niego, to musiała przyznać. On nigdy nie wspomniał nawet słowem, że chciałby zabrać ją ze sobą w swoje nowe życie. Musiałaby mu oczywiście odmówić, ale chętnie by to jednak usłyszała. Możliwe, że przeczuwał jej odmowę i w obawie przed kosztem wolał nie ryzykować. Powiedział jedynie: „Będziemy ze sobą w kontakcie”. Przez jakiś czas wierzyła w te słowa. Były telefony, intensywna korespondencja aż do momentu, w którym postanowiła się już dłużej nie oszukiwać — między nimi wszystko było skończone.

Później doszła do wniosku, że wyszło jej to na dobre. Kiedy była ze Svenem, żyła tylko dla niego i dla swoich studiów. Teraz odkryła, że interesują się nią także i inni mężczyźni, którzy sami też są godni zainteresowania. Znalazła przyjaciół i przyjaciółki, krąg młodych ludzi, głównie studentów, dzięki którym nawiązała kontakty, jakich wcześniej nie miała i za jakimi tęskniła. Zaczęła czuć się swobodnie, wolna od trosk i pełna nadziei.

Na jednym z przyjęć poznała przypadkiem Herberta Zinka, który stał się dla niej ważniejszy niż wszyscy inni. Był mężczyzną, który ją kochał, z którym chciała być, mężczyzną, którego chciała poślubić. I właśnie teraz, gdy szczęście było na wyciągnięcie ręki, przeszłość stanęła jej na drodze. Gdyby mogła pójść z Herbertem do urzędu stanu cywilnego, nie spowiadając mu się przedtem, może by to zrobiła. Było to jednak niemożliwe. Do zawarcia ślubu jej dokumenty były niewystarczające. Musiałaby przedłożyć akt urodzenia, a wtedy wszystko, co stworzyła, ległoby w gruzach.

Oczywiście mogła przecież załatwić wszystkie formalności w ten sposób, by Herbert w ogóle nie widział jej dokumentów. Wiedziała jednak, że nie powinna tego robić. Byłoby to zwykłe kłamstwo, a na kłamstwie ani nie mogła, ani nie chciała budować swojego małżeńskiego szczęścia. Na wyjawienie Herbertowi prawdy nie mogła się jednak zdobyć. Zbyt mocno zakorzeniła się w jej sercu obawa, że straciłby do niej zaufanie, że przestałby jej wierzyć, i wreszcie — że przestałby ją kochać.

Jak znaleźć wyjście z tej sytuacji?

— „Muszę coś z tym zrobić, bo oszaleję — pomyślała. — Na pewno jest jakieś rozwiązanie. Zawsze można je znaleźć. Jutro na pewno coś wymyślę. Jutro.”

Z tymi myślami wreszcie zasnęła.

* * *

Pomysł, jak uporać się z tą sytuacją, nasunął się Vivian kilka dni później, zupełnie przypadkowo. Zamierzała spytać jednego ze swoich profesorów, czy może już zacząć robić specjalizację, czy też powinna raczej pogłębiać swą wiedzę z zakresu medycyny ogólnej. Umówiła się na wizytę w jego gabinecie, ale gdy przyszła o oznaczonej porze, profesora jeszcze nie było. Ponieważ w szpitalu w Wilmersdorf była dobrze znana, zawałona pracą sekretarka poprosiła ją, by weszła do gabinetu i tam poczekała na profesora. Vivian nie chciała się rozsiadać, żeby uniknąć zrywania się, gdy przyjdzie gospodarz, stała więc skromnie w wytwornie urządzonym pokoju. Na biurku leżało nowe wydanie specjalistycznego periodyku: „Pismo Niemieckich Lekarzy”. Vivian uznała, że nie popełni grzechu niedyskrecji, jeśli je przejrzy. Było tam kilka dobrych artykułów, które z pewnością okazałyby się lekturą zajmującą, ale nie chciała ich czytać, spodziewając się w każdej chwili nadejścia profesora. Kartkowała więc dalej, aż dotarła do rubryki „Zastępstwa na czas urlopu”. Jeden z anonsów natychmiast rzucił się jej w oczy, ponieważ знаła i nazwisko lekarza, i nazwę miejscowości: „Dr Krantz, lekarz praktykujący, szuka zastępstwa na kwiecień i maj. Rodenberg.”

Vivian poczuła, jak krew uderza jej do głowy, ogłoszenie podziało na nią elektryzująco. Nawet nie zauważyła, kiedy do gabinetu wszedł profesor.

— I cóż tam, moja miła, młoda koleżanko? — odezwał się na powitanie. — Chciała pani ze mną pomówić? — Wyciągnął do Vivian ciepłą, szeroką dłoń.

— Proszę mi wybaczyć, panie profesorze — zaczęła, uśmiechając się promiennie, co stało się już jej drugą naturą — ale muszę najpierw gdzieś zadzwonić.

— Proszę więc to zrobić! — odparł z ojcowską pobłażliwością. — Będzie mnie tu pani mogła zastać jeszcze przez kwadrans.

— Dziękuję, panie profesorze — powiedziała szybko i niemal wybiegła z pokoju.

Popędziła schodami na dół do hallu wejściowego, gdzie znajdował się automat telefoniczny. Na szczęście nie był zajęty. Vivian nie musiała dzwonić na informację. Na pamięć znała numer kierunkowy do Rodenberg, a numer doktora Krantza mogłaby wyśpiewać. Wystarczyło go tylko wykreć. Odebrała pielęgniarka, dopiero po chwili do aparatu podszedł doktor Krantz.

— Mówi doktor Vivian Wagner z Berlina — powiedziała tracąc niemal dech w piersiach. — Interesuje mnie zastępstwo urlopowe.

— To dosyć daleko od Berlina, nieprawdaż?

— Nic nie szkodzi, jestem z Monachium.

— Czy ma pani już jakieś praktyczne doświadczenia?

— Ależ oczywiście.

— Proszę więc przedłożyć mi swoje referencje!

— Zrobię to. Ale proszę nie odkładać słuchawki! Bardzo mi zależy na tym zastępstwie.

— Prawdę mówiąc pani głos brzmi dość młodo.

— Mam trzydzieści dwa lata.

— Zawsze zastępowali mnie mężczyźni...

— Dlaczego nie chce pan powierzyć swoich pacjentów kobiecie? Potrafię obchodzić się z ludźmi, może mi pan wierzyć.

— To już zdążyłem zauważyć. Jeszcze chwila, a omota mnie pani.

— Będę pracować za darmo. Tylko wikt i dach nad głową.

— Hm, hm... To brzmi zachęcająco. Czy mogłaby mi pani teraz powiedzieć dlaczego?

— Zależy mi, żeby przyjechać w ten region, a w dodatku kwiecień i maj bardzo mi odpowiadają.

— Oczekuje więc pani, że się zgodzę? Tak od razu?

— Proszę! — Kiedy po drugiej stronie zapadła cisza, Vivian dodała: — Jeżeli moje referencje pana nie zadowolą, choć z pewnością będzie pan usatysfakcjonowany, bo zdałam egzamin państwowy z wyróżnieniem, będzie się mógł pan jeszcze rozmyślić.

— Zdaje się, że jest pani cudownym dzieckiem.

— Wprost przeciwnie. Zaczęłam studiować stosunkowo późno... Niewiele brakowało, a Vivian wypaplałaby, że wcześniej była pielęgniarką, udało jej się jednak okiełznać swój język. Doktor Krantz nie był przecież w ciemie bity, łatwo mógł zacząć coś podejrzewać.

— Przekonała mnie pani — rzekł w końcu. — Spróbujemy, pod warunkiem, że będzie pani mogła zacząć już w ostatnim tygodniu marca. Muszę się najpierw przekonać, czy jest pani właściwą osobą dla moich pacjentów.

— Naturalnie! — Vivian omal nie krzyknęła z radości. — Kiedy powinnam się u pana stawić? Nie mam niestety w ręku kalendarza.

— Powiedzmy dwudziestego drugiego marca. To niedziela. Czy ma pani samochód?

— Nie, ale mam prawo jazdy.

— Wobec tego będzie się pani musiała postarać o jakiś wóz. Nie mogę pani zostawić swojego, wybieram się nim na południe.

— Nie ma problemu, doktorze Krantz. Przyjadę do pana samochodem.

Pożegnawszy się uprzejmie Vivian odłożyła słuchawkę. A więc załatwione. Nie wiedziała, prawdę mówiąc, czego dokładnie oczekuje po pobycie w Rodenberg. Pomysł z zastępstwem przyszedł jej do głowy tak nagle, że zupełnie nie miała czasu, żeby się nad tym zastanowić. Intuicja podpowiadała jej jednak, że wracając na miejsce tamtego tragicznego zdarzenia upora się być może ze swoimi problemami.

* * *

Vivian nie mogła oczywiście powiedzieć wszystkiego swojemu przyjacielowi. Herbert Zink uznał pomysł spędzenia przez nią dwóch miesięcy na praktyce w bawarskiej mieścinie za absurdalny. Chciała mu to zakomunikować jak najogólniej. Zaprosiła go więc na kolację do swego mieszkania. Przygotowała specjalne potrawy, podała wino. Potem kochali się.

Teraz odpoczywali w jej sypialni. Vivian oparła głowę na piersi Herberta, a on próbował dosięgnąć swoich papierosów.

— To najbardziej niedorzeczny pomysł, o jakim kiedykolwiek słyszałem! — stwierdził i wyprostował się tak, że głowa Vivian straciła oparcie i opadła na poduszkę.

— Wcale nie, Herbercie. Rozmawiałam już o tym z moim profesorem i on popiera mój zamiar.

Zink zapalił papierosa, po czym energicznie wypuścił dym nosem.

— Mało mnie obchodzi, co popiera twój profesor.

— Trafia mi się znakomita okazja, żeby sprawdzić, czy nadaję się na lekarza ogólnego.

Zink postawił sobie popielniczkę na piersi.

— Dlaczego miałabyś się nie nadawać?

— Teoretycznie powinnam, przyznaję, ale muszę się przecież sprawdzić w praktyce. Dopiero wtedy będę wiedziała, czy zostanę w lecznictwie ogólnym czy też byłoby lepiej, gdybym zrobiła specjalizację.

— Nie wspominałaś mi o tym. Myślałem, że już skończyłaś ze studiowaniem.

— Ja też. Ale później zaczęłam się zastanawiać. Jako lekarz-specjalista zarabiałabym przecież o wiele więcej i nie musiałabym biec na każde

wezwanie, czy to w dzień czy w nocy. Tak byłoby chyba lepiej dla nas obojga. — Pocałowała go w ramię.

— Gdybyś się wreszcie zdecydowała za mnie wyjść, wtedy może zgodziłbym się na to rozstanie.

— Nie mów do mnie tym tonem! — powiedziała Vivian siadając na łóżku. — Prawa do zachowywania się jak pan i władca nie dostaniesz ode mnie nawet po ślubie.

— Przepraszam! Dobrze wiesz, co miałem na myśli.

— A teraz daj mi papierosa! — zażądała, ale zaraz zmieniła zdanie. — Nie, lepiej będzie, jeśli pójdziemy do salonu i napijemy się jeszcze wina.

Vivian wyslizgnęła się z pościeli, założyła kimono i ciepłe pantofle. Z kuchni przyniosła nową butelkę wina i czyste kieliszki. Postawiła wszystko na niskim stoliku przy kanapie w swoim małym, ale praktycznie i przytulnie urządzonym salonie. Zdążyła się z tym właśnie uporać, gdy nadszedł Herbert. Miał na sobie frotowy szlafrok sięgający mu do łydek, który wisiał w łazience Vivian, czekając na jego wizyty. Vivian również lubiła korzystać z tego szlafroka, chociaż był na nią o wiele za duży. Na wysokie czoło Herberta spadały rozczochrane kosmyki jego gęstych, jasnych włosów — był to zresztą widok, który zawsze sprawiał jej przyjemność.

— Ach, Herbercie — powiedziała — wiesz przecież, że kocham cię całym sercem.

— Szkoda tylko, że tak trudno to zauważyć.

— Teraz też nie? — zapytała zalotnie i wtuliła się w miękką kanapę, podciągając nogi pod brodę.

— Sam seks mi nie wystarcza.

— Mówisz tak, jakby między nami nic więcej nie było... — wypila łyk wina.

Herbert zapalił kolejnego papierosa i podał go Vivian. Czuły gest, który zawsze ją wzruszał.

— Dziękuję kochanie! — zaciągnęła się. — Posłuchaj, Herbercie, mój wyjazd czy, jak ty to nazywasz, rozstanie...

Zink usiadł w fotelu naprzeciw niej.

— A jak to nazwać inaczej?

— ... przyniesie również odpowiedź na pytanie, jak silne jest uczucie między nami.

— Ja znam siłę swojego uczucia.

— Ale ja nie. Wiem, że cię Kocham, ale po prostu brakuje mi odwagi, żeby wyjść za ciebie. Gdy posiedzę dwa miesiące w tej dziurze, sama jak palec...

— Nie opowiadaj mi bajek! — wpadł jej w słowo Herbert. — Ty? Sama jak palec?! Nie rozśmieszaj mnie. Zawsze i wszędzie znajdujesz wielbicieli. Pewnie nie będziesz się tam mogła od nich opędzić.

Vivian czuła rosnącą irytację, chciała coś ostro odpowiedzieć, jednak w samą porę się pohamowała uznając, że Herbert mógłby to sobie za bardzo wziąć do serca, odparła więc tylko:

— Przesadzasz!

— Nie, Vivian, wiem, jak działasz na mężczyzn.

— Ja tego nie widzę, Herbercie, ale nie mam zamiaru się z tobą sprzeczać. W każdym razie wiesz albo przynajmniej powinieneś wiedzieć, że jestem ci wierna.

Zink palił nerwowo następnego papierosa.

— Nie twierdzę, że będziesz mnie zdradzać tylko dlatego, że jestem daleko — nie należysz do tego typu osób. Ale przecież może się zdarzyć, że znajdziesz sobie kogoś innego.

Vivian zaprotestowała.

— To nie jest wykluczone! — kontynuował Herbert uparcie. — Przecież nie mówię, że będziesz mnie z kimś zdradzać, nie zrozum mnie źle. Znam cię, gdyby coś się zdarzyło, dałabyś mi jasno do zrozumienia, że między nami wszystko skończone.

— Powoli naprawdę zaczynam wierzyć, że masz nie po kolei w głowie — zaśmiała się Vivian. — Wciąż powtarzasz, że powinniśmy wreszcie wziąć ślub, a teraz okazuje się, że wcale by cię nie zdziwiło, gdybym ni stąd, ni zowąd zdecydowała się na kogoś innego! Wybacz, ale skąd te dziwaczne pomysły? Jeśli do tego stopnia mi nie ufasz, to jak możesz w ogóle chcieć, żebym została twoją żoną. Jeżeli przez cały czas liczysz się z tym, że mogę odejść z kimś innym, to małżeństwo będzie dla ciebie czymś w rodzaju tańca na linie nad przepaścią.

— Dzięki małżeństwu będziesz się czuła bardziej ze mną związana.

— Ach, Herbercie, czyż teraz nie jestem?

— Więc dlaczego chcesz jechać do tego Rodenberg?

— Na pewno nie po to, żeby znaleźć tam sobie innego mężczyznę.

— Ależ ja ci wierzę, nie możesz mi jednak zaręczyć, że tak się nie stanie.

— To kompletny absurd. Gdybym chciała cię zdradzić, nie musiałabym przecież jechać akurat do Bawarii. Dlaczego nie miałabym zrobić tego w

Berlinie? Założę się, że jest tu o wiele więcej atrakcyjnych mężczyzn niż gdziekolwiek indziej. Choćbym codziennie poznawała nowego, żaden z nich nie mógłby się równać z tobą.

Herbert nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Vivian pochyliła się, zgasiła swojego papierosa i położyła mu rękę na kolanie.

— Kochanie, nie bądź niemądry! Pozwól mi na te dwa miesiące w małym miasteczku! Potrzebuję tego bardziej, niż możesz sobie wyobrazić.

— W ogóle nie mogę sobie tego wyobrazić!

— Nie musisz! Zaakceptuj po prostu mój pomysł. Stosunki między nami utknęły na razie w martwym punkcie, musisz to przyznać. Kiedy wrócę, wszystko się zmieni.

— Jeżeli w ogóle wrócisz — stwierdził Herbert, wymownie akcentując swoje słowa.

Vivian miała już na końcu języka ostrą replikę, ale zmieniła zamiar.

— Dobrze — rzekła — umówmy się. Jeżeli stamtąd wrócę, pobierzemy się tak szybko, jak to będzie możliwe.

Zink zmarszczył brwi.

— A jeżeli nie?

— Zniknę z twojego życia na zawsze.

— Mogłabyś to zrobić?

— Gdybym doszła do przekonania, że nie chcę za ciebie wyjść, byłoby to jedyne przyzwoite rozwiązanie.

— Tak mało sobie ufasz?

— Rzecz w tym, że to ty mi nie ufasz. Robisz mi sceny z powodu krótkiego rozstania...

Dyskutowali tak niezmiernie aż do chwili, kiedy Vivian udało się wreszcie postawić na swoim. Pokonany Herbert zaofiarował się nawet, że pożyczycy jej na ten wyjazd swego starego volkswagena. Pomyślała, że nie zrobił tego z czystej uprzejmości, najwyraźniej miał nadzieję, że w ten sposób przywiąże ją bardziej do siebie. Zachowała jednak tę myśl dla siebie i gorąco mu podziękowała.

* * *

Wyjazd z Berlina wprowadził Vivian w doskonały nastrój. Czowała się tak, jakby czekała na nią wielka przygoda. Dawno nie siedziała za kierownicą, więc jechała szczególnie ostrożnie, z ulgą przyjmując wszelkie ograniczenia prędkości, jakie napotykała na swej trasie.

Umowną granicę zachodnich landów Niemiec przekroczyła niedaleko Hoff. Miała przed sobą jeszcze cztery godziny jazdy, żeby dotrzeć do Rodenberg. Późnym popołudniem ukazała się przed nią znajoma panorama Alp. Niebo było bezchmurne, pyszniło się dumnie jasnym, przezroczystym błękitem, a szczyty gór mieniły się w słońcu śnieżną bielą.

Kiedy Vivian zjechała z autostrady i skierowała się w stronę Rodenberg, poczuła ze zdziwieniem, że jej dobry nastrój gdzieś się ulotnił. Nawet kiedy tu mieszkała zdawała sobie sprawę, że Rodenberg to niewielka miejscina, ale teraz miasteczko wydało się jej tak małe, że aż przytłaczające.

Wszystko było tu takie, jak przed siedmioma laty—w każdym razie Vivian nie zauważyła żadnych zmian. Rynek z ratuszem, restauracja, kościół — wszystko pozostało takie, jak w jej pamięci. Tylko stare szkoły zostały otynkowane na nowo. Wielu ludzi spacerowało w to niedzielne popołudnie — rodzice z dziećmi, młodzi chłopcy ze swoimi dziewczynami. Wszyscy oni poruszali się jednak tak wolno i tak ostentacyjnie bez celu, że Vivian, przyzwyczajona do tętniącego życiem Berlina miała wrażenie, iż ogląda film, który puszczono w zwolnionym tempie. Każdy każdego pozdrawiał i każdy — tak się Vivian przynajmniej zdawało — zwracał uwagę na jej volkswagena z berlińskimi numerami.

W samą porę przyszło jej na myśl, że nie powinna jechać wprost do domu doktora Krantza drogą, którą tak dobrze знаła. Pokręciła się więc chwilę po mieście, by po pewnym czasie zatrzymać się przy stacji benzynowej. Poleciała uzupełnić paliwo, sprawdzić poziom oleju w silniku, a na koniec zapytała o adres doktora.

Młody człowiek, który właśnie gorliwie czyścił szyby w jej samochodzie, wskazał jej drogę.

— Ale teraz to doktor nie przyjmuje — dodał. — Dzisiaj jest jego kolega, ten doktor Sieboldt.

— Nie szkodzi. Nie jestem pacjentką.

— Chce pani tylko odwiedzić starego doktora czy jak?

— Można tak to nazwać.

— A pani to pierwszy raz tutaj?

Dociekliwość tego młodego człowieka — typowa małomiasteczkowa ciekawość uzurpująca sobie prawo do zdobywania wszelkich informacji, które mogłyby dotyczyć miasteczka, jego mieszkańców i przyjezdnych — skłoniła Vivian do wyjaśnień.

— Będę zastępować doktora Krantza podczas jego urlopu.

Młody mężczyzna zlustrował ją od stóp do głów.

— Pani? — pokręcił głową z niedowierzaniem. Vivian uśmiechnęła się do niego uprzejmie.

— Jestem lekarką.

— Wcale pani na to nie wygląda!

Vivian świadomie wybrała się w podróż w stroju zupełnie swobodnym. Miała na sobie buty na płaskim obcasie, flanelową spódnicę, która w talii była na nią o kilka centymetrów za luźna i obszerny sweter w kolorze kukurydzy. Mimo to w oczach pracownika stacji benzynowej dostrzegła wyraźny podziw, co nadal, choć minęło już tyle lat od jej przemiany, sprawiało jej przyjemność.

— Czy to komplement, czy zarzuca mi pan kłamstwo? — zapytała kokieteryjnie.

Mężczyzna zareagował lekkim zmieszaniem.

— Nie chciałem pani obrazić, naprawdę — odpowiedział, kiedy tylko zrozumiał jej pytanie.

— Proszę poczekać, aż zobaczy mnie pan w białym kitlu! Możliwe, że przyjdzie pan do mnie z jakąś drobną dolegliwością.

Zostawiła mu dobry napiwek i odjechała. Pierwsze spotkanie w starym Rodenberg wprowadziło ją znów w dobry humor.

* * *

Dom doktora Krantza stał przy jednej z bocznych uliczek odchodzących od rynku. Obok niego znajdowała się pusta, choć wiele warta parcela, którą ojciec doktora kupił zaraz po wojnie. Miała być dla doktora Otto Krantza zabezpieczeniem na stare lata albo — jak sam mawiał — na „czarną godzinę”. Na razie stanowiła idealny parking dla jego pacjentów.

Vivian zaparkowała swojego volkswagena, zmieniła buty — włożyła eleganckie czółenka na wysokim obcasie — przełożyła przez ramię swój jasny płaszcz przeciwdeszczowy, wsunęła torebkę pod pachę i wyciągnęła walizkę z bagażnika. Potem podeszła do drzwi domu doktora Krantza i zadzwoniła do mieszkania na drugim piętrze.

Nie było domofonu. Vivian domyśliła się, że w dni powszednie drzwi wejściowych nie zamykano, gabinet był przecież na parterze.

Czekając na gospodarza kilka razy głęboko odetchnęła. Próbowwała zachować spokój, ale serce waliło jej jak młot. Po raz pierwszy miała stanąć przed człowiekiem, który był częścią jej przeszłości.

Wreszcie drzwi się otworzyły. W progu ukazał się doktor Krantz. Wydał się Vivian jeszcze drobniejszy niż kiedyś, jakby skurczony. Jego bródka była jak zawsze starannie przystrzyżona, a włosy przedtem szpakowate, połyskiwały teraz jaskrawą bielą. Przypatrywał się jej swymi bystrymi oczami, nie mówiąc ani słowa.

Choć za wszelką cenę usiłowała zachować spokój zaczerwieniła się pod badawczym spojrzeniem doktora. Tak dobrze ją znał! Miała uczucie, że jej czapka niewidka przestała nagle działać.

— Dzień dobry, panie doktorze! — wykrztusiła wreszcie, by dodać po chwili pytającym tonem: — Przypuszczam, że pan doktor Krantz?

— Zgadła pani — wciąż jeszcze przyglądał się jej z uwagą. Vivian odstawiła walizkę i podała mu dłoń.

— Jestem Vivian Wagner z Berlina, mam pana zastępować w czasie urlopu.

— Pani?

Już po raz drugi tego dnia zadano jej to pytanie. Uścisk dłoni doktora był słaby i bez wyrazu. Vivian posłała mu promienny uśmiech.

— Czyżby zmienił pan zdanie?

Dopiero teraz z twarzy Krantza opadło napięcie.

— Ach, więc to pani jest Vivian Wagner! — powiedział odwzajemniając jej uśmiech i jeszcze raz potrząsając jej dłonią, tym razem już bardzo energicznie. — Musi pani wybaczyć staremu głupcowi, miła koleżanko, ale wyobrażałem sobie panią zupełnie inaczej. Pilne lekarzki wyglądają nieco inaczej, trochę bardziej po męsku, tak przynajmniej dotychczas uważałem. Ale najwyraźniej moje wyobrażenia nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Dlaczego właściwie jeszcze tu stoimy? — Krantz schylił się i podniósł walizkę Vivian. — Proszę wejść! Proszę bardzo! Moja żona jest bardzo pani ciekawa.

Vivian wzięła walizkę z ręki doktora.

— Sama zajmę się swoim bagażem — oznajmiła z przekonaniem.

— To mi się podoba. Należę do tych mężczyzn, którzy potrafią docenić przyjemne strony emancypacji kobiet. — Tak rozprawiając Krantz wchodził po nieco stromych, drewnianych schodach na górę. Dopiero gdy weszli na piętro, zatrzymał się i przerwał. — Czy nie mam racji?

Vivian z uśmiechem przytaknęła.

Drzwi do pokoju były otwarte. Doktor Krantz zaprosił ją do środka. Nigdy jeszcze nie była u niego prywatnie i rozglądała się wokół z dużym

zainteresowaniem. Po chwili odstawiła walizkę i położyła na niej swój płaszcz.

— Słusznie — skomentował lekarz — proszę wszystko tu zostawić, miła koleżanko. Chciałbym najpierw przedstawić panią mojej żonie.

Helena Krantz również wydawała się zaskoczona wyglądem Vivian. Obie panie znały się poprzednio tylko przełomie i Vivian czuła się w jej obecności dużo mniej niezręcznie. Pani Krantz — wyższa od swojego męża o głowę — była kobietą przy kości, o kwitnącej cerze i ładnych włosach. Drobne, farbowane na blond loczki upinała w misterną fryzurę. Siedziała w salonie, który wydawał się przytulny, choć jak na gust Vivian było w nim stanowczo zbyt wiele koronkowych serwetek, ale zdaje się, że robótki ręczne były dla pani Krantz czymś w rodzaju nieszkodliwego hobby.

Gdy Vivian weszła do salonu, pani Krantz była właśnie zajęta jedną z takich robótek, którą zaraz odłożyła.

— Witamy w Rodenberg, pani doktor! — powiedziała uprzejmie. — Twoi pacjenci, Otto, będą pod wrażeniem! Choć niektórzy zapewne poczują się nieco skrępowani tym, że muszą się rozbierać przed kobietą, w dodatku taką ładną. Może zaparzę herbatę? — zapytała wstając.

— Herbatę?! — zdziwił się gospodarz. — Jeżeli to nie jest okazja, żeby się napić czegoś mocniejszego, to nic już nie rozumiem z dzisiejszych zwyczajów. Wypije pani z nami kieliszek koniaku, koleżanko?

— Tak, chętnie. Ale proszę mi mówić po prostu Vivian i panią również o to proszę, pani Krantz.

— Tym bardziej trzeba to uczcić, nieprawdaż, Heleno? Helena jednak zmierzała już w stronę drzwi.

— Dokąd się wybierasz? — zapytał lekarz tracąc cierpliwość.

— Muszę przygotować pokój Hildegardy — odparła pani Krantz, dodając z lekkim zakłopotaniem: — Wie pani, Vivian, zazwyczaj podejmujemy zastępców męża w dawnym pomieszczeniu dla służby, ale mam wrażenie, że dla pani nie byłoby ono zbyt wygodne.

— Dlaczego nie? Proszę nie robić sobie zachodu tylko z mojego powodu!

— Tak jest, Heleno, nie przesadzaj! — zgodził się doktor. Zdażył już otworzyć stary kredens z drzewa orzechowego i właśnie wyciągał stamtąd butelkę i kieliszki.

— Przed wszystkim chciałabym się odświeżyć po podróży — powiedziała Vivian.

— Ale przecież pokój naszej córki stoi pusty — upierała się Helena — muszę go tylko przewietrzyć i odkurzyć. To potrwa tylko kilka minut. Łóżko jest zasłane.

— Nie gadajże tyle, Heleno! — upomniął ją doktor Krantz. — Nie słyszałaś, że dziewczyna musi iść do toalety?

Vivian roześmiała się. Lecz żona doktora posłała mu tylko ostrzegawcze spojrzenie i dość ostentacyjnie poprosiła Vivian, żeby ta poszła za nią.

Pokój, do którego pani Krantz zaprowadziła Vivian, znajdował się na piętrze. Jego skromne wyposażenie sprawiało, że nadal zachował charakter pokoju dla służby. Słońce wpadało tu przez okno umieszczone w dachu, oświetlając swymi promieniami ukośną ścianę. Nie było tu nic poza szafą, łóżkiem, komodą i małym fotelikiem. Brakowało stołu, ale i tak nie dałoby się go tu wstawić. Na starannie wypolerowanej ciemnej podłodze leżał dywan w kolorowe wzorki, a łóżko przykrywała ręcznie zdobiona narzuta.

— Nasi panowie — wyjaśniła pani Krantz takim tonem, jakby się chciała usprawiedliwić — byli zawsze bardzo zadowoleni z naszej gościny. Widzi pani, tutaj jest gniazdko telefonu. Będzie go pani musiała stawiać koło łóżka na wypadek, gdyby ktoś wezwał panią w nocy. — Otworzyła wąskie drzwi boczne. — A to jest pani łazienka. W pokoju Hildegardy nie ma takiej. To właśnie z tego powodu udostępniamy naszym gościom ten pokój.

W łazience była umywalka, półka na kosmetyki i muszla klozetowa. Nic ponadto. Podłoga była pokryta niebieskim linoleum, które popękało już nieco ze starości.

— To mi wystarczy — odezwała się Vivian.

— Naturalnie może pani również korzystać z naszej łazienki

— oznajmiła gospodyni. — Kiedy nie będzie nas w domu.

— Dziękuję — Vivian poczuła się nagle bardzo zmęczona.

— Może jednak wolałaby pani zamieszkać w pokoju naszej córki? Później go pani pokażę.

Vivian uśmiechnęła się do pani Krantz.

— To bez znaczenia. Proszę nie robić sobie kłopotu.

— W takim razie zostawię panią teraz samą. Proszę się jednak pospieszyć. Bo inaczej może się zdarzyć, że mój drogi Otto wypije za dużo, zanim zdąży pani zejść. Zdarza mu się to czasem, zwłaszcza od tej historii z... — Helena Krantz przerwała. — Ale nie chcę pani zanudzać. Do zobaczenia na dole.

— Ależ nie, proszę mi o tym opowiedzieć! — powiedziała prędko Vivian.

Ale Helena Krantz nie zatrzymała się, chociaż musiała słyszeć prośbę Vivian. Dygresja gospodyni podtrzymała jednak Vivian na duchu. Prędzej czy później temat, który najwyraźniej leżał pani Krantz na sercu, zostanie poruszony — była tego pewna.

* * *

W środę wieczorem doktor Krantz i jego żona wydali małe przyjęcie na cześć Vivian. Nie było to nic wystawnego — zwykłe spotkanie towarzyskie. Helena pokroiła wędlinę w plasterki i podała ją na stół razem z pieczywem. Otto przyniósł z piwnicy kilka butelek wina. Chodziło tylko o to, by poznać Vivian z kilkorgiem osób, tak, by przez najbliższe tygodnie nie czuła się w Rodenberg zupełnie obco.

Przyszedł więc profesor miejscowego gimnazjum z żoną, młody, nieżonaty adwokat i aptekarz Siegfried Holbaum, na którego widok żywiej zabiło serce Vivian, choć nie dała tego po sobie poznać. Wciąż postawny i tęgi, wyraźnie się jednak postarzał. Nie trzymał się już tak prosto jak dawniej, a jego pierś nieco zapadła się. Szklą w jego okularach zostały wzmocnione o jeszcze kilka dioptrii, tak że dzisiaj musiał nosić je w grubej, rogowej oprawie.

Vivian miała na sobie gustowną, czarną sukienkę wieczorową, do której założyła kolię z pięknych pereł — prezent od Herberta. Wyglądała czarująco, o czym mówiły jej wyraźnie spojrzenia zebranych gości i co wprawiało ją w dobry nastrój. Plotkowano i pito, a atmosfera z każdym opróżnionym kieliszkiem stawała się coraz swobodniejsza. Młody adwokat próbował z Vivian flirtować, szybko jednak zrezygnował, kiedy zorientował się, że pani doktor nie przejawia wobec niego żadnego zainteresowania, choć nie powiedziała mu tego wprost. Czekwała niecierpliwie na chwilę, kiedy ktoś z obecnych wspomni o morderstwie lub o procesie sprzed siedmiu lat. Wszyscy woleli jednak rozmawiać raczej na błahe tematy, co wkrótce tak znużyło Vivian, że z trudem powstrzymywała się od ziewania. Sama nie chciała poruszać tego tematu, sądziła, że mogłoby się to wydać podejrzanę, iż obca osoba tak bardzo się tą sprawą interesuje.

Krótko przed północą nauczyciel z żoną opuścili przyjęcie, a w ich ślady poszedł po chwili młody adwokat.

— Ale ty, Siegfried — Krantz zwrócił się do swego przyjaciela, zanim ten zdążył się podnieść — zostaniesz jeszcze na kropelkę?

— Właściwie nie powinienem — odparł aptekarz — ale tak po prawdzie nic mnie nie ciągnie do domu.

— Ciągłe źle sypiasz?

— Przecież nam, medykom, nic takiego nie może się zdarzyć — zażartował. — Ale budzę się zmęczony, a to jest jeszcze gorsze. Podczas tej rozmowy Helena Krantz wyszła odprowadzić gości do wyjścia. Vivian za to przysłuchiwała się uważnie każdemu słowu.

— Dlaczego nie spróbuje pan treningu autogenicznego, panie Holbaum?
— zaproponowała.

— Miła pani doktor, może mi pani wierzyć, że próbowałem.

— I nie pomogło to panu? Więc musiał pan chyba wykonywać złe ćwiczenia.

— Popatrz, popatrz! — stwierdził aptekarz z uśmiechem. — Jajko mądrzejsze od kury.

— Sama stosuję ten trening, zawsze dotąd był skuteczny.

— Ależ wierzę pani. Jednak w pani młodym życiu nie ma z pewnością niczego, o czym chciałaby pani zapomnieć.

— Proszę tak nie mówić! W moim wieku również ma się jakąś przeszłość.

— Nie ma pani chyba nic na sumieniu?

— A pan ma?

— Nie tylko ja. Parę osób w Rodenberg.

Otto Krantz przyniósł tymczasem z kredensu butelkę koniaku! i pękate kieliszki. Oczywiście nalał także Vivian.

Mimo że nie miała już ochoty na alkohol uznała, że lepiej będzie dotrzymać panom towarzystwa, bo rozmowa zaczynała być interesująca.

Ostatnie słowa aptekarza usłyszała też Helena, która właśnie wróciła do salonu. — Znowu jesteście przy tym okropnym temacie Zostawcie z łaski swojej Vivian w spokoju! — powiedziała stanowczo,

— Powinna spędzić tu czas miło i beztrudnie. Nie, dziękuję, Otto. Nie chcę już koniaku — oświadczyła i zaczęła sprzątać ze stołu.

Vivian zauważyła, że Helena oczekuje jej pomocy, nie ruszyła się jednak z miejsca. Zamiast tego popatrzyła na Holbauma wielkimi oczami.

— Och, czyżby to miasto kryło w sobie jakąś tajemnicę?

— Tak bym tego nie nazwał. Cały świat o tym wie. Wychylili kieliszki. Krantz zapalił fajkę, a Holbaum wyjął papierosa ze swej srebrnej papierošnicy.

— Za wyjątkiem mnie — odparła Vivian, sięgając również po papierosy.

Aptekarz podał jej ogień.

— Ja w każdym razie idę do łóżka — powiedziała Helena z wyrzutem. — I ty także, Otto, nie siedź zbyt długo! Chyba nie ma pani zwyczaju palić papierosów w łóżku, Vivian? To wyjątkowo niebezpieczne!

— Oczywiście, że nie — Vivian wstała i pocałowała ją w oba policzki. — Dziękuję pani, Heleno, za ten wspaniały wieczór! Dopilnuję, żeby się zanadto nie przeciągnął. Otto i ja musimy przecież wcześniej wstać.

Helena opuściła salon trochę uspokojona.

Vivian usiadła w fotelu i zaciągnęła się papierosem.

— Proszę teraz zaspokoić moją ciekawość. I proszę się nie bać — mam silne nerwy.

— Chodzi o to, że zamordowano tu kiedyś przemysłowca, Brunona Hammera — powiedział aptekarz ponuro.

— Ach tak, czytałam o tym morderstwie w gazecie! — krzyknęła Vivian, której wcale nie zależało na tym, by wysłuchać całej historii od początku. — Zgadza się, popełniono je w Rodenberg. Ale przecież to było tak dawno temu.

— Ta sprawa nie zakończy się, dopóki morderca nie zostanie schwytany — oświadczył doktor Krantz.

— Nie rozumiem, dlaczego obaj panowie jesteście tak tym przejęci. Nigdy chyba nie byliście podejrzanymi w tej sprawie?

— Naturalnie, że nie — przyznał Holbaum. — Żaden z nas nie miał motywu. Zmarły Bruno Hammer był, można by rzec, naszym źródłem dochodu. Z jego śmierci nic by nam nie przyszło. A w testamencie zapisał nam jedynie broń myśliwską, czyli nic szczególnie cennego.

— Ale gnębi nas to, że nie udało się nam dowieść niewinności jego młodej żony — powiedział doktor. — Nie udało mi się nawet przekonać sądu o tym, że byłaby ostatnią osobą zdolną popełnić ten czyn.

— Ja zaś — dodał aptekarz — nie zdecydowałem się wystąpić jako świadek.

— A miał pan wówczas coś do powiedzenia? — spytała Vivian.

— Nie o morderstwie. Ale mogłem wesprzeć Ottona i opowiedzieć ławie przysięgłych o charakterze oskarżonej.

— Mam wrażenie — stwierdziła Vivian — że i tak nie na wiele by się to przydało.

— Tak to sobie wtedy wytłumaczyłem. Ale tak naprawdę po prostu się bałem.

— Czego? — spytała Vivian zdziwiona.

— Ludzi! — przyznał aptekarz. — Haniebne, co? Bałem się, że wezmą mnie na języki, bałem się, że stracę przyjaciół, bałem się, że stracę klientów.

— Co i tak się stało! — dodał sarkastycznie doktor.

— Naprawdę? — zawołała Vivian. — Czy było aż tak źle?

— Jeszcze gorzej. Od tego czasu miasto podzieliło się na dwa wrogie obozy. Jedni są przekonani, że Lisa Hammer była morderczynią i że niesłusznie ją uwolniono, inni są zdania, że w tej sprawie było dość innych podejrzanych, którzy mogli popełnić tę zbrodnię.

— Na przykład kto? — Vivian zgasiła papierosa i wypiła łyk koniaku, starając się ukryć, jak bardzo ją to intryguje.

— Przede wszystkim córka zamordowanego, Evelyn.

— Ale ona przecież dostała tylko legitymę, o ile dobrze sobie przypominam — wtrąciła Vivian.

— O tym dowiedziała się dopiero po śmierci ojca! — wyjaśnił aptekarz.

— Zabijając go, mogła być przekonana, że zostanie bogatą spadkobierczynią. Była w kiepskich stosunkach ze swoim ojcem, a przy tym nie ma za grosz sumienia.

— Dlaczego właściwie nie zeznawała na procesie? To mnie, pamiętam, dziwiło.

— Miała na to wielką ochotę. Otto, dolejesz mi jeszcze? — aptekarz podsunął doktorowi pusty kieliszek. — Chciała wystąpić nawet jako oskarżyciel posiłkowy, ale adwokat odwiódł ją od tego zamiaru. Zionęła taką nienawiścią, że bez trudu mogła sama siebie obciążyć.

Doktor napenił kieliszek przyjaciela, spojrzał pytająco na Vivian, ale ta potrząsnęła przecząco głową.

— Szkoda, że nie zeznawała — rzuciła. — Może to istotnie ona zabiła. Co się właściwie z nią teraz dzieje?

— Wyszła za Petera Milza.

Vivian nie była w stanie ukryć swojego osłupienia.

— Co takiego?

— Co panią tak zdziwiło? — zapytał aptekarz, przyglądając się Vivian badawczo.

Zmieszła się.

— Cóż, z doniesień prasowych wywnioskowałam, że ten chłopak to wyjątkowo prymitywny typ, a ona była przecież panienką z dobrego domu, studentką i tak dalej. Czyżbym się myliła?

— Wręcz przeciwnie — zaprzeczył doktor, pykając ze swojej fajki. — Jest pani wprost niewiarygodnie spostrzegawcza, Vivian.

— Rzeczywiście, to małżeństwo wzbudziło sporą sensację. Nikt bowiem nie przypuszczał, że Evelyn kiedykolwiek wróci na stałe do Rodenberg. Wszyscy byli pewni, że ma wysokie aspiracje.

— Przebąkiwano tu i ówdzie o jakimś dziecku, które podobno jest w drodze. Nawiasem mówiąc, jej pierwsze dziecko urodziło się jako siedmiomiesięczny wcześniak — kontynuował doktor. — Czy to prawda, czy bujda — trudno mi oceniać, bo nie należała do moich pacjentek.

— Moim zdaniem — powiedział aptekarz, pociągnawszy łyk koniaku — ten szczególny związek można łatwo wyjaśnić. Tak niewielka część spadku, jaka jej przypadła, nie wystarczyła, żeby Evelyn mogła przez najbliższych parę lat — dajmy na to, do ukończenia studiów — z niej żyć. Z drugiej strony nie mogła też liczyć na stałą posadę. Pieniędzy było jednak wystarczająco dużo, żeby pomóc Peterowi Milzowi w usamodzielnieniu się. Przynajmniej pod tym względem mogła się zabezpieczyć.

— Poza tym nie było chyba innego kandydata na horyzoncie — dodał doktor — a Milzowi nic przecież nie brakuje jako mężczyźnie.

„Biedna Evelyn, piękna, ambitna Evelyn — pomyślała Vivian.

— Tak nisko upaść!" — Nie powiedziała jednak tego na głos, lecz poprosiła o kieliszek koniaku.

— Ludwig Weigel też zresztą zmienił stan cywilny. Ożenił się z młodziutką, bardzo śliczną osóbką — opowiadał dalej doktor.

— Podobno to niezła partia.

Vivian uniosła brwi, przechylając lekko głowę na bok.

— Ludwig Weigel? — powtórzyła, jak gdyby musiała się zastanawiać, gdzie słyszała to nazwisko.

— To kierownik Zakładów Hammera.

— Jego też się podejrzewa?

— A dlaczego by nie? — zapytał aptekarz. — Przecież wszyscy wiedzą, że między nim a Hammerem dochodziło do spięć, choć dotyczyło to tylko interesów.

— Co znaczy „tylko"?—zawołał doktor. — Znam mnóstwo ludzi, dla których interesy są w życiu najważniejsze. Jeżeli to on zamordował Hammera, to jak by na to nie spojrzeć, dostał to, czego chciał: wolną rękę w prowadzeniu firmy.

Vivian zrozumiała, że obaj starsi panowie musieli często prowadzić tego typu dysputy, a teraz byli radzi, że mają neutralnego słuchacza, który nie ma powodu, by irytować się z powodu ich domysłów. Darowała więc sobie następne pytania pewna, że i tak ta rozmowa szybko się nie skończy.

— Jest jeszcze syn, Artur Hammer — mówił dalej doktor. — Mieszka znowu w Rodenberg. Pracuje w Zakładach Hammera, chociaż nie na kierowniczym stanowisku. Weigel już dobrze wiedział, jak sobie życia nie utrudniać.

Teraz Vivian uznała za wskazane znowu otworzyć usta.

— Ale czy ten młody Hammer nie był przypadkiem jednym z głównych spadkobierców?

— Tak, razem ze swoją macochą. Potem jednak sprzedał za bezcen swoje udziały Weiglowi. Chyba nigdy nie potrafił się obchodzić z pieniędzmi.

Vivian zamilkła, na jej twarzy malowało się zdziwienie — od lat żyła przecież wygodnie z dochodów, jakie przynosiła firma. Dlaczego więc Artur nie mógł?

Aptekarz odpowiedział na jej nieme pytanie:

— On po prostu za dużo gra. W każdym razie dach nad głową ma zapewniony do końca życia. Mieszka w starej willi.

O tym Vivian wiedziała już od swego adwokata. Mimo to spytała jeszcze:

— Zupełnie sam?

— Było tam kilku lokatorów, ale długo nie pomieszkali. Najwyraźniej nie mogli dojść do porozumienia z Arturem. Niektórzy mówią, że tam straszy.

Vivian słyszała o tym po raz pierwszy. Przeciągnęła się i ziewnęła.

— Wielkie nieba, co za historia. Nie sądziłam, że w Rodenberg może się tyle dziać.

— Ale pani, jak pamiętam, zależało na tym, by przyjechać do Rodenberg, czyż nie? — spytał łagodnie doktor Krantz.

Bez mrugnięcia okiem Vivian wytrzymała jego spojrzenie. — Ależ nie, po prostu miałam chęć przyjechać w te strony. To, że trafiłam do Rodenberg, jest zupełnym przypadkiem.

* * *

Od wyjazdu z Monachium Vivian spotkała się ze swoim adwokatem jeszcze dwukrotnie — w obu przypadkach Paul Zumbuch odwiedził ją w Berlinie. Za każdym razem Vivian była w męskim towarzystwie, przez to czuł się zawiedziony i rozdrażniony. Poza tym dzwonili do siebie często, ale jedynie w interesach.

Kiedy tylko doktor Krantz i jego żona wyjechali na urlop, Vivian wykorzystała okazję, żeby do niego zadzwonić.

— Paul — powiedziała na powitanie — zgadnij, gdzie teraz jestem!

— Nie w Berlinie?

— Nie.

— Chyba nie jesteś w Monachium? — zapytał, a w jego głosie pojawiła się nuta nadziei.

— Prawie trafiłeś. W Rodenberg.

— Vivian — zawołał przerażony — czy ty masz po kolei w głowie?!

— Wiedziałam, że będziesz się denerwował. Dlatego cię nie uprzedzałam.

— Czy możesz mi wytłumaczyć, czego tam szukasz?

— Zastępuję starego, poczciwego doktora Krantza.

— I co chcesz przez to osiągnąć?

— Prawdę mówiąc sama jeszcze nie wiem — zachichotała Vivian. — I choć nie jestem morderczynią, wygląda na to, że ciągnęło mnie na miejsce zbrodni.

— Vivian, ty chyba oszalałaś!

— Nie, na pewno nie. Uważam tylko, że za długo pozostawiałam sprawy swojemu biegowi, czas by ktoś wreszcie spróbował wyjaśnić tę sprawę.

— I tym kimś musisz być akurat ty?

— A któż by inny? Zaległa cisza.

— Kiedy możemy się zobaczyć? — zapytał Zumbruch po chwili.

— Może w niedzielę, za osiem dni? W Monachium? Bo podczas tego weekendu mam dyżur.

— A więc z tym radcą rządowym już koniec?

— Nie, Paul. Przyjechałam tu zresztą jego samochodem. Ale to chyba nie przeszkodzi nam w spotkaniu?

— Nie, oczywiście, że nie.

— Może byłoby lepiej, gdybym cię odwiedziła w godzinach urzędowania. Czy raczej wolisz niedzielę?

— Zawsze znajdę dla ciebie czas.

— To bardzo miło z twojej strony. Spotkamy się tak jak ostatnio w „Koenigshof”

— Pamiętasz jeszcze?

— No pewnie, Paul. Myślę, że jedenasta to odpowiednia pora, prawda? I przynieś mi, proszę, umowę najmu. Chciałabym się wprowadzić do tej starej willi.

— Naprawdę nie powinnaś tego robić, Vivian!

— A dlaczego nie? Dom w końcu należy do mnie, a tutaj zakwaterowano mnie w pomieszczeniu dla służby. Potrzebuję łazienki.

— Przecież nie z tego powodu chcesz tam zamieszkać!

— Nie, naturalnie, że nie. Muszę się po prostu sama przekonać, co się tam dzieje, dlaczego wszyscy lokatorzy tak szybko rezygnowali, no i czy rzeczywiście tam straszy.

— Nigdy o tym nie słyszałem.

— To oczywiście nieprawda, ale ludzie tak tu gadają. Paul, o tym wszystkim będziemy mogli porozmawiać w czasie naszego spotkania. Już nie mogę się go doczekać. A zatem do przyszłej niedzieli! I nie zapomnij o umowie najmu!

* * *

Praca w Rodenberg nie sprawiała Vivian trudności. Doktor Krantz przejrział z nią wcześniej karty swoich pacjentów. Nie miał ich zbyt wielu — czy to dlatego, że istotnie miano mu za złe wystąpienie w obronie Lisy Hammer, czy też dlatego, że ludzie mają więcej zaufania do młodszych lekarzy. W każdym bądź razie Vivian nie musiała się zbytnio przemęczać i dla każdego pacjenta miała dużo czasu. Interesowała się nie tylko symptomami choroby, ale także pytała ich o warunki życia, kłopoty i troski. Większość z nich była zadowolona, mogąc z kimś o tym porozmawiać.

Ponieważ pozostali przy starym doktorze, Vivian mogła założyć, że jeśli w ogóle interesowali się procesem, stali pewnie po stronie Lisy Hopf. Nikt jednak nie wspominał o tamtej sprawie, a i ona sama nie chciała tego robić. Była zresztą przekonana, że nic nowego by to nie wniosło. Nie sądziła, by ci spokojni ludzie mogli wiedzieć coś, o czym nie wiedziała policja czy jej adwokat.

Obiady gotowała sobie w kuchni Heleny, gdzie zresztą przesiadywała większość czasu. Po południu zazwyczaj chodziła na wizyty u chorych i robiła zakupy. Wieczorami odwiedzała kolejno wszystkie lokale i restauracje w Rodenberg — nie dlatego, żeby czuła się w swoim pokoiku samotna, ale ponieważ chciała zobaczyć znajome twarze, chłonąć atmosferę miasteczka.

Uświadomiła sobie przy tym, że jednak bardzo długo jej tu nie było. Czasem miała wrażenie, że kogoś rozpoznaje, ale nie była tego pewna. W ciągu siedmiu lat ludzie potrafią się bardzo zmienić, nie przechodząc nawet operacji plastycznej.

Wielokrotnie o różnych porach dnia Vivian przejeżdżała koło willi Hammerów. Stara posesja, co zresztą było do przewidzenia, robiła wrażenie podupadłej, ale poza tym nie zmieniła się. Zniknęły tylko ślady próby podpalenia. Vivian próbowała wyobrazić sobie Artura mieszkającego samotnie w tym wielopokojowym budynku, ale jakoś nie potrafiła.

Kiedyś, późnym wieczorem, Vivian zauważyła gości zajeżdżających pod dom Hammerów, ktoś wpuścił ich do środka. Wyglądało to tak, jakby Artur miał duży krąg znajomych, co trochę ją zdziwiło po tym wszystkim, co dotąd o nim usłyszała. Nie potrafiła sobie tego wytłumaczyć i z niecierpliwością czekała na chwilę, gdy się tam wprowadzi.

Podczas nieobecności Vivian na peryferiach Rodenberg otwarto nowy supermarket. Postanowiła wybrać się tam nie po to, żeby coś kupić, ale żeby się trochę rozejrzeć. Ze zdziwieniem stwierdziła, jak wielu mieszkańców porzuciło swe stare sklepiki i w artykuły spożywcze zaopatrywało się teraz tutaj. Było to sobotnie przedpołudnie, rozległy parking był wypełniony do ostatniego miejsca. Vivian musiała więc chwilę pokluczyć, zanim zwolniło się miejsce i zdołała zaparkować swój samochód.

Snuła się pomiędzy regałami z metalowym koszykiem, do którego wrzuciła dla niepoznaki puszkę czerwonej fasoli i puszkę ananasów.

W sklepie panował ożywiony ruch. Na zakupy przyjechały całe rodziny. Nikt nie zwracał uwagi na Vivian, za to ona przyglądała się uważnie każdemu. Chociaż wszystkie kasy były czynne, trzeba było stać w kolejce. Vivian zwróciła uwagę na pewną młodą kobietę, która co chwila upominała małego chłopca o blond włosach, by nie ruszał słodczy, wyłożonych kusząco w zasięgu ręki dziecka.

— Nie, Peter — oświadczyła kategorycznie. — Zostaw to!

— Proszę, mamusiu, tylko tego „Milky Way”.

— Nie!

Vivian wspięła się na palce, żeby ponad ramieniem stojącego przed nią mężczyzny móc dojrzeć tę kobietę. Ona również miała blond włosy o rzucającym się w oczy popielatym odcieniu.

Przy kasie Vivian dokupiła jeszcze dwa batony czekoladowe i pospiesznie zapłaciła. Szybkim krokiem poszła za kobietą o popielatych włosach, żeby spojrzeć jej prosto w twarz. Nie pomyliła się, to była Evelyn. Wciąż wyglądała dobrze, a nawet stosunkowo elegancko, ubrana w gabardynowy płaszcz z czerwonym jedwabnym szalem. Jednak w jej postaci nie było już dawnego blasku. Nic nie pozostało z młodej dziewczyny tak pewnej tego, że

rzuci cały świat na kolana. Na jej twarzy pojawiły się już pierwsze zmarszczki, a kąciki ust wydawały się opuszczone. Wyładowany po brzegi wózek z zakupami, na którym na dodatek rozsiadła się mała dziewczynka, był ciężki i Evelyn pchała go z widocznym trudem. Paplanina dzieciaków nie wzbudzała w niej entuzjazmu.

— Czy mogę pani w czymś pomóc? — zaofiarowała się Vivian. Evelyn przystanąła, patrząc na nią nieufnie.

— Skąd ten pomysł?

Vivian miała wrażenie, że Evelyn ją rozpoznała, rozum podpowiadał jej jednak, że to zupełnie niemożliwe.

— Tak tylko zapytałam. Pomyślałam sobie, że byłoby dobrze, gdyby ktoś wziął pani syna za rękę. Taki parking może być dla dzieci niebezpieczny.

Istotnie, wjeżdżające i wyjeżdżające samochody manewrowały wokół nich niebezpiecznie blisko.

— Jeśli ma pani ochotę... — rzekła Evelyn szorstko. Vivian wzięła Petera za rękę.

— Przy dzieciach nigdy nie dość ostrożności. Przy okazji, jestem doktor Vivian Wagner, zastępuję doktora Krantza.

Twarz Evelyn stała się jeszcze bardziej chmurna.

— To pani przyjaciel?

— Niezupełnie. Poznałam go dopiero niedawno, tuż przed jego wyjazdem na urlop.

— To znacznie lepiej! — powiedziała Evelyn i nieco się rozpogodziła.

— Czy ma pani coś przeciwko temu starszemu panu?

— Nie, zupełnie nic. Tylko tyle, że uważam go za krętacza i kłamcę.

— Ach tak? — pokiwała głową Vivian.

Dotarły do samochodu Evelyn, starannie utrzymanego auta średniej klasy. Jego właścicielka otworzyła bagażnik, zabrała małą dziewczynkę z wózka z zakupami i — po krótkim wahaniu — ulokowała ją w ramionach Vivian.

— Jeśli to pani nie przeszkadza...

— Widzę, że jednak się przydałam.

Szybko, z widoczną rutyną Evelyn upchnęła wszystkie zakupy w bagażniku. Dzieci tymczasem paplały niestrudzenie, nie speszzone obecnością Vivian — Peter trochę przemądrzale, a dziewczynka bardzo naiwnie.

— Dzieciaki są naprawdę urocze. Można ich pani pozazdrościć — stwierdziła Vivian poważnie.

— Mam trójkę — wyjaśniła Evelyn. — Przysparzają mnóstwa roboty.

— Czy mogę dać im po batoniku? — zapytała Vivian, wyjmując słodczyce ze swej torby z zakupami.

Dzieci natychmiast wyciągnęły po nie ręce.

— Mamo, proszę! — krzyknął Peter, przestępując z nogi na nogę.

— Tylko nie mów nie!

— Ale po jedzeniu! — powiedziała Evelyn zdecydowanym tonem, odbierając im batony. — Dziękuję, pani doktor. Cała ta moja trójka to straszne łakomczuchy.

— Przykro mi, że kupiłam tylko dwa.

— Jakoś je podzielę — oświadczyła Evelyn, otwierając tylne drzwi.

— Dziękuję, pani doktor — powiedział Peter grzecznie, uśmiechnął się promiennie do Vivian i pochylając głowę wgramolił się do samochodu.

Vivian posadziła siostrzyczkę obok niego i zaniknęła drzwi.

— Proszę wpaść do mojego gabinetu — powiedziała Vivian.

— Wydaje mi się, że ta mała jest albo przeziębiona, albo ma polipy.

— Ach, więc chce pani zdobyć pacjentów! — wykrzyknęła Evelyn nie tyle z sarkazmem, co z dumą, że udało jej się znaleźć rozwiązanie trapiącej ją zagadki.

Vivian roześmiała się serdecznie.

— No, niezupełnie! Jestem tylko zastępcą doktora, nie muszę się tak specjalnie starać. Pani dzieci po prostu mi się spodobały.

— Skoro tak... — Evelyn z wahaniem podała Vivian rękę. — W takim razie jeszcze raz dziękuję.

Evelyn usiadła za kierownicą, a Vivian odsunęła się, by ułatwić jej wyjazd z szeregu zaparkowanych aut.

Mały Peter uklęknął na tylnym siedzeniu, żeby pomachać Vivian, Odwzajemniła mu się tym samym.

Pomysł, żeby nawiązać kontakt z Evelyn, był szalony, ale Vivian wcale tego nie żałowała. Nigdy nawet przez chwilę nie sądziła, by Evelyn mogła mieć coś wspólnego ze śmiercią Brunona. Teraz jednak zdobyła stuprocentową pewność. Nie potrafiła sobie wyobrazić, by ktoś, kto skrytobójczo zamordował swojego ojca, był potem w stanie założyć normalną, mieszczańską rodzinę i wychowywać dzieci. Chociaż Evelyn traktowała ją dawniej protekcjonalnie, Vivian czuła do niej sympatię. Teraz, w zupełnie innych okolicznościach mogła sobie nawet wyobrazić, że byłaby w stanie zaprzyjaźnić się ze swoją pasierbicą.

Vivian zaśmiała się w duchu na myśl o tym, jakie oczy zrobiłyby te dzieciaki, gdyby się dowiedziały, że jest ich babcią — wprawdzie nie rodzoną, ale zawsze babcią.

* * *

Na niedzielne popołudnie Vivian zarezerwowała stół w „Chez Annabelle”, we francuskiej restauracji obok ratusza. Tak jak przypuszczała, lokal był chętnie odwiedzany. Pomiedzy gośćmi nie było prawie nikogo poniżej trzydziestki, jedna czy dwie pary dopiero co ją przekroczyły — dominowali stateczni ojcowie rodzin, którzy chcieli zaoszczędzić swoim wybrankom niedzielnego pichcenia.

Vivian jako jedyna kobieta siedziała przy stoliku sama. Nie było to jednak najgorsze miejsce na sali — obsługa z należyтым szacunkiem traktowała „panią doktor”. Czekając teraz na kolejną potrawę wbrew swoim zwyczajom zapaliła papierosa. W tym eleganckim towarzystwie nie mogła po prostu wsadzić nosa w książkę, zresztą i tak nie miała zamiaru tego robić — przyszła tu bowiem po to, aby obserwować. Czowała się jednak nieco zawiedziona — nie знаła ani nie rozpoznawała nikogo z obecnych.

Sięgnęła pamięcią wstecz, do dnia, kiedy po otwarciu testamentu znalazła się w „Chez Annabelle”, wzburzona i przejęta. Nie mogła sobie przypomnieć, co wówczas jadła, zresztą była wtedy zbyt podekscytowana, żeby delektować się smakiem potraw. Zaprosił ją tutaj Ludwig Weigel, któremu dzięki opanowaniu i męskiej stanowczości udało się ją nieco uspokoić.

Vivian myślała o nim tak intensywnie, że kiedy wszedł do restauracji, przez moment wierzyła, że to ona sama ściągnęła go tutaj. Uśmiechnęła się do niego promiennie. Weigel bez namysłu odpowiedział jej tym samym, lecz zaraz jego twarz stężała, jak gdyby przyłapał się na coś niestosownym. Jego profil wydawał się jeszcze bardziej rzymski niż przed laty.

Vivian omal nie parsknęła śmiechem, wyobrażając sobie, o czym pomyślał: „To niewybaczalne, wdać się we flirt z zupełnie nieznaną kobietą, a zwłaszcza w towarzystwie żony, własnej żony!” Ta subtelna, bardzo elegancka osóbka, która ukazała się za nim i której właśnie podsuwał krzesło, musiała być bowiem jego żoną.

Nie była tak ładna, jak to sobie Vivian wyobrażała. Ze względu na nieco cofnięty podbródek i małe oczy przypominała trochę dawną Lisę Hopf. Emanowała jednak czymś, czego Lisa nigdy w sobie nie miała: pewnością

siebie rozpieszczonego dziecka i szczęściem kochanej kobiety. Można jej było tylko pozazdrościć.

Ludwig Weigel zamówił apéritif. Jego żona długo studiowała menu, nie mogąc się zdecydować na żadną z potraw. Vivian ze wzruszeniem obserwowała, z jaką cierpliwością jej doradzał i pomagał złożyć zamówienie.

Zastanawiała się teraz, jak mogła w ogóle umieścić tego człowieka w kręgu podejrzanych o zamordowanie jej męża. Musiała chyba oszaleć. To absurdalne, by ten wyjątkowo poważny człowiek zakradał się nocą do jej domu, żeby przy pomocy nożyczek do papieru zabić Brunona.

Kiedy kelner podszedł do stolika Weigla, Vivian wydało się, że ten usiłuje zdobyć jakieś informacje na jej temat. Przyłapała go, jak lekko skinął głową w jej kierunku.

Spokojnie dopiła swoją kawę, zgasiła papierosa i zapłaciwszy rachunek skierowała się do wyjścia. Nie była zaskoczona, gdy mijając Ludwiga Weigla dostrzegła, że uniósł się lekko i złożył ceremonialna ukłon. Pokusa, żeby się zatrzymać i wdać z nim w rozmowę, była silna. Nie byłoby to wcale trudne. Jednak Vivian potrafiła opierać się pokusom, więc posłała w jego stronę tylko powściągliwy uśmiech i opuściła salę.

Na ulicy musiała jednak od razu zaczerpnąć oddechu — Ludwig Weigel, po tylu latach! Cóż za przeżycie! Zdecydowała się na długi spacer, żeby dobrze przewietrzyć płuca po tym nietypowym dla siebie nikotynowym szaleństwie.

* * *

W ciągu następnego tygodnia Vivian często przemierzała miasto — pieszo bądź samochodem — i coraz częściej udawało jej się rozpoznać ludzi ze swej przeszłości. Sama dobrze nie wiedziała, czemu to ma służyć, nie mogła przecież liczyć na żadne odkrycie. Sprawiało jej to jednak przyjemność, czuła się niemal jak Harunal-Rashid, kalif z baśni, który miał zwyczaj w przebraniu mieszać się z tłumem swych poddanych. Jej własny kamuflaż wydawał się zresztą dużo pewniejszy.

Pewnego wieczora doszło do dziwnego spotkania.

Vivian zawitała w mrocznej knajpce na obrzeżach miasta, w której serwowano proste, ale solidne dania. Napisany ręcznie jadłospis zawierał tylko pięć potraw, wliczając w to zupę i deser. Vivian zamówiła rosół z kury, który okazał się wyśmienity. Porcja była jednak zbyt duża, by Vivian mogła

się z nią łatwo uporać. Jedząc rozglądała się wokół tak dyskretnie, jak tylko potrafiła, ponieważ nie czuła się tu przesadnie bezpiecznie.

Wyglądało na to, że stołowali się tu przeważnie kierowcy ciężarówek i robotnicy. Wszyscy pili wódkę i piwo, więc Vivian poszła w ich ślady. Oprócz niej były tu jeszcze dwie kobiety, obie mocno wymalowane i ciągle wybuchające salwami ordynarnego śmiechu.

Vivian chciała już zapłacić i wyjść, gdy pojawił się nowy gość kobieta. Wychudzona, o obwisłych policzkach — jednak była to niewątpliwie pani Gaertner, dawna gospodyni w domu Hammerów Vivian okiem lekarza dostrzegła zaraz, że kobieta musi być ciężko chora — wyglądało na to, iż cierpi na raka. Teraz stała w progu, poprawiając ozdobiony sztucznym kwiatem kapelusz, który przekrzywił się na jej głowie. Najwyraźniej była podpita. Zataczając się lekko podeszła do kontuaru i zażądała wódki.

Barman, tęgi mężczyzna w zielonym serdaku i białej koszuli z podwiniętymi rękawami odmówił jej stanowczo.

— Czas, żebyś poszła do łóżka, Gerda — powiedział niemal ojcowskim tonem. — Dobrze wiesz, że tutaj nic nie dostaniesz.

— No nie bądź taki, Otto — zebrała — tylko jedną małą wódeczkę! — Kciukiem i palcem wskazującym zademonstrowała mu wielkość spornego kieliszka. — Proszę!

W tym momencie do rozmowy wmieszała się Vivian.

— Proszę, niech pan ją obsłuży! Na mój rachunek. Trzymając w ręce kieliszek pani Gaertner odwróciła się do swojej wybawicielki.

— Dziękuję pięknej pani! Rzadko spotyka się dobrych ludzi.

— Dlaczego się pani do mnie nie przysiadzie?

— Dobry pomysł!

W nadziei na większą ilość alkoholu Gerda Gaertner zatoczyła się w kierunku stolika Vivian i ciężko opadła na wolne krzesło. Vivian dała znak kelnerowi, żeby podał im dwie następne wódki. Kiedy podszedł z butelką, poprosiła go jeszcze o piwo.

— Dla pani również? — zapytała swego gościa.

— Nie, piwa nie. Po tym to się tylko sika.

Kelner przyniósł więc tylko jedną szklankę i zostawił obie kobiety same. Bez żadnej zachęty ze strony Vivian pani Gaertner zaczęła snuć opowieść o swym życiu. Skarżyła się na niewdzięczność swoich dzieci, dla których przecież tyle zrobiła.

— Ale co to pomoże? — rzekła. — Trzeba znać swoje miejsce, kiedy się człowiek zмага samotnie z życiem.

Kiedy Vivian usłyszała tę ulubioną sentencję swojej byłej gospodyni, nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

— Co w tym śmiesznego? — zapytała pani Gaertner w nagłym przypiływie nieufności.

— Nic, zupełnie nic — pospieszyła z zapewnieniami Vivian. — Jedna z moich dobrych znajomych też tak mawiała.

— Tak? Może i mawiała — to w końcu pasuje do każdego. Vivian zrobiła taki ruch, jakby chciała wstać.

— Jak mi pani postawi jeszcze jedną kolejkę, to opowiem pani ciekawą historię.

— Naprawdę?

— Historię morderstwa — oczy pani Gaertner błysnęły przebiegle. — Pani jest tutaj nowa, nic panii o tym jeszcze nie wie, ale w tym mieście wydarzyło się morderstwo.

— To żadna nowość. Przed laty zamordowano tu fabrykanta Hammera. W gazetach było o tym pełno. Wiem wszystko.

— Wszystko? Z gazet nie mogła się pani dowiedzieć wszystkiego. Ale ja... — pani Gaertner wycelowała palec wskazujący w swą zwiotczałą pierś — ... ja przy tym byłam!

Vivian zrobiła wielkie oczy.

— Widziała pani morderstwo?

— Robi sobie pani ze mnie kpiny? Myśli pani, że przyglądałam się, jak ktoś zabija Hammera?

— W takim razie wie pani mniej niż policja.

Kobieta bawiła się kieliszkiem, żeby zwrócić uwagę Vivian na to, że jest już pusty. Vivian jednak zdawała się nie dostrzegać gestu swej rozmówczyni — obawiała się, że pani Gaertner upije się zbyt szybko.

— Wiem, kto to zrobił — wypaliła kobieta wyzywająco.

— I zdradzi mi to pani?

— Dopiero kiedy dostanę jeszcze jedną wódkę.

Vivian skinęła na kelnera. Ten podszedł, wyraźnie się ociągając.

— Nie sądzi pani, że ona ma już dosyć?

— Zawiozę ją potem do domu. Jestem samochodem.

— Chyba że tak. Na pani odpowiedzialność!

— No więc, kto to był?

— A właściwie dlaczego to panią tak interesuje? — odpowiedziała pytaniem pani Gaertner.

— To przecież pani chciała mi opowiedzieć jakąś interesującą historię.

— Więc pani to nie obchodzi?

— No cóż, na mnie już chyba pora...

— Ale najpierw jeszcze kieliszek, całkiem mały kieliszeczek.

— Pod warunkiem, że dowiem się w końcu, kto jest tym mordercą. Pani Gaertner spoglądała niezdecydowana to na kieliszek, to na Vivian.

— Nie mogę powiedzieć.

— Bo nic pani nie wie!

— Wiem. Opowiedziała mi to ta mała Lisa od Kretschmeierów. Vivian natychmiast zrozumiała, o kogo chodzi. Przez wszystkie te lata niemal zapomniała o istnieniu młodziutkiej pokojóweczki, która mieszkała dwa domy dalej, przy tej samej ulicy. Nigdy zresztą nie utrzymywała z nią kontaktów, cały swój czas poświęcała bowiem pielęgnacji męża. Wszystko, co o niej wiedziała, pochodziło od pani Gaertner. Opowieść pod tytułem „Ta mała Lisa od Kretschmeierów” należała zawsze do ulubionych monologów gospodyni. To od niej Vivian dowiedziała się, że szesnastoletnia Lisa trafiła na służbę z małej wsi. Na podstawie umowy z jej rodzicami pozwalano jej wychodzić niezwykle rzadko i zawsze musiała wrócić przed dziesiątą wieczorem. „Ta mała jest więźniem, dokładnie tak jak i pani, siostro!” — mawiała pani Gaertner uszczypliwie. Wtedy Vivian nie zwracała zupełnie uwagi na tę opowieść, za to teraz bacznie się jej przysłuchiwała. Z największym trudem starała się opanować rosnące podniecenie.

— Nie mam co prawda pojęcia, o czym pani mówi — stwierdziła — ale proszę opowiadać dalej.

— Ta mała Lisa widziała go.

— Kogo?

Pani Gaertner tęsknie spojrzała w kierunku baru.

— Proszę mi wreszcie powiedzieć, a ja postawię pani jeszcze kolejkę! — nalegała Vivian.

— A po co to pani? — wykręcała się gospodyni.

— Chcę po prostu usłyszeć koniec tej historii.

Stara kobieta westchnęła głęboko, po czym zdecydowała się wykrztusić:

— To był jego syn. Ale teraz należy mi się jeszcze jedna kolejka!

— Wykluczone!

— Przecież mi pani obiecała.

— Chodzi mi o to, że to w żadnym razie nie mógł być jego syn. Jego auto było zepsute czy coś takiego. Przyjechał dopiero następnego dnia, pociągiem.

Pani Gaertner ostentacyjnie zacisnęła usta, domagając się obiecaney wódki. Vivian przywołała kelnera, poleciła mu po raz ostatni napełnić kieliszek gospodyni i zapłaciła.

Pani Gaertner wychyliła go jednym haustem.

— Wiem — powiedziała i w jej mętnych od alkoholu oczach po raz kolejny pojawił się błysk przebiegłości — on tak się tłumaczył... Ale ta Lisa go rozpoznała. Podszedł pod sam dom. To było koło północy.

Teraz już Vivian wiedziała dostatecznie dużo — reszty mogła domyślić się sama. Dziewczyna wyszła wieczorem z domu — wymknęła się po kryjomu i w ten sam sposób chciała wrócić. Kiedy dostrzegła nadchodzącego mężczyznę musiała się chyba zatrzymać i ukryć w cieniu. Podobnie jak Arturowi, chociaż z zupełnie innych powodów, jej również zależało na tym, żeby nikt jej nie spostrzegł. Przed policją nie ujawniła tego, co widziała krytycznej nocy, żeby nie zdradzić samej siebie. Gdyby doszło do skazania Lisy Hammer, wtedy może zdecydowałyby się zeznawać — może...

— Nie musi mi pani wcale wierzyć — wymamrotała pani Gaertner, rozczarowana brakiem reakcji ze strony Vivian.

— Proszę pójść ze mną, zawiozę panią do domu — oświadczyła Vivian wstając.

Gospodyni odchyliła do tyłu swą pomarszczoną szyję, usiłując wysączyć ostatnią kroplę ze swego kieliszka.

— Mogę iść sama — zaprotestowała słabo.

Kiedy jednak spróbowała wstać zatoczyła się tak, że Vivian musiała ją chwycić za łokieć i przytrzymać. Vivian zaprowadziła ją więc ostrożnie do swego volkswagena zaparkowanego w sporej odległości od lokalu. Potem usadowiła ją na przednim siedzeniu i pomogła jej zapiąć pasy.

— Nikt mi nie wierzy — bełkotała pani Gaertner. Vivian usiadła za kierownicą.

— Opowiadała już to pani komuś?

— Nigdy. Zawsze trzymałam gębę na kłódkę. Tylko Arturowi.

— Ach tak?

— Ale on mnie wyśmiał. Myślałam, że da mi parę groszy. W końcu był zawsze moim pupilem.

Vivian musiała przyznać, że mimo wypitego w knajpie alkoholu pani Gaertner zachowała zadziwiająco jasny umysł.

— Dokąd panią zawieźć? — zapytała.

— Cały czas prosto. Mieszkam w jednym z tych nowych bloków. Vivian ruszyła. „Nowe” bloki, o których mówiła pani Gaertner, wybudowano niemal przed czterdziestu laty. Były to podobne do koszar budynki, powszechnie uznawane za plamę w architekturze Rodenberg. Przez pewien czas służyły zbiegom ze wschodniej części Niemiec, którzy mieszkali tam, dopóki nie znaleźli sobie czegoś lepszego. Vivian nigdy nie darzyła pani Gaertner szczególną sympatią, ale teraz zrobiło się jej szczerze żal zmęczonej życiem kobiety.

— Jeśli mogę dać pani radę — odezwała się — powinna się pani wybrać do lekarza.

Pani Gaertner podjęła nieudaną próbę wyprostowania się.

— Myśli pani, że bredzę?

— Nie, wprost przeciwnie. Umysłowo jest pani zupełnie zdrowa. Odnoszę natomiast wrażenie, że nie jest pani w zbyt dobrej kondycji fizycznej.

— W zbyt dobrej... — powtórzyła pani Gaertner kpiąco. — Jestem chora!

— Tym bardziej ma pani powód, żeby pójść do lekarza.

— Od nich to lepiej się trzymać z daleka. Kroili mnie, ale to nic nie dało. Mnie pomaga tylko alkohol.

— Są przecież leki uśmierzające ból. Musi pani tylko przyjść do mego gabinetu. Zastępuję doktora Krantza.

— Lekarka? — zainteresowała się nagle gospodyni przypatrując się Vivian.

— To chyba nic niezwykłego?

— Od razu przypomina mi się siostra Lisa. Ona też chciała być lekarką.

Vivian poczuła się nieswojo. Ta stara kobieta była bardzo bystra. Prawie domyśliła się prawdy. Na szczęście, w tej chwili nie była w najlepszej formie.

Przed nimi były już „nowe bloki” i Vivian wolno przejeżdżała przed szeregiem źle otynkowanych fasad.

— Proszę mi powiedzieć, gdzie mam się zatrzymać!

— Tam dalej, koło latarni.

Vivian zatrzymała się we wskazanym miejscu. Otworzywszy drzwi wypięła panią Gaertner z pasów i pomogła jej wysiąść.

— Proszę mi dać swój klucz! Zaprowadzę panią do mieszkania.

Kobieta zaprotestowała słabo, z kieszeni płaszcza wydobyła jednak pęk kluczy i wcisnęła go Vivian do ręki. Do domu prowadził chodnik wyłożony betonowymi płytami, pomiędzy którymi rosły bujnie chwasty. Nad drzwiami wejściowymi do budynku paliło się słabiutkie światło. Vivian próbowała różnych kluczy, żeby znaleźć ten, który otwierał drzwi wejściowe. Pani Gaertner nawet nie próbowała jej pomóc. Stała w niszy, opierając się o ścianę — tam gdzie postawiła ją Vivian. Otworzywszy drzwi Vivian zapaliła światło na klatce schodowej. Gospodyni mieszkała na szczęście na parterze, więc nie musiały się zmagać ze schodami. Wchodząc do mieszkania Vivian znów zapaliła najpierw światło, a dopiero potem pomogła pani Gaertner pokonać próg. Znalazły się w niechlujnej salono-sypialni. Gospodyni opadła na fotel tak, jak stała; w kapeluszu i w płaszczu, którego nie zdejmowała przez cały wieczór. Zzuła tylko buty.

— Niech wyłączy światło! — wybełkotała z zamkniętymi oczami. I niech już idzie!

Vivian położyła pęk kluczy na blacie okrągłego, mahoniowego stołu, który niewątpliwie pamiętał lepsze czasy. Wykonując ostatnie polecenie pani Gaertner nie zapomniała jednak życzyć jej dobrej nocy.

Gdy tylko znalazła się na zewnątrz, z rozkoszą odetchnęła chłodnym, nocnym powietrzem. W mieszkaniu panował bowiem zapach starości, choroby i śmierci, zapach, którego nie dało się usunąć środkami dezynfekującymi, zapach, który tak dobrze znała.

* * *

W niedzielne popołudnie Vivian pojechała volkswagenem Herberta do Monachium. Ciągle jeszcze była pod wrażeniem opowieści pani Gaertner. Miała nawet chęć zadzwonić do Paula Zumbrucha zaraz po powrocie od swej byłej gospodyni, ale zrezygnowała z tego ze względu na późną porę.

Była w doskonałym humorze, jadąc nuciła jakąś melodię. Chętnie posłuchałaby muzyki, ale w samochodzie nie było radia. W powietrzu czuć było wiosnę i chociaż górskie szczyty pokrywał jeszcze śnieg, po obu stronach autostrady zaczynała się zielenić trawa.

Vivian przejechała przez opustoszałe — jak zwykle w niedzielę — miasto, zatrzymała się przed hotelem „Koenigshof”, wysiadła i zmieniła obuwie. Oddała kluczyki portierowi i poprosiła go, żeby odstawił samochód do podziemnego garażu.

Kiedy stanęła w rozległym i pełnym ludzi hallu, straciła na chwilę orientację. Rozglądała się bezradnie, szukając znajomej twarzy Paula

Zumbrucha. Dostrzegła go dopiero w chwili, gdy stanął tuż obok niej. Nie spodziewała się, że jego widok sprawi jej aż taką radość. Zumbruch wziął ją w ramiona i pocałował w oba policzki. Mimowolnie przytuliła się do niego, a gdy uwolnił ją ze swych objęć, poczuła nagle pustkę. Uśmiechając się, spojrzeli sobie w oczy.

Vivian usprawiedliwiła swoje spóźnienie.

— Nie ma drugiej takiej osoby, na którą czekałbym równie chętnie, jak na ciebie, Vivian — powiedział Zumbruch z poważną miną, po czym ujął Vivian pod rękę i poprowadził ją w stronę zarezerwowanego wcześniej stolika w rogu sali. Stolik ten stał z dala od pozostałych, co bardzo dogadzało Vivian.

— Świetnie — stwierdziła. — Będziemy mogli porozmawiać bez skrepowania.

Usiadła wygodnie, zakładając nogę na nogę. Zumbruch zajął miejsce naprzeciw niej i przyglądał się jej z podziwem.

— Jesteś coraz piękniejsza!

Vivian dotknęła palcem zagłębień pod oczami:

— Pierwsze zmarszczki.

— Twoje nowe ja połączyło się z dawnym — dokończył.

— Wiesz, jak bardzo lubię komplementy, ale wolałabym, żebyś przez chwilę milczał. Mam ci do opowiedzenia coś bardzo ważnego.

W tym samym momencie do ich stolika podszedł kelner, niosąc na srebrnej tacy dwie lampki sherry. Paul podpisał rachunek i gdy tylko ponownie zostali sami, rzekł:

— A więc mów!

Vivian zrelacjonowała mu swe spotkanie z panią Gaertner, popijając co jakiś czas sherry, żeby zwilżyć usta. Adwokat nie spuszczał z niej oka.

— Niesamowita historia! — powiedział poruszony, gdy tylko skończyła.

— Jestem pewna, że sama tego nie wymyśliła. Przyznała nawet, że próbowała Artura szantażować.

— On oczywiście nie potraktował jej poważnie?

— Naturalnie, że nie. Wiedział, że nie starczy jej odwagi, żeby pójść z tą opowieścią na policję, a gdyby nawet to zrobiła, trudno uwierzyć, by podjęto jakiegokolwiek działania na podstawie jej zeznań. Policja odłożyła przecież już dawno tę sprawę ad acta.

Zumbruch postawił swoją walizeczkę na kolanach, otworzył ją i wyjął jakieś pismo, żeby natychmiast je podrzeć.

— Co robisz, Paul? — zapytała zdumiona Vivian.

— To była twoja umowa najmu. Dobrze wiesz, że zawsze uważałem twój pomysł wprowadzenia się do willi za niebezpieczny. Po tym, co mi teraz powiedziałaś, jest to absolutnie wykluczone.

Vivian zadrżała.

— Sądzisz, że mógłby zabić po raz drugi?

— Morderca, który poczuje się osaczony, łatwo traci głowę. — Zumbruch schował podartą umowę do bocznej kieszonki swej walizeczki, po czym wyjął z niej notes i długopis.

— Spróbujmy więc znaleźć tę małą Lisę. Znasz jej nazwisko?

— Niestety nie.

— Nie szkodzi. Jak nazywają się ludzie, u których pracowała?

— Kretschmeier. — Vivian przeliterowała. — On ma na imię Paul, tak jak ty, a ona — zdaje się — Inge. On jest dyrektorem banku w Rodenberg. Kretschmeierowie to stara i szanowana rodzina.

— A nie wiesz przypadkiem, kiedy zatrudnili tę Lisę?

— Chyba rok przed morderstwem. Była młoda, chodziła jeszcze do szkoły zawodowej.

— Czy nadal u nich pracuje?

— Na pewno nie, ale nie chciałam wypytywać pani Gaertner. Zumbruch zanotował wszystko w swoim notesie, po czym schował go do aktówki.

— Na pewno ją jakoś znajdziemy. Są przecież biura meldunkowe. Poza tym sądzę, że powinniśmy wynająć prywatnego detektywa.

— A gdy już ją znajdziemy? Co wtedy? — spytała Vivian. Zumbruch uśmiechnął się do niej łagodnie.

— Powoli, wszystko w swoim czasie, Vivian.

— Teraz, po tylu latach, z pewnością przyzna, że widziała Artura tamtej nocy. Pewnie będzie nawet rada, mogąc zrzucić z serca ten ciężar.

— Myślisz, że wszyscy są tacy jak ty? — Chciała mu przerwać, ale on ruchem ręki poprosił ją o milczenie. — Może masz i rację. To, co chciała ukryć, było przecież tylko młodzieńczym wyskokiem. Pytanie tylko, czy będzie dobrym świadkiem.

— Czy trzeba będzie wznowić proces? — zapytała Vivian z niepokojem. — O tym jeszcze nie myślałam.

— Będziesz musiała sobie to wszystko przemyśleć. Naprawdę zrehabilitować cię może jedynie prawomocne skazanie Artura.

— Nie wiem, czy rzeczywiście tego chcę — Vivian bawiła się zamyślona pustym kieliszkiem.

— Może masz ochotę na jeszcze jedną sherry? — zapytał Zumbruch, dostrzegłszy ten gest.

— Nie, dziękuję. — Ciągłe pogrążona w zadumie dodała: — Wydaje mi się, że wystarczyłoby mi zeznanie tej dziewczyny.

— Jako rehabilitacja za szkody moralne?

Vivian nie była w stanie wytrzymać spojrzenia jego mądrych, szarych oczu.

— Mniej więcej — przyznała.

— Po co ci to? Jesteś niewinna i wiesz o tym. Oboje o tym doskonale wiemy. Nie jesteś już Lisą Hopf, ani też Lisą Hammer. Jesteś Vivian Wagner, a na nią nie pada nawet cień podejrzenia. Jeżeli nie masz ochoty przechodzić przez to po raz drugi — rozumiem cię, ale nie mogę obiecać, że zdołam utrzymać cię z dala od wznowionego procesu — to powinnaś się tym zadowolić. Decyzja należy do ciebie.

Vivian westchnęła.

— Czy ten twój radca stanu wątpi w ciebie? — dopytywał się adwokat. — Chcesz mu coś udowodnić?

— On jeszcze o niczym nie wie. Zumbruch popatrzył na nią osłupiały.

— Czy to ma znaczyć, że nie powiedziałaś mu ani słowa? Przez te wszystkie lata?

— Nie mogłam — przyznała i nagle poczuła się przygnębiona.

— I mimo to wydaje ci się, że go kochasz?

— Bo to prawda.

— Nie, wmawiasz to sobie. Każdy człowiek ma naturalną potrzebę otwierania się przed kimś, kogo kocha. Nawet jeśli prowadzi podwójne życie czy popełnił jakieś przestępstwo. Przecież nie zrobiłaś nic złego. Dlaczego więc nic mu nie powiedziałaś?

— Nie rozumiesz mnie, Paul.

— Wprost przeciwnie: znam cię na wylot. Możesz sobie wmawiać, że kochasz tego twojego radcę. To mądry, sympatyczny człowiek, przyznaję. Ale nie masz do niego ani krzty zaufania. — Wyciągnął rękę i objął nią dłoń Vivian. — Nie patrz tak smutno, Vivian! Powinnaś być zadowolona, że w porę to odkryłaś. Ja w każdym razie jestem z tego powodu bardzo, ale to bardzo szczęśliwy.

Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

— Szczęśliwy?

— Pamiętasz, jak wyrzucałaś mi, że wtedy, po procesie nie poprosiłem cię o rękę? — powiedział Zumbruch dobitnie, nie puszczając ręki Vivian.

— Nie! — zaprzeczyła. — Wykluczone! Nic takiego nie mogło mi nawet przyjść do głowy!

— A jednak to zrobiłaś. Miałaś zresztą rację mówiąc, że dzięki małżeństwu ze mną mogłabyś darować sobie operację plastyczną i zmianę nazwiska.

— To szaleństwo!

— Od tego czasu nie przestaję żałować, że byłem wówczas tak niezdecydowany.

— Byłeś moim obrońcą, Paul. Dawanie mi swojego nazwiska nie należało do twoich obowiązków.

— Ale kochałem cię, Vivian. Byłaś tak niewiarygodnie odważna.. Nigdy więcej nie spotkałem kobiety podobnej do ciebie.

Chcąc ukryć, jak bardzo poruszyło ją to wyznanie, powiedziała świadomie impertynencko:

— To jakieś szaleństwo! — Uwolniła dłoń z jego uchwytu.

— Nie mów tak, Vivian! Ty także darzyłaś mnie uczuciem, gdyby tak nie było, nie robiłabyś mi wtedy wyrzutów. Jestem niemal pewny, że przyjęłabyś moje oświadczenia, gdybym złożył ci je w odpowiednim momencie.

— Oczywiście, że darzyłam cię uczuciem. Byłeś dla mnie ostoją w trudnych chwilach. Kiedy dzisiaj o tym myślę — może rzeczywiście uciekłabym wówczas w małżeństwo z tobą. Ale na pewno byłby to błąd. Byłam słaba...

— Nigdy nie byłaś słaba! — zaprotestował Zumbruch. Vivian nie pozwoliła sobie przerwać.

— ... a ty byłeś silny. Nigdy nie bylibyśmy równorzędnymi partnerami. — Chcąc przerwać tę rozmowę, ostentacyjnie spojrzała na zegarek. — Przestańmy wreszcie grzebać się w przeszłości. Powoli zaczynam być głodna.

Zumbruch jednak nie poddał się tak łatwo:

— Nie chodzi mi przecież o przeszłość, ale o dzień dzisiejszy. To niemożliwe, żebyś kochała tego swojego radcę stanu, skoro tak starannie strzeżesz przed nim swojej tajemnicy. Nie zaprzeczaj proszę, daj mi się najpierw wypowiedzieć! On również tak naprawdę cię nie kocha, bo w

gruncie rzeczy wcale cię nie znał. Prawdopodobnie zawsze widział w tobie jedynie piękną, ambitną, pewną siebie i majątną studentkę, a potem lekarkę. Ale przecież to nie jesteś ty, Vivian. Możesz zaprzeczać, jeśli masz ochotę, ale sama dobrze wiesz, że mam rację. Co on właściwie wie o twojej przeszłości? O twojej rodzinie?

Vivian poczuła się przyparta do muru i to ją zirykowało.

— Nie powinniśmy byli w ogóle zaczynać tej dyskusji — parsknęła.

— Czy spędziliście kiedyś razem Boże Narodzenie? Wielkanoc?

— Nie!

— I nigdy nie chciałem poznać twoich rodziców?

— Nie jest tak chorobliwie staromodny, jak ty.

— Zastanawiam się więc, dlaczego w ogóle chce brać z tobą ślub.

Moglibyście przecież doskonale obyć się bez niego, tak jak obywaliście się dotychczas.

— Mam już dość tej rozmowy! — Vivian spojrzała groźnie na swego adwokata. — Swoimi głupimi pytaniami zaczynasz mi stopniowo działać na nerwy.

Zumbruch zaśmiał się ironicznie.

— Taki był właśnie mój zamiar. To nie mnie musisz odpowiedzieć na te pytania, ale sobie — a ponieważ jesteś rzetelna, więc niewątpliwie to zrobisz.

Vivian zerwała się z miejsca. Zumbruch wstał także, sięgnął po płaszcz i aktówkę, po czym zaproponował ugodowo:

— Chodź, pójdziemy coś zjeść. Kłótnie z pustym żołądkiem nie są zbyt rzeczowe.

— Już nie jestem głodna! — oświadczyła Vivian ze złością. Jednak w tej samej chwili zaburczało jej w brzuchu tak głośno, że wybuchnęła śmiechem, rozładowując w ten sposób napięcie.

— Dajmy już temu spokój! — powiedział Zumbruch. — Obiecuję, że nie postawię ci już żadnego nieodpowiedniego pytania.

— Musiałbyś chyba przestać być sobą — powiedziała Vivian tylko po to, żeby mieć ostatnie słowo.

Jej adwokat był zbyt rozsądny, żeby ponownie podejmować dyskusję.

* * *

Paul Zumbruch dotrzymał słowa. Podczas obiadu w jednej z eleganckich monachijskich restauracji starannie unikał poruszania w rozmowie tematów osobistych. Rozprawiał więc o sztuce, polityce, sporcie, bawił Vivian

anegdotkami o swoich klientach. Czas upłynął im tak miło, że żadne z nich nie miało ochoty na rozstanie. Zdecydowali się więc na spacer po ogrodach angielskich. Wsiedli razem do samochodu Vivian i pojechali przez miasto na duży parking za Domem Sztuki. Vivian zostawiła wóz i oboje szybkim krokiem skierowali się do parku. Tam, z dala od wielkomiejskiego gwaru, upajali się aromatycznym powietrzem, słuchali pełnych inwencji ptasich treli, przyglądali się pierwszym, bojaźliwym listkom starych drzew. Vivian pozwoliła, żeby Paul wziął ją za rękę. Białe, wiosenne słońce nie przygrzewało jeszcze zbyt mocno, czuli jednak na twarzach delikatne ciepło jego promieni.

Minęli Wieżę Chińską żałując, że nie można jeszcze siedzieć na jej tarasie. Paul wyglądał na zgrzanego.

— Uff! Zawsze narzucasz takie tempo?

— Wiesz przecież, że zawsze chętnie uprawiałam jogging... — urwała spostrzegłszy, że niechcący znów wspomniała o przeszłości.

— Powinieneś był zostawić palto w samochodzie. — Ona sama czuła się w swoim lekkim kostiumie jeszcze całkiem świeżo.

Przyglądała się uważnie Paulowi. Dopiero teraz, w świetle słońca zauważyła, że nie był to ten sam młody mężczyzna, którego kiedyś poznała. Rysy jego twarzy stały się bardziej wyraziste, nos nieco większy, usta bardziej zaciśnięte, a ciemne, dobrze ostrzyżone włosy nie były już tak gęste.

Paul, wyższy od Vivian o głowę, uśmiechnął się.

— No i jak wypadły oględziny?

— Och! — Vivian poczuła się przyłapana na gorącym uczynku, zarumieniła się lekko ze zmieszania. — To takie głupie, że ciągle jeszcze się czerwienię!

— Ależ to urocze!

Ruszyli w drogę powrotną, tym razem nieco wolniej.

— Masz oczywiście rację — przyznała. — Już dawno powinnam była powiedzieć o wszystkim Herbertowi.

— To jest do nadrobienia.

— Mam właśnie taki zamiar.

— Brawo!

— Chce spędzić Wielkanoc w Rodenberg. — Vivian spojrzała na swego adwokata i po wyrazie jego twarzy poznała, że ten pomysł nie jest mu miły. — Im wcześniej to zrobię, tym lepiej. — Ujęła jego dłoń.

— Gdyby nie ty, nie wiem jak długo jeszcze odwlekałabym ten moment.

Zumbruch odwzajemnił uścisk jej palców.

— Nie uważaj mnie, proszę, za zarozumiąłego i aroganckiego bufona, ale wiem, że jedynym człowiekiem, który może ci dać miłość, jestem ja. Tylko ja znam zarówno siostrę Lisę Hammer, jak i doktor Vivian Wagner. Tego wszystkiego nie zdołasz mu wyjaśnić!

— Spróbuję.

— Więcej nie mogę od ciebie wymagać.

Wrócili na parking. Paul Zumbruch spojrział na nią z wahaniem:

— Czy nie zechciałabyś podrzucić mnie do domu?

— Gdzie mieszkasz?

— W Nymphenburg.

— Musiałabym nadłożyć spory kawałek drogi. Stali naprzeciw siebie, zaglądając sobie w oczy.

— Moglibyśmy przecież jeszcze... — zaczął Zumbruch. Vivian nie pozwoliła mu dokończyć.

— Nie, lepiej nie. Piliśmy już kawę, a alkohol nie byłby chyba wskazany.

— Nie chciałabyś się dowiedzieć, jak mieszkam? Vivian z uśmiechem zaprzeczyła ruchem głowy.

— Nie dzisiaj.

— Proszę, Vivian! — Nim zdążyła odpowiedzieć, Zumbruch trzymał ją w swoich objęciach i całował żarliwie, a ona — dziwiąc się samej sobie — odwzajemniała jego pocałunki z tą samą namiętnością. Minęła dłuższa chwila, zanim znalazła w sobie siły, by wyzwolić się z jego ramion.

— Nareszcie! — wyrzucił z siebie Zumbruch, z trudem łapiąc oddech. — Nie masz nawet pojęcia, jak bardzo za tobą tęskniłem!

— Przykro mi, Paul! — odpowiedziała z trudem. Twarz adwokata zachmurzyła się.

— Że mnie pocałowałaś?

— Że nie mogę do ciebie pojechać. Oboje dobrze wiemy, czym by się to skończyło.

— A gdyby nawet! Należymy do siebie. Spójrz wreszcie prawdzie w oczy!

— Jestem zaręczona, Paul.

— Z niewłaściwym człowiekiem. Zostaw go!

— Nie, Paul, to niemożliwe, sam o tym wiesz najlepiej. Nie mógłbyś mieć do mnie potem zaufania, gdybym go oszukała.

— Myślisz o przyszłości?

— Już sama nie wiem, co mam myśleć! Daj mi trochę czasu, żebym mogła to sobie poukładać!

— Czasu? Czekałem na ciebie siedem lat.

— To piękne, co mówisz. Ale mam nadzieję, że nie spędzałeś tego czasu tylko na czekaniu. — Schyliła się, otworzyła drzwi samochodu i wyjęła walizkę Zumbrucha.

— Zarzucasz mi, że... — zaczął.

— Nie, nic ci nie zarzucam. Nie mam do tego prawa. — Podała mu aktówkę i jeszcze raz pocałowała go krótko, ale czule. — Skontaktuję się z tobą, Paul!

Prędko wsiadła do samochodu, uchyliła okno i uśmiechnęła się do swego adwokata.

— Do widzenia, Paul! — rzekła na pożegnanie i odjechała. — Tylko nie myśl, że się mnie tak łatwo pozbędziesz! — krzyknął za nią Zumbruch.

Vivian jeszcze raz pomachała mu z daleka.

Ona, która zawsze jeździła ostrożnie, musiała teraz zdobyć się na wielki wysiłek, by skoncentrować się na prowadzeniu samochodu. Ten nieoczekiwany wybuch nie tylko jego, ale przecież także i jej namiętności, zupełnie zbił ją z tropu. Dotychczas uważała Paula Zumbrucha za przyjaciela, swego najlepszego przyjaciela, to prawda, ale nigdy nie miała najmniejszych kłopotów z trzymaniem go na dystans. Jak to się mogło stać, że tak żarliwie odwzajemniała jego pocałunki? To nie jego przecież kochała, lecz Herberta Zinka. Czy to możliwe, że kochała dwóch mężczyzn jednocześnie i z taką samą siłą? Dotąd uważała coś takiego za zwykły wymysł, ale teraz miała wrażenie, że właśnie to ją spotkało.

A może była po prostu spragniona seksu? Tylko dlatego, że przez kilkanaście dni nie widywała się z Herbertem? To zupełnie absurdalne. Musiała jednak przyznać, że gdyby znalazła się w mieszkaniu Paula, wylądowałyby w jego łóżku. Wbrew wszystkim swoim solennym zapewnieniom nie dochowałyby wierności Herbertowi.

Ale czy przypadkiem to już się nie stało? Czy czuły pocałunek, pragnienie bycia blisko z innym partnerem nie jest formą zdrady? A skoro tak, to czy powinna powiedzieć wszystko Herbertowi? A może lepiej nic mu o tym nie wspominać? Wołałaby, rzecz jasna, milczeć, ale czy nie byłoby to jednoznacznym przyznaniem się do zdrady?

W każdym razie to, co się wydarzyło, zburzyło jej wyobrażenie o sobie samej. Zawsze miała się za uosobienie wiarygodności i zaufania. Ale myliła

się. I choć jeszcze wczoraj bardzo cieszyła się na przyjazd Herberta, dziś myślała o tym ze wzrastającym niepokojem.

* * *

Kiedy jednak w Wielki Czwartek późnym popołudniem Herbert wysiadł z pociągu, radość z ich spotkania rozgrzała jej serce. Był taki przystojny i elegancki, wyglądał tak poważnie, a jednocześnie młodo dzięki tym swoim bujnym, jasnym włosom zakrywającym wysokie czoło. Gdy tylko ją dojrzał, natychmiast odstawił walizkę i rozłożył szeroko ramiona. Przyłgnęła do jego piersi i poczuła się przy nim bezpieczna. Ale nawet w tak szczęśliwym momencie nie mogła się powstrzymać, by nie pomyśleć o Zumbruchu: „Do cholery, Paul, jak mogłeś zasiać we mnie taką niepewność!” Głośno jednak powiedziała:

— Cieszę się, że jesteś.

— Było mi ciężko bez ciebie — odparł Zink.

— Och, nie przesadzaj!

— Czy zawsze musisz wątpić w moje słowa? — zapytał urażony.

— Nie krzyw się tak! Wiesz przecież, że mówienie o uczuciach trochę mnie żenuje.

— Nie rozumiem, dlaczego.

Cofnęła się o krok i spojrzała nań z ukosa.

— Herbercie, proszę, nie kłóćmy się już na dworcu!

— Nie miałem wcale takiego zamiaru.

Zink schylił się i podniósł swój bagaż — elegancką walizkę z ręcznie zszywanej skóry, którą mu kiedyś podarowała.

— To dobrze — stwierdziła i wzięła go pod rękę.

Idąc do samochodu, który Vivian zaparkowała przed budynkiem dworca, plotkowali o różnych sprawach. Vivian zachowywała się przy tym, jakby od lat była jego żoną i bardzo jej się to podobało. Żeby sprawić Herbertowi przyjemność, dzień wcześniej wybrała się do myjni. Na widok lśniącego czystością auta Herbert wyraźnie się rozchmurzył.

Zaproponował, że usiądzie za kierownicą.

— Pozwól, że ja poprowadzę — powiedziała Vivian. — Znam lepiej tutejsze drogi.

— Jeśli tak bardzo ci na tym zależy — uległ.

— Nie zależy mi, ale tak będzie rozsądniej.

Wcale jednak nie było to rozsądne. Zdała sobie sprawę, jak bardzo jest zdenerwowana. Źle zmieniała biegi, a silnik niemal rzeził. To, że Herbert w milczeniu przyglądał się jej poczynaniom, wcale jej nie pomagało.

— Jestem roztrzęsiona — usprawiedliwiła się.

— Dlaczego?

— Głupie pytanie! — powiedziała z uśmiechem, wyczuła jednak, że jej ton sprawił mu przykrość, więc zaraz dodała: — Ponieważ wreszcie ze mną jesteś! Tak bardzo cieszyłam się na twój przyjazd!

— Przypominam ci, że to właśnie ty tak się upierałaś, żeby wziąć to zastępstwo.

— Pamiętam o tym.

Podczas jazdy uliczkami Rodenberg zwracała mu uwagę na niektóre wyróżniające się architekturą domy.

— To wszystko wydaje się przeraźliwie drobnomieszczańskie — podsumował Zink. Vivian roześmiała się.

— Bo takie właśnie jest. Wcale nie zamierzam się z tobą sprzeczać. Jak zwykle zaparkowała samochód na wolnej parceli obok domu

Krantzów, zamknęła go i zaprowadziła Herberta po schodach do mieszkania lekarza. W przedpokoju, kiedy powiesił już swój płaszcz i odstawił walizkę, chciał Vivian pocałować, ona jednak wyslizgnęła mu się z ramion.

— Najpierw zrobię nam kawę — zaproponowała.

— Ja wcale nie chcę żadnej kawy! — stwierdził Herbert.

— Wiem doskonale, czego chcesz, ale to dostaniesz później.

— Otworzyła drzwi do salonu. — Rozgość się!

Sprzątaczką, która doglądała co jakiś czas domu, wywietrzyła i posprzątała pokój. Vivian poleciła jej także, by postawiła na stole wazon z jaskrawożółtymi narcyzami i łacinie ten stół nakryła.

Mimo to Herbert rozglądał się krytycznie po salonie Krantzów.

— Jak ty tu możesz mieszkać?

— Wcale tu nie mieszkam. Mam pokoik na poddaszu. Łóżko jest trochę za wąskie, ale poza tym jest przytulnie.

— Czy to znaczy, że nie wolno ci korzystać z tych pomieszczeń?

— Nikt mi tego nie zakazywał, choć gospodarze nie byłiby chyba zadowoleni, gdybyśmy stłukli jakąś filizankę z miśnieńskiej porcelany.

— To może lepiej pójdziemy do ciebie na górę?

— Tam nie ma miejsca dla dwóch osób. No, usiądźże wreszcie! Nie przejmuj się tymi wszystkimi kilimami i makatami. Robótki ręczne to hobby pani Krantz.

— Dlaczego po prostu ich nie zdjęłaś?

— Myślałam o tym, ale wydało mi się to jakieś małoduszne. Miałabym zresztą wrażenie, że dopuszczam się profanacji.

Vivian przeszła do kuchni, napełniła wodą przygotowany już ekspres do kawy i pokroiła na kromki chleb wielkanocny.

To zły znak, myślała, że ich spotkanie zaczęło się od razu od kłótni. Winę przypisywała tylko sobie. Herbert spodziewał się zupełnie innego przyjęcia, teraz próbował tylko ukryć swoje rozczarowanie, krytykując wszystko dookoła. Jakże łatwo mogła to wszystko naprawić. Nie chciała się jednak uciekać do żadnych sztuczek. Postanowiła, że najpierw opowie Herbertowi o swej przeszłości. Uznała, że byłoby nie fair stawiać go w sytuacji, w której czułby się zmuszony do potwierdzenia swych uczuć, zanim nie usłyszy, co ma mu do powiedzenia.

Kiedy wróciła do salonu z pełną tacą, Herbert siedział w najwygodniejszym fotelu. Nalała mu kawy, podała śmietankę i cukier, a na koniec zaproponowała, by skosztował wielkanocnego chleba.

Zink podziękował, ale odmówił.

— Gdybym jednak mógł dostać odrobinę koniaku...

— Nie teraz. Muszę ci coś ważnego powiedzieć, a ty powinieneś być zupełnie trzeźwy. — Usiadła obok niego.

— Inny mężczyzna? — zapytał bez zastanowienia.

— To nie takie proste. Czy nazwa Rodenberg nic ci nie mówi? Czy nie słyszałeś o niej wcześniej, zanim podjęłam tu pracę?

— Nie przypominam sobie.

— Przed laty został tutaj zamordowany we śnie pewien starszy człowiek. Pisały o tym wszystkie gazety.

— Ach tak, rzeczywiście! O to morderstwo obwiniono, zdaje się, jego żonę. Wybacz jednak, ale nie interesują mnie takie sensacyjki.

Vivian czuła się tak, jakby stała przed przeszkodą, która jest dla niej zbyt wysoka. Wzięła jednak potężny rozbieg wiedząc, że musi ją pokonać teraz.

— Tą kobietą byłam ja — wyrzuciła z siebie.

— Dobrze się czujesz? — zapytał Zink ze szczerą troską w głosie.

— Masz na myśli, czy jestem zdrowa umysłowo? Z całą pewnością jestem. Przechodziłam gruntowne badania psychiatryczne.

— Samotność w tym pustym domu nie wpłynęła na ciebie zbyt korzystnie. Musisz stąd jak najszybciej wyjechać!

— Herbercie, proszę, spróbuj zrozumieć! To co ci powiedziałam przed chwilą jest niestety prawdą. To ja byłam Lisą Hammer z domu Hopf, kobietą, którą chciano obarczyć odpowiedzialnością za tamto morderstwo.

Zink ciągle nie mógł w to uwierzyć.

— Niemożliwe! To nie może być prawda!

— Takie są fakty, Herbercie!

— Nie, nie, po tysiakkroć nie! Ty jesteś Vivian Wagner!

— Zmieniłam nazwisko. Przecież to możliwe.

— Ja po prostu w to nie wierzę. Pamiętam fotografie tamtej kobiety, to była zupełnie inna osoba.

— Zgadza się, Herbercie. Nie tylko zmieniłam nazwisko, ale również poddałam się operacji plastycznej. Byłam Lisą Hammer i czy tego chcesz czy nie, jestem nią nadal.

Herbert był blady jak kreda. Wreszcie dotarło do niego, że Vivian nie żartuje. Podniosła się prędko i poszła po koniak — nie chcąc korzystać z zasobów doktora Krantza, kupiła na wszelki wypadek butelkę.

Ręce Herberta drżały tak bardzo, że miał kłopoty z podniesieniem kieliszka do ust.

— Czy tu wolno palić? — wychrypiał.

— No jasne. Stary doktor dymi jak lokomotywa.

Sprawiło jej ból patrzenie, z jakim trudem Herbert wyjmuje z kieszeni papierośnicę i jak ciężko przychodzi mu wydobycie jednego papierosa i zapalenie go. Potem napił się koniaku i jego twarz stopniowo zaczęła nabierać kolorów, jednak wyraz jego oczu pozostał nie zmieniony.

— Powinnaś mi była powiedzieć o tym wcześniej. — Jego głos wciąż był ochrypły.

— Oczywiście powinnam była, masz rację, najpóźniej wtedy, gdy wspomniałeś o małżeństwie. Ale byłam z tobą tak szczęśliwa, że nie chciałam ryzykować rozpadu naszego związku, po prostu nie znalazłam dość odwagi. — Czule dotknęła jego ręki. — Czy naprawdę jest aż tak źle?

— Jeszcze pytasz?

— Ale to nie ja, Herbercie, zabiłam mojego męża. Zresztą wygląda na to, że mamy prawdziwego mordercę.

— My, to znaczy kto?

— Paul Zumbruch i ja. Jest pewien świadek, który widział mordercę wchodzącego tamtej nocy do mojego domu. Paul wynajął detektywa, żeby go odnalazł.

— A co potem?

— Jeżeli się nam uda odnaleźć tego świadka, co jest przecież zupełnie prawdopodobne, będzie można wszcząć ponownie postępowanie sądowe.

— Z tobą w roli świadka?

— Możliwe.

— W takim razie znowu znajdziesz się na ustach wszystkich. Nie pomoże ci ani zmiana nazwiska, ani operacja plastyczna. Znow stałabyś się bohaterką pierwszych stron gazet.

— Ale moja niewinność została by wreszcie dowiedziona.

— Jeśli o mnie chodzi, mam już na dzisiaj dość tych nowości!

— Herbert wychylił kieliszek do dna i podsunął go Vivian, która napełniła go ponownie.

— Tak, wiem, Herbercie. Zdaję sobie sprawę, czego żądam od ciebie, wyznając ci prawdę. Tylko dlatego zwlekałam tak długo z opowiedzeniem ci całej historii.

— I jak sobie teraz wyobrażasz naszą przyszłość?

— O tym musisz rozstrzygnąć ty, Herbercie. Jeśli nie chcesz, żeby ta sprawa ponownie trafiła na wokandę, stanie się tak, jak zdecydujesz. Ważne jest tylko, czy mi wierzysz, że z tamtym zabójstwem nie miałam nic wspólnego.

— Oczywiście, że ci wierzę. Nie byłabyś zdolna do zabójstwa

— Herbert obrzucił Vivian przenikliwym spojrzeniem. — Ale co ja właściwie o tobie wiem?

— Przecież mogę ci wszystko opowiedzieć.

— Oczywiście ciągle cię kocham i chcę, żebyś została moją żoną, ale czuję się zupełnie skołowany.

Rozmawiali ze sobą do późnego wieczora. Vivian miała wrażenie, że Herbert powoli staje się coraz bardziej skłonny zaakceptować jej przeszłość. Nie podobało jej się jednak, że pił więcej niż zwykle. Alkohol, wiedziała o tym doskonale, nie pomaga w rozwiązywaniu problemów. Zrobiła skromną kolację, ale Herbert nie chciał jeść, palił papierosa za papierosem i ciągle domagał się koniaku.

Bez protestów przyjął wiadomość, że Vivian zarezerwowała mu pokój w hotelu Parkowym. Nie dowiedział się więc, że kazała również przygotować

na wszelki wypadek sypialnię doktorostwa. Ale w tej chwili nie miała już ochoty na seks i nie chciała nawet podejmować próby pokonania przepaści, jaka między nimi powstała.

Kiedy koło dziesiątej Vivian odwoziła Herberta do hotelu, ten ledwo się już trzymał na nogach.

— Chyba cię rozczarowałem — powiedział z trudem.

— Nie, naprawdę nie! — zaprzeczyła Vivian. — Wiedziałam, że będzie to dla ciebie ciosem.

— Muszę to wszystko przemyśleć.

— Tak, zrób to. Jutro rano po ciebie przyjadę. Może koło dziewiątej?

Herbert nieporadnie próbował pocałować Vivian. Pozwoliła mu na to. Jego wargi były bardzo zimne.

Vivian nie chciała wracać teraz do pustego mieszkania. Jakże często jeździła nocą pustymi uliczkami tego miasteczka. Wbrew temu, co powiedziała Herbertowi, czuła się rozczarowana, ale zdawała sobie również sprawę, że nie była to jego wina. Czegóż innego się spodziewała? Że porwie ją w ramiona i zawoła: „Obojętne, co wcześniej zrobiłaś, jesteś kobietą, którą kocham!” Tak, zdaje się, że na to właśnie liczyła. Dopiero teraz przekonała się, że były oczekiwania zupełnie nierealistyczne. Skonfrontowała Herberta ze swoją przeszłością, na którą nie był i nie mógł być przygotowany. Wiódł typowe, mieszczańskie życie i cała ta historia musiała go zaszokować. Teraz stanął przed koniecznością podjęcia decyzji, czy małżeństwo z Vivian nadal jest tym, czego pragnie.

Krążąc tak ulicami miasta Vivian poczuła nagle, że opuszcza ją uczucie przygnębienia. Pojęła, że w gruncie rzeczy wykorzystywała Herberta, by zapomnieć o Lisie Hammer — był jej potrzebny tak samo, jak nowe nazwisko czy nowa twarz. Związek z nim był więc zaledwie epizodem, szczęśliwym epizodem, który był już poza nią. Niezależnie od tego, co on postanowi wiedziała już, że wszystko między nimi skończone i że jutro mu to oznajmi, delikatnie, ale zdecydowanie.

Rozmyślając tak wjechała w aleję Parkową i nieco zwolniła. Pod domem z numerem dwunastym nie stało żadne auto, ale zauważyła dwie postacie w pośpiechu przemierzające ogród, które zostały wpuszczone do środka. A więc Artur musiał być w domu. Vivian zdawała sobie sprawę, że nie jest to wymarzona pora do odwiedzin, ale nie sądziła, żeby w tym wypadku musiała się trzymać konwenansów. Już wielokrotnie próbowała skontaktować się telefonicznie ze swoim pasierbem, usiłowała do niego dzwonić nawet tego

popołudnia — na próżno. Teraz nadarzyła się znakomita okazja, żeby wreszcie się z nim spotkać.

Istotnie, po trzykrotnym naciśnięciu dzwonka drzwi stanęły przed Vivian otworem. Jednak osobą, która pojawiła się na progu, nie był Artur, lecz jakiś nieznajomy młody mężczyzna. Był bardzo wysoki, barczysty, sposobem bycia przypominał sutenera.

Nieufnie popatrzył na Vivian i już chciał jej zamknąć drzwi przed nosem, ale uprzedziła go, blokując je stopą. Poczowała ból, ale zacisnęła zęby i nie cofnęła się.

— Muszę rozmawiać z panem Hammerem! — wyjaśniła.

— Teraz to niemożliwe.

— Przecież jest w domu, prawda?

— Ma gości.

— Na chwilę może ich opuścić. Jestem przyjaciółką jego macochy. Mam mu coś do przekazania.

— Kim pani jest?

— Przyjaciółką Lisy Hammer.

Zauważyła, że mężczyzna słyszał o Lisie Hammer, ale najwyraźniej nie mógł się zdecydować, co powinien zrobić.

— Przecież to do niej należy ten dom — naciskała Vivian — i bardzo by się zdziwiła, gdyby zabroniono mi tu wstępu.

— Niech pani cofnie nogę, to zapytam.

— Wolałabym poczekać na niego w domu.

— Zaryzykuje pani zmiżdżenie tej ślicznej stopki?

— Przekonał mnie pan — rzekła cofając nogę.

Musiała długo czekać. Kiedy jednak zaczynała już tracić nadzieję, mężczyzna ponownie otworzył drzwi i wpuścił ją do środka.

— Że też się pani chce! — skomentował szorstko.

Ku zdziwieniu Vivian mężczyzna zaprowadził ją nie do małego saloniku, lecz do kuchni i tam polecił jej czekać. Rozejrzała się i stwierdziła, że to i owo uległo zmianie. W kuchni stał teraz tylko jeden kredens o monstrualnych rozmiarach.

Po chwili wszedł Artur. Jego sposób ubierania się zachował jeszcze coś z dawnej, niedbałej elegancji, ale jednocześnie było w nim coś wyzywającego, co nie dawało się zdefiniować. Vivian wydało się, że nieco zmałał, jego poźółkła cera kontrastowała z wciąż jasnymi włosami o popielatym odcieniu. Ciemne półkola pod oczami świadczyły o wielu nie przespanych nocach.

Vivian wyciągnęła do niego rękę. Artur nie zareagował.

— Pan Hammer? — zapytała.

— Czego pani ode mnie chce? — warknął, chcąc najwyraźniej szybko skończyć tę rozmowę.

— Przysłała mnie pana macocha. Spędzę tu w okolicy kilka dni, więc uznała, że byłoby dobrze, gdybym pana odszukała.

— Po co?

— Myślałam, że będę mogła zamieszkać w jej domu.

Nagle Artur się ożywił. Na jego bladych dotąd policzkach pojawiły się rumieńce.

— To wykluczone!

Vivian zwróciła uwagę, że źrenice jego mętnych, szarych oczu zwężyły się.

— Ten dom jest chyba dostatecznie duży — nalegała.

— Nie!

— Zdaje się, że jest tu pięć sypialni.

— Co to panią obchodzi?! Nie cierpię tu obcych!

— Tylko na parę tygodni.

— Nie! I skończmy z tymi bredniami! Proszę się wynosić albo każę panią wyrzucić!

— Już idę! — Vivian skierowała się do drzwi, zanim jednak wyszła, odwróciła się jeszcze raz do Artura. — Nie wiem, co na to wszystko powie Lisa Hammer — oznajmiła, po czym pospiesznie opuściła dom.

Wsiadając do samochodu pomyślała z ulgą, że postąpiła słusznie, nie podając swojego nazwiska. Zachowanie obu mężczyzn było dość agresywne. Miała teraz tylko nadzieję, że jej pojawienie się w tym domu uznali za przypadkowe i że nie zamierzają przedsięwziąć żadnych kroków, żeby ją odszukać.

* * *

Ostatnia rozmowa z Herbertem Zinkiem była krótka, chociaż sprawiła Vivian ból. Nie zaprosił jej nawet na filiżankę kawy. Wszystkie te piękne słowa, które sobie przygotowała, żeby go pocieszyć, pozostały nie wypowiedziane.

— Oszukiwałaś mnie! — zarzucił jej w czasie spaceru po rynku, zaciskając pięści na dnice kieszeni.

Vivian przyznała, że to prawda, lecz Herbert mówił dalej, coraz bardziej wzburzony:

— Perfidnie, przewrotnie, podle!

— Można to tak nazwać — powiedziała Vivian ustępliwie. Wiedziała doskonale, że Herbert próbuje właśnie ratować swój honor, atakując jej własny.

— Czy zastanowiłaś się nad tym, co by się stało, gdyby cała sprawa wyszła na jaw, kiedy byłbym już twoim mężem? — Pięścią stuknęła się w czoło. — Jak bym wtedy wyglądał?

Vivian uznała, że nie warto mu przypominać o tym, kto właściwie odrzucał czyje oświadczyzny.

— Byłby to koniec mojej kariery! — kontynuował Zink naprawdę oburzony.

— Ale teraz nic już jej nie zagraża — Vivian nie mogła się powstrzymać od złośliwej uwagi.

— Twoja uszczypliwość zawsze mnie irytowała, ale myślałem sobie...

Vivian zrobiło się przykro.

— To, co sobie myślałeś albo czego sobie nie myślałeś, nie jest już teraz chyba takie ważne — przerwała mu. — Jeśli dobrze cię rozumiem, chcesz zakończyć naszą znajomość. Do tego nie potrzeba wcale wielkich słów.

— Oddaj mi kluczyki do samochodu i dowód rejestracyjny! — Zink zatrzymał się nagle.

Było to dla Vivian tak zaskakujące, że nie wiedziała, co odpowiedzieć.

— Czemu tak na mnie patrzysz? Uważasz może, że za dużo żądam, domagając się własnego samochodu?

— Nie — otworzyła torebkę i podała mu kluczyki wraz z dowodem rejestracyjnym.

— Skoro już tu jestem — wyjaśnił — chcę mieć przynajmniej swobodę ruchów.

— To bardzo dobry pomysł — zgodziła się Vivian. — A więc miłej zabawy!

Na pożegnanie chętnie pocałowałyby Herberta w policzek lub przynajmniej podałyby mu rękę, ale jego obcesowe zachowanie powstrzymało ją od tego. Vivian odwróciła się na pięcie i po prostu odeszła.

* * *

Przed domem doktora Krantza czekał Paul Zumbruch. Vivian była tak zaskoczona, że nawet nie odważyła się spojrzeć mu prosto w oczy. Objęli się bez słowa i pocałowali. Dopiero po dłuższej chwili uwolnili się ze swoich objęć.

— To ty? — zapytała ona.

— Tak, ja! — odparł on.

W tym momencie zdali sobie sprawę, że ten dialog jest niedorzeczny i wybuchnęli śmiechem.

— Odnalazłem tę małą Lisę! — oznajmił Zumbruch. — Nazywa się Elizabeth Kastner i mieszka w Monachium, co tylko ułatwia sprawę, bo dochodzenie przeprowadzi bez uprzedzeń policja monachijska.

— Słuchaj, byłam wczoraj wieczorem u Artura. Stoczył się na dno. Zdaje się, że bierze prochy, chyba heroinę.

— A gdzie się podziewa twój radca stanu?

— Ulotnił się.

— Smutna?

— Nie, ulżyło mi. Miałaś całkowitą rację.

— W takim razie nic już nie stoi na przeszkodzie naszemu małżeństwu.

— Nie wiem, Paul, czy będę teraz w stanie...

— Na pewno będziesz. Czekaliśmy już wystarczająco długo. Chcę żebyś była już moją żoną, gdy sprawa morderstwa znowu znajdzie się w sądzie.

— Artur nie wytrzyma procesu. Jest w wyjątkowo kiepskiej formie.

— No i co z tego? Ma ujść sprawiedliwości?

— Musiał przejść przez piekło.

— Współczucie dla mordercy?

— Tak, współczucie chyba też.

— Nie będziesz więc mogła zarzucać sobie, że chodzi ci o zemstę.

— Zgadza się. Nie chcę obciążać mojego sumienia.

— Grzeczna dziewczynka! — Paul ponownie pocałował Vivian.

— Nawet jeśli twoje podejście jest z gruntu błędne, bo w końcu chodzi o...
— przerwał. — Dlaczego właściwie wciąż tu stoimy? Nie chcesz mnie wpuścić do domu? Jeszcze nie jadłem śniadania.

Vivian wahała się przez ułamek sekundy, po czym rzekła:

— Chodź! — i otworzyła drzwi.

Staromodnie urządzone sypialnia doktorostwa nie miała w sobie ani krzty romantyzmu, dla Vivian i Paula było to jednak zupełnie nieistotne. Namiętność, którą tak długo starali się poskromić, wybuchła teraz z siłą wulkanu.

Nieskończenie wiele czasu upłynęło, nim wrócili do rzeczywistości. Oboje byli wyczerpani i złani potem. Mimo to trzymali się w uścisku, jakby nigdy nie mieli się rozłączyć.

Paul postanowił odczarować ich na chwilę.

— Jestem głodny.

Vivian obsypała jego pierś delikatnymi pocałunkami.

— Najpierw pójde pod prysznic, a potem przyrządę jakieś śniadanie.

— Kontrpropozycja brzmi następująco: idziemy razem pod prysznic, a potem razem robimy śniadanie.

— Zgoda.

Mimo tych ustaleń potrzebowali jeszcze sporo czasu, żeby zdecydować się na opuszczenie łóżka.

Później usiedli naprzeciw siebie przy kawie i pieczywie. Vivian w kimonie i frotowym ręczniku owiniętym wokół mokrych włosów, Paul w krótkim płaszczu kąpielowym doktora Krantza.

— Mieszkasz tu sobie dosyć luksusowo. Pokój jest co prawda urządzony zupełnie bez fantazji, ale masz tu sporo miejsca i ładną łazienkę — zauważył Paul.

— Tak naprawdę, to nie powinnam tutaj przesiadywać, bo dostałam pokój na górze.

— Ach tak? Wszystko tu takie czyste i przyjemne. Narcyzy...

— Poleciałam przygotować mieszkanie na ewentualne odwiedziny. Zumbruch upuścił drożdżówkę, którą miał właśnie zamiar włożyć do ust.

— Spodziewałaś się mnie?

— Nie ciebie — przyznała Vivian — mojego radcy stanu.

— Coś podobnego! Jeszcze jeden powód, żeby nie spuszczać cię z oka.

— Przecież się go pozbyłam. Powiedz mi, co byś właściwie zrobił, gdyby on tu nadal był? Musiałeś się chyba z tym liczyć?

— Walczyłbym o ciebie. To jest prawdziwy powód, dla którego tu dzisiaj przyszedłem — powiedział poważnie Zumbruch.

Vivian uśmiechnęła się do niego.

— Zawsze tego pragnęłam. Nie mam wątpliwości, że to ty byś zwyciężył.

* * *

Już do końca pobytu w Rodenberg Vivian korzystała z samochodu wynajętego w wypożyczalni. Widywała się z Paulem tak często, jak to było tylko możliwe. Mimo to była zadowolona, gdy doktor Krantz powrócił z urlopu i mogła wreszcie wyjechać z miasteczka.

Przeprowadziła się do Paula, który mieszkał z Nymphenburgu, dzielnicy Monachium. Jego eleganckie czteropokojowe mieszkanie było dostatecznie duże, by pomieścić nawet niewielką rodzinę.

— Byłem pewny — powiedział Zumbruch podczas jej pierwszej wizyty — że kiedyś do mnie przyjdiesz.

— A gdybym nie przyszła — podsumowała kpiąco i nieco złośliwie, tak jak zrobiłaby to dawna Lisa — wzięłbyś sobie inną kobietę!

Wkrótce potem Vivian udało się zdobyć posadę asystentki profesora Schoenhubera w klinice „Na prawym brzegu Izery”, gdzie miała zamiar zrobić specjalizację chirurga plastycznego. Paulowi pozostawiła sprawę pozbycia się jej berlińskiego mieszkania.

Pobrali się w czerwcu w urzędzie stanu cywilnego przy ulicy Migdałowej. Świadkami byli matka Lisy, która z trudem przyzwyczajała się do przemiany swojej córki i profesor, któremu zawdzięczała swą nową twarz.

Żeby uniknąć letnich upałów, Vivian i Paul wybrali się w podróż poślubną do Szwecji. Polecieli tam samolotem, na miejscu wynajęli samochód z przyczepą campingową i przemierzili kraj lasów i jezior wzdłuż i wszerz. Biwakowali przy huczących wodospadach, a wieczory spędzali przy trzaskających polanach z obozowego ogniska. Uciekli od codziennych trosk i wspomnień z przeszłości. Oboje czuli się młodzi i beztroscy.

Pewnego ranka Paul wybrał się do najbliższej położonej miejscowości, Oerebro, żeby uzupełnić zapasy żywności. Wrócił z masłem, jajkami i konserwami, a także z niemiecką gazetą sprzed trzech dni. Vivian dostrzegła tytuł jednego z artykułów: Artur Hammer przyznaje się do morderstwa.

W podnieceniu niemal wyrwała Paulowi gazetę z rąk. Siedząc przy składanym stoliku czytała na głos:

— „Syn przemysłowca z Rodenberg, Brunona Hammera, który przed siedmiu laty założył w domu swego zamordowanego ojca nielegalne kasyno gry — o czym donosiliśmy wczoraj — i podczas policyjnej obławy został aresztowany, przyznał się w śledztwie do popełnienia morderstwa na swoim ojcu. Według jego zeznań powodem zabójstwa, o które swego czasu była oskarżana jego macocha, Lisa Hammer, były wysokie długi. Artur H. zeznał, że nie ma wyrzutów sumienia w stosunku do swej macochy, gdyż ta opiekując się chorym tylko niepotrzebnie przedłużała jego życie, nie pozwalając spadkobiercom, do których i on się zaliczał, objąć w posiadanie dóbr ojca.”

— A więc jednak! — zawołał Paul. — Nareszcie!

— On tego nie wytrzyma — powiedziała Vivian. — Poczekaj trochę, a usłyszysz, że popełnił samobójstwo.

— Byłoby to chyba najlepsze, co mógłby uczynić. Vivian przewróciła stronę i czytała dalej:

— „Jak wynika z jego zeznań, Artur H. przyjechał do Rodenberg samochodem jednego z przyjaciół, zaparkował go kilkaset metrów od domu swego ojca i nie zauważony przez nikogo spokojnie wszedł do środka. Skorzystał przy tym z klucza, który był w jego posiadaniu i którego pozbył się dopiero po dokonaniu zabójstwa. Nożyczki do papieru wpadły mu w ręce już w czasie jego poprzedniego pobytu w domu i okazały się niestety skutecznym narzędziem zbrodni. Mimo, że chodzi tu o czyn człowieka zdesperowanego, to jednak można w tym wypadku mówić o morderstwie z premedytacją, dokonanym z zimną krwią. Artur H. został przewieziony do szpitala psychiatrycznego na szczegółowe badania stanu jego psychiki.” — Vivian odłożyła gazetę.

— Przypuszczalnie wsadzą go do czubków — rzekł Paul.

— Sądzisz, że wcale nie dojdzie do procesu?

— Dojdzie, z pewnością. Ale w tej sytuacji twoje zeznania nie będą konieczne. Vivian, wiesz co to dla ciebie oznacza? Możesz teraz stawić czoło całemu światu. Możemy wrócić do Rodenberg.

— Naprawdę tego chcesz?

— No cóż, właściwie nie. Ale teraz będziesz mogła spotkać się ze swymi dawnymi przyjaciółmi. Co byś powiedziała, gdybyśmy to uczynili?

— Dobrze, zgoda... — powiedziała Vivian z wahaniem.

— Co z tobą? Nie jesteś szczęśliwa?

— Nie tak, jak powinnam. Strasznie mi szkoda Artura. Próbuję sobie wyobrazić, co musiało dziać się w duszy człowieka, który w morderstwie widział jedyny sposób, by rozwiązać swoje problemy. Gdybym bardziej się o niego zatroszczyła, gdybym go skłoniła do tego, żeby mi zaufał, może udałoby mi się zapobiec temu, co się stało.

— Nie możesz się przecież obwiniać o to, co się stało! — zaprotestował Paul. — Na ile znam Brunona Hammera, to uważam za wielce wątpliwe, żeby wyłożył forszę za swojego synalka, nawet gdybyś go zaklinała, by to uczynił. Wręcz przeciwnie, przypuszczam raczej, że natychmiast by go wydziedziczył.

— Nie byłam w stanie troszczyć się o Artura tak, jak powinnam — broniła się Vivian sama przed sobą. — Jego ojciec nie zostawił mi na to czasu.

— No widzisz! — Paul wziął Vivian na ręce. — Nie rób takiej smutnej miny. Już wystarczająco dużo wycierpiałaś z powodu tego zabójstwa, a

przecież byłaś niewinna. Zostaw Artura samemu sobie. Kiedy to ty byłaś w kłopotach, ani myślał ci pomagać. Cały ten koszmar wreszcie minął. Masz teraz wszelkie powody, żeby być szczęśliwa.

— Masz rację, Paul — powiedziała Vivian i przytuliła się do niego.

* * *

Jednak minęło jeszcze kilka dni, zanim Vivian Wagner odnalazła swój poprzedni beztroski, wakacyjny nastrój.

Kiedy lecieli z powrotem do Monachium, opaleni na brązowo i wspaniale wypoczęci, Paul zagadnął:

— Czy kiedykolwiek pomyślałaś o tym, Vivian, że ta cała okropna historia miała także swoje dobre strony?

— Dla kogo?

— Dla nas dwojga. Gdyby nie ta sprawa, prawdopodobnie nigdy byśmy się nie spotkali.

Vivian nachyliła się do niego i pocałowała go w policzek.

— Nie mogę sobie tego zupełnie wyobrazić, Paul. Życie jest jednak bardzo dziwne.